

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1991

ZESZYT DZIEWIĘCDZIESIĄTY PIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1991

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 467

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0135-5

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Jakub KARPÍŃSKI

LEKCJA ANATOMII (MAKROSOCJOLOGIA I SOWIETOLOGIA)*

Makrosocjologią nazywa się taką socjologię, której przedmiotem są zbiorowości w dużej skali, która zajmuje się społeczeństwami, a zwłaszcza ich sposobem organizacji, to znaczy ustrojem. Sowietologia jest wiedzą o polityce, społeczeństwie i ustroju w ZSSR i w innych krajach podobnych, szczególnie tych, które znalazły się w strefie wpływów ZSSR. Sowietologia nie zawsze bywała socjologią i nie zawsze bywała socjologią w skali społeczeństwa. Wiedza o Polsce współczesnej była sowietologią tylko częściowo i ta część będzie zapewne coraz mniejsza.

Będę tu mówić o pracach o ustroju komunistycznym i o społeczeństwie w tym ustroju, a w tym o publikacjach, które nie zawsze łatwo było w Polsce przeczytać; ukazywały się za granicą, również po polsku, gdy nie było jeszcze zwyczaju przedrukowywania książek wydawanych bez cenzury.

Ustrój komunistyczny zajmował się nami wszystkimi, byliśmy w strefie jego oddziaływania. Próbowałem te zainteresowania odwzajemnić, pisząc książkę o ustroju i jego zmianach, opublikowaną jako „Ewolucja czy rewolucja” w Instytucie Literackim w Paryżu w 1975 roku. Książka miała nosić tytuł „Nowy ustrój i ewolucja”, dziś, nie zmieniając jej treści, można by jej nadać oryginalny tytuł Tocqueville’a: „Dawny ustrój i rewolucja”. Ustrój trwał dość długo i najprawdopodobniej odchodzi w przeszłość, to odchodzenie jest zmianą ważną i ma

*. Jest to rozwinięta wersja referatu wygłoszonego w Polskim Towarzystwie Socjologicznym 27 kwietnia 1990 roku.

znamiona rewolucji, choć nie gwałtownej. Pomysł i kształt wspomnianej pracy o ustroju wynikały z przyjęcia kilku założeń.

1. Opis jako zadanie

Uważam, że co najmniej w dziedzinie wiedzy społecznej uprawnione i ciekawe jest nie tylko stawianie hipotez, nie tylko szukanie odpowiedzi na pytania o zależności (sprawdzanie, od czego coś zależy), ale że warto także odpowiadać na pytania o opis, to znaczy na pytania, jakie coś jest i czym jest. Zadając takie pytania, chcemy znaleźć właściwości przedmiotu opisywanego, na ogół nie byle jakie, ale odróżniające go i dlań istotne, stanowiące o tym, że przedmiot jest tym, czym jest. Taki ma sens pytanie, jaki był (czym był) ustrój w Polsce i w innych krajach podobnych.

Właściwości przedmiotów odsłaniają się w trakcie poznania, można przedmiot poznawać z różnym stopniem precyzji, tym bardziej przedmiot złożony, taki jak społeczeństwo. Opis ujmuje wygląd lub aspekty przedmiotu w różnych przybliżeniach i z różną dokładnością. Gdy staramy się znaleźć cechy istotne, szukamy właściwości, od których sporo zależy, a więc budując dobry opis, posługujemy się wiedzą i jeśli by była bardziej usystematyzowana, można by ją nazwać teorią.

Opisy tego samego obiektu niekiedy bardzo się różnią, tak jak to właśnie wielokrotnie zdarzało się w sowietologii, nie tylko z powodu zmian opisywanego przedmiotu, ale także dlatego, że autorzy opisu koncentrowali się na różnych wyglądach lub aspektach. Toczone wtedy spory o to, który obraz jest prawdziwy.

To, co wydaje nam się obrazem fałszywym, jest często prawdziwym obrazem fragmentu, który ktoś wybrał, a który my uważamy za nieistotny. Selekcja zjawisk, przedmiotów zainteresowania, jest w pełni uprawniona, byle by obiektów i zjawisk wyselekcjonowanych nie przedstawiać bezzasadnie jako całości. Nie zawsze jednak autor daje jasno poznać, czy opis ma przedstawiać fragment sam w sobie ciekawy, czy fragment charakterystyczny lub typowy dla całości, czy po prostu całość. Opisując fragmenty lub aspekty przedmiotu, sugeruje się niekiedy ich istotność lub reprezentatywność, ale jeśli autorowi wskazać, że pominął sprawy ważne, oświadcza często, że nie zajmował się wszystkim i po prostu prawdziwie opisywał to, co go interesowało.

Częstość występowania i znaczenie opisów są, jak się zdaje, znacznie większe w humanistyce niż w naukach przyrodniczych,

w których częściej wyjaśnia się, a nie tylko opisuje, i w których buduje się teorie bardzo odległe od doświadczenia. Można wszelkie teorie traktować jako opisy, ale teorie w takich naukach jak fizyka nie opisują na ogół świata danego w zwykłym doświadczeniu, zaś o świecie dostępnym w zwykłym doświadczeniu mówi zwykle wiedza o społeczeństwie.

2. Ustrój

Aż do niedawna wydawało się naturalne przekonanie, że w Polsce istnieje ustrój, czyli względnie trwałe sposoby organizacji społeczeństwa, ukształtowany po drugiej wojnie światowej. Sprawa, jak się okazuje, czasem niejasna za granicą, w Polsce budziła niewiele wątpliwości, dochodziło się do wniosku, że ustrój istnieje, bo, jak powiedzieliby marksiści, to, co stawia opór i o co można rozbić sobie głowę, istnieje.

Ustrój nosił różne nazwy. "Oficjalnie „demokracja ludowa” zmieniła się w „ustrój socjalistyczny”, zaś dawny „obóz socjalizmu” przekształcił się we „wspólnotę socjalistyczną”. W Stanach Zjednoczonych mówiło się o „krajach komunistycznych”, we Francji — bardziej geograficznie — o „krajach Wschodu” (*les pays de l'Est*), nie przesądzając w nazwie, co właściwie powoduje, że tam, a nie gdzie indziej, jest ów „Wschód”.

Kiedy próbowano się ten ustrój opisać, można było wymienić kilka podstawowych wymiarów, właściwości, które miał w znacznym stopniu: znaczny był zakres upaństwowienia, państwo nadzorowało niemal wszystko, zaś w państwie rolę dominującą („kierowniczą”) odgrywała partia komunistyczna (nie cała, ale jej władze i aparat partyjny). Inne cechy ustroju to centralizm, oficjalne zwalczanie różnorodności i ograniczanie niezależnych od władz inicjatyw. Był to monopartyjny ustrój etatystyczny (z państwem jako własnością władz partyjnych, z partią, której organy były pozakonstytucyjnymi władzami państwowymi). W tym ustroju spletały się instytucje lub układy organizacyjne, względnie niezależne mimo wzajemnych związków: partia komunistyczna, administracja, policja polityczna i czynniki zewnętrzne: sowieckie, działające na miejscu przez instytucje i poszczególne osoby. Poza tymi układami organizacyjnymi były układy i porozumienia nieformalne, znaczna część życia społecznego toczyła się między układami formalnymi i nieformalnymi, które wpływały łagodząco i osłabiały wprowadzanie w życie projektów władz.

Pozycje zajmowane przez ludzi w układach organizacyjnych wyznaczały charakterystyczne dla ustroju podstawowe różnico-

wanie społeczne, zróżnicowanie wedle udziału we władzy. Podmiotem władzy była grupa nie wybierana, lecz odnawiająca się przez kooptację, wierzchołek organizacji państwowo-partyjnej, który decydował niemal o wszystkim (ale decyzje rządzących bywały modyfikowane przez wykonawców i przez opór „materii społecznej”, którą miały formować). Grupa rządząca, kierująca aparatem państwowo-partyjnym, była zbiorowym prawodawcą i pracodawcą, kolektywnym naczelnym ekonomistą, redaktorem i naczelnym policjantem, decydowała o kształcie prawa, o treści czasopism i podręczników szkolnych, o polityce zatrudnienia, o tym, jakie organizacje powołać lub zlikwidować, jakie należy budować huty i kopalnie, ile jakich towarów produkować i po jakiej cenie je sprzedawać. Aparat władzy — o zmiennym składzie osobowym — był w konflikcie ze znacznymi odłamami społeczeństwa, które próbował kształtować wedle swych planów. Te konflikty przybierały co pewien czas na sile, przyczyniając się do zmian społecznych, pobudzanych czasem głównie przez wydarzenia w kraju, a czasem (jak w połowie lat pięćdziesiątych) również przez zmiany w centrum obozu — w ZSSR.

Rządzący wyraźnie dążyli do sprawowania władzy o szerokim zakresie, chcieli co najmniej mieć rozległe prawa zakazu. Ale totalizm, całościowość władzy, był raczej projektem niż realizacją. Ludzie stawiali opór, osłabiali poczynania władz, zaś w okresach konfliktu działali wspólnie i podmiotami zmian stawały się zbiorowości różne od grupy rządzącej (aparatu władzy).

3. *W Polsce o ustroju*

Socjologowie polscy do lat siedemdziesiątych nieczęsto zajmowali się ustrojem. Na ogół badano poszczególnych ludzi, zadając im pytania. Społeczeństwo traktowano jako zbiór osób o tyle równouprawnionych, że można je badać w próbach reprezentatywnych (takie badania mają sens w sprawach, w których jednostki rzeczywiście są równouprawnione, jak w głosowaniu, gdzie stosuje się zasadę: jeden człowiek, jeden głos). Badanie poglądów w przedsiębiorstwie może być interesujące, ale pogląd dyrektora na to, co trzeba produkować, ma inną wagę (inne szanse oddziaływania na rzeczywistość) niż pogląd robotnika. Ponieważ ustrój, o którym mowa, nie znał wyborów, konkurencji partii politycznych ani zróżnicowanych środków masowego przekazu, więc trudno było mówić o opinii publicznej (zwłaszcza w sprawach ocenianych jako polityczne), natomiast znaczna była rola przynależności do partii komunistycznej i do aparatu partyjnego, zajmowania pozycji w instytucjach i sposobu działania instytucji.

Sprawy ustroju to właśnie sprawy instytucji, struktury pojmowanej jako układ zależności między ludźmi, decydowania przez niektórych (pełniących role w instytucjach) o tym, co robią inni. Socjologowie, którzy twierdzili, że badają w Polsce „strukturę społeczną”, rozumieli na ogół przez „strukturę” różnicowanie społeczne, nie zaś budowę organizacji i sposób ich funkcjonowania. Interesowali się różnicami majątkowymi i poglądami ludzi na ich „miejsce w społeczeństwie”, ale przeważnie nie badali sposobu organizacji społeczeństwa i sprawowania władzy. Natomiast strukturą i funkcjonowaniem organizacji w skali społeczeństwa zajmowali się ekonomiści, specjaliści w dziedzinie organizacji i zarządzania, do których dołączyli także socjologowie zajmujący się organizacjami. Opracowania dotyczące funkcjonowania organizacji, w tym również w skali społeczeństwa, publikowano w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Ale do rozważań na temat ustroju przydatne były prace autorów polskich również z okresu wcześniejszego. Stanisław Ossowski w pracy z lat 1952/1953, a więc pisanej bez szansy na ówczesną publikację (i opublikowanej w roku 1968), wyliczał następujące główne składniki struktury społecznej w schemacie, jak pisał, dostosowanym do „nowych doświadczeń”: „grupa rządząca, w której rękach jest aparat państwowy, grupy uprzywilejowane, klasy pośrednie, klasy upośledzone”. Ossowski zwracał uwagę na sytuacje, w których „grupa rządząca sama kieruje produkcją, stwarza zaś i utrzymuje grupy uprzywilejowane, aby w zamian za przywileje i opiekę mieć w nich oparcie w stosunku do mas upośledzonych” („Zagadnienia struktury społecznej”, „Dzieła”, t.V, s. 68 i 70). Pod koniec lat pięćdziesiątych Ossowski pisał o różnicach między typami ładu społecznego: tradycyjnym, monocentrycznym i policentrycznym, pokazując, jak w miarę zbliżania się do monocentryzmu traci sens wiedza statystyczna o zachowaniach i poglądach jednostek, a w tym wyniki badań opinii publicznej, jako podstawa do przewidywań („Koncepcje ładu społecznego i typy przewidywań”, 1959, przedruk w: „O osobliwościach nauk społecznych”, 1962).

Na początku lat sześćdziesiątych Julian Hochfeld precyzował zaczerpnięte z marksizmu pojęcia użyteczne przy omawianiu struktury klasowej, przede wszystkim pojęcie własności traktowane socjologicznie, czyli rozumiane jako rzeczywista możliwość dysponowania. Pisał także o panowaniu klasowym w różnych dziedzinach, nie tylko w gospodarce. Te pojęcia można było odnieść do ustroju istniejącego w Polsce („Studia o marksowskiej teorii społeczeństwa”, 1963).

Sporządzonym w latach sześćdziesiątych opisem ustroju komunistycznego był „List otwarty do partii” Jacka Kuronia i

Karola Modzelewskiego, analiza komunizmu realnego w kategoriach marksistowskich (tekst opublikowany w roku 1966). Jeśliby użyć terminologii upowszechnionej później przez metodologów z Poznania, było to jakby pierwsze przybliżenie idealizacyjne. Język marksistowski „Listu” był bliższy „Manifestowi komunistycznemu” niż bardziej skomplikowanym analizom z „Kapitału”. „List otwarty” budził liczne zastrzeżenia i wydawało się sensowne inne ujęcie, w którym aparat władzy nie byłby wyłącznie nową klasą zawłaszczającą produkt dodatkowy, bo panowanie tego aparatu rozciągałoby się na różne dziedziny, celem podstawowym rządzących nie byłaby tylko produkcja, lecz raczej zachowanie władzy, podziały społeczne byłyby bardziej zróżnicowane niż podział na wyzyskiwaczy („biurokrację polityczną”) i resztę. Wydawały się więc sensowne próby opisu bez zwykłych uproszczeń marksistowskich, w tym przypadku zastosowanych do ustroju komunistycznego.

O ustroju w ZSSR i w krajach obozu sowieckiego pisali apologetyci i naukowcy, ale szczególną grupą byli ludzie lewicy odnoszący się krytycznie do niektórych aspektów aktualnej komunistycznej rzeczywistości. W ich tekstach początki ustroju (w ZSSR — bezpośrednio po rewolucji październikowej, w innych krajach — po wkroczeniu Armii Czerwonej) przedstawiano często z aprobatą, twierdzono natomiast, że później władzę przejęła biurokracja i wtedy system się pogorszył, zdegenerował (tak krytykowali stalinizm Trocki i jego zwolennicy, gdy stali się przeciwnikami Stalina). Niekiedy też argumentowano, że konieczności uprzemysłowienia w krajach zacofanych wymagały przyspieszonej i kosztownej akumulacji i realny, niezbyt dla mieszkańców przyjemny, kształt socjalizmu-komunizmu był skutkiem konieczności gospodarczych (pisał tak między innymi Milovan Đilas w książce o „Nowej klasie”, 1957).

4. Historia

Przytoczone wyżej poglądy na temat genezy ustroju nie są najbardziej przekonujące. Między innymi z tego powodu w pracy o „Nowym ustroju i ewolucji” pisałem o „pochodzeniu systemu”, a więc — w odniesieniu do Polski — o historii lat 1939-1949. Innym przełomowym okresem w wojennej i powojennej historii Polski — wydarzeniom z lat 1956, 1968 i 1970-1981 — poświęciłem osobne książki. Wspominam o nich ze względu na zawarte tam założenia socjologiczne, i to makrosocjologiczne, dotyczące organizacji społeczeństwa i istotności podmiotów działających.

Pisanie historii krajów komunistycznych wtedy, gdy ta historia się działa, było rozwiązywaniem zadania, w którym pewne elementy były dane i ograniczały możliwości rozwiązania. Dana była niedostępność źródeł odnoszących się do procesów podejmowania decyzji w istotnych instytucjach i organizacjach, na górnych piętrach aparatu władzy. Splot instytucji partyjno-policyjno-administracyjnych, podkreślając swoją obcość, skutecznie utrudniał publiczny dostęp do swych ważniejszych działań wewnętrznych. Można było natomiast zdawać sprawę z wydarzeń zewnętrznych, danych w doświadczeniu znacznej liczby osób. Wewnętrzne procesy podejmowania decyzji w instytucjach rządzących nie były publicznie znane, natomiast znany był dość szeroko (i był istotny) rezultat podejmowanych decyzji: oświadczenia, zakazy i nakazy, ustawy i wyroki sądowe, podwyżki cen, polityka zatrudnienia, kampanie propagandowe. Nie było bezpośrednio dane istnienie lub nieistnienie różnic politycznych między poszczególnymi funkcjonariuszami lub „frakcjami” partyjnymi (takie różnice dawano do poznania później, przy usuwaniu funkcjonariuszy ze stanowisk). Łatwiej natomiast było bezpośrednio stwierdzić różnice stylu w działaniu instytucji — na przykład policji i aparatu propagandy — i łatwo było stwierdzić, że krążą plotki o różnicach personalnych we władzach partyjnych (o „frakcjach” mówiono i plotki uzyskiwały echo za granicą).

Po części z konieczności, a po części z zainteresowań wynikło więc pisanie o historii, w której istotną rolę odgrywało działanie instytucji rządzących, oglądane z zewnątrz, spoza tych instytucji. Instytucje te działały w otoczeniu społecznym, którego opór starały się przezwyciężyć. Należało więc również to otoczenie opisać.

Uważam, że gdy pisze się o historii powojennej, ważnym założeniem opisu jest wiedza o ustroju i jego funkcjonowaniu, wiedza, czym ten ustrój był, jakie były podstawowe instytucje i ich działania — ustawodawcze, gospodarcze, propagandowe, policyjne. Słuszne wydaje się założenie, że komunistyczny aparat władzy nie działał całkiem chaotycznie: dążył do celów, realizował projekty przekształceń społecznych i pragnął utrzymać się przy władzy. Zdarzało się, że od realizacji projektów zmian społecznych rządzący odstępowali, łagodzili swoje plany na rzecz utrzymania się przy władzy. Ostatnio — ale to już jest wychodzenie z komunizmu — władze komunistyczne dopuściły w Europie Wschodniej niekomunistyczne grupy polityczne do współrzędzenia i komuniści w kilku krajach zgodzili się na wolne wybory, starając się w pertraktacjach z umiarkowaną opozycją zmniejszyć straty własne związane z gwałtowną utratą

władzy. W przyszłości będzie można rozstrzygnąć toczone obecnie spory, czy jest to koniec komunizmu w całości, czy też tylko wycofanie się z jego europejskich peryferii.

Przy pisaniu historii krajów komunistycznych wtedy gdy trwała (dziś, co najmniej w niektórych krajach, może to być okres już zamknięty) użytecznym materiałem były komunikaty władz — rozumiane szeroko: komunikatami są rozporządzenia i ustawy, a także działania „aparatu przemocy”, o ile były znane publicznie. Komunikatem oficjalnym była większość ogłaszanych publicznie wypowiedzi, choćby w tym sensie, że — wobec istnienia cenzury — wypowiedzi publiczne miały oficjalne przyzwolenie.

Wybór przełomów (lat 1956, 1968, 1970, 1976 itd.) jako okresów bliższej obserwacji wydawał się o tyle pożyteczny, że można było wtedy wyraźnie usłyszeć także komunikaty z drugiej strony, komunikaty bez przyzwolenia (choć „strona opozycyjno-społeczna” w swoich wypowiedziach niekiedy uwzględniała ich odbiór przez władze, co zbliżało język wypowiedzi nieoficjalnych do oficjalnego).

Kilkadziesiąt lat trwania komunizmu pozwoliło zwrócić uwagę na cykliczność procesów społeczno-politycznych w tym ustroju. Gdy władze zdecydowały się na liberalizację, następnie wycofywały ustępstwa, troszcząc się, by liberalizacja nie poszła „za daleko”. Przychodziła stagnacja, „dokręcano śrubę”, pojawiały się zaburzenia i nacisk społeczny, który niekiedy prowadził do nowego okresu liberalizacji. Liczba cykli zmian, zaburzeń i powrotów była mniejsza na początku lat siedemdziesiątych niż obecnie, ponadto zaś dotychczasowe liberalizacje były odwracalne, choć pozostawiały ślady, do których później się odwoływano. Miałem okazję pisać o cykliczności zmian, a sprawy te interesowały też francuskiego badacza Rosji i ZSSR, Alaina Besançona, między innymi w jego „Krótkim kursie sowietologii na użytek władz cywilnych, wojskowych i kościelnych” (1976). Besançon omawiał następowanie w komunizmie kolejno okresów NEP-u i komunizmu wojennego w polityce wewnętrznej oraz odprężenia i zimnej wojny w polityce zagranicznej. Takie zmiany następowały nie tylko w Związku Sowieckim, ale także w innych krajach obozu.

W sowietologii amerykańskiej z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, gdy powstawały ważne prace o Rosji stalinowskiej, obraz ZSSR był raczej statyczny, między innymi dlatego, że ZSSR nie zmieniał się wówczas szybko ani zasadniczo. Powstały wtedy dokładne, i przez to cenne, opisy komunizmu leninowskiego i stalinowskiego.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy wywieźli z ZSSR

zbiór dokumentów partyjnych ze Smoleńska, przejęty z kolei w 1945 roku przez archiwa amerykańskie. Umożliwiło to napisanie podstawowych prac Merle Fainsoda „*How Russia is Ruled*”, 1953 (wydanie zmienione 1963) i „*Smolensk under Soviet Rule*”, 1958. Obydwie te prace pokazywały organizację i codzienne funkcjonowanie partii, Komsomołu i NKWD, opisywały system policyjny i zasięg donosów.

5. „Naukowcy polityczni”

W sowietologii istniały mody i w czasach Breżniewa główny nurt sowietologii amerykańskiej znalazł się pod wpływem mód i obyczajów panujących w „nauce o polityce” (*political science*). Zwłaszcza po angielsku podkreślanie naukowości w nazwie jest znaczące, bo słowa *science* używa się przede wszystkim w odniesieniu do nauk przyrodniczych.

Po śmierci Fainsoda (1972) jeden z *naukowców politycznych*, Jerry F. Hough, dołączył się jako współautor pracy Fainsoda „*How Russia is Ruled*”. Hough zmienił tytuł i zawartość książki i wydał ją jako „*How the Soviet Union is Governed*” (1979). Przez zmiany treści i terminologii Hough starał się zbliżyć opis ZSSR do opisu krajów zachodnich.

„Naukowcy polityczni” upodobali sobie terminologię obfitującą w latynizmy, czasem zapożyczoną z cybernetyki. Budowali swoje artykuły wokół takich słów jak „partycypacja”, „integracja”, „legitymacja” lub „penetracja”. Tych wyrażeń używano w ogólnej „nauce o polityce”, zaś politologowie piszący o Europie Wschodniej i Związku Sowieckim przenosili je do swoich artykułów i książek, w których opisy, na ogół zgodne z tekstami z prasy zachodniej, uzupełniano kategoriami abstrakcyjnymi w rodzaju przytoczonych powyżej. Nie opisywano wydarzeń po to, by zdać z nich sprawę, ale miały przede wszystkim świadczyć o „integracji” lub „penetracji” (lub o ich braku) i dzięki temu praca przenosiła się z kategorii tekstów o historii najnowszej do „nauk politycznych”. Można było przeczytać, że w 1970 roku obalenie Gomułki dowodziło kryzysu trzech abstrakcji, które, najprawdopodobniej, przed kryzysem miały się lepiej: „*it may be argued, in fact, that the overthrow of Gomulka in December 1970 represented not only a crisis of legitimacy and penetration but also a crisis of participation*” („*Communism in Eastern Europe*” 1979, s. 42). Stwierdzono, że w Jugosławii działanie tamtejszej opozycji utrudniała „instytucjonalizacja instytucjonalizacji” (*the institutionalization of institutionalization*) („*Dissent in Eastern Europe*”, 1983, s. 121-124).

Stosowano „podejście rozwojowe” (*developmental approach*). Rządzenie w krajach Europy Wschodniej nazywano „rozwojem politycznym” (*political development*) i przeszkody w poczynaniach władz traktowano jako przeszkody lub trudności w „rozwoju”. Publikowano prace o „partycypacji” obywateli sowieckich w „procesie rządzenia” lub o „integracji” społeczeństwa sowieckiego. Wypowiadano się o „popularności przywódców” (bez badań opinii publicznej) i szczególnym zainteresowaniem cieszyła się dość zawila nauka: „kremlinologia”, której adepci na podstawie dostępnych sobie wskaźników próbowali przewidzieć „sukcesję” (następstwo) na Kremlu, odkryć programy polityków sowieckich i pogrupować ich w kategorie. Zbigniew Brzeziński w jednej ze swych prac zobrazował na wykresie zróżnicowanie polityczne w ZSSR od Malenkowa na skrajnej „lewicy” (*systemic left*) do Mołotowa na skrajnej „prawicy” (*systemic right*) (Z. Brzeziński, *Ideology and Power in Soviet Politics*, 1967, s. 116-117).

Kiedy indziej odróżniano nie tyle lewicę od prawicy na wyższych piętach aparatu władzy, co „liberałów” od zwolenników twardej linii, czyli „twardogłowych” (*hardliners*). Podobne klasyfikacje funkcjonariuszy miały często cel polityczny, mianowicie proponowano, by na liberałów „stawiać” i pomagać im, zaś zwolennikom twardej linii zamierzono utrudniać życie. Niektórzy sowietolodzy znajdowali zresztą „liberałów” w odleglejszej przeszłości, zachęcając do rozważań, o ile byłoby lepiej, gdyby Stalin nie odsunął niektórych swoich kolegów-bolszewików od władzy (jak w pracy Stephena F. Cohena, „*Bukharin and the Bolshevik Revolution. A Political Biography*”, 1973).

Sowietologia poszukująca frakcji w partiach rządzących (i oznajmiająca ich znalezienie ze znaczną dozą pewności) uzyskała echo w amerykańskiej polityce informacyjnej: w Radiu Wolna Europa i w Radiu Swoboda, dla których sprawą istotną było odróżnianie „liberałów” od „twardogłowych” na szczytach partii i pomoc lub co najmniej nieutrudnianie sytuacji tym, których uznano za „liberałów”. Z kilku powodów (niestałość domniemyanych zróżnicowań, względność sugerowanego „liberalizmu”, ulotny charakter danych o „liberalizmie” i „liberałach” partyjnych oraz przekonanie o istotności czynników instytucjonalnych, raczej niż osobowych) wydawał mi się właściwszy inny punkt widzenia, zewnętrzny wobec takich podziałów, ale ten zewnętrzny punkt widzenia, jak się zdaje, na niczyją politykę informacyjno-propagandową nie oddziałał.

Sowietologia często sprawiała wrażenie, że porusza się w ciemności, dostrzegała ciemne kształty na ciemnym tle i interpretowała je (z dużą dozą pewności) w sposób, który świadczył

raczej o interpretujących niż o czymkolwiek innym. Nie zawsze jednak tak było i nie musiało tak być. Nie każda sowietologia ozdabiała swoje opisy abstrakcyjnymi kategoriami, by osiągnąć poziom „naukowy”, nie każda lekceważyła staranność i nie każda interesowała się przede wszystkim sprawami personalnymi, podziałem rządzących komunistów na dobrych „liberałów” i ich złych przeciwników.

6. Przedwojenne i wojenne doświadczenia polskie

Istniała, choć nie jest obecnie szeroko znana, sowietologia polska w latach międzywojennych. W Wilnie działał Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej, który nie zajmował się Polską. Dopiero później zakres pojęcia się zmienił i Wilno, a także Warszawę, zaczęto zaliczać do Europy Wschodniej. W instytucie tym powstały między innymi prace Stanisława Swianiewicza „Lenin jako ekonomista” (1930) i Wiktora Sukiennickiego „Ewolucja ustroju Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej”. Tom pierwszy pracy Sukiennickiego, poświęcony latom 1917-1931, ukazał się w 1938 roku. Tom drugi był przygotowany do druku, ale nie ukazał się, do czego ponoć przyczyniły się ówczesne władze administracyjne, obawiające się cytatów z prasy komunistycznej i nie rozumiejące sensu prac sowietologicznych.

Sukiennicki korzystał z publikacji oficjalnych, ale nie w ten sposób, by traktować je jako bezpośrednie informacje o rzeczywistości. Cytował Lenina, stwierdzającego, że konstytucja ZSSR jest „doskonałym przykładem dla agitacji i propagandy”. Sukiennicki pisał: „Skoro się jednak zapoznać z większą ilością tych wydawnictw i w szczególności, gdy się je systematycznie studiuje, zestawia i porównuje na dłuższym odcinku czasu, nakładane jeden na drugim obrazy 'urojonej rzeczywistości' wzajemnie się znoszą i występuje w sposób dość wyraźny i plastyczny 'rzeczywistość rzeczywista’”.

Niektóre przedwojenne polskie prace sowietologiczne były tajne, bo prowadził je wywiad, który miał dobrą orientację między innymi w sprawach narodów nierosyjskich w ZSSR, co wiązało się z akcją „prometejską”: popierania niepodległościowych dążeń tych narodów (pisał o tym Sergiusz Mikulicz w pracy „Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej”, 1971).

Stanisław Swianiewicz i Wiktor Sukiennicki mieli później okazję kontynuować obserwacje na miejscu. Swianiewicza w ostatniej chwili wycofano z transportu do Katynia i następnie pisał o pracy przymusowej w ZSSR („Forced Labour and Eco-

nomic Development”, 1965) i o Katyniu („W cieniu Katynia”, 1976). Wiktor Sukiennicki znalazł się w obozie pracy przymusowej, ale w roku 1942 przedostał się do Iranu i opublikował następnie między innymi „Kolumbowy błąd (szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego 'komunizmu’)”, Paryż 1959.

Badania bezpośrednie ustroju sowieckiego przez Polaków w czasie drugiej wojny światowej przyczyniły się do powstania wielu świadectw i takich syntetycznych opracowań jak „Sprawiedliwość sowiecka” (Rzym, 1945), praca Kazimierza Zamorskiego i Stanisława Starzewskiego, opublikowana pod nazwiskami Sylwester Mora i Piotr Zwierniak, napisana w Biurze Studiów Drugiego Korpusu we Włoszech i traktująca o działaniu sowieckiego systemu represji (francuski przekład tej książki ukazał się w Rzymie w roku 1945). Nakładem Oddziału Kultury i Prasy Drugiego Korpusu opublikowano opracowanie Ryszarda Wrągi (Niezbrzyckiego) „Ustrój sowiecki (marksizm a stalinizm, komunizm a sowietyzacja)”, Rzym 1945.

Istnienie prac o sowieckich obozach koncentracyjnych nie przeszkodziło po wojnie intelektualistom „postępowym”, zwłaszcza francuskim, zaprzeczać istnieniu obozów w ZSSR. Liczne takie zaprzeczenia formułowano między innymi w związku ze sprawą sądową Wiktora Krawczenki (autora „*I Chose Freedom*”, 1946, przekład francuski 1949) przeciw francuskiej prasie komunistycznej (*Les Lettres Françaises*) z roku 1949. Dopiero ukazanie się w roku 1974 francuskiego przekładu „Archipelagu Gułag” Sołżenicyna stało się dla francuskiej opinii publicznej rewelacją i spowodowało zmianę nastawienia do Związku Sowieckiego znacznej części tamtejszej lewicy intelektualnej, która, dzięki Sołżenicynowi, odkryła system represji w ZSSR i zwłaszcza system obozów.

7. Dwa podejścia

Wspomniałem już o cykliczności przemian i następowaniu po sobie okresów NEP-u i komunizmu wojennego oraz odprężenia i zimnej wojny. Temu następstwu okresów politycznych odpowiadały różne sowietologie: w „zimnowojennej” zwracano uwagę na cechy charakterystyczne ustroju komunistycznego, dla sowietologii „odprężeniowej” ZSSR był państwem podobnym do innych. Ale nawet w okresach „zimnej wojny” ukazywały się teksty wypowiadające się o ZSSR w duchu „odprężeniowym”, zaś w okresach „odprężenia” niektórzy nie przestawali widzieć swoistości ZSSR, traktując to państwo jako „imperium zła”. W różnych okresach autorzy o różnych nastawieniach zwracali na

inne sprawy uwagę, co innego było głównym przedmiotem ich zainteresowań i te zainteresowania kształtowały rozmaite obrazy ZSSR i krajów obozu sowieckiego.

Sowietologia odprężeniowa starała się znaleźć podobieństwa między Związkiem Sowieckim i krajami zachodnimi, co było ułatwione, jeśli ktoś mniej zajmował się systemem społecznym, a bardziej politycznym, ujmowanym w ogólnych kategoriach cybernetycznych, wspólnych dla wszelkich systemów. David Lane („*Politics and Society in the USSR*”, 1970, 1978) opisywał system polityczny w ZSSR jako działający w sposób podobny do systemów zachodnich: „*The view adopted here is that Soviet political system functions in a similar way to the western ones*”. Partia i biurokracja państwowa, zdaniem tego autora, to nie tyle monolityczne struktury rządzące, co aparat „artykulacji i agregacji” interesów i wykonywania decyzji („*an apparatus through which interests are articulated, aggregated and outputs are enforced*” — s. 233).

W sowietologii poszczególne zagadnienia omawiano często abstrahując od kontekstu społeczno-politycznego, a zwłaszcza nie zwracając uwagi na właściwości ustroju. Przykładem może być opisywanie władzy lokalnej bez wspomnienia o nomenklaturze lub omawianie treści przepisów prawnych bez wspomnienia o sposobie ich tworzenia i stosowania, jak w rozważaniach o prawie konstytucyjnym i federalizmie w ZSSR. W wydanej w 1975 roku francuskiej pracy o „systemach politycznych w państwach socjalistycznych” wspomina się, że w wyborach do Sejmu w Polsce oddawano różną liczbę głosów na poszczególne osoby i wobec tego na podstawie wyników wyborów można ocenić popularność polityków: „*Un tel système permet en fait de mesurer la popularité des principaux dirigeants polonais; ainsi le déclin de M. Cyrankiewicz a commencé avec le résultat des élections de 1969*” (Patrice Gelard, professeur à l'Université de Rouen, „*Les systèmes politiques des Etats socialistes*”, t. II, s. 414).

Sowietologia odprężeniowa była niezbyt socjologiczna, zajmowała się sporo zewnętrzną, normatywno-propagandową warstwą rzeczywistości. Niezbyt krytyczni byli zwłaszcza prawnicy-politologowie, skłonni zbyt często traktować przepisy prawne jako coś bliskiego opisom rzeczywistego funkcjonowania instytucji. Mniej zajmowano się systemem społecznym w jego rzeczywistym funkcjonowaniu, tym, co zaliczylibyśmy do makrosocjologii.

Czasem osoby kierujące państwem, a czasem warunki ich działania czyniono odpowiedzialnymi za wydarzenia, odróżniając prawdziwy komunizm lub prawdziwy socjalizm od błędów i wypaczeń. Jeśli coś w komunizmie było złe, to, jak głoszą, to

było to spowodowane przez samowolę przywódców, przez trudną sytuację gospodarczą, przez interwencje bezpośrednie lub przez inne zagrożenia z zewnątrz, którym Związek Sowiecki i kraje mu podporządkowane musiały sprostać.

Nurt odprężeniowy sowietologii zwracał w ZSSR uwagę na menadżerów, specjalistów sprawujących władzę w przedsiębiorstwie lub na jakimś terenie jako przedstawiciele rządu, podobnie do francuskich prefektów (Jerry Hough, „*The Soviet Prefects, The Local Party Organs in Industrial Decision-Making*”, 1969). Pisano, że w polityce sowieckiej odgrywają rolę „grupy nacisku” lub „grupy interesu” i zajmowano się „technokratami” i „kapitanami przemysłu”, dążącymi do unowocześnienia swojej dziedziny i społeczeństwa; w pracy zbiorowej H. Gordon Skilling, Franklyn Griffith (wyd.), „*Interest Groups in Soviet Politics*”, 1971, zamieszczono jednak także artykuł (Fredericka C. Barghoorna) o policji politycznej.

Słyszało się jednak także głosy zimnowojenne (jeśli ktoś chciał słuchać). Również przed „Archipelagiem Gułag” Sołżenicyna można było przeczytać o systemie terroru (między innymi David J. Dallin i Boris I. Nicolaevsky, „*Forced Labor in the Soviet Union*”, 1947, Borys Lewickij, „*Terror i rewolucja*”, 1961, Robert Conquest, „*The Great Terror. Stalin's Purge of the Thirties*”, 1968). Ukazywały się prace o partokracji (Abdurakman Avtorkhanov, „*Stalin and the Soviet Communist Party*”, 1959, „*The Communist Party Apparatus*”, 1966 i inne prace Avtorkhanova publikowane po rosyjsku w wydawnictwach emigracyjnych, Leonard Schapiro, „*The Communist Party of the Soviet Union*”, 1959). Pisano o nomenklaturze (Thomas Lowit, „*Y a-t-il des Etats en Europe de l'Est?*”, *Revue Française de Sociologie*, 1979, Michael S. Woslenki, „*Nomenklatura*”, 1980). Zwracano uwagę na ekspansję w sowieckiej polityce zagranicznej (Adam Ulam, „*Expansion and Coexistence*”, 1968, 1974).

O ile sowietolodzy „odprężeniowi” wznosili się na taki poziom abstrakcji, na którym systemy komunistyczne były (tak jak zachodnie) po prostu narzędziami przetwarzania informacji, wyrażania i scalania interesów, zauważano tam (swego rodzaju) parlamenty i (swego rodzaju) opinię publiczną, o tyle sowietologia „zimnowojenna” zajmowała się przemocą w komunizmie i socjotechnicznymi poczynaniami partii i w ogóle władzy komunistycznej, planami władców i ich realizowaniem (choć z oporami), zgodnie zresztą ze wskazaniami Lenina o ważności zdobycia i utrzymania władzy. W takiej perspektywie pisana była na przykład praca zbiorowa redagowana przez Thomasa T. Hammonda „*The Anatomy of Communist Takeovers*”, 1971, 1975.

8. Sprawy ciągłości i nieciągłości

Kontrowersje sowietologiczne nie zawsze są łatwe do rozstrzygnięcia, zwłaszcza gdy strony dyskutowały o koniecznościach historycznych. Trudno powiedzieć, czy z marksizmu „musiał” w warunkach rosyjskich rozwinąć się leninizm i czy z leninizmu „musiał” rozwinąć się stalinizm. Wiadomo natomiast, że etap następny był po poprzednim, że marksizm na leninizm wpłynął, zaś leninizm wpłynął na stalinizm. Trudno znaleźć instytucje lub praktyki stalinowskie, których nie zapoczątkowano by już w czasach Lenina i na pewno Lenin był kontynuatorem marksizmu (choć go dostosowywał do warunków rosyjskich i do potrzeb politycznych swojej partii). Ciekawsza od dyskusji o koniecznościach wydaje się odpowiedź na pytanie czym leninizm i stalinizm był (por. Alain Besançon, „*Les origines intellectuelles du léninisme*”, 1977, Boris Souvarine, „*Staline. Aperçu historique du bolchevisme*”, 1935, Adam Ulam, „*Stalin. The Man and his Era*”, 1973).

Interesującym tematem rozważań sowietologicznych było spotkanie zachodnich idei komunistycznych z tradycjami rosyjskimi. Pisał o tym Mikołaj Bierdiajew („*Les sources et le sens du communisme russe*”, przekład z rosyjskiego 1938). Przygotowanie komunizmu jako ustroju przez rosyjski maksymalizm i nihilizm opisywał w Polsce Jan Kucharzewski („*Od białego caratu do czerwonego*”, t. I-VII, 1923 i nstp.). Aleksander Solżenicyn podkreślał różnice między Rosją i ZSSR jako państwem ideologicznym. Podobnie we Francji Alain Besançon pisał o różnicach między imperium rosyjskim i panowaniem sowieckim (artykuł z 1977 roku), między sowiecką teraźniejszością i rosyjską przeszłością (1974); pisząc o trudnościach zdefiniowania reżimu sowieckiego (1976), Besançon akcentował nowość tego ustroju (teksty zebrane w „*Présent soviétique et passé russe*”, 1980).

9. Totalitaryzm

Sowietologia w stylu „zimnowojennym” odwoływała się do pojęcia totalitaryzmu, wielowymiarowej charakterystyki, uwzględniającej monopol polityczny jednej partii, istnienie oficjalnej ideologii państwowej, państwowego monopolu środków przemocy i propagandy, gospodarki państwowej, ocenianej ideologicznie (wyciągnięcie z pracy Raymonda Arona „*Démocratie et totalitarisme*”, 1965, podobne charakterystyki można znaleźć w pracach Hanny Arendt: „*The Origins of Totalitarianism*”, 1951, Carla J. Friedricha i Zbigniewa Brzezińskiego: „*Totalitarian Dictatorship*”).

and Autocracy", 1956, i w innych opracowaniach).

Warto zauważyć, że autorzy opisujący władzę totalitarną zdawali sobie sprawę, że nawet w zaawansowanym totalitaryzmie nie wszystko podlega totalitarnej władzy i ideologii. Tuż po śmierci Stalina, na początku marca 1953 roku, zorganizowano w Bostonie konferencję na temat totalitaryzmu, z udziałem między innymi Hanny Arendt, Merle Fainsoda, Harolda Lasswella. Karl W. Deutsch mówił tam o rysach na monolitycznej konstrukcji i o możliwościach rozpadu systemów totalitarnych (Karl W. Deutsch, „*Cracks in the Monolith: Possibilities and Patterns of Desintegration in Totalitarian Systems*”, w pracy zbiorowej „*Totalitarianism*”, 1954, pod redakcją Carla J. Friedricha). Podobnie Friedrich i Brzeziński w swojej książce z 1956 roku poświęcili jeden z rozdziałów enklawom, w których można było — choćby częściowo — uchronić się przed władzą totalitarną (*islands of separateness*). Do takich enklaw autorzy zaliczyli rodzinę, kościoły, szkoły wyższe i naukę, a także wojsko (powołując się na antyhitlerowską konspirację oficerów niemieckich, organizatorów zamachu z 20 lipca 1944 roku).

Sowietolodzy odprężeniowi krytykowali pojęcie totalitaryzmu, jakby nie całkiem zdając sobie sprawę, że jest ono upraszczającym narzędziem opisu, że służy do opisu reżimów rzeczywistych przez stwierdzanie, w jakiej mierze realizują one poszczególne składniki tego pojęcia (kraje komunistyczne w różnych okresach w różnym stopniu oddalały się od klasycznego totalitaryzmu).

W podejściu socjologicznym, którego bronię, widzi się prócz ustroju i władzy realizującej projekt totalitarny, również społeczeństwo, nie we wszystkim podporządkowane rządzącym. Konflikty między totalitarną władzą i nie całkiem jej poddanym społeczeństwem, niecałkowita plastyczność materiału społecznego, do którego władza się dostosowywała, powodowały odchodzenie rzeczywistego kształtu społeczeństwa od totalitarnego modelu lub projektu.

10. Zakończenie

Doświadczenia ostatnich lat zdają się potwierdzać przekonanie, że komunizm nie przypomina kapitalizmu między innymi z tego powodu, że komunizm, choć rzeczywisty i dotkliwie odczuwany, był w pewnym sensie systemem sztucznym, jakby włożonym na społeczeństwo z góry. Był to system zaprojektowany, którego wiele właściwości wzięto z ideologii marksistowskiej. W kształtowaniu i podtrzymywaniu tego ustroju znaczną rolę odgrywała przemoc. Komunizm zmienił motywacje ludzi,

ale okazało się, że co najmniej w niektórych krajach nie wytworzył trwałych motywacji podtrzymujących ustrój, a niezależnych od obecności przymusu, i w tym sensie był płytko zakorzeniony. Bakcyłę wolności i demokracji niszczą komunizm i o ile istnieje demokratyczny kapitalizm, o tyle trudno o komunizm bez przemocy i o komunizm demokratyczny.

Jest bardzo prawdopodobne, że komunizm nie przypomina kapitalizmu pod względem długości trwania i w skali historycznej jest względnie krótkotrwałą anomalią, odchyleniem historii na sporych obszarach kontynentu euroazjatyckiego (akurat przypadającym na nasze życie).

Względna krótkotrwałość komunizmu sugerują wydarzenia lat ostatnich w Europie Wschodniej. Pisał o tym z pewną przesadą Francis Fukuyama w tekście o końcu historii („*The End of History?*”, *The National Interest* 1989, nr 16). Według tego autora kończą się wojny, kończy się ideologia, totalitaryzm, a w szczególności komunizm. Wkrótce wszędzie zapanuje liberalny kapitalizm i skończy się zło w wymiarze społecznym, zniknie dotychczasowy przeciwnik Zachodu. Nie będzie już historii, będzie tylko życie codzienne i codzienne funkcjonowanie instytucji, będzie produkcja, wymiana i konsumpcja, ale nie będzie wielkich zwalczających się ideologii, zaplanowanych przemian społecznych na wielką skalę i wielkiego przeciwnika.

Sowietologia, wiedza o systemie komunistycznym, jest — według tego poglądu — może wartościowa i potrzebna, ale dotyczy zamkniętej już przeszłości. Jest prawdą, że w niektórych państwach, jak między innymi w Polsce, ustrój bardzo się zmienił, ale jeśli sprawę rozpatrywać w skali światowej, komunizm nie zniknął i co najmniej w ZSSR i w Chinach działają jego twarde ośrodki: wojsko i policja polityczna. Spór o to, czy komunizm się skończył, nie jest jeszcze rozstrzygnięty.

Sowietologia, gdy jest rzeczywiście wiedzą, mówi o groźnych możliwościach człowieka i organizacji społecznych, o działaniu ideologii i instytucji. Taka wiedza będzie nadal pożyteczna, nawet gdyby przestała informować bezpośrednio o współczesności. Sowietologia mówi także o możliwościach oporu i niezależnego działania. Okazało się, że jest możliwe rozszerzanie obszarów, w których totalitaryzm jest słaby, budowa i podtrzymywanie wysp niezależności w życiu społecznym. Totalitaryzm się skurczył. Jednak nawet najlepszej sowietologii trudno jest przewidzieć historię świata i gdy niektórzy wątpią w ogóle w istnienie nauk społecznych, tym bardziej można wątpić w istnienie nauk społecznych, które byłyby w stanie przewidzieć przyszły bieg historii.

Jakub KAPIŃSKI

Bp Szczepan WESOŁY

STOSUNKI MIĘDZY GENERAŁEM SIKORSKIM I BISKUPEM J. GAWLINĄ

W zeszycie Nr 90 (1989) *Zeszytów Historycznych* została opublikowana wymiana korespondencji między gen. Sikorskim a bp. Gawliną¹. Ogłaszając tę korespondencję zachowaną w Archiwum Rządu, p. T. Wyrwa uzupełnił ją swoim krótkim komentarzem. Wynikająca z korespondencji opinia o bp. Gawlinie jest opinią ówczesnych osób będących na stanowiskach rządowych i wojskowych. Przedstawiony obraz jest jednak krzywdzący dla biskupa Gawliny. Wynika z niego, jakoby między bp. Gawliną z gen. Sikorskim były ciągle nieporozumienia, urazy, ambicje czy wprost, że bp Gawlina prawie że nie uznawał, a może i lekceważył Premiera i Naczelnego Wodza. Można by również w oparciu o przedstawione opinie powiedzieć, że bp Gawlina był nielojalny wobec rządu i naczelnych władz wojskowych. Taki obraz jest jednak nieprawdziwy, względnie jest jedną stroną medalu. Istnieje przysłowiowa druga strona. Są nią notatki, które bp Gawlina prowadził dość skrupulatnie przez całe prawie życie. Część z nich uporządkował, zastrzegając sobie jednak, by ich nie publikowano przed upływem 50-ciu lat od Jego śmierci. Obraz, który wyłania się z tych notatek, jest nieco odmienny niż ukazujący się obraz z rządowej oceny. Każde notatki są subiektywne, ale przedstawiają autentyczne przeżycia piszącego.

W oparciu o te notatki chciałbym odpowiedzieć przynaj-

1. Tadeusz Wyrwa, „Biskup Gawlina, Generał Sikorski i Watykan”, *Zeszyty Historyczne* nr 90, s. 98-108.

mniej na trzy zarzuty, które mogą się nasuwać przy czytaniu opracowania p. T. Wyrwy:

a. zarzut nielojalności w stosunku do gen. Sikorskiego, zwłaszcza po ewakuacji do Anglii, i członkostwa Biskupa w Radzie Narodowej;

b. obawy związane z wyjazdem bp. Gawliny do Rosji, jakoby Biskup chciał prowadzić akcję propagandy religijnej, czym naruszyłby stosunki ze Stalinem, a ponadto mógłby „spiskować” przeciw gen. Sikorskiemu;

c. nielojalność i niesubordynacja Biskupa, czego dowodem był jego wyjazd do Ameryki bez zgody rządu.

Można by jeszcze postawić czwarty zarzut, że zwiększona jurysdykcja bp. Gawliny przyczyni się do zwiększenia Jego samodzielności.

Myślę, że wyjaśnienie zarzutów będzie zrozumiałe dopiero w szerszym kontekście działalności najpierw ks. Gawliny, a później Biskupa Polowego. Może posłuży to do częściowego wyjaśnienia owych złożonych problemów, o których wspomina p. T. Wyrwa.

I.

Pragnę zacząć od września 1939 r.

Regulamin Duszpasterstwa Wojskowego przewidywał, że w czasie działań wojennych miejsce Biskupa Polowego jest w m.p. Sztabu Naczelnego Wodza. Wybuch wojny zastał bp. Gawlinę w Warszawie. Po przeniesieniu sztabu do Łucka, bp Gawlina otrzymał ponaglone wezwanie do stawienia się w Sztapie. Po przyjeździe do Łucka przeżywał jak wszyscy ciągle naloty. Z ich częstotliwości wynikałoby, że Niemcy znali m.p. Sztabu. W czasie jednego z nalotów (11.9) Biskup został ranny, a jego kapelan ks. Drużbacki zabity. Mimo ran i obandażowanej twarzy, pełnił posługę w szpitalu, spowiadając codziennie rannych żołnierzy i służąc sakramentami. Tego dnia otrzymuje rozkaz Naczelnego Wodza udania się do Tarnopola. Zabiera jako kapelana ks. Gogolińskiego i wykonuje rozkaz. Dnia 16 września jest zgodnie z nowym m.p. Sztabu w Kołomyi i tam gen. Stachiewicz powiadamia go o wkroczeniu Sowieców do Polski. Po długiej naradzie Marszałka Śmigłego-Rydza z oficerami alianckimi (inni czekali na decyzje), otrzymuje rozkaz udania się do Kosowa, a tam otrzymuje rozkaz przekroczenia granicy i przejścia do Rumunii. Przekracza granicę jadąc w kolumnie Naczelnego Wodza.

W swoich notatkach tak relacjonuje pobyt w Rumunii i dalszy wyjazd do Rzymu:

„Jazda kilku-kilometrowa aż do Kut zajęła 10 godzin. Z niewyspania kierowcy tak byli przemęczeni, że zasypiali co chwila przy kierownicy. Za Kutami była Rumunia, nasza aliantka na wypadek agresji sowieckiej. Lecz żołnierze rumuńscy zabrali nam broń i uszykowali nasz pochód do obozu jeńców.

W drodze z Radaut do Bicaz stało się dla mnie jasnym, że tylko ucieczka z konwoju może mnie uratować z obozu. Podczas wydawania obiadu przybyli jeszcze generałowie Fabrycy i Paszkiewicz, którzy w kampanii nie zdali egzaminu. Widziałem przed domem jakiegoś bernardyna. Okazało się, że to proboszcz, Rumun a nie Niemiec. Doszedłem z nim do porozumienia. Chciałem bowiem wieczorem przy wyjeździe do Focsani, przy jego pomocy uciec z konwoju. Wtajemniczyłem w swój plan gen. Barbeckiego, który nie bardzo chętnie się na to zgodził.

Wieczorem o 10, wykradłem się ze swym samochodem, jadąc wprost na plebanię, gdzie się przez dwa dni ukrywałem. W nocy pojechałem do Ploesti, a wczesnym rano do Bukaresztu, gdzie mnie przyjął rozplakany nasz Nuncjusz Cortesi i wymusił na arcybiskupie Cisarzu mieszkanie dla mnie.

Zaraz od Nuncjusza pospieszyłem razem z nim na dworzec, gdyż miał odjeżdżać pociąg międzynarodowy do Paryża. Ukłoniłem się ambasadorowi Noëlowi, u którego często z powodu mych kazań francuskich bywałem, i spostrzegłem w cywilu gen. Wład. Sikorskiego. Generał powiedział mi, że daremnie prosił podczas kampanii o przydział odpowiedniej jednostki, i że teraz ambasador zabiera go ze sobą do Paryża. Prosiłem o zabranie mnie również do Francji, lecz nie było już miejsca. (...)

Arcybiskup Cisar był bardzo uprzejmy. Podziwiałem jego pracowitość. Dawał mi jednak znać, że mój pobyt go naraża na nieprzyjemności ze strony Gestapo, która o mnie zapytuje. Rumuni zaś nie chcieli mi dać wizy. W mieście roiło się wnet od żołnierzy polskich. Ambasada nasza robiła również trudności z wizą. Uratował sytuację Nuncjusz Cortesi, który w ogóle bardzo wielkodusznie odnosił się do uchodźców polskich, a któremu Nuncjusz rumuński Casullo robił wymówki, że 'wy pójdziecie, a ja za to wszystko zapłacę' i wy dostał od ambasadora włoskiego dla mnie, jako kuriera dyplomatycznego Watykanu, wizę. (...)

Zorganizowałem tam (w Rumunii) duszpasterstwo w obozach przydzielając piętnastu kapelanów do pracy. Dla Bukaresztu wyznaczyłem trzech jezuitów.

W międzyczasie zrezygnował p. Prezydent Rzplitej Ignacy

Mościcki pod silną presją ambasadora Rogera Raczynskiego z prezydentury. Jak mi ambasador sam mówił, przekonała p. Mościckiego ostatecznie opinia Nuncjusza Cortesiego. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się przez radio, że nowym Prezydentem R.P. jest p. Władysław Raczkiewicz i że rząd tworzy gen. W. Sikorski. Byliśmy wszyscy radzi, że nareszcie, chociaż w ten sposób pozbyliśmy się sanacji. Do gen. Sikorskiego leciały nadzieje i serca wszystkich.

Przestrzegano nas przed pracą śledzącej nas Gestapo. Abp Cisar zawiadomił mnie, że i o to Niemcy się pytali co do mej osoby. Grunt nie był pewny, a z raną na twarzy i skaleczonym ramieniem nie byłem łatwy do przeoczenia. Łatwiej było żołnierzom, którzy odwrócili w tył orzelka na czapce i zdjawszy dystynkcje i owijaki, sądzili że są dostatecznie przebrani, przy czym każdemu Rumunowi się zwierzali, że wcale nie są turystami, lecz żołnierzami polskimi, którzy jadą do armii Sikorskiego do Francji. Toteż wkrótce znajdowali się w obozach aliantów rumuńskich, z których po fantastycznych przeprawach przecież się przedostali do Coëtquidan.

Paszport z misją kuriera dyplomatycznego załatwił mi, wbrew pesymistycznym prognostykom Mons. Casulli, Mons. Nuncjusz Cortesi. Dworce rumuńskie były już zajęte przez Gestapo. Na terenie Jugosławii doznaliśmy tylko życzliwości. Z Werony wysłałem ks. dr. Leona Platera do Francji jako mego zastępcę dla duszpasterstwa wojskowego. Kapelana ks. Aleksandra Gogolińskiego zostawiłem u stryja swego, O. Leona Kameduły w klasztorze Rocca di Garda, a sam jechałem do Rzymu.

Na dworcu witali mnie 5 X wieczorem ambasadorowie Papée i Wieniawa oraz Monsignorowie Borgia i Camagni z Sekretariatu Stanu. Nazajutrz złożyłem wizytę Ks. Kard. Prymasowi Hlondowi, który mi radził udać się do Kard. Sekretarza Stanu Maglione celem odnowienia swej jurysdykcji, gdyż wisi ona na włosku, a biskupi francuscy są bardzo o swe prawa zazdrośni. Od niego też dowiedziałem się, że prez. Mościcki na prezydenta zaproponował Wieniawę, Prymasa zaś na premiera. Kardynał nie przyjął, a Wieniawy nie przyjęła Francja”.

Bp Gawlina złożył prośbę o przedłużenie jurysdykcji, co później okazało się dla niego zbawienne.

Dla wyjaśnienia, jurysdykcja, czyli władza kanoniczna Biskupa Polowego była personalna, czyli obejmowała wszystkich wojskowych i ich rodziny, niezależnie od miejsca zamieszkania².

2. Normalna jurysdykcja biskupa ordynariusza zacieśniona jest tylko do terenu danej diecezji.

Urząd Biskupa Polowego był ustanowiony konkordatem. Konkordat jednak związany jest i ograniczony do terytorium danego państwa. Przejście wojska i rządu poza terytorium państwa polskiego stwarzało nową sytuację prawną i konsekwentnie kanoniczną. Ulegając naleganiom Ks. Prymasa, bp Gawlina zwrócił się do Ojca Świętego z prośbą, listem z 8.10.1939 r., w którym swoją prośbę motywuje: *cum nonnullae naves classis Reipublicae Poloniae sub proprio vexillo adhuc dimicant, — partesque exercitus nostri in Galliam translatae denuo formantur*³, stąd prośba, aby mógł pełnić nadal zadania Biskupa Polowego.

Kilka dni później, 12.10, bp Gawlina otrzymał z Sekretariatu Stanu dokument (L.7162/39), który stwierdza:

*Augustus Pontifex excepit litteras abs te die VIII huius mensis datas per quas expolustasti ut tibi liceat pergere fungi munere Ordinarii Castrensis Polonorum Exercitus. Sanctitas Sua tuis annuens precibus benigne declarare dignata est, te omnes facultates iam tibi concessas retinere*⁴.

Po otrzymaniu potwierdzenia jurysdykcji bp Gawlina 18 października przybywa do Paryża.

Interesujący się naszą wojenną historią znają atmosferę panującą w Paryżu, w samym rządzie i wokół rządu. Jest ona wystarczająco opisana we wspomnieniach wielu aktorów naszej ówczesnej sceny politycznej. Dominowało oskarżanie za ponieścioną klęskę, wszystkich, którzy byli związani z przedwojennym rządem i tzw. obozem sanacyjnym. Różne komisje weryfikowały, kogo przyjąć, kogo odrzucić i potępić.

Niestety, księża nie byli wolni od tej atmosfery i od różnych personalnych ambicji i rozgrywek. Poza granicami Kraju znalazło się wielu kapłanów, nie tylko kapelanów wojskowych, ale kapłanów związanych z partiami opozycyjnymi sprzed września. Dwóch z nich szczególnie miało ambicje objęcia stanowiska Naczelnego kapelana formującej się armii. Bp Gawlina został przedstawiony jako „piłsudczyk”, związany z sanacją i przez to nie nadający się na Naczelnego Kapelana w odradzającej się armii. Jeden z nich, związany ze stronnictwem pracy, miał duże znajomości w paryskiej „Reginie” i właściwie przyręczone naczelnictwo kapelanstwa.

Bp Gawlina przedstawia w Paryżu potwierdzenie swojego

3. Ponieważ niektóre okręty wojenne Rzeczypospolitej Polskiej dotąd pływają pod swoimi sztandarami, a we Francji formowana jest częściowo tam przeniesiona nasza armia...

4. Ojciec Święty otrzymał list z 8 t. miesiąca, w którym prosileś, abyś mógł dalej wypełniać posłannictwo Biskupa Polowego. Jego Świątobliwość łaskawie godząc się na prośbę, stwierdza, że zachowujesz wszystkie przyznawane uprawnienia.

stanowiska i jurysdykcji jako Biskupa Polowego. Wywołało to pewną konsternację, ale radcy prawni rządu właściwie interpretując dokument, stwierdzili, że jest to pierwsze po Francji i Anglii uznanie rządu. Jeżeli uznaje się wojsko walczące pod swoimi sztandarami, uznaje się również i władzę, czyli rząd który temu wojsku rozkazuje. List Sekretarza Stanu, kard. Maglione, został uznany za dokument pierwszorzędnej wagi państwowej. Oznaczało to, że automatycznie odpadli wszyscy inni pretendenci do stanowiska Naczelnego Kapelana. Pretendenci odpadli, ale intrygi trwały nadal.

Stosunki między gen. Sikorskim a bp. Gawliną układały się w tym okresie bardzo harmonijnie. Owszem, były drobne nieporozumienia na tle personalnym. Nie starczyło kapelanów wojskowych do wszystkich tworzących się oddziałów i dlatego trzeba było przyjmować tych księży, którzy znaleźli się poza Krajem. Jak wspominałem, niektórzy mieli swoich protektorów w „Reginie” i starali się objąć stanowiska kapelańskie, do których nie byli ani przygotowani, ani się nie nadawali. Bp Gawlina musiał czasami stanowczo się sprzeciwiać, co mu nie przysparzało przyjaćiół. Bp Gawlina miał w „Reginie” jeden mały pokoik, a kapelan ks. Gogoliński urzędował w łazience, zaś za stół służyła mu deska nakrywająca wannę.

Przy powoływaniu Rady Narodowej bp Gawlina zostaje powołany na członka i mianowany przewodniczącym Komisji Spraw Zagranicznych.

W styczniu 1940 roku na sugestię i prośbę gen. Sikorskiego i min. Zaleskiego, jedzie do Rzymu w celu wysondowania kilku spraw. Między innymi miał wyczuć, czy Stolica Apostolska zgodziłaby się na zmianę ambasadora, czyli na odejście Ambasadora Papée⁵. Biskup Gawlina wspomina, że Papież radził poczekać ze zmianą.

Wszystko wskazuje na poprawną i harmonijną współpracę z rządem i Naczelnym Wodzem.

Pod koniec marca 1940 roku przyjeżdża do Paryża ks. Kaczyński, niby jako wysłannik „Komitetu Porozumiewawczego” czterech stronnictw politycznych w Kraju. P. Prezydent prosi bp. Gawlinę o przydział ks. Kaczyńskiego jako swego kapelana, na co Biskup się godzi. W notatkach jednak Biskupa znajduje się następująca wzmianka: *Z przyjazdem ks. K. stosunki moje z gen. Sikorskim zaczęły się gwałtownie pogarszać.*

Żeby właściwie zrozumieć ową notatkę trzeba sięgnąć wstecz, do początków działalności bp. Gawliny.

5. Zmiana amb. Papée była wówczas poważnie dyskutowana, patrz. „Diariusz i Teki Jana Szembeka (1935-1945)”. *Niepodległość*, T. XX (1987) ss. 75, 118.

II

Późniejszy arcybiskup Gawlina miał bardzo ciężką drogę do kapłaństwa. Trudno byłoby tu podawać różne szczegóły życiorysu, niektóre jednak trzeba przypomnieć, aby obraz był pełny.

Urodzony w 1892 roku na Śląsku Opolskim w rodzinie średniozamożnej (ojciec miał gospodarstwo i wiejską restaurację), uczęszcza do gimnazjum w Raciborzu. Lata gimnazjalne przypadają na okres bardzo intensywnej germanizacji w zaborze pruskim. Nauczycielami gimnazjum są często emerytowani oficerowie armii pruskiej. System inwigilacji, dyscyplina, germanizowanie przeprowadzane są z pruską bezwzględnością. Za posiadanie książki polskiej wydana się z gimnazjum. Na całe ówczesne gimnazjum tylko dwóch uczniów podało, że ich językiem w domu jest język polski: Gawlina i późniejszy wicewojewoda śląski Zgrzebniak. Są za to szczególnie inwigilowani. Mimo to organizują kółko czytania polskiej literatury, wyjazdy do Krakowa, spotykają się z młodzieżą pozaszkolną. Działalność ta została wykryta i Gawlina zostaje wydalony z gimnazjum z tzw. wilczym biletem. Nie może być przyjęty do ukończenia matury. Gawlina nie daje za wygraną i po uciążliwych próbach zostaje przyjęty do egzaminu maturalnego w nowoorganizowanym gimnazjum w Rybniku. Musi jednak zdawać maturę z wszystkich przedmiotów całego gimnazjum, co osiąga z bardzo dobrym wynikiem.

Wstępuje do seminarium we Wrocławiu. Wybuch pierwsza wojna światowa i Gawlina zostaje powołany do wojska. Posłany na front francuski, zostaje ranny i przewieziony do szpitala. Dzięki znajomości z lekarzami dostaje przydział do Kompanii Sanitarnej i zostaje przewieziony do Wrocławia. Umożliwia mu to naukę wieczorami i zdawanie egzaminów z poszczególnych traktatów teologicznych. Dostaje w tym czasie tzw. niższe święcenia. Pod koniec 1917 roku zostaje powołany do oddziałów liniowych tworzonego przez Niemcy „Korpusu Mezopotamii”. W Syrii przechodzi ciężką malarię i krótko przed ukończeniem wojny, we wrześniu 1918 roku, dostaje się do niewoli angielskiej w Egipcie. Przebywa w obozie jenieckim, w bardzo trudnych warunkach cały rok i dopiero w samo Boże Narodzenie 1919 roku przez Anglię wraca do domu. Po kilku dniach jedzie do seminarium, gdzie razem z innymi „weteranami” musi powtarzać i uzupełniać zaległe studia.

Jest rok 1920, na Śląsku odbywa się plebiscyt, seminarium jest podzielone między Polaków i Niemców. Sytuacja jest taka, że klerycy niemieccy nie rozmawiają z klerykami polskimi. Gawlina

angażuje się bardzo w działalność polską. Otrzymuje jednak od życzliwych księży ostrzeżenie, by raczej starał się nie angażować za bardzo w działalność pozaseminaryjną, bo może być nie dopuszczony do święceń. Ostatecznie otrzymuje święcenia w 1921 roku, w czasie gdy na Górnym Śląsku trwa III Powstanie Śląskie.

Następuje podział Śląska i z tej części diecezji wrocławskiej, która przypadła Polsce, utworzona zostaje najpierw Administracja Apostolska, a później w 1925 roku diecezja katowicka (przed wojną nazywana diecezją śląską).

Pierwszym administratorem a potem biskupem zostaje August Hlond. Przychodzi z zadaniem zorganizowania nowej diecezji. Powołuje on ks. Gawlinę na sekretarza generalnego tworzącej się Kurii Biskupiej z równoczesnym zadaniem zorganizowania nowo powstałej organizacji Akcja Katolicka. Jest również redaktorem nowego diecezjalnego tygodnika *Gość Niedzielny*. Dodatkowo jest jeszcze katechetą w żeńskim gimnazjum w Katowicach. Pracy mu nie brakowało.

Sytuacja na Śląsku była odwrotna jak na terenach Wschodnich. Miasta na Śląsku miały duży procent Niemców, wieś była czysto polska. Kapitał był jednak w rękach niemieckich, co pozwalało wywierać różne naciski na robotników, zwłaszcza przy istniejącym bezrobociu. Stwarzało to bardzo napiętą atmosferę społeczną i polityczną.

Traktaty mniejszościowe narzucone Polsce w Wersalu pozwalały Niemcom ingerować w różne polskie sprawy. Organizacje niemieckie za otrzymywane z Berlina pieniądze panoszyły się, wywołując ciągle sytuacje konfliktowe. Najbardziej widoczne było to na odcinku kościelnym, gdyż w oparciu o owe traktaty w miastach i niektórych osiedlach musiała być w kościołach równa liczba mszy św. w języku polskim i niemieckim. Starano się zdyskredytować nową diecezję, czy w ogóle nie chciano uznać nowej diecezji i przez dłuższy okres niemieccy katolicy w swoich sprawach odnosili się do Wrocławia.

Ks. Gawlina był jednym z tych, którzy z ogromnym zapałem zwalczali niemieckie pretensje, zwłaszcza w Kościele. Warto by przypomnieć ówczesne zmagania o polskie oblicze Śląska. Bp Gawlina opisał je częściowo w artykule „Karty z dziejów Akcji Katolickiej w Polsce”, który ukazał się w specjalnym numerze periodyku *Rozkaz Wewnętrzny Biskupa Polowego Wojsk Polskich*, wydanym z okazji 25-lecia kapłaństwa abp. Gawliny w 1946 roku.

Pod wpływem ciągłych ataków niemieckich Episkopat Polski w 1926 roku zdecydował utworzenie Katolickiej Agencji Prasowej (KAP). Miała ona podawać autentyczne wiadomości z życia

Kościółu w Polsce oraz odpowiadać na różne ataki, zwłaszcza prasy niemieckiej. Na organizatora i pierwszego redaktora KAP-u Prymas Hlond powołał ks. Gawlinę.

Trzeba było zaczynać od zera. Trudność znalezienia lokalu na biuro, mieszkania, finanse. Biskupi uchwalili pewną sumę miesięcznie na funkcjonowanie KAP-u, ale wpłacały ją jedynie dwie diecezje. W późniejszym okresie abp Gawlina wspominał, jak przez cały czas pracy w KAP-ie nie jadł nigdy obiadu. Mieszkał w małym pokoiku u księży salezjanów na Pradze i tam się żywił wieczorem tym, co mu brat zakonny zostawił. Rezultaty jednak były. W pierwszym tygodniu wyszedł jeden komunikat, w drugim już dwa, a po dwóch miesiącach wychodził codzienny serwis prasowy w objętości czterech stron. Redaktor miał jedynie dwóch współpracowników, jednego od spraw technicznych i drugiego autentycznego dziennikarza (dr Apolinary Żukomski). W krótkim czasie ukazywały się tygodniowe wydania w językach: włoskim, francuskim, angielskim i niemieckim.

Musiał być ks. Gawlina nieprzeciętną postacią, jeżeli już w ósmym roku kapłaństwa został prałatem papieskim.

Nie był jednak mile widziany przez kler warszawski. „Co się ten Ślązak szarogęsi w Warszawie” — powtarzano. Kapłanem, który głównie prowadził całą akcję intryg w celu usunięcia ks. Gawliny z Warszawy i zajęcia jego stanowiska, był ks. Kaczyński. (W tym kontekście notatka Gawliny jest chyba zrozumiała).

Był jeszcze drugi element. W czasie redagowania KAP-u Gawlina zaatakował p. Rettingera w związku z toczącą się wojną religijną w Meksyku. Bp Gawlina wspomina, że zaznał od p. Rettingera wiele przykrości, gdy ten był sekretarzem, czy doradcą gen. Sikorskiego w Londynie.

Ostatecznie po prawie dwuletnim pobycie w Warszawie prał. Gawlina odchodzi z kierownictwa KAP-u i wraca do diecezji. Krótko pracuje w kurii, a następnie przejmuje dużą robotniczą parafię w Królewskiej Hucie (później nazwanej Chorzowem). Po niecałym trzyletnim proboszczowaniu w 1933 roku zostaje Biskupem Polowym.

Jak do tego doszło?

Istnieje relacja adiutanta Marszałka Piłsudskiego, jako ministra spraw wojskowych ppłk. A.L. Korwin-Sokołowskiego⁶. Również i bp Gawlina w swoich przypisach poświęca wiele miejsca temu wydarzeniu, tak ważnemu w jego życiu. Warto zestawić

6. Adam Ludwik Korwin-Sokołowski, „Fragmenty wspomnień 1910-1945”. Ed. Spotkania, Paryż 1985. Autor poświęca prawie cały rozdział nominacji Gawliny, pt. „Incydent z Biskupem Stanisławem Gallem, zmiana na stanowisku Biskupa Polowego”, ss. 91-100.

oba opisy, gdyż różnią się w szczegółach, a są interesującym przyczynkiem do ówczesnych wydarzeń.

Ppłk Sokołowski pisze:

„(...) wpłynęła kandydatura proboszcza w Królewskiej Hucie, księdza prałata Józefa Gawliny. Zatwierdziły ją najwyższe czynniki państwowe. Z polecenia Marszałka pojechałem do Królewskiej Huty, by poznać ks. Gawlinę i zakomunikować mu o zgodzie Prezydenta Rzeczypospolitej Marszałka Piłsudskiego i rządu na jego nominację. 4 lutego 1933 przybyłem na probostwo w Królewskiej Hucie, ale ks. Gawliny nie zastałem, a z pewnych względów nie chciałem go uprzednio powiadamiać o mojej wizycie. Na plebanii zastałem dwóch młodych i sympatycznych księży przy butelce koniaku i wesołej radiowej muzyce⁷. Poinformowali mnie, że ks. Gawlina przebywa na wypoczynku w Ustroniu. Młodych księży naturalnie bardzo zainteresował mój przyjazd i radzi byliby dowiedzieć się o celu mojej wizyty. Ciekawości ich jednak nie zaspokoilem. Na plebanii uzyskałem rozmowę telefoniczną z ks. Gawliną i umówiłem się z nim, że tego jeszcze dnia przybędę do Ustronia. Wróciłem do Katowic, skąd samochodem wojewódzkim pojechałem do Ustronia odległego mniej więcej o 100 kilometrów od Katowic. Ks. Gawlina już mnie oczekiwał i od razu rozpoczęliśmy konferencję. Gdy go poinformowałem o celu mojej misji wydawał się być bardzo przejęty i wzruszony. W imieniu Marszałka zaprosiłem go do Warszawy, gdzie zostanie przez niego przyjęty. Uzgodniliśmy, że przyjedzie 7 lutego i zaraz po przyjeździe do mnie zatelefonuje. Po konferencji zostałem zaproszony na kolację, którą przygotowały i podawały siostry zakonne, one bowiem prowadziły dom, w którym zamieszkał ks. Gawlina. W czasie kolacji prowadziliśmy rozmowę na różne tematy, co dało mi okazję poznać bliżej ks. Gawlinę. Zrobił na mnie wrażenie prawego, porządnego i dobrego człowieka z otwartą głową, chociaż o dość przeciętnej inteligencji. Był oczywiście bardzo uprzejmy i gościnny. O Marszałku wyrażał się z wielkim sentymentem⁸ i szacunkiem.

Około godziny jedenastej wieczorem pożegnałem go i odjechałem do Katowic, skąd nocnym pociągiem powróciłem do Warszawy. Rano 7 lutego ks. Gawlina powiadomił mnie telefonicznie o swym przyjeździe do Warszawy i oświadczył, że jest

7. Dla orientujących się w atmosferze panującej na plebaniach śląskich wydaje się bardzo mało prawdopodobny szczegół z ową butelką koniaku, zwłaszcza, że jednym z owych wikarych był późniejszy biskup H. Bednorz. Możliwe, że przyjezdnego gościa poczęstowano koniakiem, ale owa butelka, wesoła muzyka, nie była w zwyczaju na robotniczych plebaniach.

do dyspozycji. Zatrzymał się w domu księży Salezjanów przy ulicy Litewskiej. Przed godziną czwartą po południu pojechałem po niego moim służbowym samochodem i udaliśmy się do gmachu Inspektoratu. Po przywitaniu z Marszałkiem zajęliśmy miejsca przy dużym stole z rozłożonymi mapami, naprzeciwko Marszałka. Marszałek rozpoczął rozmowę w następujący sposób:

'Ponieważ nie wyraziłem zastrzeżeń do osoby księdza, więc ksiądz przyjdzie do wojska na biskupa polowego. Zawezwałem księdza, by mu teraz już ustalić pewne pouczenia jako minister Spraw Wojskowych. Będę księdza prowadził na liście generałów brygady. Duchowieństwo wojskowe należy do działu specjalnego w wojsku i pozostanie pod władzą ministra Spraw Wojskowych. Ksiądz podlegać będzie mnie. Technicznie sprawy duchowieństwa wojskowego są u mnie ześrodkowane u mego szefa gabinetu. Z pułkownikiem Sokołowskim więc ksiądz będzie pracował. Oczywiście, jak się w czym nie pogodzicie, to ja będę was rozsądzał. Podkreśliłem, że ksiądz pracuje u mnie, ale technicznie z moim szefem gabinetu, a to dlatego, by ksiądz nie trafiał tam, gdzie niczego nie zgubił i po kątach mi nie chodził. Duchowieństwo w wojsku jest podzielone na dekanaty związane z granicami wojskowymi okręgów korpusów, dalej na probostwa i parafie wojskowe. Czekają księdza duża robota, bo w tym dziale wojska mam duży bezład i nieporządek nie mający sobie równego w innej części wojska. To się wiąże z poprzednikiem księdza. Muszę też księdzu jako następcy parę słów i moją opinię powiedzieć o poprzedniku księdza. Nazywam go świnią i to plugawą. Księdza Galla mogło to spotkać, że każdy oficer miałby prawo go bić po pysku i ja nie mógłbym wobec takiego faktu wyciągnąć konsekwencji, taki czyn byłby bezkarny. Toteż przy obejmowaniu funkcji od niego nie radzę księdzu słuchać jego rad i wskazówek, z mojej bowiem strony musiałbym z góry je postponować. Wizyty służbowe ksiądz złoży po sakrze, już jako biskup polowy. Będzie ksiądz u mnie razem z moim szefem gabinetu, pułkownikiem Sokołowskim. Poza tym będzie ksiądz sam u moich dwóch pomocników, generałów wiceministrów, pierwszego i drugiego. To wszystko; inne wizyty, to już księdza prywatne a nie służbowe'.

Po tym wstępie Marszałek zapytał kiedy i gdzie odbędzie się sakra biskupia. Po odpowiedzi księdza Gawliny, że w Warszawie i że konsekratorem ma być kardynał Kakowski, metropolita warszawski, Marszałek oświadczył ks. Gawlinie, co przytaczam w dosłownym brzmieniu poniżej:

'No, na Warszawę nie mógłbym się zgodzić, to złe miejsce. Ja myślałem, że sakra będzie w Rzymie. Mógłbym się zgodzić na przykład na Łuck, na Warszawę nie. Nie dlatego, by zrobić jakąś przykrość księdzu Kakowskiemu, ale widzi Ksiądz, w War-

szawie ja bym nie dał honorów wojskowych księdzu na sakrze. No, chyba żebym dopilnować miał gwarancję, iż nie będzie księdza Galla, ale to musiałbym mieć zapewnienie. I wy (tu zwrócił się marszałek do mnie), musielibyście mi tego dopilnować, bym nie był oszukany, bo w wyższym duchowieństwie umieją oszukać, jak to tylko potrafią kobiety’.

Po tej reakcji Marszałka ks. Gawlina zapewnił, że będzie to załatwiał według życzenia Marszałka. Marszałek wstał, dając znak, że wizyta jest skończona. Przez chwilę przyglądał się bacznie ks. Gawlinie i powiedział: 'dobrze jeszcze księdza nie obejrzałem, niech się ksiądz mi pokaże jak wygląda'. Ks. Gawlina stanął wyprostowany po wojskowemu, ale jakby nieco zakłopotany. Marszałek powiedział z humorem i w tonie życzliwym: 'ale ksiądz jest młody, gdybym chciał księdza wysłać na emeryturę na podstawie wieku, to bym jeszcze nie mógł'. Odprowadziłem ks. Gawlinę do samochodu i poleciłem mojemu kierowcy, aby odwiózł księdza pod wskazany przez niego adres i wrócił do mnie. Gdy wróciłem, Marszałek wydał mi polecenie, bym przebieg całej wizyty i rozmowę z ks. Gawliną powtórzył Prezydentowi Rzeczypospolitej oraz premierowi rządu. Z obowiązku służbowego zwróciłem uwagę Marszałka na obowiązujący nadal dekret Naczelnego Wodza z 1922 r., według którego biskupowi polowemu przysługuje w zasadzie przyrównanie do stopnia generała dywizji. Marszałek wysłuchał mego wyjaśnienia i odpowiedział mi, że 'to nic, ja go zaszereguję do generałów brygady’”.

Bp Gawlina zostawił w swoich notatkach taką relację:

„Dnia 18 listopada 1932 obchodziłem 80-lecie Kościoła św. Barbary oraz swe własne 40-lecie. Tegoż dnia zatelefonowało do mnie województwo czy będę jutro w domu, gdyż przyjedzie ktoś do mnie z Warszawy. Kto? — rzekomo nie wiedzieli.

Dnia 19 XI przyjechał na plebanię szef sztabu głównego, gen. Janusz Gąsiorowski, co prawda w cywilu lecz z chorągiewką urzędową, (jakże nieostrożnie). Widząc chorągiewkę otworzył mu drzwi starszy ówczesny wikary. ks. Piaskowski i przedstawił mu się, przez co zmusił generała do zdradzenia swego incognito.

Dodać muszę, że wówczas sprawa Biskupa Polowego wisiła w powietrzu od przeszło roku. Generał zaczął: Przyjeżdżam z polecenia pana Marszałka Józefa Piłsudskiego, ponieważ ks. prałat ma być biskupem polowym.

Przepraszam pana generała — czyim jestem kandydatem? Ks. Prałat nie jest oficjalnym kandydatem Nuncjusza. (Podkreślił słowo 'Nuncjusz', a miał podkreślić słowo 'oficjalnym'). Wobec

tego nie mamy po co kontynuować rozmowy naszej, ponieważ nominacja musi wyjść od właściwej władzy. Którą ks. prałat uważa za swoją właściwą władzę? Bezsprzecznie Stolicę Apostolską. A gdyby pan Marszałek poprosił ks. prałata o napisanie swego życiorysu, czy ksiądz prałat by to uczynił? Bardzo chętnie. Czy ksiądz prałat zna wojsko? Mam nadzieję, że znam je nieco. Nastąpiła potem rozmowa na temat ciężkiego położenia Polski i grożącej wojny. Na sam koniec prosił generał o zachowanie tajemnicy, na co odpowiedziałem, że owszem z tym jednak wyjątkiem, że czuję się zobowiązany bezzwłocznie zameldować o jego wizycie Biskupowi mojemu. Kwadrans później byłem u Ordynariusza, który mnie wysłuchawszy powiedział: 'Tak bez wiedzy Nuncjusza generał tu nie przyjechał. Zresztą będę jutro u Nuncjusza i dowiem się wszystkiego'. Istotnie, trzy dni później otrzymałem pismo od ks. biskupa z Warszawy, że ks. Nuncjusz sam moją kandydaturę nieoficjalnie zakomunikował Rządowi i że przez przybywającego do Nuncjatury biskupa Adamskiego chciał mi dać znać jak się zachować, gdyby szef sztabu do mnie przyjechał. Generał jednak wyjechał tejże nocy na Śląsk i wyprzedził informacje nuncjuszowskie.

Nie wierzyłem tak zupełnie na serio w moją nominację. Po kolędzie wyjechałem do Ustronia na odpoczynek, dokąd 11 stycznia przybył w trzaskający mróz ppłk dyp. Adam Sokołowski, szef gabinetu Min. S. Wojsk. z zaproszeniem do Gen. Inspektoratu Sił Zbrojnych, gdzie mnie Marszałek o godz. 5, dnia 14 I oczekiwać będzie. Wstąpiłem najpierw do Nuncjusza Marmaggięgo po wskazówki. Nuncjuszowi zależało na tym, bym nominację przyjął. Gdy się wzbraniałem, pokazał mi pismo Sekretarza Stanu. Kard. Pacelliego, w którym tenże kandydaturę moją przeprowadzić kazał. Gdy Monsignor nie przyjmie, będzie Stolica Apost. musiała się zgodzić na jednego z kandydatów Rządu. (...)

O godz. 5 byłem w GISZu. Marszałek siedział w półmroku. Zaprosiłem księdza, ponieważ chciałem go widzieć przed nominacją. Ksiądz nie jest moim kandydatem, lecz zgodziłem się na księdza. To znaczy, że nie zgodziłem się, ale przyjmuję. Ponieważ nie mogę walki toczyć z Ojcem Świętym. Czy ksiądz zna wojsko? Owszem, znam je panie Marszałku. Tak, raz mi ksiądz zawadził o wojsko pod Bielanami, lecz uczynił to ksiądz dosyć grzecznie i nie mam już za złe⁸. Teraz nastąpił krótki wykład o tytule, rangiście, drodze służbowej itd.

8. Epizod, o którym wspomniał Marszałek Piłsudski, tak jest zanotowany w zapiskach Arcybiskupa Gawliny:

„W Zaduszy 1927 r. otrzymałem wieczorem telefon Ks. prał. Mystkowskiego, sekretarza Kard. Kakowskiego, wzywający mnie bezzwłocznie do biura, celem natychmiastowego rozesłania b. ważnego komunikatu na prowin-

Gdzie ksiądz weźmie sakrę biskupią? Jeszcze tego nie wiem, gdyż jeszcze nie jestem mianowany. Powiem księdzu prałatowi o co mi chodzi. I tu wyraził się ujemnie o biskupie

cję. 'Eminencja siedzi obok mnie na kanapie i każe Ks. Dyrektorowi w tej chwili przybyć do agencji gdzie księdzu podyktuję rzecz pierwszej wagi'. Nie przeczuwając nic dobrego wytłumaczyłem się i przybyłem nazajutrz o siódmym rano ze świadkiem ks. kan. Franciszkiem Rutkowskim.

Podyktowano mi więc rozkaz Eminencji wysłania bezzwłocznie komunikatu tej treści: 'Gdy Eminencja 31 X w towarzystwie sekretarza i lokaja przechadzał się pod Bielanami, mijają go kampania 36 p. piechoty i na widok Ks. Kardynała zaczęła z niego drwić, a na znak dany przez kapitana, śpiewać lubieżne, cuchnące i sprośne pieśni. Apelujemy do p. Prezydenta Państwa itd.' Zapytałem ks. prałata, czy nie warto lepiej zwrócić się do Ministra S. Wojsk (Marsz. Piłsudskiego) z zażaleniem. Odpowiedział, że tego próbowano, lecz Belweder nie dał odpowiedzi. Zresztą: Rozkaz Eminencji!

Dałem więc sprawę na maszynę i już o godz. 11 rano pięć gazet warszawskich było skonfiskowanych. Z gazet katolickich tylko „Rzeczypospolita”, której redaktor ks. Zygmunt Kaczyński — jak się wykazało — był *spiritus movens* rozpublikowania tej wiadomości, uniknęła konfiskaty, gdyż całej tej historii nie podała. Prasa rządowa szalała. Rząd sam uważał wiadomość podaną przez nas za pierwszy wystrzał przedwyborczy przeciwko nowemu reżymowi. 14 gazet sanacyjnych zażądało mojego odwołania za zakłócanie miru państwowego, rozsiewanie fałszywych antypaństwowych wiadomości, atak na sławny pułk 36 (który pierwszy stanął po stronie Piłsudskiego, podczas zamachu majowego) itp. Odpowiedziawszy, że zrezygnuję, gdy prawowita władza, mianowicie Episkopat, mi tak nakaze, udałem się 4 XI o godz. dziewiątej rano do Eminencji, by uzgodnić odpowiedź rzeczową. Eminencja oświadczył: 'Chcieli mnie obrazić' i skorygował na piśmie niektóre drobniaki dalszego mojego oświadczenia, które natychmiast poszło do prasy. Gdy od Eminencji wracałem, weszli do niego gen. Daniel Konarzewski, wicemin. S. Wojsk. i Biskup Polowy Stanisław Gall. Na dole stał jakiś kapitan, który mi się gorzko żalił na 'tego księdza Gawlinę, który takie niestworzone rzeczy o mnie napisał'. Jestem dobrym katolikiem i gdzieżbym ja jakiegoś księdza, nie mówiąc już kardynała obraził. Nie ręczę oczywiście za wszystkich żołnierzy, bo są czasem wśród nich żydzi, którzy mogli tam coś do niego wołać, ale jest kłamstwem, że na mój znak śpiewali sprośne pieśni. Przeciwnie, dałem znak, by zaprzestano śpiewu, gdy widziałem dwóch księży, a zresztą śpiewaliśmy rzeczy żołnierskie, zawarte w śpiewniku Jezuitów. I za to kończą mnie teraz'. Uwierzyłem oficerowi poszedłem *stante pede* na piętro, gdzie redaktor Konrad Olchowicz (Kurier Warsz.) z dowódcą pułku 36 w obecności Eminencji do oczu sobie skakali. Kardynał zaś wypychał za drzwi ks. posła Adama Wyřebowskiego wołając: „Wam endekom nie chodzi o mnie ani o Kościół, a tylko o to, by skandal był”, na mój widok oświadczył: 'Wszystkiemu winien ks. Gawlina. Żeby ksiądz wiedział, odwołałem wszystko i przyznałem słuszność wojsku'. Wolałem wracać do KAPa, gdzie zastałem już dodatek nadzwyczajny prasy rządowej, że Eminencja odwołała a winowajcą jest ks. Gawlina, który przez Rząd uznany został winnym zdrady stanu (aż tak!). Natychmiast wysłałem telegramy do agencji zagranicznych, by nie publikowano 'wiadomości o Bielanych' ponieważ mnie samego nabrano'.

Gallu. Warszawy też nie lubię. Jeżeli ksiądz weźmie sakrę w Warszawie, będzie od początku wojna ze mną. Tak samo jeżeli ksiądz prałat będzie słuchał biskupa Galla. Proszę pana Marszałka, pragnę z góry zaznaczyć, że będę utrzymywał stosunki duszpasterskie i towarzyskie z ks. biskupem Gallem. No, zobaczymy jak to wypadnie. A może ksiądz weźmie sakrę w Łucku. Nic mnie z Łuckiem nie łączy. Albo w Rzymie, tylko nie w

O godz. 12 przekazał mi ks. dr Choromański, kanclerz kurii warszawskiej, rozkaz Eminencji opublikowania w południowym wydaniu, że KAP i jej dyrektor nic nie mają wspólnego ani z Eminencją ani z kurią metropolitalną, i że nie od nich lecz od Komisji Episkopatu zależę. Przyrzekłem takie oświadczenie opublikować — po upływie tygodnia, co wywołało gniew partnera telefonicznego.

O godz. 13 otrzymałem od tegoż kanclerza „rozkaz Eminencji”, by natychmiast się stawić przed zebraną Radą Archidiecezjalną, na co odpowiedziałem, że *salva reverentia*, nie przyjdę. „Rozkaz Eminencji”! Nie mogę takiego rozkazu uznać ponieważ przed godziną rozkazano mi opublikować, że ani od Eminencji, ani od Kurii Metropolitalnej nie zależę. W takim razie będzie suspensa. Odwołałem się do Rzymu. Po dalszych 10 minutach kanclerz zatelefonował ponownie: Eminencja p r o s i Ks. Dyrektora na posiedzenie Rady. Będę za pięć minut.

Rada składała się z trzech biskupów i koło dziesięciu prałatów. Eminencja z punktu mnie zaatakował: Jakże ksiądz mógł nam taką rzecz nabroić? Czy warto było poruszać całą Polskę? Ja księdza nie rozumiem. Pękła mi żyłka cierpliwości: Daruje Eminencja, że mnie wolno nie rozumieć Eminencji, ponieważ Eminencja najpierw dał mi rozkaz publikowania wiadomości, dziś rano Eminencja uznał, że wojsko Go obrazić chciało, poprawił nawet tekst mego komunikatu, a w godzinę później Eminencja zrzucił winę na mnie. Tu nie chodzi o mnie, chodzi o powagę agencji katolickiej, która Bogu i Polsce ma służyć. Jak Eminencja mógł tak postąpić?

Rada zastępyła w groźnym bezruchu, a ja sam zaniemówiłem, przerażony swoją śmiałością. Lecz Kardynał odpowiedział spokojnie: Ksiądz mnie pyta, czemu tak postąpiłem, otóż dlatego, że mi tak wypadło. Jestem starym człowiekiem i nie lubię nieproduktywnej walki. A co do agencji, chociażby ksiądz 10 tysięcy złotych wydał na reklamę, nie miałby ksiądz takiej, jak właśnie tej dzisiejszej. Niech ksiądz dalej sumiennie pracuje. Uważam posiedzenie Rady za zakończone.

Do procesu nie doszło, ponieważ Min. Sprawiedliwości p. Meyszowicz, sam wszedł ze mną w kontakt i radził nie żądać rozprawy. Eminencja nie chciał być przesłuchiwany jako świadek, a Arcybiskup Teodorowicz mitygował: Dajcie spokój, bo to tylko Polsce zaszkodzi. Minister odłożył sprawę za moją zgodą — bywałem u niego wieczorami — *ad calendas graecas*. Rząd odtąd pilnie śledził komunikaty KAPa i zaczął je nawet publikować. Odtąd jednak nie przyjmowałem warszawskich „rozkazów” kurialnych bez ustnego zlecenia lub podpisu Eminencji. Tak samo zakomunikowałem ks. biskupowi Przeddzieckiemu, że nie będę drukował jego komunikatów, dyktowanych mi na papier przez ks. Mystkowskiego, który jednak manuskrypty oryginalne zabierał ze sobą tuż po odczytaniu ich. Albo manuskrypty pozostaną w moim archiwum, albo należy mnie zmienić”.

Warszawie. Będzie najlepiej, że się zastanowię, a potem panu Marszałkowi napiszę. Niech tak będzie. A potem złożę ksiądz po sakrze wizytę I i II Wiceministrowi, a o resztę generałów nie trzeba się tak bardzo starać. Zresztą ksiądz dawno dużo pisywał. Skąd pan Marszałek o tym wie? Księżo, jak mam taką (znak ręką) literaturę o księdzu, niech więc ksiądz odtąd będzie ostrożny w pisaniu. Zresztą księdza jeszcze nie widziałem dobrze. Światło! Pułkownik skoczył i zapalił światło, ja zaś wstałem. Marszałek: Hm, to chłop na schwał. Gdy mi z księdzem trudno będzie, będzie mi jeszcze trudniej pozbyć się księdza z powodu słabego stanu zdrowia. Stopień księdza będzie generał brygady. Według ustawodawstwa należy mi się stopień generała dywizji. Słusznie, tylko ja nie wyciągnę finansowo budżetu.

Wróciłem zniechęcony do Nuncjatury, gdzie prosiłem, by mi dano spokój lub czas do namysłu. Dnie 15 lutego gazety opublikowały moją nominację. Gdy do Nuncjusza telefonowałem, iż przecież jeszcze swej zgody nie wyraziłem, oświadczył, że wszystko w porządku i wezwał mnie do złożenia przysięgi.

Po złożeniu przysięgi zachorowałem ciężko na grype i wstałem dopiero po miesiącu na sakrę biskupią. (...) Sakry biskupiej dokonał J. Em. Kardynał Prymas Polski, a współkonsekratorami byli księża biskupi Wincenty Tymieniecki, biskup społecznik z Łodzi i ks. biskup Stanisław Adamski.

Sytuacja biskupa polowego była bardzo szczególna. Kanonicznie był on biskupem ordynariuszem i jako taki był członkiem Konferencji Episkopatu Polski. Ponieważ jednak jurysdykcja jego była personalna, kolidowała w pewnym zakresie z jurysdykcją ordynariusza miejsca. Łatwo było o różne konflikty prawno-kanoniczne, których też było wiele. Równocześnie jednak biskup polowy był członkiem sił zbrojnych, a więc zależny od ministra spraw wojskowych, czyli od rządu. Był więc biskup polowy pewnego rodzaju „zderzakiem” między Episkopatem a Rządem.

Gdy po konsekracji bp Gawlina był w Rzymie na audiencji u Papieża Piusa XI, otrzymał od Papieża polecenie, aby nareszcie zaprowadził spokój na tym najbardziej newralgicznym punkcie stosunków kościelnopństwowych w Polsce.

W swoich zapiskach bp Gawlina relacjonuje jeszcze inne spotkania z Marszałkiem Piłsudskim, z którymi może warto się zapoznać:

„Kilka dni po objęciu urzędowania przedstawiłem się Marszałkowi Piłsudskiemu oficjalnie jako biskup polowy. Ton był teraz zupełnie inny. Znalazłem schorzałego, starszego i dobrotliwego pana, życzącego mi powodzenia i żałującego się, że adiutan-

ci nie 'chcą mu dać powietrza' z powodu grypy. Zapytał, gdzie chce rozpocząć wizytacje, które wobec zbliżających się wydarzeń mogą mieć duże znaczenie. Gdy odpowiedziałem, że zacznę od Wilna, wtedy wychwalał 'kochane, głupie, kochane miasto'. Objaśnił mi na podstawie mapy plastycznej wszystkie walory 'kochanego Wilna' i radził tylko, by chłopcom zawnazszy wizytację zapowiedzieć i dać im kilka tygodni czasu na przygotowanie się. Nie powiedział jednak, że 14 kwietnia tam chce odbyć olbrzymią defiladę, na którą też niespodziewanie zostałem zaproszony.

Defilada ta nie wiem jakiemu miała służyć celowi. Gdy wieść o niej gruchnęła w prasie obawiano się, że to będzie początek wojny z Litwą, która nie chciała uregulować stosunków granicznych. Po Mszy polowej na placu Lukiskim zaproszono mnie do defilady. 'Ks. Biskup Polowy stanie po prawej Pana Marszałka, potem staną generałowie broni, dywizji, brygady, pułkownicy etc. Przemarsz był wspaniały. Szwoleżerowie nieregularnie wołali 'Niech żyje — lecz raziło mnie to, że melodie kawaleryjskie były po części niemieckie. Gdy wyraziłem swoją opinię, że najslabiej defilował pierwszy pułk szwoleżerów, patrzono na mnie jak na człowieka, który popełnił *crimen laesae maiestatis*. Szefem pułku był bowiem marszałek. Po południu przy kawie, w ścisłym gronie opowiadał Piłsudski o swych doświadczeniach wojennych z 1920 r., i gniewał się na 'endeków', którzy jakoby mu nie chcieli pozwolić np. na wzięcie Lidy, używając przy tym wpływów zagranicznych. 'Niech ksiądz Biskup nie wierzy, że jestem antykościelny, jak to niektórzy mówią. Ja kocham Matkę Boską zwłaszcza Ostrobramską. Częstochowski obraz jest za surowy. Ostrobramska jest słodką matką. A z tymi endekami to było tak: Gdy mi jakiegoś figla splełali, a ja na nich, to oni — cup, chowają się za główny ołtarz. Wtedy ja wprost w nich, by ich wypędzić zza ołtarza, a oni w krzyk: Piłsudski uderza w ołtarze. Nie w ołtarze tylko w tych, co się za ołtarzami kryją. Podczas całej tej pogawędy zauważyłem, że wszyscy ministrowie i generałowie dopuszczeni na nią ruszają się jak na szczydłach, są pełni napięcia, obracają się na śrubach. Słyszał tylko: 'Tak jest, panie Marszałku'. Tylko min. Aleksander Prystor używał tonu zupełnie swobodnego.

Druga oficjalna audjencja miała znów inny przebieg. Piłsudski żalił się, że finansowo nie wyciągnie. 'Oszczędzajcie i liczcie się z każdym groszem. Ks. Biskup jest mi odpowiedzialny za finanse w duszpasterstwie, pułkownik zaś w Gabinetecie. Was obydwu pociągnę do odpowiedzialności. Gdy go prosiłem, by miał zaufanie, odpowiedział: 'A tak chciałbym mieć zaufanie do was, i liczę na waszą pomoc. W Polsce zawsze jest inaczej niż

gdzie indziej. W innych krajach piramida stoi na podstawie, i wszystkie warstwy podpierają i noszą czubek. U nas piramida stoi na czubku, który musi podierać i nosić wszystkie inne warstwy'. Potem dodał: 'Wiadomo o co chodzi na przyszłość. Chodzi o Niemca. Są tacy, co sądzą, że ja Niemcom coś odstąpię. Ani metra kwadratowego. Jestem na tym punkcie uparty, a za ten upór należy mi się medal. Niemcy są bezczelni. Wysyłają do nas swych szpiegów, a chcieliby nawet byśmy im tych szpiegów płacili. Lecz znam każdego z nich''.

W czasie pobytu bp. Gawliny w Rzymie, podczas audiencji, Ojciec Święty prosił o przekazanie Marszałkowi złotego medalu oraz serdecznych pozdrowień. Wspomina bp Gawlina:

„Po powrocie do Polski zapowiedziałem swoją wizytę w Belwederze. Z braku odpowiedzi przez tydzień, wyjechałem na wizytację. Po programie wizytacyjnym oglądałem właśnie stajnie kawalerskie w Podbrodziu (na granicy litewskiej), gdy mnie wezwano do Warszawy. Płk Sokołowski zaczął wielki lament, 'co będzie gdy księżda Biskupa nie będzie dziś wieczór w Belwederze', lecz uspokoiłem go telefonicznie nieco szorstko, dlatego, że właśnie rano w kasynie widziałem nową zapowiedź prasową mej rezygnacji z biskupstwa połowego.

Następnego wieczora zostałem przyjęty w Belwederze. Marszałek: 'Przyjmę księżda Biskupa po raz pierwszy w gronie rodziny, ponieważ ksiądz Biskup od Ojca św. wraca'. Wręczyłem więc medal z pozdrowieniami i błogostawieństwem. Piłsudski zaniepokoił się stanem zdrowia Ojca św. — 'najlepszego z dyplomatów jakich widziałem. Tu w sali obok, przedstawiał Mon. Ratti swoje listy uwierzytelniające. Przemawialiśmy obaj. Jest to właściwie tylko forma takiego przemówienia, gdyż każde słowo drugiej stronie jest przedtem komunikowane, a obie strony czytają uzgodniony już tekst. Nuncjusz Ratti miał bardzo długie przemówienie i, proszę księżda Biskupa, nie czytał go, lecz mówił je dosłownie z pamięci'. Potem Piłsudski opowiadał o wspólnej podróży do Wilna. Byli razem w Ostrej Bramie. Lecz jakoś z powodu mrozów obraz Matki Bożej zaciął się i nie chciał się otworzyć. Trzeba znać naszych Wilnian. Zaraz zaczęli wątpić czy to właściwy Nuncjusz Ojca św., wobec czego raz jeszcze nazajutrz zamówiłem Mszę, na której byłem z Nuncjuszem, a ponieważ obraz tym razem się otworzył, było wszystko w porządku'.

Zauważyłem, że Piłsudski stoi i nieco się męczy. Gdy go zapytałem, dlaczego nie zabrał miejsca, odpowiedział: 'Stoję dlatego, bo ksiądz Biskup od Ojca św. wraca i też nie zajął miejsca'.

W dalszym ciągu opowiadał o swej młodości, o studiach swych córek itp. bez słówka o polityce⁹.

Ogólne nastawienie marszałka Piłsudskiego do bp. Gawliny relacjonuje adiutant Marszałka, kpt. Mieczysław Lepecki:

„Nominacja nowego biskupa polowego w osobie ks. Józefa Gawliny nastąpiła 13 lutego, a zaprzysiężenie na Zamku przed Panem Prezydentem, w obecności wiceministra gen. Kazimierza Fabrycego, dyr. Helczyńskiego, płk. Sokołowskiego oraz ks.ks. Bojanka i Michalskiego — 16 marca.

Około połowy kwietnia przybył nowy biskup do Giszku, do Marszałka. Wtedy to miałem zaszczyt poznać tego zacnego i mądrego kapłana, o którym później słyszałem z ust Marszałka niejedną pochwałę. Chyba się nie mylę, gdy napiszę, że Marszałek polubił tego biskupa-żołnierza, który wojnę światową przeżył jako szeregowiec armii niemieckiej, walczącej na Wschodzie. Niejednokrotnie odbywał z nim konferencje, a w miejscach publicznych wystąpień chętnie z nim rozmawiał. Chyba też się nie pomylę, gdy napiszę, że w sercu ks. biskupa Gawliny narodziło się żołnierskie przywiązanie i żołnierskie uczucie do Marszałka. Wyraz tych uczuć miałem możliwość obserwować w dniach żałoby Marszałka po stracie siostry, Zofii Kadenacowej. Na życzenie Marszałka ks. biskup Gawlina udał się z Nim do Wilna na pogrzeb. Pełne serdeczności zachowanie się księdza Biskupa i słowa jego mądrej pociechy wzbudziły we mnie dla niego najgłębszy szacunek¹⁰.

Przytoczone fragmenty spotkań i wzajemnych kontaktów między Biskupem i Marszałkiem wskazują na bardzo poprawne wzajemne relacje i wzajemny szacunek.

Sytuacja uległa zmianie po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Pozycja Biskupa Polowego stawała się coraz trudniejsza. Związane to było niestety z „arogancją władzy” u niektórych wyższych dowódców jak i w aparacie rządowym. Wielu wyższych wojskowych miało nieuporządkowane małżeństwa. Zachowanie moralne niektórych było niewłaściwe. Zadaniem biskupa jest głoszenie pełnego posłannictwa ewangelicznego, mimo że może to być nieprzyjemne. Nie przysparzało to bp. Gawlinie przyjaciół,

9. „Kronika życia Józefa Piłsudskiego” wspomina owo spotkanie z bp. Gawliną, T. II, s. 466, jak i poprzednią rozmowę s. 459. Nie wspomina jednak nic o spotkaniu z ks. Gawliną jako kandydatem na biskupa, jeszcze przed konsekracją.

10. Mieczysław Lepecki, „Pamiętnik Adiutanta Marszałka Piłsudskiego”, PWN Warszawa 1987, s. 159.

przeciwnie, mnożyło niechętnych i dawało niestety okazję do ciągłych intryg, stwarzających atmosferę niechęci i ciągłego domagania się zmiany na tym stanowisku. Sprzyjała temu również sytuacja we Francji w 1939-40 roku, a tym bardziej w czasie pobytu w W. Brytanii, gdzie jeszcze dodatkowo można było posługiwać się różnymi kołami niechętnymi Kościołowi katolickiemu.

III.

Literatura o kryzysie rządowym, powstałym po przyjeździe rządu z Francji do Anglii, jest bardzo bogata i chyba nie trzeba tego kryzysu tu relacjonować¹¹.

Pierwsze posiedzenie Rady Narodowej odbyło się w Londynie 8 lipca 1940 r. Na następnym zebraniu, w dniu 19 lipca, bp Gawlina jako przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych wystąpił z krytycznymi uwagami odnośnie złożonej przez gen. Sikorskiego oferty utworzenia Armii Polskiej w Rosji. Uważał, że propozycja taka powinna być najpierw przedyskutowana na Radzie, nim stanie się oficjalnie propozycją rządu. W tej sprawie bp Gawlina złożył specjalny memoriał Prez. Raczkiewiczowi. W swoim przemówieniu bp Gawlina wyraził się krytycznie o pozycji, jaką przy Prezydium Rady Ministrów zajmuje p. Rettinger. Uważał, że Premier powinien go oddalić. W czasie trwania obrad Rady nadeszła wiadomość, że Prezydent zdymisjonował rząd gen. Sikorskiego. Rada w czasie tego jeszcze posiedzenia uchwaliła rezolucję, w której wyraziła opinię, że w tym momencie rozdzielenie rządowe nie jest wskazane i dlatego Rada wyraża zaufanie Premierowi. Bp Gawlina głosił za rezolucją.

Tego samego dnia wychodzi rozkaz Naczelnego Wodza przeciw uprawianiu polityki w wojsku.

Krótko po przyjeździe do Anglii, jeszcze w lipcu, gen. Sikorski udał się na krótką inspekcję do wojska w Szkocji. Z tej to inspekcji napisał ów list, zamieszczony w artykule p. Wyrwy. Jeżeli zważy się na cały kontekst wydarzeń ówczesnych tygodni, list nabiera właściwej treści i jego ton jest bardziej zrozumiały.

11. Jedyne dla przykładu: Zygmunt Tkocz, „Kryzys rządu polskiego w Londynie lipiec 1940”. *Niepodległość* T. XVII i T. XVIII; E. Raczyński, „W sojusznicy Londynie”, s. 66n.; S. Babiński, Kazimierz Sosnkowski — „Przyczynki do monografii”, Veritas 1988, s. 196; Zygmunt Zagórski, „Wojna w Londynie”, wyd. Księgarnia Polska w Paryżu 1966 s. 55n, Marian Kukiel, „Generał Sikorski”, Londyn 1970, s. 131n.

W swoich zapiskach bp Gawlina pisze:

„Okolo 21 lipca Nacz. Wódz udał się na jednodniową inspekcję wojska w Szkocji. Wkrótce potem napisał list, w którym po inspekcji stwierdza brak należytego zainteresowania się ze strony Biskupstwa Polowego żołnierzami polskimi, tym szkodliwszy, że armia polska przeżywała jeden z najkrytyczniejszych okresów. Wobec tego rozumiejąc, że członkostwo Rady Narodowej, a zwłaszcza przewodnictwo jej komisji dla Spraw Zagranicznych może mi przeszkadzać we funkcji Biskupa Polowego, oczekuję odpowiedzi, czy będę mógł na przyszłość pogodzić te dwie zupełnie odrębne funkcje. List zawierał również atak na kapelanów.

W odpowiedzi zilustrowałem Naczelnemu Wodzowi moją dotychczasową pracę i wytłumaczyłem, że obaj pełnimy po dwie odrębne funkcje. Naczelnemu Wodzowi przeszkadzały w rozpoczęciu inspekcji wojska zajęcia w Radzie, ja zaś od początku chciałem przeprowadzić wizytację w Szkocji; musiałem się od niej powstrzymać na żądanie wicemin. Kukiela, aby pierwszeństwo w inspekcji dać Naczelnemu Wodzowi. Przy tej pierwszej swej wizytacji stwierdził N.W., że przed nim tam jeszcze nie było Biskupa Polowego, któremu na wyjazd ten nie pozwolono. Mimo to Biskup Pol. już wizytował lotników w Anglii, ponieważ nie zabroniono mu do nich pojechać. Listu generała nie pisał wojskowy, lecz polityk. Premier wyręczył się Naczelnym Wodzem w ataku przeciwko niewygodnemu członkowi Rady.

Oświadczyłem, że pozostanę w Radzie, dopóki inny biskup katolicki nie będzie mógł mnie zastąpić. Wkrótce też wyruszyłem na dłuższą wizytację, którą przeprowadziłem w Glasgow, Eastend, Douglas, Crawford, Elliock, Bourghton, Raihan, Peebles, Biggar, Symington, Johnston, Kealtharn i in. pomniejszych obozach. Wojsko było przygnębione. Wszyscy jednak wychwalali swoich kapelanów i prosili, by ich nie przenosić. Dowódcy byli księżom wdzięczni za podtrzymanie ducha podczas klęski Francji i ewakuacji. Dowódcy artylerii zapewniali mnie, że oficerowie mogli z żołnierzami w ogóle tylko mówić przez kapelanów. Wychwalano zwłaszcza młodego ks. Kąckiego. Płk Pistl, dowódca lotnictwa w Szkocji, przyznał, że gdyby nie ks. Sasinowski, nie mógłby w ogóle przywieźć swoich lotników z Francji do Anglii. Czołgiści i podhalańcy tęsknili za swoimi starymi dowódcami, generałami: Maczkiem i Szyszko-Bohuszem.

Po wizytacji Legii oficerskiej przyjąłem ich delegację, która mi podziękowała za to, iż ostatecznie ktoś, mianowicie Biskup Polowy, do nich po ludzku się odezwał i ich przywitał. Prosilili mnie, bym zameldował N. Wodzowi, że nie chodzi im ani o

przydział, ani o zaopatrzenie materialne, że pragną tylko walczyć. (...)

Po przeprowadzeniu dalszych wizytacji we wszystkich ośrodkach lotniczych, zostałem przez gen. Sikorskiego zaproszony na rozmowę. Stawała się ona chwilami gwałtowna, zwłaszcza gdy generał podniesionym głosem kilkakrotnie żądał wycofania mego listu. Zarzucał mi, że konferowałem z Zaleskim (który był min. Spraw Zagran., a ja prezesem komisji Spraw Zagr.) i że więc na 'czele masonerii wyruszyłem' przeciwko niemu. Prosiłem go, by się zreflektował, zanim o masonerii coś powie. Przypomniałem mu naszą rezolucję w Libourne, o której — jak powiedział — wcale nic nie wiedział. Na wzmiankę o Rettingerze odpowiedział: 'Proszę o nim milczeć. Jest to najuczciwszy człowiek pod słońcem'.

Co do wizytacji przyznał, że podniosłem żołnierzy na duchu i obecnością swoją w obozach 'wszystko naprawilem'. Gdy mu przypomniałem, że otrzymałem polecenie nie wizytować przed nim, oświadczył: 'Ja takiego rozkazu nie wydałem. Co generał Kukiel czyni, to nie moja sprawa'. Ale to był zastępca Pana. Zrobił on już kilka takich gaf i miał już dawno z wojska wyjść.

W sprawie obrazy kapelanów przez niego, prosiłem go o satysfakcję, wykazując, że kapelani ponad zwykłą miarę spełniali swój obowiązek w przeciwieństwie do wielu oficerów. Wyrzuciłem też swoje zdziwienie, że krytykując oddanych Polsce kapelanów wobec Delegacji Rady Narodowej, nie widział iż rabini wojskowi zdezerterowali, nie widział masowej dezercji Żydów, ani też tego że rabin wojskowy w Glasgow tę dezercję ułatwił. Odpowiedział mi dość przykrymi uwagami pod ich adresem. Pozostali we Francji, bo bali się przejazdu. Było ich w armii 11,1 %, a teraz jest ich 31,2 %. (...)

Dnia 27.8 generał Sikorski prosił mnie ponownie o rozmowę. Tym razem zupełnie spokojnym tonem zaprosił mnie na wspólną wizytację razem z p. Prezydentem i sobą. Dodał: 'Niech Ks. Biskup mnie nie uważa za przyjaciela Rosji. Świadczy o tym moje życie, a tak samo ostatnia odezwa moja. Piszę właśnie nowy rozkaz na rocznicę wybuchu wojny, w którym również o Rosji mówić będę. Niech Ks. Biskup nie sądzi również, że coś przeciwko duchowieństwu wojskowemu mam. Cenię i poważam jego pracę. Wiem, że wszyscy dobrze pracowali'. Gdy go prosiłem, żeby więc temu duchowieństwu dał w jakiś sposób publiczną satysfakcję odpowiedział: 'jak to uczynić?' Ja to Panu Generałowi ułatwię.

Po inspekcji wspólnej, podczas której się przekonałem, że władza duchowna jednak o wiele gruntowniej wizytacje przeprowa-

dza niżeli świecka, będąc na raucie w Tullilan Castle Kinkardine, podszedłem do Generała i zapytałem go wobec wszystkich głośno, czy by nie miał jakiegoś polecenia dla księży kapelanów, na których zjazd właśnie spieszę. Oświadczył również głośno: 'Proszę Ks. Biskupa, podniosły się jakieś nieprzytomne pogłoski, jakobym coś przeciwko księżom kapelanom miał. Otóż, to wszystko nieprawda. Przeciwnie, cenię ich pracę, doceniam ją i wiem, że się dobrze sprawowali. Zechce więc Ks. Biskup ich ode mnie serdecznie pozdrowić i powiedzieć im, że liczę nadal na nich'. Tym samym i ten incydent był załatwiony”.

Przytoczone zapiski bp Gawliny ukazują cały incydent w innym świetle. Ukazują gen. Sikorskiego jako człowieka raczej porywczego, ale który potrafił, po refleksji, uznać niewłaściwość, gdy taka zaistniała. Wypowiedzi bp. Gawliny są również odpowiedzią na zawarte w artykule p. T. Wyrwy (s. 101) pytanie, dlaczego nie było odpowiedzi na pismo.

IV

Zagadnienie wyjazdu bp Gawliny do Rosji zostało dość wyczerpująco omówione w artykule p. Z. Siemaszko: „Sprawy religijne wśród Polaków w Sowietach¹²”. Ambasador Kot odradzał, a gen. Sikorski nie dawał zezwolenia, w obawie, jak już wspomniano, że może to urazić Stalina. W depeszy do gen. Sikorskiego z 25 IX 41, amb. Kot pisze: „Przyjazd Biskupa na razie na pewno niemożliwy. Muszą być z nimi rozmowy o religii (z powodu Ameryki) o propagandzie wśród katolików świata itp. Nie mogą być zaskoczeni. Wysondować się musi osobiste stanowisko Stalina w tej sprawie. Najpierw musimy wydobyć naszych księży z więzienia¹³”.

Bp Gawlina nie ustawał jednak w staraniach i naleganiach na pozwolenie wyjazdu. W międzyczasie stara się o różne fundusze, zwłaszcza u katolików angielskich, za które drukuje modlitewniki, literaturę religijną, kupuje dewocjonaalia, które wysyła do wojska w Rosji. We wrześniu wysłał w sumie 14 sporych skrzyń.

W zapiskach Biskupa czytamy:

12. Z.S. Siemaszko, „Sprawy religijne wśród Polaków w Sowietach 1939-1941”, *Duszpasterz Polski Zagranicą*, R. 39(1988) ss. 97-121.

13. Stanisław Kot, „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego”, Londyn 1956, s. 106.

„Pakt był podpisany, a więc należało z niego wydobyć najlepsze korzyści, w moim wypadku duszpasterskie. Do gen. Andersa napisałem 9 sierpnia list z prośbą o pomoc dla duszpasterstwa wojskowego i posłałem odnośne zarządzenie jurysdykcyjne. Do przyszłego ambasadora w Rosji, min. Kota, udałem się z prośbą o taką samą pomoc zwłaszcza co do wysyłek Pisma św., modlitewników, literatury religijnej itp. na co Kot chętnie się zgodził. Z angielskim drukarzem Mildnerem (prezesem „Knight of Columbus”) zawarłem kontrakt, a z prezesami polskiego Czerwonego Krzyża umowę co do pożyczki na 1.600 £, taką samą zresztą z naszą Opieką Społeczną.

Pierwszy transport wysłałem 9.8. z por. Strumph-Wojtkiewiczem. Od Kard. Hinsleya otrzymałem na początek 30.000 'the Cardinals Crosses'. Siostry angielskie zniżyły mi cenę na kaplice połowe z 25 na 16 £.

Ponieważ przynagliła mnie myśl o wyjeździe do Rosji, gdzie bowiem cierpi trzoda, winien być i pasterz, a ciągle narzucało mi się Newmanowskie: *Audio Jesum vocantem, timeo praeterireuntem*. Udałem się więc do min. Kota jako decydującej osoby Rządu o pomoc w realizacji swego zamiaru. Nie zastawszy go już, przesałem mu więc odpowiedni list do Moskwy.

Z radia dowiedzieliśmy się, że Rada Narodowa została rozwiązana. (Nawet służącego traktuje się lepiej.) Udałem się więc 4.9 do nowomianowanego ministra Mikołajczyka z projektem mego wyjazdu i z prośbą, aby jako Minister S. Wewn. zarezerwował moje miejsce w radzie biskupowi Radońskiemu. Dnia 6. 9. wysłałem ks. Józefa Króla jako swego przedstawiciela do Rosji, a razem z nim drugie siedem skrzyń literatury religijnej (pierwszą siódmkę wysłałem 5.9).

Dnia 19.9 rozmawiałem z gen. Sikorskim. Rozmowa była jak zawsze przykra na początku i gwałtownym tonem prowadzona. Gdy mu powiedziałem, że pragnę przenieść się do Rosji, odpowiedział: 'tak, aby tam przeciwko mnie politykę prowadzić'. Zaręczyłem mu, że jej prowadzić nie będę, chyba że mnie warunki zmuszą do samoobrony, i prosiłem go, by powołał zamiast mnie biskupa Radońskiego do Rady Narodowej i żeby mi przecież uwierzył, że mi naprawdę nie zależy ani na polityce ani na karierze, ale na pełnieniu pracy duszpasterskiej. Generał: 'Owszem, być biskupem nad 2 i pół milionami Polaków w Rosji, to ja rozumiem'. Gdy mu zreferowałem o wysłaniu już trzech transportów z literaturą religijną do Rosji i że do Ameryki zwróciłem się o pomoc, odpowiedział: 'A więc nakazuję ks. biskupowi jak najenergiczniej wysyłać literaturę religijną i nic nie zaniedbywać”.

Gdy mu wytłumaczyłem, że obecność biskupa polskiego w

Rosji podniesie rodaków na duchu i sparaliżuje legendę niemiecką o krucjacie, przy czym nie chciałbym oczywiście być atutem propagandowym w ręku sowieckim — przerwał pytając: 'Czy ks. biskup nie czytał mojego wczorajszego przemówienia? Dałem przecież podobnej myśli wyraz'. Gdy odpowiedziałem: 'Pan generał jest świetnym mówcą', rozmowa toczyła się już gładko, a moje argumenty o polskiej polityce kościelnej znalazły posłuch. Generałowi Januszajtisowi oświadczył Sikorski wieczorem: 'Nareszcie zaczynam się dogadywać z biskupem, bo dotąd było to rozmaicie'. Odtąd nieraz w krytycznej chwili powiedziałem gen. Sikorskiemu jakąś uzasadnioną zresztą przyjemność, co nigdy nie chybiło celu. Prezydent był bardzo zadowolony z mego projektu wyjazdu do Rosji”.

Starania o wyjazd związane były z różnymi trudnościami. Ks. Kaczyński, 26.10.1941 pracownik rządu, poinformował ks. Staniszewskiego, rektora Kościoła Polskiego w Londynie, gdzie mieszkał bp Gawlina, że nadeszło pozwolenie na wyjazd do Rosji. Dnia 11.12 Biskup otrzymał depezę gen. Sikorskiego, w której Generał pisze: „Przyjazd Biskupa do ZSSR w myśl opinii gen. Andersa jak i tutejszego dowództwa wojskowego jest obecnie niewskazany. Będzie on możliwy dopiero po całkowitym przegrupowaniu wojska do nowych regionów i ukończeniu organizacji armii”.

Czy owa zapowiedziana organizacja i przegrupowanie zostały zakończone nie wiadomo, gdyż Biskup starał się wprost o wizę do Rosji dla siebie i swego kapelana, którą ostatecznie otrzymał poza pośrednictwem amb. Kota. Warunek przy otrzymaniu wizy był ten, że wizyta ta ma być czysto wojskowa i że nie będzie ona obejmowała opieki nad ludnością cywilną.

Wyjazd ostatecznie nastąpił pod koniec stycznia 1942 roku. Jeszcze w czasie drogi, w Kairze, otrzymał bp Gawlina telegram gen. Sikorskiego aby nie kontynuował podróży do Rosji, gdyż wśród wojska wybuchł tyfus i że Sowiety zaczęły aresztować delegatów ambasady. Biskup zaraz przesłał depezę do gen. Sikorskiego, prosząc go o to, by mógł dalej kontynuować podróż. Po otrzymaniu przychylniej odpowiedzi kontynuował podróż i 19 kwietnia nareszcie wylądował w Baku.

Właśnie z owym warunkiem opieki duszpasterskiej nad ludnością cywilną związany jest znamieny incydent.

Gen. Sikorski wracając z Rosji zatrzymał się w Teheranie, gdzie na ręce Nuncjusza przesłał 23.12.1941 r. list od Ojca Świętego. W liście tym m.in. pisze: „W czasie mego pobytu w Rosji załatwiłem również sprawę swobód religijnych dla obywateli polskich. Przekonałem się, że w wojsku swoboda religijna jest zu-

pełna. D-two Armii i Ks. Prałat Cieński, który pełni funkcje dziekana W.P. w sposób wzorowy, zorganizowali służbę religijną drogą faktów dokonanych. Każda dywizja ma stałą kaplicę polową. Księża kapelani odprawiają nabożeństwa, które skupiają wszystkich żołnierzy, tłumnie garnących się do kościoła. Brałem udział w dwóch nabożeństwach wraz z całą świtą N-go D-twa z Wyszyńskim na czele. Zachowywali się bardzo poprawnie. Służba religijna dla Żydów jest również zorganizowana jak też dla żołnierzy prawosławnych.

Ustaliłem w czasie konferencji z Wyszyńskim, że art. 123 konstytucji sowieckiej, gwarantujący swobodę religijną dla obywateli ZSSR będzie w całości stosowany do obywateli polskich. Będący przy życiu księża, więzieni dotychczas, mają być wypuszczeni na wolność i jako duchowni mają mieć dostęp do Polaków. Ksiądz Kucharski wypuszczony z więzienia został mianowany przez rząd polski przy rządzie sowieckim kierownikiem duszpasterstwa cywilnego. Skoro wyzdrowieje, wyjedzie do obozów cywilnych. Obecnie leży chory w Ambasadzie w Kujbyszewie. Ksiądz Biskup Gawlina ma po moim powrocie do Anglii wyjechać do wojska polskiego. Trzymając się bezwzględnie z daleka od wszelkiej polityki, odda on duże usługi Kościołowi, gdyż odrodzenie religijne wśród polskich żołnierzy jest wspańiałe, podobnie jak u obywateli ZSSR, którzy chcąc znaleźć się 'bliżej Boga' często biorą udział w naszych nabożeństwach".

Treść tego listu otrzymał bp Gawlina do wiadomości za pośrednictwem wicepremiera 31.12. Niezależnie od pewnych sprzeczności z depeszą z dnia 11.12 w Stolicy Apostolskiej wywołało pewne zdziwienie, nie tyle stwierdzenie, że „załatwiłem również sprawę swobód religijnych”, ile to że rząd polski mianował ks. Kucharskiego, TJ kierownikiem duszpasterstwa cywilnego. Ks. Kucharski był na pewno gorliwym kapłanem z piękną przeszłością pracy wśród młodzieży w Wilnie, również podczas okupacji. Mianowanie jednak na stanowiska kościelne należy do władzy kościelnej¹⁴.

Prawie równocześnie biskup otrzymał list od ks. prał. Cieńskiego, szefa duszpasterstwa wojskowego w Rosji, pisany w Buzułuku 11.12.1941 r., w którym prałat Cieński pisze: „Druga b. ważna sprawa hierarchii świeckiej dla ludności cywilnej. Ambasada ma różne koncepcje (?), ja zawsze myślę, że na razie niech ta praca będzie prowadzona przez kapelanów wojskowych urlopowanych — pod jednym kierownictwem, a z chwilą wyjścia na

14. Okazuje się, że tzw. „walka o inwestyturę” nie była tylko problemem XI i XII wieku. Trwa praktycznie do dziś.

front, to należy mieć przygotowane komu oddać pracę. Projekt ambasady, to stworzyć osobną hierarchię poza wojskowymi Bisk. Pol. tu na miejscu. Czy to słuszne, ze względów na warunki miejscowe — trudno mi powiedzieć, ale myślę jak powyżej zaznaczyłem, że lepiej i bezpieczniej cicho duszpasterzować niż oficjalnie tworzyć osobną hierarchię. Co Rzym by o tym myślał?

Praca nasza rozrośnie się bardzo przez powiększenie armii. Księżę zbywających do pracy wśród ludności cywilnej wielu nie będzie — niezdolnych do wojska, starszych, ale na te trudne warunki już też nie będzie można ich użyć. Na cóż więc nowa hierarchia?"

Ks. Kucharski TJ również w Buzułuku przesłał w listopadzie list do bp. Gawliny, w którym pisze: „Z chwilą wcielenia do Armii Polskiej w ZSSR, cieszę się, że zostaję pod władzą Jego Ekscelencji i ośmielam się złożyć swój hołd synowski”.

Okazało się jednak, że ks. Kucharski TJ, przebywający w ambasadzie, nie został wpisany na listę kapelanów wojskowych. W zapiskach bp Gawlina pisze, że po przyjeździe do Kujbyszewa i zamieszkaniu w ambasadzie, musiał rozwiązać sprawę ks. Kucharskiego, który uważał siebie za doradcę ambasadora Kota. To ściągnęło na ks. Kucharskiego zazdrość innych pracowników, choć nie wiadomo czy tak naprawdę amb. Kot był wrażliwy na rady ks. Kucharskiego. W każdym razie pisze bp Gawlina: „Obaj (tzn. ks. Kucharski) z ambasadorem (Kotem) byli zaskoczeni szyfrówką z Rzymu (via Konstantynopol, Teheran), że Watykan jest niezadowolony z nominacji ks. Kucharskiego na szefa duszpasterstwa cywilnego z ramienia ambasady i dopytywali mnie, kto to do Rzymu mógł donieść. 'Generał Sikorski wysłał o tym telegram do Watykanu'. Kot zaprzeczył temu faktowi, wobec czego pokazałem mu kopię telegramu w jego własnych aktach. 'To chyba wojsko musiało namówić generała do takiego telegramu', odpowiedział.

Gożej, bo zapomniano ks. Kucharskiego zarejestrować u władz sowieckich, które go potem aresztować chciały. Już wówczas uchwaliliśmy przenieść ks. Kucharskiego do wojska, by go przed aresztowaniem uratować. Miesiąc później otrzymałem w Jangi Jul pismo kardynała Sekretarza Stanu (drogą polską), polecające mi odwołać ks. Kucharskiego lub zostawić go jedynie wtedy na miejscu, gdyby wpływami swoimi zdołał innych księży ratować z więzień. Odwołałem go ostatecznie do wojska, gdzie ofiarnie pracował”.

Cały ten epizod rzuca światło na sprawę jurysdykcji, którą

otrzymał bp Gawlina, jako ordynariusz wszystkich Polaków, którzy wyszli z Rosji i mieszkają w różnych krajach¹⁵.

Pobyt bp. Gawliny miał ogromnie pozytywny wpływ na wojsko i na ludność cywilną, która mieszkała w pobliżu obozów wojskowych¹⁶. Żyjący jeszcze uczestnicy tamtych wydarzeń do dziś wspominają z jakim wzruszeniem przeżywali odwiedziny Biskupa Polowego w ZSSR.

Niestety, starania o pozostanie przynajmniej kilkunastu księży w Sowietach nie odniosły skutku. Biskup wspomina: „Odwoławszy ks. Kucharskiego starałem się o przeniesienie ks. Kozłowskiego jako kapelana do ambasady w Kujbyszewie. Zdziwiony, że gen. Żukow mimo telegramu *Narkomindietu* uznającego nowego kapelana, nie wydał mu ani przepustki ani biletu jazdy, interweniowałem więc u niego. 'Znam ten telegram', odpowiedział, 'lecz *Narkomindiel* się myli, gdyż ani ks. Kozłowski ani żaden inny ksiądz nie został uznany kapelanem ambasady, a więcjechać nie może. Zresztą wyjazd do Kujbyszewa objętego obecnie zoną wojny nie jest taki łatwy, bo nawet moja żona nie mogłaby otrzymać przepustki' (ściągnął bowiem żonę i syna do siebie — jak nasi tłumaczyli — z obawy przed szybkim posuwaniem się Niemców). 'W takim razie pojedę ja sam i będę pełnił obowiązki kapelana'. Owszem, pan Biskup mając paszport dyplomatyczny, może tam pojechać, lecz po dwóch dniach musi tu wracać, gdyż wasza droga jest stąd do Persji. Pan Biskup jest wojskowy.

Wobec zbliżającej się ewakuacji, — baon S. rotm. Kiedacza wyruszył najpierw, przystąpiwszy do generalnej Komunii św. Zebrałem zgromadzonych w Jangi Jul kapelanów, by z nimi omówić przyszłość ludności, która na wypadek naszego wyjazdu znów byłaby pozbawiona pociech religijnych. Przedtem bowiem podałem wniosek do władz sowieckich, ażeby pozwoliły na pełnienie służby delegatów 50 kapelanom, co jednak odrzucone

15. Z dekretu Sekretariatu Stanu L 6982/42, z 3 X 1942 r. ...*SSmus D.N.Divina Providentia PIUS PP XII, qui ... Exc. mo D.no Iosepho Gawlina, Polonorum exercitus Praesuli, peculiare facultatos iam concessit, eundemque Sacrum Antistitem, huius decreti vi, Ordinarium catholicorum Polonorum, qui e Russia exeunt et sociatis agminibus migrant, nominat atque constituit. Ad hunc finem Beatissimus Pater praefato Antistiti iurisdictionem personalem in supradictos christifideles concedit cum facultativus quae Episcopo residentiali competunt.*

16. Por. np. „Ks. Biskup Józef Gawlina wśród wojska Polskiego w Rosji”, Nakł. Collegium Marianum, Brighton 1970; „Z teki sowieckiej Biskupa Polowego”, Druk oo. Franciszkanów Jerozolima 1943; „Abp J. Gawlina, Biskup na Bliskim Wschodzie, garść wrażeń”, *Duszpasterz Polski Zagranicą*, R XVI (1965) ss. 31-44.

zostało. Zwolniłem ich więc z dotychczasowych rozkazów i zapytałem, kto z nich ze mną chce pozostać na wszelkie ryzyko w Rosji. Ani pieniędzy, ani utrzymania ani wolności osobistej nikomu gwarantować nie mogę. Los pozostałych byłby po prostu losem robotnika w kółchozie lub łagrze. Mimo to zgłosiło się dwudziestu, gotowych na wszystko, m.in. ks. Cieński, ks. Chrostowski i wszyscy jezuici. Następnie odbyłem konferencję z gen. Żukowem w obecności gen. Szyszko-Bohusza. Z całym spokojem oświadczył mi Żukow, że prośby moje odrzucić musi i zapytał, kiedy sam opuścę Rosję. Łudząc się jeszcze, poprosiłem o pozostawienie pięciu, następnie chociażby trzech kapelanów dla szpitali i stacji granicznych. Daremnie.

Generałowi Bohuszowi zaś oświadczył Żukow, że oczywiście ze względu na panującą w Rosji wolność może, kto chce, pozostać. Ponieważ jednak rząd sowiecki nie uznał dotychczas wolności sprawowań sakramentów i posług religijnych dla cywilów, to jej też i nadal nie uzna. Gdyby więc chcący pozostać księża próbowali odprawiać nabożeństwa, zostaliby szybko wykryci i skazani. Wobec tego oświadczyłem księżom kapelanom, że nie mogę ich narażać na więzienie bez widoku jakiegokolwiek czynności religijnej i kazałem im wyjechać z wojskiem, które ich pracy również potrzebowało”.

V

Ewakuacja i przeniesienie wojska do Iranu i na Środkowy Wschód wywołało nowy zatarg Biskupa z Naczelnym Wodzem.

Już uprzednio bp Gawlina starał się o pomoc dla uchodźców. Po wizytacji w Rosji, jak i później po przeniesieniu wielu dzieci, zwłaszcza sierot, na Środkowy Wschód, potrzeby materialne dzieci i młodzieży były ogromne. Biskupi amerykańscy namawiali biskupa polowego na przyjazd do Stanów Zjednoczonych i odwiedzenie ośrodków, zwłaszcza polonijnych parafii, przedstawiając im trudną sytuację i konieczność pomocy. Uważali, że taka kampania przeprowadzona przez biskupa da najlepsze rezultaty. Ponadto bp Gawlina chciał się zwrócić do księży polskich, zwłaszcza zakonnych, o przyjęcie z pomocą duszpasterską, gdyż rozmieszczenie obozów cywilnych w Afryce, Indiach i Palestynie wymagało kapłanów, którzy byłiby duszpasterzami w poszczególnych obozach. Zresztą w wojsku też było wiele etatów nieobsadzonych z braku kapłanów. Akcja ta zresztą dała pozytywne wyniki, gdyż prawie dwudziestu kapłanów ze Stanów Zjednoczonych przeszło do duszpasterstwa nad uchodźcami.

Biskup Gawlina pisze: „Otrzymałszy trzykrotnie zaproszenie Episkopatu amerykańskiego, zwracałem się tyleż razy drogą tele-

graficzną o zgodę na podróż do gen. Sikorskiego. Trzeci, obszerny telegram oddałem min. Kotowi w Jerozolimie. Gen. Sikorski twierdził, że go nigdy nie otrzymał.

Wróciwszy więc do Bagdadu, zwołałem najstarszych kapłanów swoich i przedłożyłem im tę sprawę, pytając czy można mnie uważać za człowieka lojalnego, jeżeli z braku odpowiedzi Nacz. Wodza pojedę bez jego zgody do Ameryki. Odpowiedź brzmiała: *'sat superque'*".

Wyjazd bez zezwolenia spowodował nie tylko niezadowolenie, ale wprost oznaki złośliwej podejrzliwości, wywołanie których było, jak się okazuje, bardzo łatwe u Naczelnego Wodza. Gen. Sikorski czuł się dotknięty w swoim autorytecie i odniósł się wprost do Stolicy Apostolskiej.

Z wszystkich wypowiedzi, akcji, działalności, wynika, że na pewno ze strony Biskupa nie było złej woli. Była to jednak bardzo dogodna okazja skompromitowania go w opinii publicznej, do czego dążyły osoby biskupowi niezyczliwe.

W sytuacji wojny nie można było całkowicie pominąć wydarzeń politycznych. W systemie amerykańskim trudno jest wybronić się od wywiadów, wypowiedzi prasowych i radiowych. Wypowiedzi Biskupa były antykomunistyczne. Opowiadał co widział i co usłyszał od tych, którzy przeżyli rosyjskie piekło. Nie podobało się to przede wszystkim samym Rosjanom i Wanda Wasilewska wystąpiła z akcją niby prostującą wypowiedzi bp. Gawliny, jako wypowiedzi nieprawdziwe. Amerykańskie czynniki polityczne i rządowe były wówczas ogromnie pozytywnie ukierunkowane na Rosję.

Już w czasie podróży Biskup otrzymał telegram przez ambasadę polską:

„Prawdziwie nieprzyjemny był dla mnie telegram gen. Sikorskiego zwracający mi uwagę, że propaganda niemiecka już korzysta z moich wypowiedzi. Generał skrytykował moje dane co do smutnego położenia naszej dziatwy i podaną przeze mnie liczbę dzieci, zapytując mnie, kto mi jej dostarczył, jakim prawem o tych sprawach mówię, i kto mi w ogóle pozwolił na tę podróż.

Nawet ambasador Ciechanowski, oddany bardzo gen. Sikorskiemu, uważał, że treść i ton depezy świadczą o nagonce na mnie i że trzeba tu silniej zareagować niż w mych odpowiedziach na poprzednie dwa telegramy generała.

Odpowiedziałem więc, że prawo do wypowiedzania się nad smutnym położeniem naszej dziatwy mam *eo ipso* jako Biskup, który pragnąc pełnić swój obowiązek pasterski, chce dzieci ratować od zagłady moralnej i materialnej. Jako liczbę deportowanych

do Rosji Polaków podał mi gen. Sikorski sam w czasie jeszcze nie podejrzanym 2.500.000 osób, a taką samą liczbę podał p. minister Popiel w piśmie do Ks. Reginka. Według danych dostarczonych zaś przez ministra Kota panu Wendell Wilkiemu w 1942 r. umarło około 40 % dzieci w Rosji, co wynosi *ca* 400.000, a więc pozostaje jeszcze około pół miliona do uratowania. Smutne położenie naszej ludności i dziatwy obserwowałem sam, a więc nie mogę się godzić na żadne próby wybielania tej ciemnej sytuacji; a zresztą wystarczy przyjrzeć się filmowi amerykańskiemu, ażeby się przekonać o nędzy nawet tych, co szczęśliwie przeszli granicę.

Podąłem również, że 2.12. prosiłem go o pozwolenie na wylot wprost do Ameryki i że brak odpowiedzi na telegram po prawie dwóch miesiącach, uważałem za zgodę. Zresztą otrzymaniem w Ameryce w lutym jego telegram z życzeniami powodzenia. Na sam koniec prosiłem generała, aby mi podobnych telegramów już nie wysyłał. Cieszyłem się natomiast, gdy czytałem w *Collier's Magazine* mądry artykuł Sikorskiego na temat przyszłej Europy Wschodniej, z której generał proponował uczynić blok federalny od Bałtyku do Adriatyku. Blok taki, w którym zresztą Polska mogłaby poważną rolę odegrać, byłby ze swoimi 120.000.000 ludności żywotny. Kto wie, czy te poglądy generała nie stały się powodem jego przedwczesnej śmierci. *Is fecit cui prodest*. Gdy dziś na mapę patrzę, widzę, że zaproponowany przez Sikorskiego blok (alias „Intermarium”) obejmuje właśnie te kraje, które Rosja anektować zamierzała”.

Reasumując zaś swoją podróż amerykańską Biskup pisze: „Odlatując przeprowadziłem rachunek ze swojej podróży. A więc sprawa dzieci została rozpowszechniona, i nie tylko Polacy w Ameryce zwrócili uwagę na nędzę dziatwy polskiej w Rosji. Liczyłem także na słowo Roosevelta. Sprawa pomocy N.C.W.C. dla wojska i uchodźców była gruntownie i szczegółowo opracowywana, sprawa Ligi Katolickiej, zwłaszcza jej pomocy dla Kraju w najgłówniejszych zarysach przygotowana, kolekty powiększyły się, zdobyłem kilkunastu księży dla pracy w Meksyku i Afryce. Nawiązany został silniejszy kontakt z Polonią amerykańską. Nie udało się natomiast zmontować pożyczki dla Kościoła w Polsce. Miała to być *cura posterior*.”

Odleciałem z dowodami wyraźnego niezadowolenia Premiera i rządu, a sądziłem, że należało mi się trochę wdzięczności. Pracowałem rzetelnie mimo grypy, której nie odleżałem, wygłaszałem do pięciu kazań i konferencji dziennie”.

Z Ameryki bp Gawlina wrócił na Środkowy Wschód, skąd wyleciał do Ameryki. Krótco po przylocie Biskupa przyleciał również gen. Sikorski.

„Dnia 31.V wyjechałem znów do Kirkuku na powitanie generała Sikorskiego. Czekaliśmy z generacją i spieszoną pułkiem kawalerii na lotnisku. Generał przyjechał ze swoją córką, p. Zofią Leśniewską i gen. Nesbitt Beaumontem, lecz po raz pierwszy bez Rettingera.

Na Wniebowstąpienie 3.VI odprawiłem w otoczeniu 16 kapelanów dla generała Sikorskiego i zebranego wojska Mszę polową na stepie. Słoneczko ładnie przygrzewało. Goście z Anglii mdleli.

Generał Sikorski wydawał mi się jakimś innym, o wiele spokojniejszym człowiekiem. Jego ton był przyjaźniejszy niż kiedykolwiek. W rozmowie między nabożeństwem a defiladą omawiał sytuację międzynarodową. (...)

Po defiladzie zaprosił mnie do swego mieszkania. Przede wszystkim podziękował mi za dzisiejsze kazanie, czego nigdy przedtem nie czynił. (...) Następnie zapytał spokojnie, kto mi pozwolił wyjechać wprost do Ameryki. Wytłumaczyłem mu, że wyjazd mój przez Londyn musiałby opóźnić moją podróż amerykańską, wobec czego nie byłbym mógł przeprowadzić zadania, o które mnie prosili biskupi amerykańscy, mianowicie turnieju kaznodziejskiego celem podwyższenia kolekt na rzecz polską w czasie wyznaczonym.

Powołując się na moje telegramy wysyłane do niego o zgodę na podróż wprost i na konsylium starszych księży, wręczyłem mu kopię mojego telegramu z 2.XII.1942r. Sikorski przeczytawszy go z cierpliwością zapytał: 'Komu Ks. Biskup oddał ten telegram?' Panu Ministrowi Kotowi w Jerozolimie, który przyrzekł przesłać go panu Generałowi tegoż dnia. 'Nigdy tego telegramu nie otrzymałem. Ale teraz rozumiem już wszystko. Ks. Biskup jest w porządku'.

Referowałem więc generałowi o swojej podróży amerykańskiej, zwłaszcza o konieczności ratowania dzieci. Generał przyznał mi słuszność, zaznaczając, że on już od dawna w tym kierunku działał. Teraz gdy Roosevelt napisał list do Stalina, tenże odpowiedział, że przecież nie sprzeciwiał się ewakuacji dzieci i rodzin wojskowych. Miałem wrażenie, że generała tu nieściśle informowano.

Było mi przyjemnie usłyszeć, że 'teraz wszystkie sprawy między nami obydwoma są załatwione i pragnę temu dać wyraz przy przyszłych awansach'. Prosiłem go, by tego nie czynił, gdyż wyższy stopień wojskowy nie jest mi wcale potrzebny. 'Tak, to jest potrzebne', odpowiedział, 'dla zaznaczenia sytuacji'. (Dnia 30.6.1943 prosiłem go piśmiennie, by mnie nie awansował, podając m.in. jako powód, że nieżyczliwi ludzie mogą nas posądzać o to, że generał awansem mnie kupił. List ten znaleziono w jego aktach po katastrofie gibraltarskiej). (...)

Na sam koniec prosiłem generała, aby od siebie odsunął 'pieski londyńskie', które częstym szczekaniem 'tylko my jesteśmy wierni' nieraz stwarzają trudną i nieobiektywną sytuację dla niego. "Tak jest, księżo Biskupie. I o tym jeszcze pomówimy. Teraz zmieni się wiele".

Kilka dni po rozmowie nastąpiła tragedia gibraltarska. Zamknęła ona kolejny rozdział historii.

Wzajemne stosunki gen. Sikorskiego i bp Gawliny były czasami burzliwe. Może obaj byli twardych charakterów, więc łatwo było o spięcia. Wszystko jednak wskazuje na to, że obaj byli uczuleni na różne podejrzliwości. Lata przed wrześniem, czas praktycznej bezczynności Generała, odsuniętego od wojska, próbującego odegrać rolę polityczną, były okresem, który sprzyjał rozwojowi podejrzliwości. Bp Gawlina miał trudną drogę i także był narażony na różne akcje usiłujące go skompromitować. Tak było w Warszawie i tak było w Londynie. Łatwy więc był grunt na działalność prowadzącą do poróżnień. Wiele przytoczonych faktów jest na pewno przykrych. Czy należy podawać to dziś do publicznej wiadomości? Ogłoszenie jednej strony medalu wymagało przedstawienia strony odwrotnej, aby można było sobie wypracować właściwy obraz.

VI

Co zaś do relacji owej pani, którą zawiera artykuł p. Wyrwy, nie jest żadną tajemnicą, że Papież Pius XII miał sympatie proniemieckie. Wystarczy przeczytać wspomnienia zakonnicy prowadzącej jako przełożona wspólnoty dom Papieża, i będącej czymś w rodzaju guwernantki i również maszynistki, aby się o tym przekonać¹⁷. Był jednak Pius XII człowiekiem z ogromnym wyczuciem sprawiedliwości. Biskup Gawlina otrzymał już w październiku jurysdykcję jako Biskup Polowy. Gdy powstała nowa sytuacja w Rosji, zwłaszcza po wyjściu ludności cywilnej i rozłokowaniu jej po koloniach brytyjskich, bp Gawlina otrzymuje zaraz dla niej odrębną jurysdykcję. Na początku 1945 roku zostaje we Francji zaarrestowany kard. Hlond. Bp Gawlina z miejsca otrzymuje protektorat nad Polakami, emigrantami, który miał ks. Prymas Hlond¹⁸. Kończą się działania wojenne i niespełna miesiąc później bp Gawlina zostaje ordynariuszem dla Polaków w Niemczech¹⁹. We wrześniu 1948 r. umiera ks. kard. Hlond i

17. Pascalina Lehnert, „Pio XII, Il privilegio di servirlo”, Wyd. Pusconi 1984.

18. Kongregacja dla Spraw Nadzwyczajnych, L. 640/45 z 8 II 45.

19. Kongregacja dla Spraw Nadzwyczajnych, L. 3446/45 z 5 VI 45.

zostaje opróżnione stanowisko Protektora Emigracji. Już w styczniu Papież mianuje biskupa Gawlinę Protektorem Emigracji²⁰.

Nie tylko więc nie ma żadnych uprzedzeń, ale przeciwnie, jest wyjście naprzeciw powstającym potrzebom i troska o zachowanie niezależności przez polskie duszpasterstwo.

Podobnie w Polsce. Wszystkie uprawnienia ks. kard. Hlonda, organizacji administracji na Ziemiach Odzyskanych itp. otrzymał Kościół polski od Piusa XII. Mamy sympatię do papieża Jana XXIII. Zrobił on wiele gestów wobec Kościoła w Polsce. Prawnie jednak potwierdził tylko to, co nadał Pius XII. Czy Niemcy wykorzystali sympatię papieża? Na pewno, ale z tego nie wynika, że od strony formalno-prawnej Kościół w Polsce był pokrzywdzony.

Papież Paweł VI miał wielką sympatię dla Francji. Nigdy Francja nie miała w Kurii Rzymskiej tylu kardynałów co za tego pontyfikatu, od Sekretarza Stanu począwszy. Zdecydowana jednak większość Polaków zatrudnionych w dykasteriach Kurii Rzymskiej weszła do niej za pontyfikatu Pawła VI. Ten Papież też ostatecznie zatwierdził nowe granice diecezji na Ziemiach Odzyskanych.

My Polacy też mieliśmy Papieża o bardzo wielkiej sympatii dla Polski. Trzeba znać trochę sytuację w Rzymie i Watykanie, żeby tę sympatię ocenić. Zaproszenie do wymalowania kaplicy nie Włocha, więcej, Polaka, jest wyrazem ogromnej sympatii. Tym bardziej, że owa kaplica ma freski o tematyce czysto polskiej (Cud nad Wisłą, Obrona Jasnej Góry z mapą Polski włącznie). Czyż nie jest to dowód sympatii? Czy umieliśmy to wykorzystać? Najpierw cała historia z przekazaniem insygnii orderu Orła Białego przed wyjazdem kard. Ratti na Conclave jest dla nas ogromnie kompromitująca. Relacjonujący to ks. inf. Meysztowicz ocenia to łagodnie, ale to prawdziwy skandal. Podobnie nie przynosi nam zaszczytu, że przeczulony polski minister spraw zagranicznych okazuje niechęć Papieżowi i to takiemu, który ma tyle sympatii dla Polski, że nie mianuje przez prawie dwa lata ambasadora przy Stolicy Apostolskiej²¹. Za niewykorzystanie naszej „dobrej koniunktury” możemy winić jedynie siebie.

Jak już wspomniano, abp Gawlina miał wiele przykrości od ks. Kaczyńskiego. Przykre, że było to między duchownymi. Ks. Kaczyński po wojnie wrócił do Kraju, gdzie został zameczony w więzieniu UB. Przy pogrzebie nie pozwolono otworzyć jego trumny. Nie wiadomo więc, jak zginął. Wszystko wskazuje, że został zamordowany. Bp Gawlina nigdy w całym swoim późniejszym życiu nie wspominał o doznanych przykrościach. Mówił, zmarł on

20. Kongregacja dla Spraw Nadzwyczajnych, L. 619/49 z 28 I 49.

21. Por. K. Walerian Meysztowicz, „Prawda o czasach i ludziach”, Londyn, Wyd. II 1986, ss. 262-263 i 333-334.

śmiercią męczeńską. Bóg mu na pewno wszystko przebaczył, tym bardziej czynię to ja. Z perspektywy czasu wiele wydarzeń nabiera innego wymiaru, nieporozumienia personalne również.

Bp Szczepan WESOŁY

Drogi Panie Redaktorze!

Jestem szczerze zadowolony, że moje opracowanie spowodowało napisanie przez biskupa Wesołego niniejszego artykułu, który wnosi sporo nieznanych dotychczas szczegółów. Nie wydaje mi się jednak, żeby argumenty bp. Wesołego zbijały to, co ja przytoczyłem i opatrzyłem komentarzami na podstawie dokumentów, jakie znajdują się w archiwach. Uważny Czytelnik zwróci zapewne uwagę, że argumentacja bp. Wesołego potwierdza raczej tezy zawarte w moim opracowaniu. Bp Wesoły pisze na wstępie, że chciałby „odpowiedzieć przynajmniej na trzy zarzuty, które mogą się nasuwać przy czytaniu opracowania p. T. Wyrwy”. Pierwszy — ewentualny „zarzut nielojalności” bp. Gawliny wobec Sikorskiego. Przecież ja doszedłem do odmiennego wniosku, a mianowicie lojalności, czemu dałem wyraz w moim opracowaniu (str. 99-100). Drugi — możliwość podejrzewania bp. Gawliny o „spiskowanie” przeciw Sikorskiemu w związku z wyjazdem do Rosji. Znowu twierdziłem wręcz odwrotnie (str. 102-103), podkreślając czysto religijny charakter podróży bp. Gawliny. Wreszcie punkt trzeci — możliwość zarzucenia biskupowi Gawlinie „niesubordynacji” za jego wyjazd do Ameryki. Przecież ja nic więcej nie napisałem (str. 102-104) niż to, co potwierdza również bp Wesoły, tzn. że bp Gawlina wyjechał do Ameryki bez oficjalnego zezwolenia gen. Sikorskiego, na co złożyły się różne okoliczności, które obszerniej wyjaśnia bp Wesoły.

Z mojego opracowania — jeśli chodzi o Biskupa Polowego i Naczelnego Wodza — wynika chyba jasno, że nie bp Gawlina, lecz gen. Sikorski był trudny do współpracy. Rozmowa bp. Gawliny z Sikorskim na Środkowym Wschodzie, kilka dni przed tragedią w Gibraltarze, podczas której obaj rozmówcy znaleźli wspólny język, nie zmienia tego co było: burzliwych ich stosunków przez prawie trzy lata. Przecież historyk to nie kapłan, żeby mógł dać grzechów odpuszczenie i położyć krzyżyk na tym, co się działo.

Na ostatnich stronach swojego artykułu bp Wesoły, nawiązując do wyjątków, jakie przytaczam ze studium Marii Nikorskiej, „owej pani” jak ją określa bp Wesoły (szkoda że nie podał, jeżeli wiedział, bliższych danych na jej temat), zapytuje i raczej wątpi, czy Polacy potrafili wykorzystać okazowaną im sympatię w Watykanie. Obecnie bardziej aktualne wydaje się pytanie, czy Polacy umieją i chcą wykorzystać pontyfikat Jana Pawła II. Osobiście nie mam wątpliwości, że jak dotychczas — a nic nie wskazuje na zmianę — odpowiedź jest stanowczo negatywna.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

Tadeusz WYRWA

POSELSTWO R.P. W MADRYCIE W LATACH 1940-1944

Po raptownej klęsce Francji w czerwcu 1940 roku oraz chaotycznej ewakuacji wojska polskiego do Wielkiej Brytanii jedyną możliwością, jaka została, żeby wycofać się spod okupacji to podjęcie ryzyka przedostania się przez Hiszpanię do Portugalii, skąd stosunkowo łatwo już było wyjechać dalej. Na trasie tej pierwszorzędną rolę winno było odgrywać siłą rzeczy poselstwo R.P. w Madrycie. Hiszpania była zrujnowana wojną domową, która w rezultacie doprowadziła do dyktatury gen. Franco. Posłem w Madrycie był wówczas Marian Szumłakowski. Stanowisko to objął w marcu 1935 roku, przeniesiony z Lizbony¹. Podczas wojny domowej ocalał kilku wpływowych Hiszpanów przed terrorem czerwonych, co mu później ułatwiło dostęp do sfer rządowych.

Pierwsza fala uchodźców, którzy przekroczyli granicę francusko-hiszpańską, związana była przeważnie ze środowiskiem rządu polskiego, który — po zajęciu przez Niemców Paryża 14 czerwca — wyjechał pośpiesznie z Angers do Libourne. W tej grupie znajdowała się również Zofia Leśniowska, córka gen. Sikorskiego. W sprawozdaniu złożonym po przybyciu do Londynu Leśniowska stwierdziła: „Poseł Szumłakowski całkowicie wpatrzony w Zaleskiego... Bardzo obrotny, chytry, wobec rządu

1. Zob. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum gen. Sikorskiego (IPMS) w Londynie. Sygnatura: Akta personalne Mariana Szumłakowskiego, A.45.474/14. Wszystkie źródła archiwalne w tym opracowaniu, jeżeli nie mają innego odesłania, pochodzą z IPMS.

— jak mi się zdaje — lojalny. Nie było widać wydatniejszego zajęcia się z jego strony uchodźcami, w tej mierze wiele działał energiczny urzędnik p. Kobyłecki... Nastrój ludności w Hiszpanii wobec Polaków bardzo przychylny².

Jeżeli Szumlakowski nie wykazał zbytnej gorliwości w zajęciu się uchodźcami „rządowymi”, to trudno było spodziewać się, żeby był bardziej troskliwy w stosunku do żołnierzy, bez względu na ich stopień wojskowy. Na podstawie raportu płk. dypl. Mally, *attaché* wojskowego w Lizbonie, gdzie mowa jest o tym, że poseł polski w Madrycie „traktuje zagadnienie ewakuacyjne w sposób wysoce formalny”, gen. Sikorski wystosował pismo, z datą 30 października 1940, do Augusta Zaleskiego, ministra Spraw Zagranicznych, w którym prosi Zaleskiego o zwrócenie uwagi posłowi R.P. w Madrycie na „zbyt formalistyczne i niezyciowe traktowanie spraw ewakuacji, oraz nienależyte zrozumienie potrzeb chwili”³.

Problem był jednak bardziej skomplikowany i bez względu na to, jak będzie się oceniać działalność Szumlakowskiego, nie można winić wyłącznie jego za istniejący stan rzeczy w Hiszpanii. W odpowiedzi gen. Sikorskiemu Szumlakowski wysłał wyjaśnienie z dnia 20 listopada 1940, gdzie pisał: „W okresie pierwszych dwóch miesięcy przez Hiszpanię mógł przejeżdżać i przejeżdżał każdy, bez względu na wiek, nawet ci, u których znajdowała się broń i mundury. Hiszpania wypuszczała bez portugalskich wiz, na które potem całymi tygodniami trzeba było czekać. Z powodu braku organizacji ewakuacji we Francji okresu tego nie wykorzystano... Później władze hiszpańskie zaczęły aresztować obywateli polskich z fałszywymi wizami i dokumentami. Przeciw metodzie tej, która nas kompromituje na terenie Hiszpanii, wystąpiłem wobec Londynu i płk. Mally... System policyjny na terenie Hiszpanii został wzmocniony po zmianie ministra Spraw Zagranicznych, podobnie jak i nacisk Gestapo... Z Francji przysyła się ciągle ludzi bez przygotowania, tak że na 16 przechodzących przez zieloną granicę, tylko 4 dociera do Madrytu”⁴.

Jeden z oficerów, mających za zadanie dopilnowanie wewakuowania żołnierzy polskich z Francji do Anglii — mjr dypl. Adam Szydłowski — po uwięzieniu potem w Hiszpanii pisał w raporcie z 9 sierpnia 1941 do swojego b. dowódcy, gen. Bronisława Ducha: „Jak Pan Generał zapewne już wie, głównie dzięki

2. *Dziennik czynności Naczelnego Wodza*, czerwiec 1940, Załączniki, część druga, str. 298-299.

3. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/140.

4. Sygnatura: Hiszpania i Afryka Północna A.XII.22/44.

całkowitej nieudolności naszych władz zajmujących się organizacją ewakuacji z Francji, a także dzięki brakowi koordynacji w tej pracy między władzami we Francji i Hiszpanii, upłynęło bardzo dużo miesięcy niewykorzystanych niemal zupełnie, i co najgorsze — bez widoków poprawy rzeczy na przyszłość⁵”.

Brak było koordynacji nie tylko między odpowiedzialnymi za ewakuację Polaków we Francji i w Hiszpanii, ale nie uzgodniono nawet współpracy w samym Madrycie, o czym 3 czerwca 1941 pisał Jerzy Zagórski, kierownik placówki ewakuacyjnej w Madrycie, do gen. Tadeusza Klimeckiego, szefa Sztabu Naczelnego Wodza: „Chodzi mi głównie o wyjaśnienie dotyczące dwu zagadnień: 1. stanowiska i stosunku Poselstwa R.P. w Madrycie do Placówki ewakuacyjnej i 2. prowadzenia ewakuacji legalnej. Widzę dwa rozwiązania: albo Placówka ewakuacyjna i p. Poseł jako kierownik tej akcji bierze całą odpowiedzialność za wszystkie poczynania, a moje stanowisko ograniczałoby się do funkcji wykonawcy... albo Placówka ewakuacyjna jest zupełnie niezależna od Poselstwa, ale Poselstwo, jako instytucja legalna, służyć będzie za pokrywę wobec władz hiszpańskich i posiadać będzie ściśle określone normy współpracy i pomocy ewakuacji⁶”.

Kwestia ta nie została nigdy rozstrzygnięta, a była tym bardziej paląca, że kilka miesięcy wcześniej, w marcu 1941, został aresztowany w Madrycie ppor. Karol Orłowski, poprzedni kierownik placówki ewakuacyjnej, który działał bez poparcia Szumłakowskiego. Po siedmioletnim pobycie w więzieniu Orłowski został zwolniony, ale placówką ewakuacyjną nie mógł już kierować.

W następnym roku gen. Klimecki, pismem z dnia 13 lipca 1942, informował nasze Ministerstwo Spraw Wojskowych: „Zupełnie zrozumiałym jest, że Poseł R.P. w Madrycie nie chciał się angażować do jakiegokolwiek nielegalnej akcji, a taką jest niewątpliwie nielegalna ewakuacja. Trudno jednak wytłumaczyć sobie wręcz wrogie nastawienie p. Posła do akcji nielegalnej ewakuacji, do której p. Poseł usiłował się stale wtrącać i której starał się na każdym kroku zaszkodzić. Faktem jest, że nasi kierownicy placówek ewakuacji nielegalnej walczyli na terenie Hiszpanii z dwoma czynnikami, a mianowicie: policją hiszpańską i niestety własnym Posłem⁷”.

Od chwili upadku Francji sprawa ewakuacji nie była należycie postawiona, co też pociągnęło za sobą liczne ofiary, stosunkowo łatwe do uniknięcia przy odpowiedniej organizacji i więk-

5. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/140.

6. *Supra*, A.XII.22/44.

7. *Supra*, A.XII.4/154.

szej troskliwości o los żołnierzy rwących się do walki z wrogiem. Gen. Juliusz Kleeberg, odpowiedzialny za ewakuację we Francji po czerwcu 1940 roku, w raporcie do gen. Sikorskiego, wysłanym z Marsylii dnia 16 lutego 1941 roku, donosił: „... Drogę przez Hiszpanię kazałem zamknąć w początkach października wobec zupełnego braku współpracy naszych placówek po stronie hiszpańskiej. Kto próbował bowiem przejść tą drogą a komu szczęście nie sprzyjało, trafiał z reguły do hiszpańskich obozów, albo też bywał odrzucany do Francji czasami z Madrytu, a nawet i znad granicy Portugalii⁸”.

Problem polegał głównie na tym, żeby nie liczyć na „sprzyjające szczęście”, ale na własną organizację umiejętnie odgórnie kierowaną, czego właśnie było brak i co należało przede wszystkim do rządu polskiego w Londynie. Gen. Kazimierz Głabisz, oficer do zleceń Naczelnego Wodza w Londynie, informował gen. Izydora Modelskiego w piśmie z 5 września 1941 roku: „Ewakuacja z Francji została przez Naczelnego Wodza oficjalnie wstrzymana. Odbywa się tylko dzika ewakuacja... nasze czynniki ewakuacyjne we Francji (gen. Kleeberg) nad tą ewakuacją absolutnie nie panują. Ich próby oparcia jej na zasadach 'handlowych' bez wyjątku zawiodły i przysporzyły nam sporo trudności i wydatków⁹”. Innych jednak zasad nie wypracowano i ewakuacja pozostała „dzika”. Nie tylko zresztą ewakuacja...



W Hiszpanii Polacy dostali się do różnych więzień, ale najwięcej znajdowało się w Miranda de Ebro, obozie-więzieniu słynnym z ogromnie ciężkich warunków. Wiele pisano na temat Mirandy. Głos zabierali przeważnie b. internowani (bardziej odpowiedni jest termin: więźniowie), z goryczą wspominając ten makabryczny okres; niektórzy byli więzieni przeszło dwa lata. Głosy te są różne, w zależności od tego kiedy zostali osądzeni, bo warunki się zmieniały, no i jak długo tam siedzieli. Pomimo dość licznych relacji, ciągle brak spokojnego i wszechstronnego opracowania dziejów Mirandy, bezpośrednio i nierozzerwalnie związanych z poselstwem R.P. w Madrycie i działalnością Polaków w Hiszpanii podczas drugiej wojny światowej.

Obóz w Miranda de Ebro powstał w czasie wojny domowej i służył wtedy za koszary dla cudzoziemskich oddziałów, walczących po stronie gen. Franco. Składał się z 25 prymitywnych

8. Zob. Kolekcja gen. Juliusza Kleeberga, dowódcy W.P. we Francji. Sygnatura: A.IV.37/1.

9. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/140.

baraków i był przewidziany na około 1.500 żołnierzy, ale liczba internowanych w Mirandzie, na przełomie lat 1942/43, sięgała 4.000 osób. Pierwsi przekroczyli granicę francusko-hiszpańską w czerwcu 1940¹⁰. Później dostali się tam Anglicy, Kanadyjczycy, Belgowie, Czesi, Holendrzy i Żydzi różnej narodowości, których stan znacznie się zwiększył po zajęciu przez Niemców, w listopadzie 1942, tzw. wolnej strefy Francji.

Najliczniejszą w Mirandzie była grupa Polaków, która liczyła 700 żołnierzy. W lecie 1942 roku mjr Michał Borajkiewicz, naczelny lekarz 2-go p.p. 1-ej Dywizji Grenadierów z okresu walk we Francji w 1940 roku, aresztowany przez Hiszpanów, dostał się do obozu w Mirandzie, skąd po sześciu tygodniach został zwolniony dzięki interwencji ambasady brytyjskiej w Madrycie, gdyż podał się za Kanadyjczyka, tak jak to udawało się zrobić niektórym Polakom. Po wydostaniu się z Hiszpanii napisał sprawozdanie z datą 8 września 1942 z trafnym, wydaje się, ujęciem problemów, z którego teraz tutaj korzystam. Grupa polska w obozie Miranda „nadaje ton i charakter całemu obozowi nie dlatego, że jest najliczniejsza, lecz przez swe indywidualne oblicze i wyróżniającą się, doskonałą sylwetkę żołnierską i kondycję fizyczną”. Polacy wykazali nadzwyczajny talent twórczy, z byle czego potrafili zrobić piecyki ogrzewające, Kuchenki, pryszniczki itp., wyróżniali się umiejętnością w przystosowaniu się do szczególnie trudnych warunków obozowych. Dlatego też „wszystkie inne grupy międzynarodowe, a nawet sami Hiszpanie — straż obozowa — uznają supremację grupy polskiej i z nią się liczą”.

Widziana z zewnątrz postawa ich, spokojna i godna — pisze dalej mjr Borajkiewicz — charakteryzuje się twardą wolą przetrwania i stoicyzmem, i każdemu obserwatorowi nakazuje „uchylenie czoła z uznaniem i szacunkiem”. Od strony życia wewnętrznego grupa polska przedstawia się stanowczo inaczej: „Jest chora i to bardzo poważnie. Nie na kapryśną nostalgię, lecz przechodzi głęboki kryzys moralny. Głębokie rysy zaznaczają się na jej strukturze wewnętrznej, naruszając dyscyplinę wewnętrzną i spójność grupy, która zachowuje taką maskę jednolitą na zewnątrz”. Mjr Borajkiewicz podkreśla, że w znakomitej większości są to żołnierze bardzo wartościowi. Losu ich nie można porównywać do jeńców wojennych, inna jest bowiem „psychologia Miranczyków niż naszych żołnierzy w niewoli niemieckiej. Ci ostatni rozumieją, że działa tutaj siła wyższa, wobec której nie możemy nic zdziałać. Los ich jest ściśle zwią-

10. Według raportu Zbigniewa Skolimowskiego z 11 listopada 1940. Zob. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/140.

zany z losami wojny. Inaczej myślą i czują w Mirandzie. Sądzą oni, że ich bezterminowe więzienie za drutami obozu nie jest prawnie uzasadnione. Że mogą i powinni być, choćby powoli i częściowo, z obozu zwalniani, jeno na to trzeba mocnej i stanowczej interwencji naszych władz... Żal żołnierzy polskich w Mirandzie do p. Szumlakowskiego w Madrycie jest tak spontaniczny i powszechny, że musi mieć jakieś swoje uzasadnienie¹¹”.

Oburzenie na Szumlakowskiego, bezpośrednio odpowiedzialnego za zaniedbanie więźniów w Mirandzie, było uzasadnione, ale w rzeczywistości główną winę ponosiły nasze władze w Londynie, które o wszystkim wiedziały i które nie zajęły stanowiska, jakie należało zająć wobec Szumlakowskiego i wobec Hiszpanów. Pomimo wpływów niemieckich w Hiszpanii, chodziło przecież o kraj przyjaźnie do Polski ustosunkowany, gdzie przy dobrych chęciach i zdecydowanej postawie można było wiele zrobić.

Oprócz indywidualnych raportów przekazanych z Mirandy do Londynu, wysłano do gen. Sikorskiego kilka zbiorowych listów, podpisanych przez kilkudziesięciu oficerów. W jednym z nich, z dnia 3 sierpnia 1941, autorzy pisali: „... Parę miesięcy nikt nas tutaj nie odwiedzał. W tym samym czasie przedstawiciele konsulatów innych narodów odwiedzali tak jak dziś, regularnie co tydzień swoich obywateli, dostarczając każdorazowo (np. Anglicy i inni) obfite paczki z żywnością... Wywołuje to uczucie głębokiego wstydu, gorczy i upokorzenia wśród żołnierzy, które potęguje pełne zdziwienia zapytanie Anglików i innych: 'Dlaczego nikt wami się nie opiekuje' ... Wyślemy ten meldunek w kilku egzemplarzach i kilku drogami, adresując wprost do Pana Generała, do Rady Narodowej i Rządu polskiego”. Dalej mowa jest o wysłaniu dawniej listów zbiorowych do gen. Ducha, gen. Maczka i gen. Bohusza-Szyszko z podkreśleniem, iż „wiemy że listy te dotarły, gdyż odpowiedziano nam na nie przed kilku miesiącami słowami otuchy i przyrzeczeniem pomocy¹²”.

Ograniczono się do słów otuchy, co sytuacji nie zmieniło. Gorycz Miranczyków zwiększała się wraz ze zwiększającą się liczbą osób innych narodowości opuszczających obóz. Pisali o tym nasi więźniowie w następnym liście zbiorowym do gen. Sikorskiego, z dnia 1 stycznia 1942 roku: „Anglicy i Kanadyjczycy regularnie wyciągają swoich obywateli, robią to nawet Belgowie¹³. Kilka miesięcy później, w sprawozdaniu z 11 listopada

11. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/156.

12. *Supra*. Sygnatura: A.XII.4/154.

13. *Supra*.

1942, oficer któremu udało się uciec z Mirandy pisał: „... Niektórzy siedzą w obozie już 3-ci rok. Sytuacji ich nie można porównywać do sytuacji ich kolegów, siedzących w niewoli, gdyż tamci wiedzą, że są u wroga, ci natomiast w Mirandzie przekonani są, że padli ofiarą niedołęstwa, czy też fałszywej ambicji, lub rozgrywki partyjnej niektórych osobistości naszych władz. Widzą oni, że wszyscy uchodźcy innych narodów (aliantów) po krótkim pobycie wyjeżdżają z Mirandy. Wyjeżdżają Anglicy, Kanadyjczycy, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Grecy itd., tylko niestety nigdy nie Polacy¹⁴”.

Trudno się przeto dziwić — jak pisał w cytowanym już raporcie jeden z komendantów grupy polskiej w Mirandzie, mjr A. Szydłowski — a nie był on w swojej opinii odosobniony — że jeśli nie można zmienić postą w Madrycie, „jeśli nie można mu rozkazać, jeśli nie można mu dać kogoś energicznego zaopatrzonego w odpowiednie pełnomocnictwo, kto da sobie z nim radę, to może lepiej będzie przekazać nasz los w ręce kogoś obcego: Anglików, czy Amerykanów¹⁵”.

W dniu 6 stycznia 1943 wybuchł w Mirandzie strajk głodowy. Warunki w obozie były już nie do zniesienia i w ten przynajmniej sposób postanowiono zaprotestować przed światem i wytrwać do osiągnięcia celu. Kierownictwo strajku objęła grupa polska, „której wszystkie narodowości zaufały, gdyż wierzyły, że Polacy nie załamią się” — jak to pisał później w swoim raporcie kpt. Jan Józef Sochacki, odpowiedzialny za prowadzenie akcji głodówki. Tak się też stało. Głodówka trwała siedem i pół dnia i w jej wyniku obiecano i słowa dotrzymano, że wszyscy będą zwolnieni¹⁶.

Telegramem z dnia 31 marca 1943, wysłanym z Madrytu, poinformowano rząd polski w Londynie, że wszyscy Polacy i Francuzi zostali z obozu Mirandy zwolnieni i przewiezieni do stolicy Hiszpanii w oczekiwaniu na dalszą ewakuację¹⁷. Kilka miesięcy później b. komendant grupy polskiej w Mirandzie, inż. Jan Lang, w raporcie z 2 lipca 1943 stwierdził, że uwięzionych w Mirandzie Hiszpanie zwolnili „na skutek wypadków politycznych przede wszystkim, potem na skutek nienagannej opinii — nawet pewnego rodzaju podziwu — jaki sobie Polacy w obozie umieli wyrobić u nich i na skutek strajku, organizowa-

14. Sprawozdanie por. Władysława Parylaka. Zob. Akta Władz Naczelnych A.XII.4/169.

15. Akta Władz Naczelnych A.XII.4/140.

16. Zob. raport kpt. Jana Józefa Sochackiego, z 15 stycznia 1943, do gen. Bronisława Ducha w Londynie. Sygnatura: 1-sza Dywizja Grenadierów A.IV.10/13.

17. Zob. Sygnatura: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych A.9.VI.10/1.

nego i kierowanego przez Polaków¹⁸”. Do likwidacji Mirandy przyczyniła się również interwencja Watykanu, który na prośbę naszego amb. Papée i za pośrednictwem nuncjusza Gaetano Cicognani w Madrycie, interweniował u rządu hiszpańskiego¹⁹.

W archiwach francuskich znajduje się teczka zawierająca kilkaset listów dziękczynnych, jakie otrzymała Angielka Miss Freda Moore od internowanych z Mirandy. Przy ambasadzie brytyjskiej w Madrycie istniała specjalna sekcja, która opiekowała się internowanymi w Mirandzie. Oprócz tej sekcji, dużą inicjatywę pomocy Francuzom i Polakom wykazała Miss Moor, sekretarka tej ambasady. Tych listów jest, jak wspomniałem, kilkaset. Wśród nich znajdują się też listy od Polaków. Oto parę przykładów, podpisy nie zawsze są czytelne i ograniczam się do przytoczenia kilku zdań, bez podawania nazwisk: „Przesyłamy dużo wdzięczności za okazaną opiekę”. „Naszej miłej i sympatycznej przyjaciółce angielskiej”. „Przyjaciółce Polaków-tułaczy Miss Moore z wdzięcznością”. „Wyrazy głębokiej wdzięczności dla Miss Moore — od ostatniej grupy Polaków z Miranda de Ebro²⁰”.

Jakże jaskrawy kontrast między serdecznymi słowami podziękowania Angielce i złorzeczeniami oraz skargami Polaków pod adresem swoich władz w Madrycie i w Londynie. Nigdzie w naszych archiwach nie spotkałem najmniejszego śladu wyrażonej przez Polaków z Mirandy wdzięczności dla własnych rodaków, a to przypuszczalnie z bardzo prostej przyczyny: nie mieli zapewne żadnego powodu do wdzięczności.

W styczniu 1942 roku hiszpański minister Spraw Zagranicznych, Serrano Suner, zwolennik germanofilskiej polityki, pod naciskiem ambasady niemieckiej nakazał zamknięcie biur poselstwa R.P. w Madrycie. Ministrowi Szumlakowskiemu pozostawiono jednak status dyplomatyczny. Szumlakowski miał przekazać opiekę nad obywatelami polskimi ambasadzie Chile, ale nigdy do tego nie doszło. Opiekę przejął częściowo PCK, co też nie było najlepszym rozwiązaniem. Jeden z więźniów Mirandy, lekarz batalionu saperów 1-szej Dywizji w kampanii francuskiej, który zwolniony po dwuletnim pobycie w obozie pisał w memoriale z dnia 22 września 1942 roku: „Tak przykre

18. Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/169.

19. Zob. Ks. Antoni Liedtke, „Dyplomacja watykańska a Polacy internowani w Hiszpanii podczas wojny” w *Więzi* nr luty-marzec 1979, Warszawa, str. 145-151

20. Archives Nationales, Paryż, Sygnatura: 72AJ 279.

dla każdego patrioty zniesienie Poselstwa R.P. w Madrycie zostało przyjęte w Mirandzie z największym uczuciem zadowolenia. Nareszcie — tak sobie mówiono w obozie — sprawa Mirandy dostanie się w ręce obcych władz, które na pewno okażą więcej zrozumienia dla położenia internowanych i umiejętniej podejną do kwestii ich zwolnienia²¹”.

Jesienią 1942 roku Suner ustąpił i ministrem Spraw Zagranicznych został generał Jordana, który zajmował już to stanowisko w latach 1936-1939. Minister Jordana był przeciwny polityce germanofilskiej swojego poprzednika, co otwierało przed rządem polskim w Londynie nowe możliwości działania, których niestety znowu nie wykorzystano.

Szumlakowski, oficjalnie nie uznawany, był tolerowany i w dalszym ciągu urzędował. W cytowanym już na innym miejscu piśmie do ministra Spraw Wojskowych z dnia 13 lipca 1942 roku²² gen. Klimecki twierdził, że „zapowiedziana likwidacja Poselstwa R.P. w Madrycie spowodowała usunięcie stamtąd wszystkich tych osób, które mogły być niewygodne ministrowi Szumlakowskiemu, ponieważ teren hiszpański był im znany i mogły one naświetlić różnego rodzaju zagadnienia (a więc i sprawę Mirandy) ze swego punktu widzenia, który niekoniecznie musiał się pokrywać, i na ogół nie pokrywał się, z punktem widzenia ministra Szumlakowskiego. Faktem jest również, że sprawa likwidacji Poselstwa ucihła bezpośrednio po usunięciu z Madrytu wyżej wspomnianych osób”.

Odnosnie zmiany posła, to w tym samym piśmie gen. Klimecki podawał do wiadomości „że sprawa pozostawienia w Madrycie ministra Szumlakowskiego była sugerowana naszemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych przez *Foreign Office* na podstawie sugestji ambasadora (brytyjskiego) Hoare'a”. Kilka miesięcy później gen. Marian Kukiel, minister Obrony Narodowej, pismem z 27 stycznia 1943 prosił Edwarda Raczyńskiego — który sprawował wówczas funkcję ministra Spraw Zagranicznych — „o rozważenie możliwie szybkiego wycofania ministra Szumlakowskiego z terenu Hiszpanii²³”.

W międzyczasie, jak pisał w raporcie A. Ribeirrinho²⁴, wysłanym z Madrytu do Londynu, dnia 15 kwietnia 1943, w stosunkach polsko-hiszpańskich zaszła dodatnia zmiana, do której

21. Dr Norbert Fethke, Sygnatura: Akta Władz Naczelnych A.XII.4/156.

22. Patrz odnośnik nr 7.

23. Akta Władz Naczelnych A.XII.4/169.

24. Nie udało mi się zidentyfikować autora tego raportu i nie wiem, czy Ribeirrinho to pseudonim urzędnika z poselstwa RP w Madrycie; jeżeli tak, to być może E. Kobyleckiego, czy też chodziło o kogoś z konsulów honorowych — tylko tacy byli w Hiszpanii.

„przyczyniło się bez wątpienia zaostrenie stosunków polsko-sowieckich. Cała prasa hiszpańska poświęca zagadnieniu polsko-sowieckiemu bardzo dużo miejsca, oświadczając się z całą sympatią po stronie Polski. Nadarza się więc dobra koniunktura, aby wykorzystać ideową wspólną platformę politycznej, której hasłami są przede wszystkim katolicyzm i antykomunizm, tj. najczulsze strony obecnej Hiszpanii”.

Po zwróceniu uwagi na „dyplomatyczne niedołęstwo” Szumłakowskiego, autor raportu precyzuje, że pomyślna obecnie koniunktura „w ponownym nawiązaniu stosunków polko-hiszpańskich może być skuteczniejsza przez nowego przedstawiciela Rządu, wyposażonego w ministerialne pełnomocnictwa, a przede wszystkim uniezależnionego od Szumłakowskiego... Nowy pełnomocnik naszego Rządu ma doskonałą sposobność do nawiązania kontaktu z Rządem hiszpańskim przez złożenie oficjalnej dziękczynnej wizyty za zwolnienie polskiej Mirandy, co bezwzględnie zrobiłoby jak najlepsze wrażenie w sferach rządowych, tym bardziej gdyby jeszcze nasz przedstawiciel udekorował z ramienia Rządu pewne wpływowe osoby polskimi odznaczeniami, na które są bardzo łasi Hiszpanie²⁵”.

Dnia 30 czerwca 1943 ten sam autor wysłał do Londynu następny raport, gdzie pisał: „Chcąc zyskać na czasie i wzmocnić swe zachwiane stanowisko (wobec rządu polskiego — T.W.), p. Szumłakowski zwrócił się o poparcie do cudzoziemców, a mianowicie do ambasadora Wielkiej Brytanii Samuela Hoare, nuncjusza Gaetano Cicognani i do wyższych urzędników M.S.Z. hiszpańskiego. Amb. Hoare prosił o obronę przed Rządem naszym w Londynie; przed nuncjuszem zgrywał się jako wielki katolik, będący przez to w niełasce Rządu polskiego... Co zaś się tyczy Hiszpanów to zapewniał ich, że obecny Rząd polski, jako zdradzający tendencje probolszewickie i antykatolickie — jest Rządem sezonowym, natomiast on Szumłakowski reprezentuje politykę przedwojennej Polski oraz Polski, która powstanie... Przebiegła gra p. Szumłakowskiego, którą odroczył swe faktyczne odwołanie, znajduje widocznie poparcie niektórych wpływowych czynników w Rządzie... Powaga sytuacji wymaga, aby Rząd jak najprędzej mianował na stanowisko posła w Madrycie fachowego dyplomaty, człowieka starszego i doświadczonego, arystokratę o szerokich horyzontach politycznych...²⁶”.

Odwołanie Szumłakowskiego nastąpiło kilka miesięcy później i jak informował pismem z 27 września 1943 Tadeusz Romer, minister Spraw Zagranicznych, gen. Kukieła „...wobec

25. Sygnatura: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych A.9.VI.10/1

26. *Supra*.

zmiany sytuacji politycznej, postanowiłem ministra Szumlakowskiego odwołać z dniem 30 września 1943 roku ze stanowiska Posła w Madrycie. Odnosny dekret został już przez Pana Prezydenta R.P. podpisany. Sprawa wysłania do Madrytu następcy po p. Szumlakowskim jest przedmiotem rozmów z czynnikami hiszpańskimi²⁷”.

Przed mianowaniem następcy na stanowisko posła Władysław Radziwiłł był wyznaczony, jako delegat ministra Spraw Zagranicznych, do przejęcia akt, inwentarza i uporządkowania stosunków w poselstwie. A był to już okres, o czym pisał E. Kobyłecki, sekretarz poselstwa, kiedy od listopada 1943 roku „drogą faktów Poselstwo zostało przez Hiszpanów na nowo uznane. Uznanie to dotyczy wszystkich innych przedstawicieli państw okupowanych, jako konsekwencja powrotu Hiszpanii od polityki *non-belligerance* do neutralności²⁸”.

Szumlakowski odmówił przekazania Radziwiłłowi poselstwa i nie doszło nawet między nimi do kurtuazyjnej rozmowy, która ułatwiłaby wyjaśnienie sytuacji. Spotkanie, jakie miało miejsce dnia 20 grudnia 1943 roku skończyło się na kłótni i na wypychaniu się z lokalu Poselstwa. W piśmie z 27 grudnia do Kobyłeckiego, z odpisem do Ministra Spraw Zagranicznych w Londynie, Szumlakowski potwierdził, że „do chwili zaistnienia możliwości przekazania formalnego spraw Poselstwa R.P. w Madrycie mojemu następcy, pełnić będę funkcję kierownika Poselstwa²⁹”.

Bezpośrednim tego następstwem był problem odbioru poczty dyplomatycznej z ambasady brytyjskiej w Madrycie, która ją otrzymywała przez kuriera z Lizbony i przekazywała naszemu Poselstwu. Poczta tę odbierał upoważniony przez Szumlakowskiego urzędnik Poselstwa G. Findeisen i wydania jej odmówiono przedstawicielowi Radziwiłła. W związku z tym Radziwiłł wraz z Kobyłeckim złożyli dnia 22 grudnia 1943 wizytę ministrowi Yenkenowi, radcy ambasady brytyjskiej, celem poinformowania ambasady o zmianach personalnych w Poselstwie. W raporcie z tej wizyty Radziwiłł donosił: „Yenken wyraził zdziwienie, decyzja Rządu polskiego co do osoby Szumlakowskiego zaskoczyła go bardzo i uważa, że moment na tego rodzaju zmiany jest nieodpowiedni. P. Yenken uzalał się przy tym, że przecież zatrzymanie ministra i Poselstwa w Hiszpanii

27. Sygnatura: Akta Władz Naczelných A.XII.4/169.

28. Zob. Raport Eugeniusza Kobyłeckiego z 8 stycznia 1944 roku do ministra Spraw Zagranicznych w Londynie. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.599/2.

29. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.599/2.

było wyłącznie jego zasługą, jako rezultat ciężkich rozmów z ówczesnym ministrem Spraw Zagranicznych Serrano Sunerem, który ministra polskiego chciał usunąć w ciągu 14 dni, co udało mu się przedłużyć do 28 i wreszcie bronić pobytu przedstawicielstwa polskiego, aż do chwili zubożenia władz hiszpańskich. Wspominał również, że Anglikom chodziło o utrzymanie prestiżu Polski przez podtrzymanie najlepszej opinii o jej przedstawicielach³⁰.

W sprawozdaniu za czas od 20.XII.1943 do 4.I.1944 Radziwiłł pisał, że podczas wizyty Kobyłeckiego u Baraibara, wicedyrektora Departamentu Europejskiego w hiszpańskim M.S.Z., Kobyłecki zapytał „czy władze hiszpańskie byłyby skłonne dopomóc nam w objęciu inwentarza Poselstwa, bezprawnie zatrzymanego przez Szumlakowskiego i p. Baraibar odparł że tak, o ile Ambasador hiszpański w Londynie zażądałby dla nas takiej pomocy w imieniu Rządu polskiego³¹”. Cztery miesiące później przedstawiciel „Wolnej Francji” w Hiszpanii pisał w swoim raporcie: „Widowisko tych kłótni między Polakami nie pomaga sprawie ich kraju...³²”.

W archiwach po ambasadzie R.P. w Londynie znajduje się projekt telegramu (maszynopis, bez daty) ambasadora E. Raczyńskiego do S. Hoare, ambasadora brytyjskiego w Madrycie. Z uwagi na to, że nie ma innej kopii tego telegramu, został on prawdopodobnie nadany do Madrytu, tak jak brzmiał w projekcie. Oto treść tej depechy z małymi skrótami: „Od tutejszej Ambasady hiszpańskiej dowiaduję się że p. Szumlakowski w czasie wizyty u ministra Jordana w dniu 24 grudnia ub.r. (1943) oświadczył, iż nie ustąpi ze swego stanowiska póki rząd hiszpański nie przyjmie nowego posła polskiego, któremu jedynie mógłby zdać urządowanie... Byłbym wdzięczny Panu Ambasadorowi za podkreślenie w stosunku do hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych nieodwołalności decyzji Rządu polskiego w sprawie p. Szumlakowskiego. Byłbym również wdzięczny Panu Ambasadorowi za danie do zrozumienia p. Szumlakowskiemu, iż jedynym wyjściem dlań z obecnej sytuacji jest ściśle podporządkowanie się decyzjom swej władzy przełożonej, a w szczególności wydanie bezzwłoczne, wyznaczonej przez ministra Spraw Zagranicznych w tym celu osobie, tj. ks. Radziwiłłowi, dokumentów i funduszków Poselstwa... Aczkolwiek Rząd polski przy-

30. Telefonogram nr 3 z dnia 22 grudnia 1943. Sygnatura: *supra*.

31. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.599/2.

32. Zob. „Przedstawiciel 'Wolnej Francji' w Hiszpanii o zmianach w poselstwie polskim w Madrycie w 1944 roku” w *Zeszytach Historycznych* nr 84, str. 217-221.

kłada wielką wagę do szybkiego uregulowania swych stosunków z Hiszpanią — nie uzależniał on sprawy odwołania p. Szumlakowskiego od przyjęcia natychmiast przez rząd hiszpański następcy... Nadmieniam, iż uprawnionymi do odbioru poczty adresowanej do Poselstwa polskiego w Madrycie, a przysyłanej do Ambasady brytyjskiej, są ks. Radziwiłł i p. Kobyłecki³³”.

I pomyśleć, że w tym samym czasie — a było to przecież już po konferencji w Teheranie — rozstrzygały się losy Polski, bez udziału Polaków, którzy nawet w tak drobnej sprawie, jak poselstwo w Madrycie, nie potrafili sobie dać rady i uciekali się do pomocy obcych!

Z kolei w Hiszpanii W. Radziwiłł, delegat ministra Spraw Zagranicznych, pisze w raporcie z 18 stycznia 1944: „W dniu wczorajszym złożyłem wizytę ambasadorowi Stanów Zjednoczonych w Madrycie, któremu wskazałem na trudności przejścia agend Poselstwa, spowodowane stanowiskiem i zachowaniem się p. Szumlakowskiego. Ambasador z własnej inicjatywy oświadczył, że skłonny jest, po uzyskaniu pozwolenia od swych władz, interweniować w tej sprawie w hiszpańskim M.S.Z. i prosił, abym dał mu odpowiednią notatkę”.

W tym samym raporcie Radziwiłł informuje (o czym pisał już 8 stycznia 1944) o „moralnym i materialnym popieraniu p. Szumlakowskiego w jego rebelijnym stanowisku wobec Rządu R.P. przez Oddział II, a wyraźniej przez Oddział II w Lizbonie, który przez swych agentów w Madrycie wyraźnie podtrzymuje stanowisko p. Szumlakowskiego³⁴”. O roli wywiadu pisał również E. Kobyłecki we wspomnianym już raporcie z 8 stycznia 1944 roku: „Jedną z głównych przyczyn oporu Szumlakowskiego przeciw podporządkowaniu się poleceniom Rządu w naszym pojęciu jest fakt, że czuje on za sobą poparcie kierownika ekspozytury Oddziału II w Lizbonie, oraz jego personelu na tutejszym terenie. Także tutejszy przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych okazuje Szumlakowskiemu przychyłność i utrzymuje z nim stały kontakt³⁵”.

W odpowiedzi Radziwiłłowi na jego raporty odnośnie Oddziału II płk dypl. Stanisław Gano, szef Oddziału II przy Sztapie Naczelnego Wodza, powiadomił Radziwiłła pismem z dnia 19 stycznia 1944, że „za zachowanie się p. Bratkowskiego (przedstawiciel Ekspozytury Oddziału II w Madrycie — T.W.) i Findeisena w Madrycie w stosunku do osoby p. Szumlakowskiego ponosi odpowiedzialność mój przedstawiciel w Lizbonie

33. Sygnatura: Archiwum Ambasady R.P. w Londynie A.12.49/10.

34. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.599/2.

35. Patrz odnośnik nr 28.

płk dypl. Stanisław Kara, w stosunku do którego wyciągnę konsekwencje służbowe. Z p. Findeisenem poleciłem płk. dypl. Karze zerwać kontakt służbowy, zaś p. Bratkowskiemu kontaktowania się z p. Szumłakowskim. Pana Ministra (Radziwiłła) proszę o okazanie p. Bratkowskiemu pomocy w zakresie służby, którą ja reprezentuję³⁶”.

Można przypuszczać, iż poruszenie roli wywiadu w sprawie Poselstwa R.P. w Madrycie spowodowało to, że minister Tadeusz Romer pismem z 25 stycznia powiadomił Szumłakowskiego, że przenosi go „za zgodą Pana Prezesa Rady Ministrów w stan nieczynny z dniem 1 lutego 1944 roku³⁷”. Poprzednio, o czym była mowa, Szumłakowski został odwołany, z datą 30 września 1943, ze stanowiska posła R.P. w Madrycie, tym razem chodziło o przeniesienie w stan spoczynku. W tym samym czasie Kobyłecki, mianowany *chargé d'affaires*, miał przejąć od Szumłakowskiego agendy Poselstwa, gdyż obarczony wcześniej tą misją W. Radziwiłł nie zdołał tego osiągnąć. Z podobnymi zresztą trudnościami spotkał się również Kobyłecki.

Sytuację w Madrycie dość dobrze odzwierciedlają dane zawarte w piśmie, jakie wysłał dnia 11 marca 1944 do rządu polskiego w Londynie Tadeusz Nowak z placówki ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Lizbonie. T. Nowak sporządził, jak sam określił, „notatkę” na dwu stronach maszynopisu, opierając się na informacjach otrzymanych „od świeżo przybyłego z Madrytu p. Makowa. Sądzę — pisze dalej Nowak — że opinię p. Makowa traktować można jako mniej więcej niezależną, biorąc pod uwagę jego niezależną sytuację materialną na terenie Hiszpanii. Dodatkowo informuję, że p. Makow jest znany w Wydziale Kontynentalnym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych³⁸”.

Przytaczam teraz najważniejsze ustępy ze sprawozdawczej notatki, o której mowa: „Stosunki hiszpańskie są obrazem godnym pożałowania, kompromitują Rząd polski w oczach zarówno Hiszpanów jak też Anglików i Amerykanów... Osobiście wiem od amerykańskiego przedstawiciela b. poważnej organizacji wywiadu wojennego, że tolerowanie p. Szumłakowskiego jako posła R.P. jest nie tylko skandaliczne, lecz przeszkodą uniemożliwiającą jakąkolwiek szerszą współpracę polsko-aliancką na terenie Hiszpanii... W Madrycie jest powszechnie wiadomo, że p. Szumłakowski jest w niełasce Rządu polskiego. Fakt ten tłumaczy on okolicznością, że on jako wróg Rosji poróżnił się swego czasu z M.S.Z. na temat jego polityki, a w szczególności jego

36. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.599/2.

37. *Supra*.

38. Sygnatura: Akta Prezesa Rady Ministrów (PRM) 124, str. 41.

negatywny stosunek do podpisanego w lipcu 1941 roku paktu z Rosją wzbudził w Rządzie polskim wielką nieufność do niego. Hiszpanie naturalnie wolą mieć p. Szumłakowskiego jako kierownika Poselstwa niż kogoś innego. P. Szumłakowski jest dla nich wygodny, niczego od nich nie wymaga, z wyjątkiem jednej rzeczy, a mianowicie: by Hiszpanie za wszelką cenę nie zgodzili się na nowego posła”.

„Powierzona przed dwoma miesiącami ks. Radziwiłłowi misja uporządkowania stosunków w naszym madryckim poselstwie zakończyła się fiaskiem... Gdy Radziwiłł radykalnie biorąc się do wykonywania pełnomocnictw opieczętował urzędowe pokoje, p. Szumłakowski uznał za najbardziej odpowiedzialne i właściwe wywiesić na zewnątrz Poselstwa tabliczkę z napisem: 'Poselstwo zamknięte — wstęp wzbroniony'... Gdy p. Babiński był w drodze z Madrytu, zdawało się, że on ostatecznie madrycki wrzód przetnie (chodzi o misję, jeszcze jedną, ministra pełnomocnego Wacława Babińskiego, o którym będzie mowa — T.W.)... P. Babiński przyjechał do Lizbony 9 marca 1944 i tego samego dnia miał rozmowę telefoniczną z radcą Poselstwa w Madrycie p. Kobyłeckim. Z treścią tej rozmowy miałem możliwość zapoznać się. Kobyłecki zakomunikował w niej, że po wyjeździe p. Babińskiego (z Madrytu?) przyszła depesza od ministra Romera upoważniająca Babińskiego do pozostawienia naszego Poselstwa w Madrycie, więc i Szumłakowskiego, w dotychczasowym położeniu, w wypadku gdy Szumłakowski zgodzi się na postawione przez Babińskiego warunki (jakie, nie wiem) — może nie wykonywać dekretu min. Romera ze stycznia br., przenoszącego p. Szumłakowskiego na emeryturę. Według niezależnej opinii polskiej w Madrycie takie ciągłe wahanie się, czy przeciąć wrzód, czy lepiej też będzie zostawić go w spokoju, jest po prostu niewytłumaczalne skoro się zważy, że M.S.Z.-owi chodzi rzeczywiście o oczyszczenie madryckiej atmosfery. Krążą pogłoski, nie wiadomo czy złośliwe, że p. Szumłakowskiemu nikt niczego złego nie może zrobić, bo podobno ma taki 'notatnik', w którym najdokładniej w świecie opisane są grzechy wszystkich kolegów w M.S.Z.³⁹ Obawa przed ujawnieniem tych grzechów ma nawet działać na najwyższe czynniki w M.S.Z.⁴⁰”.

Wynikiem misji Wacława Babińskiego było przejęcie agend Poselstwa, po czym Babiński wystosował, z datą 7 marca 1944,

39. Warto przypomnieć, że na początku lat trzydziestych Szumłakowski był szefem gabinetu Augusta Zaleskiego, ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych.

40. Sygnatura: Akta Prezesa Rady Ministrów 124, str. 42-43.

następujący list do Szumlakowskiego: „Przyjmując agendy Poselstwa R.P. w Madrycie od Pana Ministra niniejszym stwierdzam, że Pan zastosował się całkowicie i wykonał wszystkie zarządzenia wydane w imieniu Pana Ministra Spraw Zagranicznych przeze mnie jako Jego Delegata. Jednocześnie zawiadamiam pana, iż wystąpiłem z telegraficznym wnioskiem do Pana Ministra Spraw Zagranicznych o powołanie Pana do służby czynnej⁴¹”.

W obszernym liście, z dnia 10 marca 1944, do ministra Tadeusza Romera, Kobyłecki zaznacza, że o przyjeździe Babińskiego do Madrytu „dowiedzieliśmy się najpierw z hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych”. Następnie pisze: „Babiński oświadczył mi, że usunięcie mnie z tego terenu (Hiszpanii) jest warunkiem, postawionym przez p. Szumlakowskiego w pertraktacjach (z nim)... Jako ogólną tezę postawił p. Minister Babecki, że nikt na tym terenie nie może pozostać z dawnych współpracowników p. Szumlakowskiego”. Z dużą goryczą stwierdza Kobyłański, że „spełnienie warunków p. Szumlakowskiego, do których należy zaliczyć również wydanie na piśmie absolutorium b. Posłowi (chodzi o wyżej przytoczony list Babińskiego do Szumlakowskiego — T.W.) przy jednoczesnym zahaczeniu moralności i uczciwości pozostałych urzędników, choć ci nigdy nie byli i nie będą nielojalni wobec władz polskich, naprowadza na myśl spełnienie nieznaney nam racji stanu, która usprawiedliwiłaby wobec sumienia obywatela polskiego rażące kontrasty między nielojalnością wysokiego urzędnika, a daleko idącą pobłażliwością i spełnieniem warunków ze strony Rządu wobec jego osoby⁴²”. W liście tym Kobyłecki prosił o dymisję ze służby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Poselstwo R.P. w Madrycie przejął oficjalnie Józef Potocki, który nie bez trudności z otrzymaniem wizy hiszpańskiej — przyjechał do Lizbony w charakterze *chargé d'affaires*. W protokole zdawczo-odbiorczym z podpisami Potockiego i Kobyleckiego potwierdzono: „W dniu 12 czerwca 1944 roku p. Józef Potocki, minister pełnomocny R.P., przejął od p. Eugeniusza Kobyleckiego, sekretarza Poselstwa R.P. kasę, archiwum, inwentarz i inną własność skarbową, należącą do Poselstwa R.P. w Madrycie, a przejętą od b. posła R.P. w Madrycie, p. Mariana Szumlakowskiego⁴³”.

Formalności przejęcia Poselstwa nie zakończyły konfliktu między Szumlakowskim i nowym posłem Józefem Potockim,

41. Sygnatura: Poselstwo R.P. w Madrycie A.45.474/14.

42. *Supra*, sygnatura: A.45.599/2.

43. Protokoły zdawczo-odbiorcze. Poselstwo R.P. w Madrycie. Sygnatura: A.45.441/1.

nieoficjalnie uznanym przez Hiszpanów jako *chargé d'affaires*. Poselstwo funkcjonowało pół-oficjalnie, tak było do końca jego istnienia. Pod tym względem Szumlakowski górował nad Potockim, przypominając na każdym kroku, że był ostatnim posłem, który jeszcze przed wojną złożył listy uwierzytelniające rządowi gen. Franco w imieniu suwerennego państwa polskiego, podczas gdy Potocki był uważany za reprezentanta władz polskich na uchodźstwie.

W latach pięćdziesiątych konflikt tych obu ministrów odzwierciedlał rozdzielenie politycznego kierownictwa emigracji: Potocki reprezentował tzw. Radę Trzech, złożoną z gen. Andersa, T. Arciszewskiego i amb. E. Raczyńskiego, a Szumlakowski rząd Augusta Zaleskiego. Możliwości Poselstwa R.P. w Madrycie, pomimo formy w jakiej istniało, były duże, zwłaszcza z uwagi na ogólną sympatię Hiszpanów do Polski. Niestety możliwości tych nie wykorzystano i niejednokrotnie większość energii poświęcano na wzajemne zwalczanie się, robiąc ze sprawy polskiej widowisko dla cudzoziemców i zamieszanie w środowisku tamtejszej emigracji.

Bardzo ubogi jest materiał archiwalny dotyczący działalności Poselstwa R.P. w Madrycie. Nie mogło być inaczej, bo uboga była ta działalność i nadto o dość specyficznym przeważnie charakterze, czego jeden z przykładów: J. Potocki skarżył się w ściśle tajnym raporcie wysłanym do Londynu 20 maja 1959 roku, że „w ostatnim półroczu p. Marian Szumlakowski potrafił nawiązać kontakt z kimś z otoczenia ks. Prymasa Wyszyńskiego. W wyniku, jak sądzę, tego kontaktu p. Marian Szumlakowski otrzymał od Prymasa kartki z błogosławieństwem, które następnie rozesał członkom kolonii tutejszej. Oczywiście akcja taka ze strony p. Szumlakowskiego mogłaby spowodować pewne zamieszanie w teje kolonii, toteż nasz kapelan ks. Dr Marian Walorek przedsięwziął kroki i starania, by o istotnej sytuacji poinformować Ks. Prymasa... Zauważyłem, że p. Szumlakowski podpisuje się od niedawna na listach jako 'ambasador R.P.'. Być może ta nominacja wzmogła jego aktywność⁴⁴”.

Dziesięć lat później, gdy obaj ministrowie, Szumlakowski i Potocki, już nie żyli (pierwszy zmarł w 1961, a drugi w 1968 roku), jeden z działaczy młodzieżowo-katolickich, po przejeździe przez Hiszpanię, z Anglii do Fatimy, pisał: „W Madrycie starałem się odwiedzić organizacje polskie, bo miałem ze sobą adresy z *Rocznika Polonii Zagranicznej*. Liczyłem na to, że spotkam tu

44. Przytaczam według kopii tego raportu, jaką Potocki wysłał amb. Papée w Rzymie. Zob. Ambasada R.P. w Watykanie 1930-1970. Sygnatura: A.44.49/37.

byłych Kombatantów i różne organizacje, ale bardzo się rozczarowałem. W samym Madrycie mieszka około 50 Polaków. Przeważnie starcy i samotni. Społecznie nie można tam nic zrobić⁴⁵”.

Tyle zostało w spadku po ostatnim Poselstwie na Zachodzie, które reprezentowało nieprzerwanie Polskę Niepodległą z okresu Dwudziestolecia międzywojennego.

Tadeusz WYRWA

45. Zdzisław Kotliński (Wujcio Zdzich) z Manchester, w *Narodowcu* z 12-13 stycznia 1969 roku, Lens, str. 2.

WSPOMNIENIA

Franciszek KRÓL

PIERWSZY STRAJK W GUŁAGU WORKUTA 1953

...szóstego marca przyszła wiadomość o śmierci Stalina. Nikt w obozie nie mówił o niczym innym. Słuchaliśmy komunikatów radiowych, bardzo zresztą ogólnikowych. Zdawaliśmy sobie sprawę, że dokonało się coś bardzo ważnego. Nastąpił gwałtowny wybuch rozmów, dyskusji i rozważań dotyczących przyszłych, przewidywanych zmian, oczekiwań i nadziei. Chwytałyśmy każdy komunikat radiowy, urywki rozmów ludzi wolnych, z rzadka udawało się zdobyć kawałek gazety. Wiadomości były skąpe. Rosły za to nadzieje i oczekiwania, utwierdzało się przekonanie, że idzie czas zmian. Obserwowaliśmy pilnie, co się dzieje wokół nas, a jeszcze pilniej co się dzieje na centralnej scenie politycznej w Moskwie. Wśród wolnych, a nawet w aparacie NKWD, widoczne były zaniepokojenie i niepewność.

Byli w obozie ludzie wykształceni, dziennikarze, działacze polityczni i gospodarczy poważnego szczebla, ludzie budzący zaufanie, których znaleźmy od dobrych kilku lat. Szukaliśmy u nich głębszej, pełniejszej informacji, starając się lepiej zrozumieć sowiecką rzeczywistość i rysujące się przemiany.

Żywsze i bardziej otwarte rozmowy toczyliśmy z rodakami. Wszystkie obracały się wokół szans zwolnienia i powrotu do kraju. Wśród tych rozmów i budzących się nadziei ożywiały się wzajemne kontakty, zbliżyliśmy się więcej do siebie.

Pojawiła się też i rosła naturalna potrzeba zbliżenia do innych narodowości. Rozrastała się stopniowo sieć spotkań indywidualnych z dobrze znanymi, sprawdzonymi i godnymi zaufania ludźmi — Rosjanami, Ukraińcami, Gruzinami, Litwinami, Łotyszami i Estończykami.

W naszej polskiej grupie istniał już od pewnego czasu wyraźny ośrodek dyspozycyjny, trójka: Kazimierz Ptaszyński, Stefan Józefowicz i ja. Teraz, w maju, doszło do powstania z naszej inicjatywy i przy naszym udziale — obozowego komitetu narodowościowego. Zadbaliśmy o żelazną dyscyplinę i głęboką konspirację. Do komitetu wszedł Ptaszyński. Ja miałem bliższe kontakty z Gruzinami, Litwinami i Łotyszami, Józefowicz — z Ukraińcami. Łącznikiem został Mirosław Hentosz.

W komitecie toczyły się narady w atmosferze zaufania, zrozumienia i zgody. Skierowano do ogółu dyrektywę o zgodzie narodowej, lojalnym i przyjaznym współżyciu wszystkich więźniów. Postanowiono obserwować czujnie przebieg wydarzeń, by być gotowym i nie dać się zaskoczyć niespodziankom. Celem działania miały być starania o poprawę losu więźniów i troska o uchronienie obozowej społeczności w przewidywanych trudnych dniach. Należało też obmyśleć formę ogólnoobozowej organizacji. Nie pisano żadnych notatek. Unikano zbędnych kontaktów. Nikt właściwie nie znał całej organizacji, ale już wkrótce widać było jej wpływ. Nastąpiła wyraźna poprawa we współżyciu, nawet z Niemcami — i tymi kilkunastoma ze Stalingradu, i tymi przywiezionymi rok temu z Berlina.

W początkach czerwca odgrodzono kolczastym drutem jeden barak w rogu obozu i zamknięto w nim około stu ludzi przywiezionych ostatnim etapem. Okazało się później, że przywieziono ich z Karagandy. Były tam jakieś rozruchy.

A w Moskwie niepokoje, wyczekiwanie. Wreszcie dochodzi wieść o aresztowaniu Berii, a niebawem o jego śmierci. Zakotyła się teraz w całym NKWD. W obozie zaś krzepło przekonanie, że muszą teraz nadejść zmiany.

I w naszej trójce, i w obozowym komitecie oczekiwania rosły, pojawiła się po raz pierwszy myśl, że trzeba zażądać zmian: umożliwienia widzenia bliskich, weryfikacji wyroków, zniesienia hańbiących oznak i numerów. Były próby skontaktowania się z innymi obozami. Nieudane. Zrobiło się gorąco.

Pewnego dnia, gdzieś w połowie lipca, spostrzegamy, że najbliższa siódma szachta stanęła. Wagoniki nie wywożą skały na hałdę. Ale nic więcej nie przenika do obozu.

W naradach pojawia się słowo — strajk. Trudno wyważyć: determinacja, strach, trzeźwy rachunek? A może to jedyny sposób, jedyny moment by ruszyć sprawę do przodu? Tak myślimy

my trzej, podobnie w komitecie obozowym. Wśród więźniów nastroje gorące.

Wieczorem krótka rozmowa. Stefan jest za strajkiem, Kazimierz też; ja boję się groźnych następstw, ale boję się również, by nie umknął nam moment. Wreszcie — siódma już stała — decydujemy. Trzeba poprzeć siódmą.

Rano spotykam w drzwiach stołówki Kazimierza. Podajemy sobie ręce i skinieniem głowy dajemy znak: zaczynamy. Kazimierz pracuje w obozie, przeniesie to na komitet obozowy, w którym też zresztą wrze. Ruszam na wachtę, dołączam do swej brygady i ciągniemy razem na kopalnię zbudowaną przez tundrę korytarzem. Wyglądamy i przepisujemy protokoły z ostatnich dwóch wypadków na szesnastej, ale robota mi się rozłązi, nie mogę się skupić. Myśli uciekają do tego, co się wkrótce zacznie. Po piętnastej przychodzi druga zmiana. Wpada do mnie Janusz Guttry bardzo podniecony i mówi, że na korytarzu prowadzącym do szybu czternastej szachty jest tablica z napisem „Strajk. Nie zjeżdżamy do kopalni”. Idę zobaczyć. Tak, zaczęło się.

W środkowej części budynku w dużej sali kłębi się tłum górników. Wyjeżdżający z kopalni dołączają się do nich. Tłum rośnie, gęstnieje. Główny inżynier Szu-2¹ (kopalnie 12, 14, 16) Tamara Arcziłowna Gromowa wychodzi podniecona na schody, próbuje rozmawiać z górnikami, wypytuje, dlaczego nie zjeżdżają do szachty, czego chcą, ale górnicy nie są rozmowni i tylko twardo odmawiają zjazdu.

Wracamy wreszcie tłumnie do obozu, to przecież dwie zmiany: poranna i popołudniowa. W obozie wrze: podniecenie, dyskusje, rozmowy. Obawy i nadzieje. Komitet strajkowy działa intensywnie, wciąż w głębokiej konspiracji. Wieczorem ustala się dyrektywy na następny dzień.

Każdy barak wybiera swego starostę. Barak szesnasty wybrał Olka Zarzyckiego, cieszącego się wielkim miernem wśród górników. Żywność dowożona jest jak zwykle. Blok żywnościowy pracuje normalnie. Wszyscy otrzymują jednakowe wyżywienie na poziomie trzeciego kotła. Chleb jest nakrojony. W stołówce muszą zachować całkowity spokój. Powołuje się komitet górniczy pod kierunkiem inżyniera Piotra Piczugina. On będzie wyznaczał ludzi i brygady specjalistów i wysyłał je na szachty dla pełnienia dyżurów w podstacjach elektrycznych, dla pomiaru stężenia gazów i do innych koniecznych służb dla utrzymania kopalni w normalnym stanie. Wyłoniono też dwóch przedstawicieli do prowadzenia rozmów z obozowymi władzami. Nie będą oni jednak występować jako fikcyjny komitet strajkowy.

1. Szu-2 — *Szachtuprawlenie* 2.

Stały więc trzy kopalnie Szu-2 — 12, 14, 16. Nie toczą się już na hałdy wózki z węglem i skałą. Widzą to górnicy z siódmej, czują więc nasze poparcie. Widzą to i z dwudziestej dziewiętej, widzą też z obozu budującego za rzeką Workutą elektrownię ciepłą TEC-2.

Słoneczny piękny dzień. W obozie gwarno i tłoczno jak nigdy, przecież wszystkie trzy zmiany są na miejscu. Panuje spokój, nastrój jest podniosły, odświętny. Wszystkie służby pracują normalnie. Widzę, jak wysoki wąsacz strofuje kogoś, kto wynosi ze stołówki nadmierną porcję chleba. Ludzie zbierają się gromadkami, chodzą, dyskutują, podniecenie. Nastroje zmienne — niepewność, lęk, oczekiwanie i nadzieja, dominuje jednak radość i uczucie zadowolenia, że sami próbujemy wpłynąć na własny los, że odważyliśmy się. Odzyskaliśmy poczucie własnej godności. Ludzie zbierają się grupkami rodaków, ale nie zamykają się, łatwo i przyjaźnie kontaktują się wszystkie narodowości.

Naczelnik kombinatu „Workutugol”, generał Dierewianko, chciał rozmawiać, ale odmówiono rozmów z nim, zażądano przybycia z Moskwy przedstawiciela naczelnych władz NKWD, ministra. Naczelnika obozu, ludzkiego i szanowanego ogólnie majora Szewczenkę, zapewniono, że w obozie będzie spokój, że on może w każdej chwili wejść do obozu i włos z głowy mu nie spadnie. Proszono natomiast o niewpuszczanie do środka żołnierzy ochrowców.

Trzeci dzień strajku. W obozie duże ożywienie. Obserwatorzy stwierdzają, że stała dwudziesta dziewiąta szachta. Stał też TEC. To już cały Północny Rejon strajkuje. Dalszych kopalń nie widać. Nie ma żadnych możliwości skontaktowania się z nimi. TEC podaje sygnały świetlne silną lampą. Jeden z naszych telegrafistów, Zbigniew Lis, stwierdza, że to sygnały Morse'a, ale wyławia tylko pojedyncze zniekształcone słowa. Podejmuje próby odpowiedzenia za pomocą lusterka, wykorzystując silnie świecące słońce. Próby nie udają się.

Dochodzi do rozmowy z donosicielami — *stukaczami*. Kilku z nich schroniło się do położonego w północnym rogu obozu izolatora pod opiekę ochry. Kilku ściągnięto na plac obok przychodni lekarskiej, bijąc ich i przeklinając po drodze. Robi się groźnie, pachnie samosądem. Stary Ukrainiec wzywa do rozważ. *Stukacz* płacze, kraja się, błagając przyrzeka poprawę. Tłum zwalnia ich.

Spotykamy się w stołówce na obiedzie z Kazimierzem i lwowiakiem Jankowskim, rozmawiamy chwilę po zjedzeniu posiłku, nagle przerywa nam ostry terkot automatu gdzieś na zewnątrz. Wybiegamy. To w rogu między komendanturą, izolatorem i barakiem biurowym coś się dzieje.

Podbiegamy tam. Kazimierz — ostrzelany w partyzantce — z kamiennym spokojem, ja ze strachem, z zaciśniętymi zębami, a Jankowski w ogóle gdzieś zginął. W odległości pięćdziesięciu metrów od drutów ogrodzenia faluje tłum około trzystu ludzi. Widzę wśród nich naszych, jest Janusz Guttry, jest Mirek Hentosz, jest Jurek Andruszkiewicz. Za drutami gęsto ustawieni ochrowcy z automatami. Z izolatora wypuszczają kilkunastu ludzi i każą im iść wzdłuż ogrodzenia do wachty. To ci z Karagandy. Z tłumy krzyki, żeby dołączyli się do nas. Zaleknieni, niepewni wahają się, ale w końcu dołączają do gromady. A przed chwilą ochrowcy strzelali przez druty w głąb obozu, w tłum, który domagał się zwolnienia trzymanych w izolatorze. Przed nami leżą dwa trupy. Tłum wzburzony, rwą się okrzyki i wymyślenia pod adresem ochry. Rozpalony do wściekłości Janusz wyskakuje przed tłum, rozchyła *tielogrejkę*, wystawia gołą pierś i krzyczy do żołnierzy: *Strielaj, podlec!*

Ktoś ściąga go z trudem w tłum. Ludzie rozpoznają ochrowca, który strzelał, pokazują go palcami, złorzeczą. Od wachty pojawia się major Szewczenko. Otaczają go najbliżsi, zapewniają, że może być najzupełniej spokojny wśród nas. Ktoś powtarza odmowę rozmów z generałem Dieriewianką i żądanie ministra z Moskwy. To człowiek naszego obozowego komitetu, o którym nikt niczego bliżej nie wie.

Ciała zabitych przewożą do *morżu*, gdzie zwykle przechowuje się zwłoki i wyrabia trumny. Jutro odbędzie się pogrzeb. Pośrodku obozu ustawiono szybko wysoki maszt i zawieszono opuszczoną do połowy czarną flagę. To znak dla dalszego otoczenia, dla siódmej, dwudziestej, dziewiątej i TEC-u. Kończy się kolejny dzień buntu. W obozie nastrój powagi.

Dziś pogrzeb poległych górników. Przed południem zjawiają się w obozie dwie kobiety: Ksenia Andriejewna, główny inżynier czternastej kopalni, w której pracowali zabici, i Tamara Arcziłowna, główny inżynier Szu-2. Poświęcają chwilę zadumy zwłokom górników. Wyrażają żal, że zginęli dobrzy pracownicy, dobrzy ludzie. Ludzie odprowadzają je do wachty z szacunkiem.

Tymczasem przygotowania do pogrzebu dobiegły końca. Wczesnym popołudniem zaczyna się uroczysty obrzęd. Piękny, słoneczny dzień. Kilkutysięczny tłum górników zebrał się obok trumien. Spoza drutów kilkoro dzieci i kilka kobiet przerzuca ponad drutami garstki zerwanych w tundrze kwiatów. Zbiera się obozowa dęta orkiestra, rozlegają się dźwięki żałobnego marsza i pochód rusza powoli drewnianym chodnikiem wzdłuż ogrodzenia. Widać przez druty z daleka.

Za orkiestrą suną dwie trumny niesione przez górników. Za

trumunami idzie brat jednego z zabitych, Litwin. Towarzyszy mu ksiądz litewski w zwykłym obozowym ubraniu. Za nimi posuwa się powoli w nastroju powagi tłum więźniów. Z wyszek i spoza drutów obserwują pogrzeb dziesiątki uzbrojonych ochrowców.

Dochodzimy do boiska sportowego, które wkrótce otacza ściśle kilkudziesięcny tłum ludzi. Orkiestra zatrzymuje się z boku, grając ciągle poważne marsze. Trumny zostają ustawione pośrodku boiska, obok kilka otwartych pudeł z cukierkami. Zaczyna się pożegnanie poległych towarzyszy. Pojedynczo, jeden za drugim, przesuwa się górnicy, budowlani, pracownicy służb obozowych między trumnami. Każdy schyla głowę, bierze cukierka i odchodzi dalej. Taki litewski zwyczaj. Dwie godziny przesuwa się ten pożegnalny korowód w milczeniu, w powadze, w skupieniu. Cisza, nie słychać żadnych rozmów. Ktoś zapalił papierosa, ale sąsiad spojrzął karcąco i papieros zgasł. Kończy się wreszcie żałobny pochód, przechodzą pomiędzy trumnami ostatni towarzysze. Orkiestra gra ostatniego marsza. Górnicy odnoszą trumny ku wachcie, gdzie czeka już wózek. Dwaj górnicy z łopatami wychodzą za bramę obozu z konwojentem. Pogrzebią zmarłych. To był najuroczystszy i najpiękniejszy pogrzeb, jaki widziałem w życiu.

Piąty dzień, równie piękny i słoneczny, mija spokojnie. Ochrowcy nadal nie wchodzą do obozu, nie ma *prowierek*. Ludzie korzystają ze słońca, zrzucają *tielogrejki* i koszule, wystawiają białe ciała na działanie słońca i powietrza.

Przychodząc na umówiony kontakt, widzę Stefana z gromadką naszych chłopców rozciągniętych na trawie między barakami. Śmieją się, padł jakiś kawał. Komitet pracuje. Spotykamy się po trzech, czterech ludzi. W różnych miejscach. Konspiracja zupełna, nikt dotąd nie wie o komitecie.

Jest wiadomość, że przybyła samolotem z Moskwy specjalna komisja. Jutro ma być u nas. Trzeba się przygotować.

Przez starostów poszła do baraków dyrektywa o zachowaniu całkowitego spokoju i dyscypliny. Ustalono główne żądania: ponowne rozpatrzenie spraw, a w pierwszym rzędzie wyroków dawanych bez sądu przez trójkę OSO (*osoboje sowieszczanje*), zwolnienie zasądzonych małoletnich, dopuszczenie spotkań z członkami rodziny, zwolnienie kobiet z pracy w cegielni z uwagi na nadmierne dla nich obciążenie, nieograniczanie korespondencji, usunięcie nazywanych numerów i odznaczeń, zezwolenie na noszenie włosów i cywilnych ubrań. Ogólną sytuację więźniów, konieczność zmian i wysunięte postulaty przedstawi władzom Prosołow, czterdziestoletni prawnik sowiecki. Można składać indywidualne i grupowe memoriały i zażalenia. Pisał taki memoriał Adam Galiński. Pisałem i ja do późnej nocy zaszyty w

jakimś kącie. Żaden zresztą nie został doręczony komisji, inaczej potoczyły się sprawy. Dzień kończymy w nastroju podniecenia i oczekiwania, ale i twardej satysfakcji — dobiliśmy się czegoś niemałego!

Dziś spotkanie. Przed południem gawędzimy w gromadzie polegając na słońcu. Nasi chłopcy są dobrej myśli, żartujemy.

Wczesnym popołudniem zbieramy się na boisku piłki nożnej, na którym żegnaliśmy przedwczoraj zabitych towarzyszy. W bramce ustawiono trzy stoły, z tyłu kilka krzeseł. Przestrzeń przed bramką nieco szersza niż pole karne, pozostaje wolna, a dalej rozmieszcza się bracia obozowa. Pierwsze rzędy siadają na ziemi, następne klęczą za nimi, a dalsze stoją. Ludzie wykorzystują każde wzniesienie, nawet dachy najbliższych baraków. Jest nas przecież pięć tysięcy. Czekamy.

Wchodzi ochra, pięćdziesięciu żołnierzy w letnich powolnych drelichach bez widocznej broni. Pewnie mają pistolety — sądziliśmy. Ustawiają się w rogu boiska w pobliżu bramki. Za drutami widać ustawionych gęsto żołnierzy z automatami. Zabezpieczenie pełne.

Do wachty podjeżdżają samochody. Po chwili major Szewczenko prowadzi grupę przybyłych oficerów w naszą stronę. Kilku z nich zasiada za stołami, rozkładają teczki i przybory do pisania. Na pole bramkowe wychodzi generał, człowiek średniego wzrostu, tęgiej budowy. Cisza absolutna, niesamowite napięcie. Padają pierwsze słowa:

— Chcieliście rozmawiać z ministrem. Przyjechałem z Moskwy, ja wiceminister spraw wewnętrznych, generał Maslennikow, potrójny bohater Związku Sowieckiego. Gotów jestem wysłuchać was.

Zapadła na chwilę cisza, wszyscy czują, że dzieje się coś wielkiego, ważnego.

Wychodzi teraz z tłumu Prasolow, średniego wzrostu, szczupły, młody człowiek, bardzo spięty. Zaczyna nie bez trudu, ale w miarę jak pozbywa się tremy, prowadzi rzecz spokojniej, składniej. Mówi o krzywdzie tysięcy, milionów ludzi więzionych w obozach, mówi o dwudziestu milionach więźniów.

— *Tolko nie dwadcat, tolko nie dwadcat* — przerywa mu ruchem wygiętej ku przodowi ręki generał.

Prasolow ciągnie dalej. Mówi, że w większości zostali oni skazani niesłusznie, że żyją w obozach w bardzo trudnych, nieludzkich warunkach, że wielu z nich w tych obozach zmarło, straciło zdrowie. Że oderwani są od rodzin, że odbywają długie wyroki bez nadziei na przeżycie, na oswobodzenie.

Mówi, że w obozach jest wielu żołnierzy, którzy walczyli

na froncie, że są starcy siedemdziesięcio- i osiemdziesięcioletni, że są młodzi, których sądzono, gdy nie byli pełnoletni. Mówi długo, z goryczą, głos jego brzmi coraz pewniej, twarzą. Domaga się zmian, ulg, naprawienia krzywd, weryfikacji wyroków, oswobodzenia, kontaktów z rodziną. Kończy w głuchym milczeniu, tylko oficerowie za stołami pilnie piszą.

Potem przemawiał jakiś starszy człowiek, podobno profesor. Pamiętam tylko, że mówił pięknym językiem i bardzo wzruszająco.

A po nim wystąpił młody, zuchowaty trzydziestoparolatek, przedstawił się, wymienił nazwisko i zaczął:

— *Ja izmiennik rodziny, statja piatdiesiat wosmaja.*

Jestem zdracją kraju. Artykuł pięćdziesiąty ósmy. A oto moja historia. I ciągnie: był bezdomnym sierotą (*bezprizornyj*) wychowywał go dom dziecka (*dietdom*), był pionierem, potem komsomolcem. Mając lat osiemnaście zgłosił się na ochotnika do wojska, poszedł na front, został ranny. Rannego wzięli Niemcy do niewoli. Zbiegł po dwóch tygodniach i przebił się do swoich. Zgłosił się do swojej jednostki, ale tu aresztowano go i skazano za zdradę ojczyzny na dziesięć lat obozów.

Mówił nieskładnie, zrywami, ale gorąco. Pięć tysięcy chłopów przeżywało jego losy, jego krzywdę. Wzruszeni byliśmy do głębi wszyscy. Było to najmocniejsze ze wszystkich przemówień.

Niespodziewanie, gdy już przewaliły się główne skargi, wystąpił z tłumu Zwinogradzki, Polak. Aż ścierpłem z zaskoczenia i niepokoju. A ten, chłop wysoki, prosty jak świeca, zaczyna z całym spokojem donośnym głosem i poprawnym literackim językiem. Korzysta z okazji i przedstawia najwyższym władzom sowieckim problem cudzoziemców. A są tu w obozie Polacy i Czesi, Węgrzy i Niemcy. Prosi o możliwie szybkie rozpatrzenie ich sprawy i odesłanie do rodzinnych krajów.

Bardzo dobrze i w porę wystąpił.

Maslennikow zamknął spotkanie wezwaniem do pracy i przyrzeczeniem, że podniesione sprawy zostaną rozpatrzone na wysokim szczeblu. Goście odjechali, a w obozie zaszumiało. Radośnie zaszumiało. Nie poszedł na marne nasz strajk. Nie może być, żeby to były tylko czcze obietnice. Byli co prawda i sceptycy twierdzący, że nie należy wierzyć niczemu, co mówi i obiecuje NKWD. Spotykamy się ze Stefanem i Kazimierzem. Radośnie. Aż wierzyć się nie chce, że to tak gładko i pięknie poszło i skutecznie. Nie do wiary, że najwyższe władze NKWD podjęły rozmowę z więźniami, zostały zmuszone. Podziałało zmasowane wystąpienie kilkunastu tysięcy więźniów górników z kilku kopalni. Utrafiliśmy też w dobry moment, kiedy w naczelnych władzach sowieckich trwały rozgrywki i niepewność.

Następny, siódmy dzień strajku zaczyna się od *prowierki*. Ochrowcy weszli znowu do obozu. Znosimy to spokojnie. Znowu jest słońce i opalanie się. Minęło napięcie ostatnich dni. Obóz jest poruszony i rozgadany. Nastroje pogodne.

Ważną wiadomość przynosi Mirek Hentosz. Obserwował w nocy z dachu baraku akcję w obozie siódmej szachty. Widocznie całe to *naczelstwo* pojechało od nas wprost na siódmą, by tam uśmierzyć bunt. Wypędzono wszystkich więźniów w tundrę, a potem grupami wpuszczano do obozu tych, którzy zgodzili się iść do pracy, a oddzielono opornych.

Ten sposób postępowania ułatwił władzom obozowym złamanie oporu. Nie dotarli do nas żadne szczegóły tej akcji.

Zastanawiamy się z Kazimierzem i Stefanem, dlaczego u nas nie zastosowali podobnej taktyki. Nasz obóz był największy. Górnicy już dali odpór. Były ofiary. Wiedziano, że uroczysty pogrzeb bardzo zespolił więźniów, dodał zdeterminowania. Dlatego zaczynali u nas ostrożnie. Mieliliśmy bardzo dużo szczęścia.

W czasie obiadu posłyszeliśmy odległą strzelaninę. Grały automaty. To dwudziesta dziewiąta. Trwało to dość długo, kilka, może kilkanaście minut. Co tam się dzieje? Znowu dziwimy się, że u nas tak gładko i pomyślnie poszło. Spoglądamy w stronę dwudziestej dziewiątej, ale to ze dwa kilometry, a w dodatku obóz zasłonięty jest wyniosłością, nic więc nie widać.

Dopiero po kilku godzinach dostrzegamy samochody ciężarowe jadące od strony kopalni przez tundrę i ginące za następnym wzgórzem. Jeden, drugi... Widziałem sześć czy siedem wozów. Nigdy tamtędy nie jeździły. Co to może być? Ktoś mówi, że to chyba wywożą zwłoki zastrzelonych. Nie na darmo była ta strzelanina. Otrząsamy się na tę myśl. A przecież wiedzieliśmy rozpoczynając strajk, że może nas to spotkać. Kończymy dzień z cichą radością, że nam się udało.

Kolejny dzień, równie słoneczny jak poprzednie, mija spokojnie. Naczelnik obozu wzywa do pracy. Toczą się jeszcze narady i spory, ale przeważa już myśl, że trzeba ruszyć do pracy. Osiągnęliśmy przecież to, czego się domagaliśmy: spotkanie z ministrem i wyłożenie swoich bólów i krzywd oraz żądań i postulatów. Obiecano je rozpatrzyć. Dalsza odmowa pracy może doprowadzić tylko do brutalnego złamania oporu, co nie obeśzłoby się bez ofiar. Mamy przykład z dwudziestej dziewiątej. Późnym wieczorem zapada decyzja: jutro rozpoczynamy pracę.

Rano brygady ruszają ku wachcie, rozpoczyna się normalny rozwój.

Na szachcie kierownictwo i wolni pracownicy przyjmują nas chłodno. Mają za złe ten żywiołowy bunt. Uwidoczniło się to

już wcześniej, gdy kierownictwo odrzuciło pomoc przysłanych z obozu brygad specjalistów do pełnienia koniecznych służb. Wykonywali te prace zmobilizowani wolni ludzie.

Nie ma to większego znaczenia, w ciągu tygodnia wszystko się ułoży, wróci do poprzedniego stanu. Z moim szefem nie zamieniamy ani słowa na temat strajku. Zabieram się od razu do roboty. Przeglądam protokoły z wypadków, przygotowuję materiały do miesięcznego sprawozdania, a koniec miesiąca nie jest daleki. Kiedy szef wyszedł na lustrację szesnastej kopalni, próbuję objąć myślą całe wydarzenie, ocenić jego przebieg i znaczenie dla przyszłych naszych losów, przewidzieć następstwa.

Strajk zmusił władze naczelne do myślenia, do poważnego potraktowania sprawy. Przyjechał przecież do nas sam minister. I na pewno zmusi je do wprowadzenia zmian. Można mieć prawie pewność, że najważniejsze nasze żądania będą w dużej mierze zaspokojone. Chyba te władze zdały sobie sprawę, że mądrzejsze było przeprowadzenie rozmów z górnikami na Szu-2 i wysłuchanie więźniów niż brutalne zdławienie buntu i masakra na dwudziestej dziewiątej.

Strajk to sprawa ogromnej wagi, to przełom w działaniu władz. To nasz sukces. Prawda, że oplacony ofiarami u nas i masakrą na dwudziestej dziewiątej. Nie wiemy, ilu ludzi tam zginęło — sześćdziesięciu czy dwustu, jak krążą pogłoski i domysły. Cena ta, zważywszy na ogromną skalę oddziaływania, nie jest wygórowana. Chyba w ciągu jednego roku więcej górników umierało w naszym rejonie z powodu wypadków przy pracy i wycieńczenia. Teraz trzeba czekać na dalsze, poważniejsze rezultaty. Ogłoszone na gorąco ulgi to rzeczy drobne. Nie musimy nosić numerów, nie musimy strzyć włosów do skóry. Będą ułatwienia w korespondencji z rodziną. Ale dobre i to jako dowód, że można było wydusić na NKWD te ustępstwa.

Ogromne znaczenie ma ten bunt dla nas samych, dla samopoczucia ogółu więźniów, dla postawy moralnej. Po tylu latach poniewierki, łamania woli, tłumienia myśli, zdobyliśmy się na decyzję, na własne działanie, na sprzeciw. Wyprostowaliśmy się. I tego nam nikt nie odbierze, gdyby nawet nie przyszły żadne zmiany na lepsze.

Jeszcze jedna rzecz jest ważna: potrafililiśmy się zorganizować i pokierować rozsądnie całą akcją. A przecież nie łatwo to było: tyle narodowości, tyle rozbieżnych interesów. Udało się jednak. I konspiracja została zachowana. Ogół nie wie przecież — ani władza obozowa — o istnieniu ośrodka dyspozycyjnego. Wszystkie decyzje były jak gdyby całkiem naturalne, samorzutne. A już absolutnie nikt nie wie o naszym polskim ośrodku, o naszej trójce.

Zadowolenie z sukcesu jest jednak skromne, ani śladu triumfu i dumy z niego. Aż dziwne, ale po tych kilku dniach przeżytych w największym napięciu myśli, uczuć i woli odczuwam ulgę, ale czuję też ogromne zmęczenie i jakąś pustkę w sobie. Wypaliłem się, oklapłem. Dziwne. Przeżycia własne w okresie przygotowań, w momencie decyzji o strajku i w czasie jego trwania zaliczam do szczytowych w swym życiu. Podejmowaliśmy — z Kazimierzem i Stefanem — decyzje najtrudniejsze, ryzyko najwyższe. Pracowaliśmy z najwyższym napięciem myśli i woli, przeżywaliśmy obawy i wątpliwości. A także — mówię tu za siebie — lęki i zwyczajny dławiący strach. Ale znajdowaliśmy też dość odwagi, zawziętości, uporów i wiary w sens sprawy.

Rozmawialiśmy o tym ze Stefanem i Kazimierzem, z Galińskim i Prassem, z młodszymi rodakami. Wszyscy przeżywali chwilę radości, lęki i wątpliwości. Teraz przeważa zadowolenie, pozostaje nadzieja i oczekiwanie.

Komitet strajkowy przycichł, spotykamy się tylko pojedynczo. Muszę tu wspomnieć z ogromnym uznaniem o postawie litewskich i łotewskich działaczy. To byli dziennikarze, wspaniali chłopcy. Imponowali też Gruzini, zwłaszcza jeden ze starszych, pisarz.

A my, nasi chłopcy? Nie zawiedli. Kilkakrotnie doszły mnie w tych dniach dobre opinie o Polakach. „Polak nie sprzeda, Polakowi można wierzyć, Polacy to najlepsi *podpolszczycy* (specjaliści od podziemnej roboty)”.

Spokojnie mija kilka dni. Szachty pracują normalnie, kolejne zmiany wypełniają swe plany. W obozie rozegrano nawet pierwszy po strajku mecz. Wynik 3:2 dla Szachtiora. Spokojnie układam się do snu i zasypiam.

Naraz ktoś pociąga mnie za nogę. Rozespany i zły burknąłem coś, ale ten nie ustępuje. Odwracam głowę i widzę *nadziratiela* i *dniewalnego*. Jest środek nocy. Ochrowiec sprawdza moje nazwisko i rozkazuje zebrać się z rzeczami. Rozpruwam brzeg siennika, wyciągam worek z doszytymi ramiączkami — jeszcze z Łukiszek — i ładuję swoje rzeczy. Zrywa się Antek Kołyszko i pomaga mi. Przekazuje mu swój egzemplarz „Pana Tadeusza”. „Czytajcie” — mówię, ściskamy się i wychodzę z baraku. *Nadziratiel* prowadzi mnie drewnianym chodnikiem przez uśpiony obóz. Szaro, cicho. Po drodze widzę, że Stefan wyszedł właśnie za swego baraku posusiać. I on mnie spostrzegł. Nie dajemy sobie oczywiście żadnego znaku. Przechodzimy przez wachtę. Jeszcze kogoś tam prowadzą.

Idziemy w tundrę. Po trzystu metrach dochodzimy do zagłębienia, gdzie jest już ze trzydziestu ludzi strzeżonych przez

kilkunastu żołnierzy. Stwierdzam, że są tu niektórzy organizatorzy buntu, ale nie wszyscy. Są też i inni więźniowie. Nie rozgryźli zatem komitetu strajkowego do końca. Większość to ATP — administracyjno-techniczny personel, obozowy i kopalniany stan urzędniczy i techniczny. Jest Olek Zarzycki. Wciąż doprowadzają nowych. Przyprawdzili Ptaszyńskiego. Panuje głuche milczenie, nastrój ponury. Rozstrzeliwać nie będą, ale więzienie i dodatkowe wyroki czekają nas na pewno.

Wreszcie *normirowszczyk* z czternastej przerywa ciszę grubym dowcipem. Kilku uśmiechnęło się słabo. A po chwili ktoś skomentował sytuację: „*Nu i naplewat!*” I jakby wiatr przepędził czas, w którym byliśmy pogrążeni, poszły rozmowy, domysły, posypały się żarty. Przelamaliśmy strach i załamanie.

Podjeżdża *czarny woron*, specjalny więzienny samochód. Żołnierze upychają chyba ze dwunastu ludzi w ciasne klitki. Wzięli Ptaszyńskiego. Wóz odjechał. Znowu czekamy, a wciąż doprowadzają nowych. Pojawiają się ciężarówki. Upychają nas dwudziestu do odkrytej skrzyni. Nad naszymi głowami czterech żołnierzy. Jedziemy przez tundrę, omijając z daleka drogi i osiedla. Po godzinie dojeżdżamy do opuszczonych kilku baraków odgradzonych jeden od drugiego i opasanych dokoła kolczastym drutem i wyszkami. Wpędzają nas do baraku. Są tam już więźniowie. To górnicy z dwudziestej dziewiętej. Są tu już od kilku dni. Zamykają nas. Barak przepelniony. Po godzinie robi się duszno, ktoś mdleje. Ogarnia nas niepokój.

Po pewnym czasie wchodzi do baraku nowy oficer, pułkownik. Poleca wybić szybę i ułożyć omdłego pod tym oknem. W krótkiej rozmowie wyjaśnia, że jesteśmy w więzieniu, obowiązuje nas obostrzony więzienny reżim: baraki będą stale zamknięte, pół godziny spaceru dziennie, trzy posiłki. Pułkownik robi wrażenie raczej nauczyciela wychowawcy niż pracownika systemu więziennego. Zdobywa zaufanie, zwłaszcza wtedy, gdy sam jeden nadzoruje jednoczesny spacer więźniów z kilku baraków.

Z najbliższego żeńskiego obozu przywożą obiad, gęstą zupę grochową zaprawioną mięsem. Pozostałe kilkanaście porcji przeznaczamy dla towarzyszy z dwudziestej dziewiętej, którzy tu już kilka dni pokutują. Wytwarza się nastrój ogólnej życzliwości, czujemy się towarzyszami broni. Czekamy, czas dłuży się niemiłosiernie. Ratują nas rozmowy, poruszanie się.

Dowiaduję się o przebiegu wydarzeń na dwudziestej dziewiętej szachcie. Tam też stworzono doraźnie komitet strajkowy. Przewodził mu Edward Buca. To podkomendny Stefana Józefowicza z samborskiego AK. Znaliliśmy go, był jakiś czas w naszym obozie. Odważny, ale trochę nieobliczalny. On miał wystąpić wobec generała Maslennikowa. Cichym doradcą i właści-

wym kierownikiem komitetu był Edmund Greczanik. Komisja moskiewska nie weszła do obozu, zatrzymała się w bramie. Za drutami sznur ochrowców z automatami. Buca, zbesztany przez generała, stracił się, nie umiał się wypowiedzieć. Zrobiło się zamieszanie. Więźniowie nie posłuchali wezwania do wychodzenia z obozu. Wyskoczył jeszcze młody Polak, pseudonim jeszcze ze śledztwa — Kozuchowski, zaczął wyjaśniać przyczyny strajku i postulaty górników. Ale komisja nie słuchała już tego. Padł rozkaz i rozległy się strzały kierowane w tłum. Padło wielu zabitych, jeszcze więcej zostało rannych. Ochrowcy weszli do obozu z bronią w ręku, wygnali wszystkich w tundrę. Po kilku godzinach zagoniono ludzi do obozu, oddzielając wskazanych przez *stukaczy*. Byli to już nieliczni. Wywieziono ich do tego więzienia w tundrze, gdzie ich spotkaliśmy. Strajk został krwawo złamany. Nie liczono się z ofiarami. Nikt dokładnie nie wiedział, ilu było zabitych. Mówiono o sześćdziesięciu, o stu i o dwustu ofiarach.

Teraz mieliśmy pełny, choć niezbyt dokładny obraz przebiegu naszego buntu. Sprawa ciągnęła się dalej. Było nas ponad siedmuset chłopów w tym więzieniu w tundrze, a kilkudziesięciu wywieziono do centralnego więzienia na Kapitałce. Czekamy, co z nami zrobią. Ale czekamy też na postanowienie Moskwy co do ogółu więźniów w obozach. To jeszcze nie koniec. Nie upadamy na duchu, mimo niepewności, nastroje są dobre.

Wspaniała jest ta atmosfera życzliwości i przyjaźni. Niezależnie od narodowości każdy jest akceptowany, uważany za swojego. Nigdy dotąd nie czułem się w obozie tak blisko innych ludzi. Tak łatwo się teraz rozmawia, nawiązuje bliższe kontakty.

Prowadzę długie gawędy z Chotniańskim, prawdziwym kozakiem znad Donu, który szykował sobie ucieczkę w wagonie z węglem. Średniego wzrostu, krępy, silny i odważny, wyróżniał się determinacją, budził respekt. Miał wrodzone umuzykalnienie, piękny bas. Podśpiewywał chętnie w małych grupkach. Z jego opowieści poznawałem życie kozackiej stancy, kozacki obyczaj. Potem oddaliśmy się od siebie, gdy minęło początkowe wzajemne zaciekawienie. Później trafiliśmy do różnych obozów.

W kącie baraku Olek Zarzycki snuje długie opowieści otoczony gromadą zasłuchanych. Koleję losu profesora Wilczura, a potem Znachora wzruszają słuchających. Widzę, że z oczu Ukraińca Kowalenki, dawniej zawziętego wroga Polaków, toczą się łzy. Opowiadanie Olka jest jak najlepszy film. Godzinami nie wypuszczają go słuchający ze swego grona, proszą o więcej. A Olek nie każe się długo prosić. Idzie więc „Trędowata”, „W pustyni i w puszczy” i inne opowieści.

Dłużyły się te nasze więziennicze dni pełne niepokoju i roz-

myślań. Wypełnialiśmy je — zamknięci i stłoczeni w baraku — czym się dało, rozmową, opowiadaniem, popisami zręczności, sztuczkami nawet. Po jakichś dwu tygodniach zebrano nas wreszcie ze wszystkich baraków, sformowano kolumnę i pod mocnym konwojem choć bez psów ruszyliśmy przez tundrę. Minęliśmy most, dotarliśmy do obozu małej kopalni — jedenastej — położonej blisko Kapitałki. Rozlokowaliśmy się po barakach. Na drugi dzień przywieziono nam rzeczy, które zostały na Szu-2.

Z kopalni jedenastej i z obozu usunięto starą załogę, robiąc miejsce dla nas. Było to dobrze przemyślane. Kopalnia i obóz były odosobnione, byliśmy więc dobrze izolowani. A siedmiuset ludzi wystarczyło akurat do obsadzenia małej kopalni. Po kilku dniach kopalnia rozpoczęła normalną pracę.

Kilka dni przeszło jednak luzem, trzeba było zewidencjonować ludzi, podzielić ich według kategorii zdrowia i specjalności, zorganizować brygady i służby. Ja dostałem się do obsługi składu węglowego. Kontrolowałem wydobywanie węgla z poszczególnych oddziałów, wybierałem żetony z wagoników, wychodzących z szybu. Znowu się udało.

W czasie tych luźnych dni zbliżyłem się bardzo ze Zwino-grodzkim, który wystąpił przed generałem Maslennikowem, i z najstarszym w obozie Gruzinem Lewanem Gotuą, pisarzem i dramaturgiem, bardzo interesującym i pięknym typem człowieka.

Zwinogrodzki, stary działacz studencki, medyk, oficer rezerwy, zmobilizowany został już w trzydziestym ósmym roku. Odbył kampanię wrześniową, był komendantem oddziału partyzanckiego na Nowogródczyźnie, trafił na Workutę, pracował w obozie jako felczer i dojrzał jako lekarz, gdy trafił w ręce doświadczonego doktora Dobrzańskiego. Przeszedł koszarne śledztwo w związku ze sfingowaną tajną organizacją „Kask”, a po wyjaśnieniu sprawy trafił na Szu-2, gdzie był felczerem w szpitalu aż do wystąpienia przed generałem w sprawie cudzoziemców. W końcu trafił do więzienia i na karniak. Życiorys barwny. Dobry towarzysz, dzielny i prawy człowiek.

Pewnego popołudnia zebrano pozostające w obozie dwie zmiany na rozmowę z generałem Dieriewianką — naczelnikiem kombinatu Workutugol. Generał srożył się, zbeształ wszystkich strajkujących, a nas w szczególności. Poniesiemy teraz zasłużoną karę: trzy miesiące sztrafniaka w pełnej izolacji, bez korespondencji i widzeń, w zamkniętych barakach, bez wypisywania pieniędzy z rachunków, bez żadnych zakupów. Na pytanie generała, czy są pytania, nikt nie odpowiedział.

Później przyjechała specjalna komisja i przesłuchiwała kilku-nastu więźniów. Komisji chodziło o pełne wyjaśnienie przyczyn

naszego buntu.

Spotkałem tu wśród niższego personelu NKWD prawdziwego czekistę. Spokojny, zimny, zawsze starannie ubrany, wypełniał swe funkcje w sposób dokładny, przestrzegając z żelazną konsekwencją wszystkich przepisów. Człowiek-żelazo, a może człowiek-maszyna.

Przeciwieństwem jego był naczelnik obozu, kapitan Putiatin. Był to człowiek „na uśmiechu”, rozmowny, lubiący się chyba zabawić. Nie utrudniał nam życia. Mówił po polsku i lubił Polaków. Był w Polsce w czasie działań wojennych, likwidował AK, wyrażał się z uznaniem o akowcach, to byli „ludzie ideowi”. Kiedy wspomniany poprzednio czekista złożył mu donos, że ja łamię regulamin — okryłem się dodatkowo buszłatem, bo dokuczał mi nabyty w kopalni „postrzał” — Putiatin roześmiał się i machnął na to ręką, gdy się u niego zameldowałem. Oddał mi też list od żony, który nadszedł jeszcze na Szu-2, a tu został dostany.

Przybyliśmy na jedenastą jeszcze latem, w sierpniu, a potem szybko przyszła zima. Mrozy dokuczały mi dotkliwie, gdyż pracowałem na powierzchni i na przeciągach, wybierając żetony z wagoników. Doskwierały bardzo bóle krzyża nabyte w kopalni szesnastej.

Dusiliśmy się w tym sztrafniaku. Nie było radia w barakach, nie było książek jak na Szu-2. Ludzie pracowali niezbyt ciężko, raczej dość niedbale, nie byliśmy bardzo popędzani. Nie wiedzieliśmy, co się dokoła dzieje, nie wiedzieliśmy, czy nasz bunt przyniósł poważne rezultaty.

W tej głuszy prawdziwą pociechą były rozmowy ze Zwino-gradzkim i Lewanem Gotuą. Tęgawy Gruzin, słusznego wzrostu, o silnej budowie ciała, przekroczył już pięćdziesiątkę. Wyraźna twarz, dobre, mądre spojrzenie. Pisarz, dramaturg, gorący patriota, zakochany w Gruzji i jej krajobrazie, w jej dziejach i obyczaju, a przy tym prawdziwy Europejczyk o szerokich horyzontach, znający literaturę światową. Pamiętam dyskusję nad Wiktorem Hugo, nad Galsworthy’em. Porównywaliśmy charakter Polaków i Gruzinów, ich nadmierny indywidualizm, podobieństwo dziejów obfitujących w klęski, zastanawialiśmy się nad przyszłością. Lewan miał ogromny autorytet wśród swoich. Byłem świadkiem, jak kilku słowami rzuconymi jak rozkaz zażegnał rozpalającą się zwadę między dwoma Gruzinami.

Pewnego dnia zniknął, zabrano go jednego na etap. Ani Gruzini, ani ja nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi, ale po dwóch tygodniach powrócił. Zawieziono go samolotem do Moskwy. W ciągu trzech dni odbyli z nim rozmowy wyżsi funkcjonariusze NKWD, dwaj pułkownicy. Próbowali go skłonić do współpracy.

Chodziło o to, by zrezygnował ze swego stanowiska niezależnego patrioty gruzińskiego, by zadeklarował swą współpracę z sowiecką władzą, by pisał w duchu pogodzenia się. Przekonywali go, że potrzebny jest narodowi, a w obozie marnuje się bez pożytku dla nikogo.

Odmówił. „Zabraliście — powiedział — wszystko, wolność, rodzinę, kraj ojczysty. Został mi tylko honor. Zostawcie go”. Nie nalegali dłużej, zapytali, gdzie chciałby wrócić. Odpowiedział, że na stare miejsce. Dotrzymali słowa. Wrócił. Potoczyły się znowu rozmowy o Gruzji, o obyczajach przechowujących dawną rycerskość, o wyprawach alpinistycznych w górach Kaukazu. Lewan i w tej dziedzinie miał godne uwagi osiągnięcia. Potem losy rozdzieliły nas. Spotkałem go już po oswobodzeniu się. Wyjeżdżał do Gruzji. Żegnaliśmy się na dworcu, właściwie na przystanku w tundrze. Było ze trzydziestu Gruzinów i ja. Wypiliśmy gruzińskim obyczajem po szklance wina na pożegnanie. W kilkanaście lat później miałem wiadomości: Gotua mieszkał w Tbilisi, otoczony był szacunkiem rodaków, pisał, wydawano jego poezje, wystawiano sztuki.

Odbiliśmy wreszcie te karne trzy miesiące. Rozrzuciono nas teraz po różnych kopalniach, ja trafiłem na trzecią. Obóz tej kopalni liczył ponad trzy tysiące więźniów. Byli tam niemal sami Ukraińcy. Spotkałem też około trzydziestu Polaków, przeważnie młodych. Stosunki z Ukraińcami były dobre. W obozie było spokojnie, ani jednego błatnego.

W „kawecze” pracował tutaj jako organizator życia kulturalnego młody skrzypek Redyk, Polak. On zaprotegował mnie do biblioteki. Pracowałem w niej trzy miesiące. Dobrze wspominał tę pracę. Poza stałymi dyżurami w bibliotece — blisko dwa tysiące książek — obchodziłem baraki górników, niosąc w skrzynce ze trzydzieści książek. Wybierałem łatwiejsze i mniejsze książki z rosyjskiej klasyki. To dawało rezultaty, przynoszone książki „rozchodziły się”.

Wtedy też wpadłem na pomysł zorganizowania szkoły. Pomysł akceptowano. Znaleźli się chętni do nauki, znaleźli się też nauczyciele, którzy zaoferowali swą pracę bezinteresownie. Na tych, okazuje się, można wszędzie liczyć. Wydzielono nieduży pokój w baraku. Zrobiliśmy sami tablice, pomalowali, znieśli kilka stołów i ławek. Szkoła ruszyła. Trzydziestu uczniów, w tym czterech naszych, uczyło się arytmetyki, czytania i pisania. Poziom czwartej klasy szkoły podstawowej. Szkoła była jeszcze czynna, gdy opuszczałem obóz idąc na oswobodzenie latem pięćdziesiątego czwartego roku.

Ostatnie miesiące pobytu w obozie pracowałem w buchalterii, obliczając zarobki więźniów w kopalni. Praca ta — po

przeszkoleniu na Szu-2 — szła mi lekko.

Pora jednak wrócić myślą do naszej strajku w Północnym Rejonie, zastanowić się nad widocznymi już jego rezultatami i spróbować ogólnej oceny.

Nasz bunt opłacony był przecież dużymi ofiarami. Stu a może dwustu ludzi straciło życie. Siedmiuset ludzi przeszło przez więzienie i kilkumiesięczne ograniczenia sztrafniaka. Prawie rok temu żegnaliśmy swoje zbuntowane obozy z niepewnością, ale i z nadzieją i oczekiwaniem zmian. A teraz widzieliśmy rezultaty. Pozytywne i znaczne. Byłoby megalomanią i rzeczą nierozsądną przypisywać je właśnie naszemu buntowi. Zmieniła się ogólna sytuacja polityczna w Związku Sowieckim, zmienili się ludzie kierujący krajem, ale nasz bunt odegrał niewątpliwie znaczną rolę w zmianie polityki władz w stosunku do więźniów i obozów. Był — być może — tą kroplą, która przepętna naczynie i powoduje zmiany.

1. Zmienił się w sposób zasadniczy stosunek wszystkich władz obozowych od szeregowych ochrowców do nadzoru politycznego i naczelnika obozu oraz kierownika wszystkich służb. Teraz nie poniewierano brutalnie człowiekiem.

2. Przy każdym obozie zbudowano dom widzeń. Miał ten barak dwa wejścia, jedno z obozu, drugie z zewnątrz. W środku było kilka małych pokoi wyposażonych w łóżka, stoły i krzesła. Gdy teraz przyjeżdżał ktoś z rodziny do więźnia, ten otrzymywał zwolnienie z pracy na dziesięć dni i mógł ten czas spędzić z ojcem czy z żoną. A ci najbliżsi przyjeżdżali.

Pewnego razu żona aresztowanego przed czterema laty więźnia przywozła małego dzieciaka. Szczęśliwy ojciec przyniósł go do obozu. Co się wtedy działo! Górniccy odebrali mu synka, brali na ręce, nosili po obozie wzruszeni, kupowali mu w obozowym sklepiku smakołyki, zamówili w pracowni buciki i ubranko. Widziałem łzy w oczach starego szachtiora niosącego chłopca. Wzruszeni byliśmy wszyscy, nie wyłączając ochrowców.

Dyscyplina mocno się rozluźniła. Patrzono przez palce, że ktoś z przyjezdnych wszedł do obozu. Pamiętam starego Ukraińca spod Charkowa, oprowadzał go syn w asyście gromadki więźniów. Był w stołówce, zjadł obiad, zobaczył, że z obozu wywożą nie zjedzony przez więźniów chleb. Było tego ze dwieście kilogramów. „A u nas chleba brakuje!” — powiedział stary, rozplakał się i obejrzał lękliwie.

3. Zaczęto zwalniać małoletnich. Zwolniony został z tego tytułu wspomniany lwowiak Janusz Guttry, o czym się później dowiedziałem, zostawiłem go przecież na Szu-2.

4. Rozpatrywane są od nowa sprawy więźniów skazanych zaocznie przez osławione trójki OŚO (*osoboje sowieszczanje*). Pewnego dnia przyszło wezwanie do *normiowszczyka*, który pracował w sąsiednim pokoju. Unieważniono wyrok, zrehabilitowano go zupełnie, przysłano bilet partyjny, przysłano mundur i wszystkie wojskowe odznaczenia i wezwano do Moskwy. W czasie wojny był pułkownikiem, lotnikiem. Uścisnął nam ręce i tegoż dnia wyjechał.

5. Zniesiono wszystkie ograniczenia w korespondencji i przysyłaniu paczek.

6. Wprowadzono *zaczoty*. Za jeden dzień pracy w kopalni odliczano trzy dni wyroku. Przy pracach na powierzchni odliczano półtora dnia.

7. Zniesiono naszywane łątki z numerami i literami. Pozwolono nosić dłuższe włosy, można było mieć cywilne ubranie. Przechowywano je zwykle w *kamerze chraniaenia*. Więźniowie mieli już pieniądze, zaczęli szybko szyć sobie koszule i ubrania, gotując się do wyjścia za druty. Materiały kupowano w obozowym sklepiku. U wielu bowiem zbliżał się koniec wyroku. I ja tak się przygotowywałem, kończyłem swoją dziesiątkę za około trzy miesiące.

Franciszek KRÓL

NOTA BIOGRAFICZNA

Franciszek Król urodził się w 1906 roku w Chodowie. Gimnazjum ukończył w Miechowie. Po odbyciu studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim — psychologia i pedagogika — uczył w seminarium nauczycielskim w Sienicy i w Pedagogium w Wilnie.

Podczas okupacji współpracował z Biurem Informacji i Propagandy przy wileńskiej komendzie Armii Krajowej.

W Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej reprezentował ludowców, był członkiem Rady, redaktorem pisma *Jednością silni*. Organizował sieć terenową i kolportaż.

Aresztowany we wrześniu 1944 roku, skazany został na dziesięć lat. Odbywał wyrok w obozach Workuty. Wrócił do kraju w grudniu 1955 roku.

Po powrocie pracował w ciągu siedemnastu lat w wydawnictwie „Iskry” jako redaktor serii „Naokoło świata”. Przetłumaczył kilka książek z rosyjskiego, opracował książkę „Sztuka czytania”. Napisał wspomnienia. Brał udział w pracach organizacyjnych sybiraków i łagierników.

CI, CO ODESZLI

Michał KOMAR

PAN ADAM

I

30 października 1990 roku zmarł w Warszawie Adam Olgierd Uziembło, docent dr. hab., generał brygady W.P., matematyk, pedagog i działacz społeczny.

Urodził się 3 maja 1906 roku w Kimrach nad Wołgą. Po ukończeniu studiów na wydziale przyrodniczo-matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego poświęcił się trzem dziedzinom: logice matematycznej, pedagogice i działalności politycznej. Zajmował się więc na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zagadnieniem wzajemnej definiowalności funktorów rachunku zdań (które to badania doprowadziły go do rozważań nad teorią grup skończonych), działalnością w Z.N.M.S. i Z.N.M.S. „Życie”, a od 1928 roku w Komunistycznej Partii Polski, i uczył.

Był też działaczem ruchu pracowniczego, brał udział w przygotowaniu tzw. „deklaracji wrześniowej” z 1937 roku.

Za obronę Warszawy (był oficerem rezerwy 4 batalionu 30 p.p.) został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Jeniec oflagu Woldenberg — brał czynny udział w pracach obozowego Wyższego Kursu Nauczycielskiego i Instytutu Pedagogicznego. W tym czasie współtworzył konspiracyjną organizację komunistyczną w obozie.

Od 1945 roku pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji w Wojsku Polskim. Był zastępcą dowódcy okręgu wojskowego (Poznań) do spraw

politycznych, zastępcą dowódcy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Odkomenderowany w 1947 roku do pracy cywilnej, objął stanowisko zastępcy dyrektora departamentu nauki i szkolnictwa wyższego.

Od 1948 roku pełnił obowiązki szefa katedry w Akademii Sztabu Generalnego.

Aresztowany w 1949 roku — został uniewinniony po pięciu latach śledztwa.

W latach 1954-56 pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego.

W 1956 roku został powołany na stanowisko komendanta (rektora) Wojskowej Akademii Politycznej. Od 1959 roku pełnił funkcję sekretarza Rady Wyższego Szkolnictwa Wojskowego, której podlegały wojskowe szkoły wyższe.

W 1970 roku przeniesiony w stan spoczynku.

Od 1970 roku — docent w kieleckiej Wyższej Szkole Pedagogicznej.

Działacz PPR, Towarzystwa Wolnej Wszechnicy Polskiej (prezes), działacz i uczestnik seminarium Doświadczenie i Przyszłość, członek Solidarności od 1980 roku.

Autor licznych prac z dziedziny logiki, matematyki i pedagogiki.

II

Pan Adam był szczupły, chudy i niski, mówił głosem donośnym i złowrogo błyskał okularami. Uważam, że postanowił odgrywać rolę człowieka nieskończenie groźnego, który przewidział przy tym z góry, że mu się to nie uda. Więc na koniec uśmiechał się rozbrajająco i nieco bezradnie.

Poznałem go w 1960 roku w porcie helskim. Przyjechał w odwiedziny do swego zastępcy z Wojskowej Akademii Politycznej, pułkownika Zygmunta Hoffmana, który w czasie, gdy mój ojciec znalazł się w więzieniu G.Z.I., był jednym z nielicznych odważnych: pomagał. Mój przyjaciel Zdzisio Hoffman miał okropne kłopoty z matematyką, a ja uchodziłem w szkole za półgłówka. Pan Adam jął nas przekonywać (sądzę, że nie bez zachęty ze strony mojego ojca) o niezwykłych zaletach matematyki. Posłużył się wówczas sławnym (po Diracu) cytatem o elegancji jako kryterium prawdziwości teorii matematycznej. Co sobie zapamiętałem z wdzięcznością. Sprawdza się, nie tyle i nie tylko w związku z matematyką, ile — po prostu — w związku z codziennym doświadczeniem.

Drugą, ważną dla mnie rozmowę odbyliśmy w październiku 1980 roku. Zbierałem wtedy wraz z Edwardem Żebrowskim materiały do scenariusza filmowego o tzw. spisku w wojsku, śledztwach prowadzonych

przez Główny Zarząd Informacji w latach 1949-1954, rozstrzelanych oficerach. Pan Adam chętnie zgodził się na współpracę. Swą opowieść zakończył nagłym uderzeniem pięścią w stół: „Spisku nie było, ale powinien być! Zawiedliśmy!”

Powtórzył te słowa zimą 1989 roku, gdy wraz z Krzysztofem Langiem zaczęliśmy realizację filmu pt. „Proces”. Relacja, którą złożył przed kamerą, przypominała mi coś znajomego, coś, co raz przeżyte, lokuje się już na zawsze w najgłębszych pokładach pamięci. W czasie przeglądu materiałów zrozumiałem, że to, co mnie poruszyło, to duch i rytm opowieści nawiązujący wyraźnie do tradycji „Płomieni”. — „Naprawdę?” — zaśmiał się pan Adam. — Widać tak się muszą układać niektóre życiorysy... Proszę tego nie rozgłaszać. Niech sami się domyślą...”

Miałem nadzieję, że ta tajemnica pozostanie między nami przez przynajmniej jeszcze parę lat. Smutno.

Poniżej przedstawiam relację Adama Uziembły nagraną dla potrzeb filmu „Proces”.

III

Nazywam się Adam Uziembło, urodziłem się 3 maja 1906 roku w Kimrach nad Wołgą, ale nie jestem Rosjaninem, po prostu mój dziadek ożenił się z Rosjanką i dlatego wraz z mamą pojechałem do Rosji, do kuzynek, w 1914 roku, a wróciłem do kraju dopiero w 1920.

Chcecie historii mojej rodziny? No cóż, długo musiałbym opowiadać!

Był jakiś Piotr Uziembło, podporucznik II klasy w Powstaniu Kościuszkowskim.

Był jakiś inny Uziembło, a imienia wam nie powiem, gwałtygier w wojsku Królestwa Kongresowego.

Ojciec mojego dziadka Władysław brał ponoć udział w powstaniu 1830 roku.

Pochodził z Podlesia i ożenił się z panną Biblianną Uziembło z Podlesia. W którym roku? Tego wam nie powiem. Dostyc, że nic nie umiał, a pracował na Ukrainie, chyba u Radziwiłłów.

Dziadek mój, Józef Uziembło, studiował za stypendium jakiegoś samotnego małżeństwa w Instytucie Politechnicznym w Kijowie, potem przeniósł się do Moskwy i tam przystąpił do kółka socjalistycznego. Poznał Piotra Ławrowa i zaczął się z nim spierać o sprawę narodową. A z Waryńskim też się o to spierał, bo razem działali w Warszawie, jeszcze przed założeniem Pierwsze-

go Proletariatu. Wkrótce Józef znalazł się w Krakowie, musiał uciekać przed rosyjską policją.

W Galicji była spora grupa socjalistyczna: Szymon Diksztajn, Kazimierz Dłuski, Stanisław Mendelson, Kazimierz Hildt, ale ci wyjechali do Genewy i tam założyli czasopismo *Równość*. Józef z Erazmem Kobylańskim napisali wtedy „Odezwę socjalistów polskich, wystosowaną do Józefa Ignacego Kraszewskiego...”. Wszystkich ich wydał w ręce policji austriackiej jakiś drukarz, no i doszło do procesu. To było w 1880 roku, proces Waryńskiego, sławny proces. Ale zanim doszło do rozprawy, to Józef zachorował w więzieniu na gruźlicę kości i w efekcie stracił nogę.

Z tego widać, że myśmy rodzinnie byli obarczeni tradycją socjalistyczną, rewolucyjną, ale związaną raczej z ideałami niepodległościowymi.

Jak wiadomo, wszyscy oskarżeni w Procesie Krakowskim zostali uniewinnieni, z tym, że poddanych rosyjskich Austriacy wysiedlili do Szwajcarii. Józef trochę pobył w Genewie, potem pojechał od Paryża i tam poznał moją babkę, Katarzynę Gołowaczow, córkę Aleksieja, Katerinę Aleksiejewną. Jej ojciec był działaczem kolejowym, no, budował koleje, z wielkim zapałem, cieszył się widać szacunkiem, skoro został *prowditielem dworianstwa* w guberni. Liberal! wszedł w skład delegacji szlachtej carskiej, która prosiła Najjaśniejszego Pana Aleksandra II o oswobodzenie chłopów. Później zajął się kolejnictwem i popadł w konflikt ze swoim ministrem, który zapytał go pewnego dnia: — Kim pan chce być, zwykłym urzędnikiem czy publicystą? A dziad Aleksiej na to: — Jeśli mam wybierać, to wolę być publicystą! I pojechał do swego majątku, do Pokrowskoje.

Józef ożenił się z Katarzyną w 1884 roku.

Kiedy mnie pytają, skąd pochodzę, to odpowiadam, że z rozłogów rosyjskich od Atlantyku po Ural, bo mój ojciec urodził się w Paryżu. Miał dwóch braci, Władysława i Stanisława.

Józef i Katarzyna wrócili do majątku Aleksieja, ale władze nie dawały im spokoju i wysiedliły ich do Niżnego Nowgorodu. Potem młode małżeństwo osiedliło się w Samarze, która dziś nazywa się Kujbyszew.

W 1901 albo w 1902 roku dziadkowie postanowili — ze względu na potrzebę wykształcenia synów — przenieść się do Lwowa. A w 1907 pojechali do Warszawy, gdzie dziadek razem z Turowiczem założyli firmę papierniczą z drukarnią. I zaczęli drukować *Robotnika*.

W 1907 roku żandarmeria wpadła na trop drukarni. Jej pracownicy zostali aresztowani. Dziadka przy tym nie było. Postanowił ich uratować. Zgłosił się do władz i całą winę wziął

na siebie. Został skazany na osiem lat katorgi. Chyba niepotrzebnie to zrobił, bo ci, których chciał ratować, rok po zesłaniu ich na Syberię — uciekli, a on przesiedział do 1914 roku w najcięższym rosyjskim więzieniu. No, we włodzimirskim więzieniu, które po dziś dzień cieszy się ponurą sławą.

Wtedy babka przeniosła się do Włodzimierza, żeby raz w miesiącu mieć z nim widzenia.

W 1905 roku mój ojciec porwał..., wyjechał z moją przyszłą matką, wbrew woli rodziców, do Pokrowskoje, do majątku dziadka, tam się pobrali. A kiedy się urodziłem — rodzice rozeszli się. Matka była w ciężkiej sytuacji, więc moim wychowaniem zajęła się babcia.

Moje włodzimierskie dzieciństwo upłynęło w cieniu więzienia i w cieniu szpitala psychiatrycznego, bo zapomniałem dodać, że babcia była psychiatrą. Umarła na zapalenie płuc w 1914 roku, tydzień po tym, jak jej mąż Józef wyszedł na wolność. Wówczas matka zabrała mnie do Lwowa.

Mieszkałem tam pół roku, ale bardzo tęskniłem za moimi siostrzyczkami stryjecznyimi.

Wyjechaliśmy na wakacje letnie do Pokrowskoje, a tymczasem wybuchła wojna i na sześć lat oddzieliła mnie od kraju.

Różne były koleje losu, mieszkaliśmy z matką w rozmaitych miejscach, ale nie ma tu co o tym opowiadać. Dostyc, że w 1920 roku — podczas przerwy w działaniach wojennych, pod koniec marca albo w kwietniu były rokowania — dzięki pomocy pani Dzierżyńskiej dostaliśmy się do transportu zakładników i bieżenców, którzy mieli być wymienieni na komunistów polskich.

Jechaliśmy z Moskwy do Mińska specjalnym pociągiem sanitarnym, tam były przyzwoite warunki; z Mińska, już pod konwojem, trzecią klasą, a do Warszawy jak zwykli pasażerowie. Na granicy była wymiana: my — w jedną stronę — przestraszeni, obarczeni tobołami, dzieci, krzyk, płacz, a w drugą wolni, swobodni i radośni, oni, komuniści, którzy śpiewali o Czerwonym Pułku Warszawy...

Uczyłem się zrazu w Krakowie, potem w Warszawie. W 1924 roku wstąpiłem na Uniwersytet, na wydział matematyczno-przyrodniczy. Studiowałem matematykę. W 1925 roku rozpocząłem działalność polityczną w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Tam dokonałem rozłamu. W 1927 roku związałem się z ruchem komunistycznym.

Działałem w Mińsku Mazowieckim, w środowisku robotniczym, a po służbie wojskowej przeszedłem do ruchu związkowego. W stowarzyszeniu urzędników państwowych zetknąłem się z Włodzimierzem Lechowiczem, Alfredem Jaroszewiczem i Micha-

łem Eklerem. Pracowałem w Głównym Urzędzie Statystycznym, a potem, do 1937 roku, uczyłem w szkole dla dorosłych w Gdyni.

W 1939 roku jako podporucznik rezerwy zostałem powołany do wojska i poszedłem na front z 30-tym pułkiem piechoty. Mój czwarty batalion walczył w obronie Warszawy. 28 września walki skończyły się, a 1 października zostałem wzięty do niewoli.

W Woldenbergu? Zasiadłem do poważniejszych studiów nad matematyką, uczyłem też w Instytucie Pedagogicznym, na wyższym kursie nauczycielskim. W 1943 roku, wiosną, utworzyliśmy w obozie konspiracyjną grupę komunistyczną. Byli tam Petrusewicz, Rudzki, Kuropieska — jako doradca do spraw wojskowych, a bliski kontakt utrzymywał z nami Roman Paszkowski.

25 stycznia 1945 roku Niemcy postanowili nas wyewakuować z uwagi na zbliżające się wojska sowieckie. Oboz został podzielony na dwie części. Dwa bataliony (tam był Kuropieska) poszły na zachód i dotarły w końcu do Lubeki, nasze cztery bataliony zostały odbite przez Rosjan. Było to 31 stycznia.

Pojechałem do Warszawy. 11 lutego zgłosiłem się do komitetu partyjnego na Pradze, do sekretarza, który nazywał się Sierpiński. Ten skierował mnie do Wiktora Grosza.

Grosz, Groszowa i Wągrowski pamiętali mnie sprzed wojny, więc po dwóch dniach zostałem zmobilizowany do wojska, do Głównego Zarządu Politycznego. Przez pierwsze miesiące brałem udział w komisjach weryfikacyjnych, które selekcjonowały oficerów z oflagów; jednych do wojska, bo przecież wciąż trwała wojna, a innych rekomendowaliśmy do pracy cywilnej.

W maju przyjechał do Polski Kuropieska (a z nim jeszcze w Woldenbergu zastanawialiśmy się, których oficerów z obozu należałoby wcielić do wojska) i w porozumieniu ze Spsychalskim zaczęliśmy realizować nasze plany. Ja miałem być odpowiedzialny za dostarczenie odpowiedniej liczby oficerów politycznych.

To były bardzo skomplikowane sprawy. Już w Lublinie, w 1944 roku, wiadano, że sytuacja jest dramatyczna. W jednostkach przybyłych z ZSSR decydujące funkcje spełniali oficerowie sowieccy, oficerowie polityczni — Polacy, często Żydzi (wyciągnięci z łagrow i *strojbatów*) a reszta, niosąca w sobie zapiekłą nienawiść do ZSSR — Poleszuki, Wilenczuki, Lwowianie, pozierani ze straszliwej poniewierki... W Lublinie doszli do tego ludzie z AL, ale to byli partyzanci, bez doświadczenia wojskowego. A jakże, była uchwała Biura Politycznego PPR, żeby przyjmować oficerów z AK, ale okazało się z kolei, że między

ludźmi z AL (z których większość poszła do aparatu bezpieczeństwa i milicji) i AK-owcami panuje zapiekła nienawiść.

W każdym razie wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że nie wolno tworzyć Wojska Polskiego z samych oficerów sowieckich.

W Woldenbergu było prawie siedem tysięcy oficerów, w tym osiemdziesięciu dyplomowanych. To mógł być potężny zastrzyk wzmacniający Wojsko Polskie. Jak już wspomniałem, w naszej organizacji od 1943 roku przewidywaliśmy zwycięstwo ZSSR i zmianę sytuacji politycznej w Europie, a w związku z tym wybieraliśmy ludzi, którzy mogli być nieodzowni do przyszłego wojska.

Kuropieska uważał, że trzeba stawiać na oficerów dyplomowanych i na oficerów młodszych, podporuczników, poruczników, kapitanów, ale nie wyżej, bo starsza kadra będzie już mało przydatna i ponadto, że należy wybierać przede wszystkim fachowców. Nie zawsze się z tym wówczas zgadzałem. Ale on mnie przekonywał, że jeśli dobry oficer, fachowy, sprawę przemyśli i zobowiąże się — to będzie lojalny. I nie mylił się, przynajmniej w stosunku do dwóch grup: do oflagowców i do oficerów z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Kuropieska nawiązał kontakt z generałem Spychalskim, z pułkownikiem Stanisławem Zawadzkim i oni całkowicie te koncepcje popierali. Trzeba dodać, że znaczną rolę w tej sprawie odgrywał też Anatol Fejgin, który doskonale rozumiał, że Wojsko Polskie winno być budowane przez polskich oficerów. Po latach, kiedy mnie przesłuchiwał, powiedziałem mu: — „Przecież wy, pułkowniku, robiliście to samo co ja i co Spychalski!” On na to: — „No dobrze, ale ja działałem z dobrej woli, a Spychalski to robił w ramach spisku!”

W 1945 i 1946 zaczęto odsyłać część sowieckich oficerów do ZSSR. Ale trzeba też pamiętać, że większość z nich to byli Polacy z pochodzenia i jak ich odsyłano, to płakali. Odsyłano zaś — na żądania władz sowieckich — przede wszystkim tych, którzy przypomnieli sobie polskość, odnaleźli polskie rodziny, zaczęli żyć po polsku. Był taki major Zieliński, który tępił wśród oficerów sowieckich szabrowników i gwałcicieli (a gwałcenie kobiet było specjalnością sowieckich oficerów). Zielińskiego odesłano do Leningradu, bo *opoliaczysia...* Tak, sowieccy nawet się nie krępowali mówić, że trzeba wysyłać do ZSSR tych, którzy *opoliaczilis*. Część z nich trafiała od razu na Sybir.

Któregoś dnia spotkałem w kolejce EKD Hermana. Powiedział mi, że się ukrywa. Po przyjeździe Kuropieski Herman skontaktował się z nim, a potem ze Spychalskim. W ten sposób Kuropieska starał się nawiązać porozumienie z Rzepeckim i rozładować sprawę AK i WiN-u.

Muszę przyznać, że byłem wtedy w euforii. No bo i powrót do Polski, i praca legalna, w wojsku, w Zarządzie Politycznym... a oprócz tego odpadła jedna straszna rzecz. Wy tłumaczyłem sobie, że już na pewno nie powtórzy się terroryzm 1937 roku. Wszyscy sobie to wytłumaczyliśmy! W Polsce nie będzie terroru, bo Związek Sowiecki chce upowszechnić socjalizm jak najszerzej, a drogą terroru nie będzie to możliwe. Łudziliśmy się. Łudziliśmy się wszyscy. Dorabialiśmy sobie teorię, że Związek Sowiecki w konkurencji z krajami demokracji burżuazyjnej będzie starał się kontynuować linię Frontu Ludowego z zachowaniem liberalizmu i poszanowaniem praw narodów. Łudziliśmy się. A przecież przed nami, przed komunistami, ta sprawa, sprawa terroru lat trzydziestych, stała przez cały czas. Nie znaliśmy, rzecz jasna, szczegółów, ale wiedzieliśmy — ogólnie rzecz biorąc — że kolektywizacja kosztowała miliony ofiar, wiedzieliśmy — ogólnie rzecz biorąc — że nasi towarzysze, których tam rozstrzelano, byli uczciwymi ludźmi, a nie kontrrewolucjonistami.

W październiku 1945 roku zostałem zastępcą dowódcy Wojskowego Okręgu Poznańskiego. Przeprowadzałem na tym terenie referendum i wybory. Byłem w pewien sposób użyteczny. Miałem umiejętność rozmawiania. Łudząc samego siebie, potrafiłem łudzić innych. Przeżyłem wtedy przygodę (nigdy o niej dotąd nie opowiadałem), która być może rzuca pewne światło i na to, jak mnie widziano, i jak sam siebie wtedy widziałem. Zaczęła się sprawa PSL. Sądziłem, że aparat polityczny w wojsku nie powinien brać udziału w walkach międzypartyjnych. No i pewnego dnia na zebraniu chłopów, bodaj w Jarocinie, powiedziałem nieostrożnie, że mnie jest wszystko jedno czy chłop jest w PSL czy w PPR, byle by lojalnie pracował dla Polski Ludowej. Dostałem ogromne brawa. Był przy tym obecny major K. z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Przyskoczył do mnie z zaciśniętymi pięściami: „Tak! Kto ty jesteś! Wam kontrrewolucjoniści klaszczą! Widać taki sam jesteś!”

Dwa lub trzy tygodnie później jechałem samochodem do Turka. Na drodze pojawiła się grupa uzbrojonych ludzi, jakiś człowiek w mundurze milicjanta, reszta cywile, ale z bronią. Wysiadać! A proszę pamiętać, że jako zastępca dowódcy okręgu wojskowego byłem zarazem zastępcą przewodniczącego Komitetu do spraw Bezpieczeństwa (a więc zwalczającego partyzantkę).

Wysiadam. I słyszę: — A to pan, panie pułkowniku! Puścić! Wsiadłem do samochodu z myślą, że to pewnie jakaś grupa operacyjna Urzędu Bezpieczeństwa, ale po przyjeździe do Turka okazało się, że to byli ludzie z lasu. Nie mówiłem o tym nikomu...

W dowództwie okręgu większość wyższych stanowisk zajmowali Rosjanie. Ja z kolei wypracowałem sobie teorię, która miała usprawiedliwiać obecność Rosjan w Wojsku Polskim. Mówiłem więc, że korpus oficerski składa się z trzech równoprawnych składowych:

- z instruktorów sowieckich
- z oficerów przedwojennych i z PSZ
- z oficerów z I Armii i AL, którzy są dowódcami plutonów i kompanii.

Nowy dowódca Okręgu, generał Wsiewołod Strażewski, wyprowadził mnie z błędu mówiąc: — „My nie jesteśmy instruktorami, tylko dowódcami”, i postawił wniosek o odwołanie mnie z Poznania.

Zabrał mnie do siebie Konrad Świetlik, dowódca KBW, ale kiedy zorientowałem się, że idzie o pracę raczej policyjną niż wojskową, zacząłem prosić Spychalskiego o przeniesienie do Ministerstwa Oświaty. A po pewnym czasie powróciłem do wojska.

Wiosną 1948 roku zrozumiałem, że chmury zagęszczają się, a po plenum sierpniowo-wrześniowym nie miałem już wątpliwości, że nadchodzi epoka terroru.

Któregoś dnia — byłem wtedy kierownikiem katedry w Akademii Sztabu Generalnego — rozmawiałem o tym z moim podwładnym.

On: — „Przecież ta walka z odchyleniem prawicowym przebiega inaczej niż w Rosji, przecież Gomułka jest na wolności!”.

Ja: — „Zobaczycie, że zaaresztują i Spychalskiego i Gomułkę i Bieruta”.

Bo wydawało mi się wtedy, że Bierut, jako przedstawiciel PPR, będzie bronił partii, a terror ma służyć likwidacji ludzi, którzy myślą samodzielnie i nie są bezpośrednio zależni od Rosji.

W śledztwie — wybiegam naprzód — dręczono mnie przez kilka lat pytaniem: „W jaki sposób chcieliście aresztować Bieruta?” Wynikało z tego, że w spisku, którego miałem być członkiem, mnie właśnie przydzielono honorowe zadanie aresztowania Bieruta. Śmieszna historia.

Tak więc atmosfera zagęszcza się. Aresztują Rzepeckiego, który był szefem Biura Studiów, potem Hermana, potem Szytowskiego (oficera z oflagów), który był przez pewien czas pełnomocnikiem Wojska Polskiego do spraw Armii Sowieckiej. Wtedy i ja zacząłem myśleć, kiedy mnie ta przyjemność spotka.

I rzeczywiście, 1 listopada 1949 roku o godzinie siódmej rano złożył mi wizytę major, oficer informacji i ASG, z zaprosze-

niem na rozmowę u towarzysza ministra Mietkowskiego, która to rozmowa trwała aż do 1954 roku.

Mietkowski był bardzo uprzejmy i powiedział, że rozmowa ma czysto partyjny charakter. Idzie o to, ażebym wyjaśnił, dlaczego zrobiłem pewną rzecz, bardzo niedobłą, i jeśli dobrowolnie mu to opowiem, to wrócę do domu na obiad.

Zachodziłem w głowę, o co idzie. Może o to, że w latach dwudziestych, kiedy byłem bezrobotny, moja mama skierowała mnie do pułkownika Trojanowskiego ze służby celnej, a ten — chcąc przyjąć mnie do pracy — kazał napisać podanie? Gdyby to wyszło na jaw teraz, to bezapelacyjnie zostałbym uznany za prowokatora.

Była jeszcze jedna sprawa, ale o niej dowiedziałem się później. Mianowicie dotarło do Ministerstwa Bezpieczeństwa podanie Adama Uziembły, wachmistrza legionów, pisane w 1922 roku — z prośbą o weryfikację stopnia wojskowego. Podanie było złożone w ekspozyturze II Oddziału w Bydgoszczy. Potem zrozumiałem, że mój ojciec, który był w latach 1921-22 komisarzem plebiscytowym, został skierowany z takich czy innych względów do II Oddziału. Oficerowie z informacji uważali, że tym Adamem jestem ja. Tłumaczyłem im, że w 1922 roku miałem kilkanaście lat i że nie ja pisałem to podanie, ale nie chcieli mi uwierzyć. Stosowny dokument przewędrował w mojej teczce aż do rozprawy, ale prokurator nie skorzystał z niego w akcie oskarżenia.

Ale wróćmy do Mietkowskiego. Opowiadam mu o sobie, opowiadam, sekretarka stenografowała, ale nic z tego nie wychodziło. Mietkowski przerwał rozmowę i powiedział, że niestety musi mnie zatrzymać, daje mi czas na zastanowienie się do jutrzejszego dnia. Potem rozmawiał ze mną Ignacy Krzemień i Czaplicki. Wciąż nie mogłem zorientować się, o jakie zarzuty im idzie. Zdawałem sobie rzecz jasną sprawę z tego, że chcą mnie zniszczyć w związku z prawnym odchyleniem, (bo przecież w KPP byłem w większości, chciałem, ażeby partia uwzględniała zasady demokracji, liberalizmu oraz sprawy narodowe), ale natychmiast zadałem sobie pytanie: — Ale jak oni z tego zrobią przestępstwo?

I wtedy przypomniała mi się rozmowa z doktorem Poprużenko, matematykiem współpracującym z MBP, który proponował mi, abyśmy stworzyli w Bezpieczeństwie sekcję naukową. Sekcja owa ustalałaby *a priori*, na podstawie metod logiki matematycznej, możliwość zaistnienia wrogich spisków, a potem oficerowie operacyjni znajdowałiby rzeczywiste spiski w terenie.

Wczesną wiosną 1950 roku przewieziono mnie z aresztu MBP do więzienia Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego, na ul. Oczuki.

Odniosłem wówczas wrażenie, że dintojra złodziejska przekazała mnie w łapy prawdziwych bandytów.

Zrazu odwiedził mnie pułkownik Kochan. Znałem go z Poznania, był tam szefem Informacji w Okręgu Wojskowym. Nie umiał powiedzieć, o co chodzi.

Wkrótce zaprowadzono mnie do Skulbaszewskiego. Powiedział, że się znamy (czego nie pamiętałem) i zaapelował do mojego sumienia partyjnego. Oświadczył mianowicie, że w wojsku został zawiązany spisek antypartyjny i antysowiecki. Jego członkami są oficerowie, których Kuropieska i ja wprowadziliśmy do wojska. On — Skulbaszewski — chciałby wiedzieć, czy miałem absolutną pewność, że oficerowie, których wprowadzam do wojska, są lojalni.

No nie, absolutnej pewności nie miałem.

Na to Skulbaszewski pyta, czy znam uchwałę Biura Politycznego, która stwierdzała, że do wojska mogą być wprowadzeni tylko tacy oficerowie, co do których istnieje pewność absolutna...? Trochę mnie to zaniepokoiło. Złożyłem samokrytykę. To znaczy spisałem moje losy obozowe i mój udział w mobilizowaniu do wojska tych oficerów, którzy mogli — teoretycznie rzecz biorąc — zawiązać spisek, tylko, że ja o tym nic nie wiedziałem i nie wiem.

Po tej samokrytyce nastąpiła przerwa w przesłuchaniach aż do 15 marca. Od tego dnia maglowało mnie w sumie dwudziestu dziewięciu oficerów śledczych. Pamiętam Kornela, Lisa, Kulaka, który miał wyraźnie sadystyczne skłonności, i paru innych. Oczywiście Skulbaszewskiego, który zadawał bardzo logiczne pytania. Na przykład tak:

— Czy byliście absolutnie przekonani co do lojalności oficerów wprowadzanych przez was do wojska?

— W zasadzie tak.

— To znaczy, że nie byliście absolutnie przekonani! A w takim razie, czy meldowaliście o swoich wątpliwościach przełożonym?

— Nie meldowałem.

— A zatem byliście w spisku!

I wtedy powiedziałem: — Być może byłem w spisku.

— Kto do niego należał?

— Ja i Kuropieska.

Wtedy on wrzasnął: — O dupę potłuc z takim spiskiem dwuosobowym! Nas to w ogóle nie urządzi!

Zastanawiałem się później, czy to moje oświadczenie, dosyć lekkomyślne, nie stało się przyczyną aresztowania innych oficerów, ale podkreślałem, że w śledztwie nie oskarżałem nikogo, prócz siebie samego.

Śledztwo toczyło się w szczególnym rytmie. Trzy miesiące intensywne przesłuchań, trzy miesiące przerwy. Siedziałem niemal przez cały czas w pojedynkę. Przesłuchania przebiegały stereotypowo! Kiedy nareszcie zaczniecie zeznawać jak zdradzaliście Polskę Ludową?!... Wstać na końce palców!... Ręce podnieść do góry!... Odwrócić się do ściany!... Ty skurwysynu... etc.

Bardzo interesowali się historią mojej rodziny. Kiedy dowiedzieli się, że mój dziadek był związany z Waryńskim, ale potem z PPS — Frakcją Rewolucyjną, byli podnieceni. Kulak oświadczył mi w pewnym momencie: — „A więc jesteście zdrajcą dziedzicznym. Wasz dziadek był zdrajcą, wasz ojciec był zdrajcą i wy jesteście tacy sami”. Wtenczas ja nie wytrzymałem: — „Ty skurwysynu, nie wycieraj sobie mordy ludźmi, którzy są więcej warci od ciebie”.

I powędrowałem do karceru.

To nie było przyjemne. Mokro, ciemno, ciasno.

Znowu rozmowy ze Skulbaszewskim.

Mówił, że zamierza zrobić proces klasyczny, w którym nikt nikogo nie uderzy, a wszyscy się przyznają. Mówił, że w Związku Sowieckim nie potrafili robić dobrze procesów, dlatego, że byli tacy co się nie przyznali i, niestety, używano przemocy. Mówił: — Wiecie, że Radek nie został rozstrzelany! Obiecywał, że jeśli zeznam to, co trzeba, to natychmiast wyjdę na wolność, bez procesu, i dostanę stanowisko, może nie w wojsku, ale na Uniwersytecie, jako profesor. Jego słowa nie sprawdziły się. Nie zostałem profesorem. Mówił też, że proces jest niezbędny, ażeby inteligencja polska poszła na współpracę. „Jesteśmy w lepszej sytuacji aniżeli rewolucja rosyjska, bo możemy zlikwidować całą inteligencję polską i zastąpić ją inteligencją ze Związku Sowieckiego”.

W trakcie ciągnących się przesłuchań zrozumiałem wreszcie, o co chodzi. Oczywiście o wprowadzenie obcego czy też wrogiego elementu do wojska. Ale przy okazji zbudowano fantastyczną kombinację.

Oparta została na założeniu, że przed wojną byłem prowokatorem policyjnym w KPP, przy czym nie wiadomo w jakich okolicznościach nim się stałem.

Na przełomie 1942/1943, kiedy oficerowie zawodowi zapalali — pod wpływem sukcesów sowieckich — gwałtowną chęcią współpracy z ZSSR, Kuropieska i ja postanowiliśmy stworzyć konspiracyjną organizację niby to komunistyczną, a w istocie antykomunistyczną. Miała ona — wedle informacji — dwa cele. Pierwszy: zniechęcać oficerów do współpracy z ZSSR. Drugi: przy pomocy podstawionych ludzi opanować Wojsko Polskie i następnie dokonać kontrewolucji w Polsce Ludowej.

Wynikało ze tego, że już w 1943 roku wiedziałem, że będzie istniała Polska Ludowa!

Realizować mieliśmy ten zamiysł we współpracy z obozową Dwójką i Abwehrą, rzecz jasna, która czuwała nad wszystkimi przejawami życia w oflagu. Niemcy byli bardzo sprytni i kiedy w 1945 roku do obozu zaczęli się zbliżać Rosjanie, nasz obóz został celowo podzielony na dwie części. W jednej z nich umieścili Kuropieskę, który w ten sposób znalazł się za Odrą, został wyzwolony przez Brytyjczyków i mógł nawiązać kontakt z rządem angielskim. W drugiej mnie — dzięki czemu mogłem szybko znaleźć się w Warszawie i nawiązać kontakty ze Spychalskim lub Gomułką.

To brzmiało dość humorystycznie. Ale mnie nie było do śmiechu.

To znaczy i było i nie było.

Przeważnie siedziałem w pojedynce, ale od czasu do czasu miałem współlokatorów. Jeden z nich bardzo się ucieszył, że siedzi z matematykiem. Chciał nauczyć się prawidłowego obliczania procentów. Dlaczego? Ano był oficerem Informacji w jakiejś szkole oficerskiej i dostał zadanie wykrycia 11,2% szpiegów. Liczył, wykrywał, ale udało mu się znaleźć tylko 6,7% szpiegów. I go posadzono. Drugi — też z Informacji — tłumaczył mi, że prawdziwy socjalizm będzie w Polsce dopiero wtedy, gdy 10% społeczeństwa znajdzie się w więzieniach. Tak go podobno uczyli na odprawach.

Zaprowadzono mnie też do Fejgina. Potraktował mnie zupełnie przyjaźnie i poprosił, żebym mu wyjaśnił, w jaki sposób wraz ze Spychalskim wprowadzałem wrogi element do wojska. Odpowiedziałem, że istotnie wprowadzałem ludzi do wojska, ale robiłem to przecież według listy zatwierdzonej przez niego, to znaczy przez Fejgina, który był w 1945 roku szefem wydziału personalnego. Na to Fejgin, że w przeciwieństwie do mnie i Spychalskiego on działał w dobrej wierze. Na to ja: „Będziecie to musieli udowodnić...”. Właśnie w czasie tej rozmowy zrozumiałem, że cała sprawa spisku jest najzwyczajszą prowokacją.

Próbowano mnie złamać przy pomocy konfrontacji. Na pierwszej generał Floryanowicz oświadczył, że współpracowaliśmy w Woldenbergu w akcji antykomunistycznej, on — jako członek organizacji wojskowej (a więc antykomunistycznej), ja — jako członek konspiracji komunistycznej. Ponieważ sam sobie zaprzeczał, był bardzo speszony, więc szybko przerwano naszą rozmowę. Potem spotkanie z pułkownikiem Bochenkiem, który twierdził, że w czasie spotkania w ASG wyznałem mu, że wraz z Kuropieską założyliśmy spisek w Sztapie Generalnym. Miałem

mu proponować współpracę polegającą na wymianie tajnych informacji. Te słowa skwitowałem krótko: — „Głupie kłamstwo!”

Myślę, że Floryanowicz i Bochenek sądzili, że ja ich sypię.

Pewnej jesiennej nocy 1953 roku wyciągnięto mnie z piwnicy i wprowadzono do gabinetu, w którym znajdował się wysoki funkcjonariusz KC. Po długiej rozmowie oświadczyłem mu, że jeśli nawet popełniłem w swojej pracy jakieś błędy, to nie przyznaję się do żadnego przestępstwa. W odpowiedzi usłyszałem zarzuty co do niepartyjnego zachowania się w wojsku i w śledztwie, ale o oskarżeniu o zdradę nie było już mowy.

Zaraz potem osadzono mnie w piwnicy w Komendzie Miasta. Było tam ciepło, a w dodatku mogłem leżeć na pryczy w ciągu dnia.

Wiosną 1954 roku zawieziono mnie z powrotem na ul. Oczuki. Tym razem do nowowypbudowanego aresztu. Luksusowe warunki; cele dwuosobowe, jasne, stolik, książki. Dostałem nawet „Kapitał” Marksa i zacząłem pisać pracę o cenach produkcji. Aż pewnego dnia zaprowadzono mnie do młodego prokuratora, kapitana Więcka. Obok niego siedział oficer informacji. Więc ja, przywykły do reguł gry, znów zacząłem składać samokrytykę. Więcek przerwał mi i poprosił, ażebym powiedział jak to było naprawdę. No i zacząłem mówić, jak to było naprawdę w sposób, no, powiedzmy, prawie spokojny.

Śledztwo trwało dwa tygodnie. Otrzymałem akta sprawy. Okazało się, że wycofany został zarzut szpiegostwa. Natomiast podtrzymane było oskarżenie o udział w spisku, którego korzenie miały sięgać naszej grupy konspiracyjnej w Woldenbergu. Na rozprawie, która trwała chyba 12 dni, mój adwokat radził mi, ażebym się przyznał przede wszystkim do tego, że przed wojną nie należałem do żadnej partii, tylko do „antypartyjnej frakcji większościowej”.

Z kolei prokurator Więcek starał się wykazać kłamliwość zeznań świadków oskarżenia. Większość świadków wycofała zeznania mnie oskarżające. Ale nie wszyscy. Zeznawał pułkownik, późniejszy generał, Skibiński. Nie chciał cofnąć zeznań Roman Paszkowski. Ażeby złamać upór Paszkowskiego, przywołano Kuropieskę. Ten stwierdził, że Roman Paszkowski w ogóle nie należał do spisku. A dokładniej, że tworząc spiszek Kuropieska starał się doń wciągnąć ludzi poważnych, takich jak Tatar, Herman, Kirchmayer, a nie smarkaczy w rodzaju Paszkowskiego. Jeśli zaś o mnie idzie, to nie nadaję się do żadnej konspiracji, bo jestem nazbyt roztrzepany.

Kuropieska obalił również zeznania Tadeusza Żebrowskiego. Ten z uporem wyprowadzał historię spisku ze źródeł woldenberskich. Na to Kuropieska: — „A kiedy dowiedzieliście się, że

nasza organizacja w Woldenbergu ma charakter antykomunistyczny? Wtedy, w 1943 roku czy później?" A Żebrowski na to: „Dowiedziałem się o tym od pułkownika Duszy z Ministerstwa Bezpieczeństwa, on mi to wytłumaczył w śledztwie”.

W wyniku dwutygodniowego procesu prokurator Więcek postawił wniosek o uniewinnienie mnie. Ja z kolei w ostatnim słowie oświadczyłem, że nie poczuwam się do żadnych win (z wyjątkiem faktu, że w moim domu, w czasie rewizji, znaleziono dwa niezarejestrowane pistolety, za co może mi się należeć pięć lat więzienia). Sąd uniewinnił mnie (jak się później dowiedziałem — pod naciskiem Edwarda Ochaba).

Dwa lata po wyjściu z więzienia wróciłem do wojska. Jako komendant Wojskowej Akademii Politycznej zostałem powołany do komisji badającej niepraworządne postępowania Informacji, sądownictwa wojskowego i prokuratury wojskowej.

Najczęściej w tych sprawach kontaktowałem się z sędzią Szererem i pułkownikiem Majewskim. Ten ostatni starał się — zgodnie zresztą z wyraźnymi sugestiami Spychalskiego — nie dopuszczać do rozszerzania spraw. I tak na przykład powstał konflikt o nieprawidłowości w procesie lubelskim. Tam były prowokacje, tortury... a tymczasem minister nalegał, abyśmy ograniczyli się do tzw. procesu generalskiego (tj. procesu Tatar, Utnika, Mossora, Kirchmayera i innych — p.m. MK).

Praca w komisji polegała także na przesłuchiwaniu ludzi i konfrontacji ich zeznań z dokumentami. Przy okazji dowiedziałem się, że N.(azarowicz) był agentem celnym. Bardzo miał głupią minę, gdy go o to zapytałem. Odpowiedział: — „Tak, ale o panu nic złego nie powiedziałem”. Rzeczywiście, nic złego nie powiedział.

Dużo za to mówił, fantazjował, bez potrzeby i bez zmuszania, Stanisław Tatar. Na przykład tak, że znał mnie sprzed wojny jako kapitana II Oddziału. Jakie były konsekwencje śledcze tego oświadczenia, każdy może się domyślić.

Z tych przesłuchań i z lektury dokumentów (a było to bardzo męczące, niemal tak, jak śledztwo w mojej sprawie) wyciągnąłem następujący wniosek:

— wszystkie sprawy były dęte od samego początku, czego byli świadomi oficerowie Informacji (być może z wyjątkiem pionków), prokuratorzy i sędziowie. Bo proszę pamiętać, że do tych spraw dobierano zawsze kilku tych samych sędziów, zaufanych, wiernych i wtajemniczonych, i zawsze tych samych prokuratorów, którzy podlegali Zarakowskiemu.

Sędzia Szerer uważał, że sędziowie mogli być wprowadzani w błąd przez oficerów Głównego Zarządu Informacji i obecne sądenie za ówczesny sposób sądenia stanowiłoby groźny prece-

dens. Wiele lat później, już po ogłoszeniu raportu Szerera, rozmawiałem z nim na ten temat. Mówię: — „Przecież pan, panie sędzio, ostronił tych ludzi przed odpowiedzialnością karną”. A Szerer na to: — „Ja nie należę do waszej partii i uważałem za stosowne uczciwie i zgodnie z prawem referować sprawy. Wyciągnięcie wniosków i konsekwencji należało do was — partyjnych!” A ja, no co ja miałem powiedzieć?! — „Niestety, pański autorytet przeważył, bo Spychalski bardziej wierzył pańskiej znajomości prawa, sprawiedliwości, niż mojej”.

Sędzia Szerer napisał sprawozdanie, po czym udaliśmy się do Spychalskiego, by złożyć ostatni meldunek. Zażądałem wtedy, by pociągnąć do odpowiedzialności oficerów Informacji, sędziów i prokuratorów. Największe zarzuty miałem wobec generała Zarakowskiego, który — jako przedwojenny prawnik — zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co robi.

Spychalski chciał ich ukarać przez obniżenie stopni wojskowych. Ja z kolei stałem na stanowisku, że degradację właśnie sąd winien orzekać. W efekcie postanowiono, że pewnych sędziów i prokuratorów usunie się z wojska. Nie przewidziałem, że zostaną zatrudnieni w Ministerstwie Sprawiedliwości.

W stosunku do niektórych oficerów postawiliśmy wnioski o wszczęcie śledztwa, co też się stało.

Pytacie teraz, kto za sprawę spisku w wojsku ponosi odpowiedzialność? Góra. Ludzie, którzy tworzyli koncepcję. Wydaje mi się, że to byli Mietkowski, Skulbaszewski i Zarakowski. A Bierutowi ta koncepcja bardzo się spodobała. Była na rękę. Dowiedziałem się, że Skulbaszewski udawał się po dyrektywy do Bieruta, który — odchodząc ze stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej — podpisał w ciągu jednego dnia szereg wyroków śmierci, uniemożliwiając ewentualne ułaskawienie. Bierut niewątpliwie konsultował się z Rosjanami.

Sądzę, że jeśli idzie o źródła tzw. spisku w wojsku, to prawdopodobną hipotezę przekazał mi Skulbaszewski w czasie jednego z przesłuchań. Otóż w momencie rozpoczęcia walki z tzw. pravicowym odchyleniem i Rosjanie i Bierut zorientowali się, że wojsko jest o wiele większą siłą niż Bezpieczeństwo i Informacja razem wzięte i że gdyby Spychalski wydał polecenie, to wojsko w jednej chwili wymiotłoby całą hierarchię partyjną. Bo przecież — mówił Skulbaszewski — siedemdziesiąt procent starszych oficerów w Wojsku Polskim to oficerowie przedwojenni.

I dziś mi się wydaje, że w tej opowieści jest coś prawdziwego. Oni zrozumieli, że wojsko może, no, potencjalnie, uniezależnić się.

Inna sprawa, że oficerowie byli lojalni. Nawet bardzo lojalni. Jeden ze śledczych opowiadał mi zanosząc się ze śmiechu:

„...ten Chojecki, głupi, wrócił, mimo że wiedział, co go czeka, że go wsadzimy. To go pytam — czegoś wrócił, a nie uciekł? A on na to: ...Jako *attaché* wojskowy nie mogłem nie wrócić! Ja mogę tylko stąd uciec!”.

A to dla oficerów Informacji było czymś absolutnie niezrozumiałym — taka lojalność.

I jeszcze jedna ciekawa rzecz: kiedy zaczęła się nasza sprawa, to Edward Ochab zażądał od Głównego Zarządu Informacji dokładnych wyjaśnień. Wtedy Bierut wyjął GZI spod kompetencji Głównego Zarządu Politycznego, zabrał Ochabowi i przekazał bezpośrednio Rokossowskiemu. Tak więc pracę Informacji nadzorował i bezpośrednią odpowiedzialność (w sensie formalnym) ponosił Rokossowski. A on po swoich przejściach w ZSSR nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Absolutnie nie mógł. I kiedy nie musiał... to zachowywał się nawet przyjaźnie... i w stosunku do Kuropieski... i do generała Thomée, i mnie zrobił dużo dobrego — wydobył mi syna z sowieckiego wojska. Ale to już inny rozdział...

(Relacja spisana w styczniu 1989 roku)

Adam UZIEMBŁO

(Rozmowę prowadził Michał KOMAR)

DOKUMENTY

Gen. Izydor MODELSKI

WOJSKOWE PRZYCZYNY KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

(Próba syntezy)

(Dokończenie)

III. POCZAS WOJNY

Czytaliśmy wielokrotnie w polskich pismach, że Polska została wojną zaskoczona. Jest to może dobry argument w stosunku do zagranicy. U siebie w domu, w czterech ścianach, sami Polacy między Polakami możemy śmiało stwierdzić, że jest to argument kłamliwy, wysuwany przez koła byłego reżimu sanacyjnego dla celów samoobrony. Twierdzę nawet, że nie tylko możemy, ale *musimy* i ten argument sprostować, aby wreszcie wyrugować *kłamstwo* przynajmniej z Wojska, to jest korpusu oficerskiego, który *ma być* przecież uosobieniem honoru i honorowości.

Oczywiście: Hitler wojny nie wypowiedział i z punktu widzenia prawa międzynarodowego a nawet po prostu ogólno-ludzkiej etyki stoi on, jak i naród niemiecki, poza nawiasem społeczeństw cywilizowanych. Ale to jest zagadnienie osobne. Nas interesuje inny aspekt: *czy Polska mogła być i była napadem Niemców zaskoczona?*

Twierdzę, że *nie może być mowy o zaskoczeniu nas wojną*

ani z politycznego ani z wojskowego punktu widzenia.

Z politycznego punktu widzenia:

— stałe, wrogie do Polski nastawienie całej prasy niemieckiej przez lat dwadzieścia, gdyż nawet w okresie flirtów Hitler-Beck (niezmiennie powtarzające się zwroty jak *blutende Grenzen, Diktat von Versailles, Polacken* itd.);

— bardzo intensywna działalność B.D.O. (*Bund Deutscher Osten*) (między innymi bezustanne wycieczki młodzieży niemieckiej nad polską granicę, aby poznała „krwawiącą ranę” i nie zapomniała o tej „krzywdzie”);

— zjazd pod patronatem rządu Rzeszy pokrzywdzonych mniejszości z całej Europy, na którym byli między innymi Ukraińcy z Małopolski, występujący przeciw Polsce, a nie dopuszczono przedstawicieli mniejszości polskiej w Niemczech;

— tysięczne fakty, meldowane bez przerwy przez lata przez Oddział II Sztabu Głównego, świadczące o wybitnym antypolskim nastawieniu całej maszyny państwowej niemieckiej;

— działalność mniejszości niemieckiej w Polsce, organizowana i prowadzona przez radcę Szelichę z ambasady niemieckiej i konsulów niemieckich. Tak policja nasza jak i Oddział II Sztabu Głównego stale o tym meldowali.

— niezależna prasa polska, zwłaszcza ziem zachodnich, bezustannie od lat przestrzegała przed Niemcami, którzy pod płaszczykiem „paktu o nieagresji” knują przeciw Polsce;

— studium *Mein Kampf* Hitlera, gdzie sprawa polska jest omówiona bez osłonek. Od chwili dojścia do władzy Hitler realizował program, wyrażony w *Mein Kampf* punkt po punkcie. Jasnym było, że przyjdzie kolejka prędzej czy później i na Polskę;

— studium Rosenberga *Mythos des XX Jahrhunderts*. Ta mieszanka głupoty, doktrynerstwa, blasfemii i nihilizmu niedokształconego krzyżaka bałtyckiego tchnie nienawiścią do wszystkiego, co katolickie i słowiańskie, a szczególnie polskie. A przecież wiadomym było powszechnie, kim jest Rosenberg i co reprezentuje w ruchu narodowo-socjalistycznym;

— i wreszcie: Hitler, w żadnym ze swoich tak licznych przemówień, *nigdy nie rezygnował z naszych ziem zachodnich*. Za to wielokrotnie *Kurier Poznański* i inne dzienniki niezależne, podając tekst przemówień Hitlera, podany przez P.A.T. i obok niego tekst, podany przez prasę niemiecką i poza tym zasłyszany przez radio, wykazywał, że treść przemówienia Hitlera, podana przez P.A.T., a dostarczona jej przez M.S.Z., była zniekształcana przez opuszczenie zwrotów, użytych przez Hitlera, które wyraźnie musiały alarmować opinię publiczną w

Polsce. Rzeczą właściwych naszych czynników jest zbadanie, czy taka działalność naszego M.S.Z. w Polsce nie równała się działalności „piątej kolumny” (zwłaszcza, że pan radca Weinstein nadal urzęduje w M.S.Z.)

Z wojskowego punktu widzenia:

— już w roku 1924 włoski generał Douhet wydał dzieło pod tytułem *Armia powietrzna*, w którym stawiał tezę, że lotnictwo będzie czynnikiem decydującym w przyszłej wojnie;

— w roku 1929 twórca i były dowódca Reichswehry, Generaloberst von Seeckt napisał książkę pod tytułem *Gedanken eines Soldaten*. Jej konkluzją były dwa wnioski:

— wojnę przyszłości poprowadzi i rozstrzygnie Armia mała, zawodowa, ochotnicza, zmotoryzowana i opancerzona, wsparta przez silne lotnictwo;

— pozostała „duża” Armia powstanie jak ciężka, nieruchliwa masa, niejako „pospolite ruszenie”, dla wykorzystania zwycięstw Armii uderzeniowej, obsadzania krajów zdobytych, itd.

— w roku 1934 francuski pułkownik de Gaulle wydał książkę pod tytułem *Vers l'armée de métier*. Autor niemal proroczo przewidział wojnę przyszłości tak, jak ją — w pięć lat później — widzieliśmy w Polsce, w roku 1940 we Francji i obecnie — w roku 1941 — widzimy w Rosji. Pułkownik de Gaulle stwierdził, że armia przyszłości musi być opancerzona, gdyż pancerny znów będzie święcił triumfy na polu bitwy. Pozostałe jego postulaty, jak na przykład mała Armia zawodowa, zmotoryzowana itd. pokrywają się z postulatami generała von Seeckta. Na okładce drugiego wydania tej książki, która ukazała się w roku bieżącym w Londynie pod tytułem *The Army of the Future*, figuruje wiele znaczący napis: „Przepowiednia z 1934 roku. Francja nie zwróciła na nią uwagi, Niemcy ją rozpracowali”;

— w tym samym roku 1934 niemiecki generał Guderian wydał książkę pod tytułem *Achtung Panzer*. Autor postawił już sprawę zupełnie jasno: przyszłą wojnę rozstrzygnie wojsko pancerne. Wagę tego dzieła podnosi fakt, że generał Guderian był dowódcą Wielkiej Jednostki pancerniej, potem inspektorem wojsk pancernych i najpoważniejszym bodaj specjalistą w dziedzinie wojny pancerniej w wojsku niemieckim;

— w roku 1935 niemiecki pułkownik Eimannsberger wydał grubą broszurę pod tytułem *Der Panzerkrieg*. Była to nowa przestroga dla nas, tak samo jak:

— w roku 1936 broszura majora Schella na ten sam temat.

Studium powyżej wymienionych dzieł jak i książki generała Władysława Sikorskiego pod tytułem *La guerre moderne*, pomija-

jąc już setki na ten temat artykułów w wojskowej prasie zagranicznej, a przede wszystkim w *Wehr und Wissen* i *Militärwochenblatt* oraz w *Przeglądzie Pancernym*, *Przeglądzie Piechoty*, *Przeglądzie Artyleryjskim* i w *Bellonie* jest dowodem, że charakter totalny obecnej wojny pancerno-lotniczej musiał być znany już na wiele lat przed jej wybuchem nie tylko każdemu podporucznikowi zawodowemu, ale przede wszystkim wszystkim wyższym dowódcom.

Toteż mówienie dziś czy pisanie o „zaskoczeniu” naszą wojną przez Niemców jest:

— albo zwykłym kłamstwem i obłudą, aby w ten sposób pokryć swą winę osobistą przed sądem opinii publicznej i sądem karnym, a ratować pozostałe strzępy „legendy” przed trybunałem historii;

— albo też zupełnym przyznaniem się: do nieuctwa w dziedzinie wiedzy wojskowej, do lenistwa w śledzeniu rozwoju myśli wojskowej, do zajmowania wysokich i bardzo wysokich stanowisk bez poczucia odpowiedzialności i bez wypełniania swoich obowiązków.

Zamiast się uczyć i studiować, pracować i rozmyślać nad naszymi możliwościami, wszyscy grali w brydża. Była to choroba zaraźliwa. Zły przykład dawali generałowie. Doły naśladowały. Nawet na manewrach i ćwiczeniach, inspekcjach i podczas normalnej pracy, w przerwach obiadowych i po kolacji — aż do późnej nocy — grali wszyscy w brydża. Gdzie był więc czas na ogólne i fachowe dalsze kształcenie się, czytanie, studiowanie, na śledzenie własnej i obcej myśli wojskowej i na wypoczynek ciała, więc i ducha? Rano zblazowani, niewypasani zjawiali się na ćwiczeniach i nieraz podczas nich dyskutowali jeszcze ostatnią rozgrywkę. Toteż Jomini i Clausewitz, Moltke i Schlieffen, Foch i Prądzyński byli im tak samo nieznani, jak Guderian i Eimannsberger, Sikorski, de Gaulle i Mosor, którzy pisali... jaka będzie przyszła wojna.

U nas Marszałek Piłsudski podobno również twierdził, że trzydzieści dywizji piechoty nie wystarczy, aby odnieść zwycięstwo. Nie rozumiał atoli czy nie chciał z niewiadomych mi przyczyn wprowadzić w życie podstawowych i zasadniczych warunków możliwości istnienia takiej Armii, a mianowicie aby była ochotnicza, zawodowa, doskonale wyszkolona, opancerzona i wsparta silnym lotnictwem.

Następcy Piłsudskiego trzymali się kurczowo tylko pierwszej części postulatów, to jest liczby trzydzieści, a drugiej zaś części — jak się zdaje — nie rozumieli.

Poza tym — jak już wspomniałem na wstępie poprzedniego rozdziału — nasze najwyższe władze państwowe i wojskowe nie

wierzyły w wybuch wojny, gdyż — jak mi mówił generał Miller w wielkiej tajemnicy wiosną 1939 roku — „nasz Oddział II Sztabu Głównego wykrył spisek Röhma przeciw Hitlerowi (w czerwcu 1934 roku), a rząd nasz zawiadomił o tym Hitlera. Hitler miał na to oświadczyć, że dopóki on jest u władzy, do wojny Niemców przeciw Polsce nie dopuści. Generał Miller twierdził, że mówił mu o tym generał Kwaśniewski. Inne źródła potwierdzają powyższą wiadomość, powołując się na generała Stachewicza.

A przecież Oddział II Sztabu Głównego bezustannie — od lat — meldował o gwałtownych zbrojeniach niemieckich, jak przede wszystkim o niesłychanym wprost rozwoju wojsk pancernych i lotnictwa niemieckiego. Ukoronowaniem długoletniej i bardzo wydajnej w tej dziedzinie pracy Oddziału II było odtwarzanie narastającej koncentracji niemieckiej.

Toteż rozpoczęcie działań wojennych przez Niemców w dniu 1 września 1939 roku *nie powinno było być zaskoczeniem ani dla rządu ani dla Marszałka.*

Świadomość, że ani kraj, ani dowództwa, ani wojsko nie są gotowe do wojny, odebrała od pierwszej chwili spokój i rozwagę i jasne myślenie Naczelnemu Wodzowi, Szefowi Sztabu i zastępcy Szefa Sztabu „do spraw operacyjnych”. Skończyło się czcze gadanie o mocarstwowości, guziku, sile, zwartości i gotowości. Zagrały armaty. Rozpoczął się egzamin, na którym „... nieprzyjaciół zaczął stawiać pytania...” („U źródeł polskiej niemocy wojskowej”).

Hic Rhodus hic salta...!

Nie dziw, że Marszałek dostał gorączki” (L.dz.415/39).

Brak planu wojny powodował chaos w dowodzeniu. Upadła koncepcja obrony. Górę wzięła koncepcja cofania się. Jeżeli widzieli, wiedzieli i czuli to wszyscy oficerowie w Naczelnym Dowództwie, to tym bardziej dowództwa i wojsko walczące. To był dominujący czynnik niepowodzenia.

„...Ten stan gorączkowy naszych władz wyższych źle się odbił na nas. Poczuliśmy nerwowość i chaos...

... Wnioski moje, to: ...chaos w wyższych dowództwach...” (L.dz.2718/40).

„... Odpowiedział mi pan Generał, że był w Naczelnym Dowództwie, widział się z pułkownikiem Jakliczem chwilę, ale są tam tak zajęci, że w ogóle nie ma z kim gadać i że, jak się wyraził, chaos, bałagan, głowy potracili...” (L.dz.442/40).

„... Po dłuższych poszukiwaniach odnalazłem dowództwo

na Rakowieckiej, lecz spotkany na korytarzu starszy oficer lotnictwa uprzedził mnie, że nie mam się po co zwracać po rozkazy do pp. Generałów, bo są w za wielkim strachu, by móc myśleć. Krótka rozmowa z oboma tymi panami przekonała mnie, że miał rację...” (L.dz.1631/39).

„... Sztab nie był właściwie używany jako taki: pracowałem w O.III Sztabu K.W. w tzw. Wydziale planów i rozkazodawstwa. Wydział planów nigdy nie był używany do planowania, czy do kalkulowania możliwości wykonania takiej lub innej decyzji. Strona redakcyjna rozkazów ograniczała się najczęściej do pisania rozkazów pod dyktando i do przedyktowania ich z kolei na maszynę. Tłumaczy się to gorączkowością pracy, a tę — niestychaną szybkością zmian sytuacji, której nigdy nie można było opanować nie mając odwodów oraz zorganizowanej i pewnie działającej łączności do przekazywania rozkazów. W ten sposób Nacz. Dowództwo było raczej instytucją tylko rejestrującą niepowodzenia wojenne bez możliwości reagowania, lub reagującą zbyt późno...” (L.dz.961/39).

„... Oddział III Sztabu Nacz. Dowództwa dzielił się na dwa wydziały: Operacyjny i Ewidencyjny.

W zakres pracy Wydziału Operacyjnego wchodziło planowanie i rozkazodawstwo.

W zakres pracy wydziału ewidencyjnego — szczegółowe ustalenie sytuacji poszczególnych Armii i położenia ogólnego oraz sporządzanie komunikatów informacyjnych o sytuacji wojsk własnych.

W rzeczywistości rozgraniczenie czynności nie było ściśle przestrzegane. Praca prowadzona była w sposób chaotyczny, w warunkach niezwykle prymitywnych, co wpływało na przemęczenie i odbijało się na wydajności pracy. Wpływało na to: brak planu, dorywczość decyzji i zarządzeń, częste zmiany n.p. Naczelnego Dowództwa i nieodpowiednie ich przygotowanie, tempo wydarzeń, wreszcie fakt, że Szef Sztabu wchodził zbyt często w wszystkie szczegóły pracy Oddziału.

Oddział III Sztabu Naczelnego Dowództwa składał się głównie z oficerów byłego Oddziału III Sztabu Głównego z wyjątkiem kilku oficerów nowoprzybyłych...” (L.dz.148/39).

„... Tego, kto wieczorem dnia 5.IX. znalazł się po raz pierwszy w Kwaterze Głównej przy ul. Rakowieckiej — uderzyć musiał niesamowity obraz chaosu, jaki tam panował, spotęgowany przez warunki O.P.L. Wstęp do gmachu i swobodę kursowania po nim mógł mieć każdy, bez żadnej kontroli: służba bezpieczeństwa i ochrony nie istniała. Kto natomiast miał przed sobą konkretny cel do odszukania — mógł go szukać godzinami

bez skutku: służba informacyjna nie istniała. Chaos rósł w miarę postępujących naprzód zarządzeń i czynności ewakuacyjnych. Dowódca Kwatery w zupełności nie panował nad sytuacją, tak, jak nie panował nad nią na swoim odcinku żaden z organów tegoż dowódcy. Na każdym kroku spotykało się objawy depresji i zarodki nastrojów panikarskich...

Trzeba przy tym zaznaczyć, że samo zestawianie sytuacji w Sztapie prowadzone było w atmosferze wzrastającego chaosu i braku systematyczności. Poszczególne meldunki dochodziły do rąk zainteresowanych oficerów z opóźnieniem, brakło czasu na ich zweryfikowanie i ocenę; treść meldunków często była niekompletna, źródło ich — często trudne do ustalenia. Jednym słowem — formalna strona pracy w wydziale sytuacyjnym szwankowała w najwyższym stopniu; aktualny obraz sytuacji nie odpowiadał nawet tym ograniczonym możliwościom, jakie stwarzała na ogół niewystarczająca, w poszczególnych wypadkach — wprost fatalna łączność Naczelnego Dowództwa z dowództwami na froncie...

Jeżeli warunki, w jakich funkcjonował Sztab N.W. w Warszawie nazwałbym niesamowitymi, to warunki, w jakich dokonano zmiany m.p. złożyły się na obraz wprost potworny. Kolumna samochodowa Sztabu, z chwilą wyjazdu z Rakowieckiej — utonęła w fali dzikiej ewakuacji ze stolicy i okolic. Nieprzerwany sznur samochodów, wozów i pieszych ciągnął wzdłuż szosy brzeskiej — w trzech, czterech kolumnach. Sam przejazd przez miasto i wyjazd z Pragi trwał parę godzin. Później, już na otwartej szosie, poszczególne samochody, z trudem przebiwały się przez zatory, powstające co krok. Żadnych organów porządkowych, żadnej próby regulacji ruchu, absolutny zanik dyscypliny i zdrowego rozsądku ze strony kierowców i posiadaczy pojazdów. Dopiero poza Siedlcami sytuacja poprawiła się nieco: tłum uciekinierów pieszych i o ciągu kołowym pozostał w tyle.

Nowe m.p. nie było zupełnie przygotowane. Zbiórka oficerów Sztabu, ściągniętych pojedynczo do Brześcia, trwała do południa. Ostateczny wybór pomieszczeń dla pracy nastąpił w godzinach popołudniowych. Z jednego z fortów twierdzy na gwałt wyrzucano kwaterujący tam pluton żandarmerii, by na jego miejsce ulokować ściślejszy Sztab N.W. Elementarne przepisy biernej O.P.L. nie były przestrzegane. Wybrane pomieszczenia nie odpowiadały minimum wymogów pracy sztabu. Np. Oddział III gnieździł się w dwóch pokojach, łączących się ze sobą, z wejściem wprost z dziedzińca fortu. Pomijam to, że brakło wprost miejsca dla rozłożenia map i dokumentów, że sami oficerowie przeszkadzali sobie nawzajem w pracy, nacho-

dzeni nadto przez pracowników innych oddziałów, ale — do tych pokoi wchodził bez kontroli każdy, kto chciał. U wejścia do fortu brakło posterunku informacyjnego, a że wejście do Oddziału III najbardziej rzucało się w oczy, więc każdy kto miał cośkolwiek do załatwienia w forcie, uprawniony do tego czy nie — cywilni, szeregowi, oficerowie bez przydziału — przede wszystkim kierował się do Oddz. III. Rozłożone na stołach mapy i dokumenty były żerem oczu każdego przygodnego przybysza. Dodajmy, że w lokalu Oddz. III pracował osobiście Wódz Naczelny oraz Szef Sztabu (przybył do Brześcia wieczorem 8.IX.). W tych warunkach, przy zaniku wewnętrznej dyscypliny — wszelkie próby zaprowadzenia jakiego takiego ładu, a przede wszystkim przestrzegania koniecznych ostrożności w zakresie O.P.L. — pozostawały bez rezultatu¹.

Montowanie łączności rozpoczęto dopiero po zmianie m.p.

W Brześciu Sztab Naczelny Wodza pozostawał do dnia 11.IX...” (L.dz.534/39).

„...Chaos w dowodzeniu był tak potworny, że my, oficerowie Oddz. III wraz z płk Klimeckim planowaliśmy w Brześciu odsunięcie siłą do władzy płk Jaklicza... (ppłk dypl. art. O. — bez liczby).

Praca sztabu chaotyczna, bezplanowa...” (L.dz.78/A/40).

„... Na podstawie mojej obserwacji i udziału w działaniach powodem naszego niepowodzenia na odcinku przeze mnie obserwowanym było:

1)

2)

3) nieudolne kierownictwo...” (L.dz.78/A/40)

„... Dzień 8.IX.1939 r. był przełomowym dniem prawie ogólnego przygnębienia w Sztapie (G.O. Narew), szczególnie, gdy z opowiadania kuriera Naczelnego Dowództwa, mjr dypl. można było wywnioskować, że *Naczelne Dowództwo nie panuje nad sytuacją...*” (L.dz.1066/39).

„... Niestety cały entuzjazm do walki z odwiecznym wrogiem został zmarnowany przez nieudolność naczelnych władz wojskowych, tak samo jak dobytek ludności cywilnej został zmarnowany przez ewakuację przeprowadzoną bez planu, do której nawoływał przez radio ppłk dypl. Umiasowski, oficer

1. Trzeba tu dodać, że obok w pokoju było kasyno, w którym żony wysokich dygnitarzy i panie z biur przy kawie lub herbacie flirtowały z adiutantami swych mężów w nastroju roześmianym, ... jakbyśmy stali pod Berlinem.

znany mi z przekonań bolszewickich...

W czasie wojny zmarnowano przez brak kierownictwa i łączności szereg pięknych okazji do wyrównania poprzednio popełnionych błędów..." (L.dz.2795/40).

„... zameldowałem między innymi, że dowódca G.O. 'Narew' dopiero od swego podwładnego ppłk. Tabaczyńskiego dowiedział się o otrzymaniu przez niego rozkazu z *Naczelnego Dowództwa* o opuszczeniu Ossowca, co było dużym zakoczaniem dla gen. bryg. Młot-Fijałkowskiego...

Wobec tego pułk (133 z 33.D.P.) z Ossowca już wyszedł, ale na interwencję G.O. — Naczelne Dowództwo nadaje fonogram 'obsada Ossowca pozostaje'...

... Dowódca Grupy wysłał mnie do dowódcy odcinka Ossowiec, ażeby zapoznać się z sytuacją i w myśl wytycznych generała polecił ppłk. Tabaczyńskiemu zorganizować akcję na Wiznę.

Wyjeżdżam z folwarku Michałki około godz. 10-ej wraz z kpt. Mościckim, który w Białymstoku miał do załatwienia swoje sprawy z O.P.L. Za Wysokiem Mazowieckiem w lewo Brok zasadzka wykonana przez obsługi c.k.m. na samochody pancerne npla (3-5 sztuk) wykryte w tym rejonie. Nie dojeżdżając do stacji Mońki (za Knyszynem) mijamy powracający baon K.O.P. z taborem do Ossowca. W twierdzy, w kazamatach i obok nich leżą zmęczeni dzielni żołnierze, wszyscy włącznie do dowódcy pułku głośno wyrażają swoje zadowolenie, że powrócili z powrotem na pierwotne stanowiska, lecz trzeba znać duszę żołnierza, ażeby zrozumieć niewypowiadany wobec mnie żal i złorzeczenia na tych, którzy kazali im zrobić niepotrzebnie blisko 90 km marszu..." (L.dz.1066/39).

„... Dnia 9. IX. 1939 r. w godzinach rannych przyszedł rozkaz z Naczelnego Dowództwa, podpisany przez płk. dypl. Jaklicza o skierowaniu pułku K.O.P. z Ossowca (pozostać miał tylko jeden baon) do rejonu Knyszyn-Białystok, celem załadowania. Pułk wyruszył z Ossowca, pałac jakieś mosty i składy, i późno wieczorem osiągnął nakazany rejon (40 km marszu), lecz wieczorem przyszedł nowy juzogram, odwołujący poprzedni rozkaz. Pułk więc został skierowany z powrotem do Ossowca. Wywołało to olbrzymie rozgorczenie..." (L.dz.2332/40).

„... Wczesnym rankiem otrzymuję zza Bugu rozkaz gen. Trojanowskiego (dowódcy O.K.I.), podporządkowujący moją dywizję gen. Plisowskiemu, dowódcy twierdzy Brześć n/B. oraz list gen. Plisowskiego żądający pomocy, zwłaszcza artyleryjskiej. Gen. Plisowski pisze, że jest bardzo naciskany. Uważam, że gen. Trojanowski, jako dowódca terytorialny okręgu, który już opuś-

cił, nie ma prawa do dawania mi rozkazów. Ale na pomoc gen. Plisowskiemu przystaję dla względów operacyjnych. Przede wszystkim mam zamiar działać artylerią z mojego zachodniego brzegu Bugu; działanie to będzie się mogło zaznaczyć dopiero wieczorem (40 km odległości, przy czym artyleria nie będzie mogła iść sama).

W trakcie opracowywania decyzji przybywa dowódca Armii, gen. Przedrzymirski. Generał był już w 41.D.P. w Piszczacu, obecnie zaznajamia się ze stanem 33.D.P. Myślą przewodnią dowódcy Armii jest przebijanie się na południe. 41.D.P. już otrzymała rozkaz marszu. 33.D.P. otrzymuje rozkaz maszerowania za nią na Sławatycze, Włodawę, Chełm. Akcja na Brześć n/Bugiem tym samym odpada.

W dniu tym 33.D.P. osiąga rejon na zachód od Sławatycze.

Zaznaczyć muszę fakt, który omal nie pociągnął za sobą smutnych następstw: dowódca artylerii dywizji wydał bez mojej wiedzy i w tajemnicy przede mną rozkaz marszu artylerii dywizji za Bug. Obydwa dyony pod dowództwem mjr. Passendorfera osiągnęły Kodeń, częściowo przeszły rzekę, natknęły się na czołgi niemieckie i ledwie zdołały się wycofać. Pod moim naciskiem dyony zostały odnalezione i sprowadzone pod Sławatycze, ale konie zostały zarżnięte wskutek niepotrzebnych forsownych marszów w ciężkich piaskach. Wypadek ten przytaczam, żeby wskazać, że dowodzenie wymagało niejednokrotnie dużego wysiłku, czujności i kontroli dowódców..." (L.dz.1844/39).

...Dnia 22 i 23 września to dni bitew Armii w celu przełamania oporu i dalszego marszu na południe.

W dn. 23.IX. na froncie Tomaszów-Tarnawatka-Zamość nacierają (od lewego): dywizja gen. Wołkowickiego, 41.D.P., Brygada Kawalerii gen. Andersa, Brygada Kawalerii płk. Zakrzewskiego, dywizja gen. Olbrychta, dywizja gen. Dindorf-Ankowicza, grupa gen. Kruk-Kruszewskiego. Jest motorowy pułk artylerii najcięższej, który nawet w tej ostatniej bitwie Armii nie dochodzi do głosu.

Bitwa ta nie doprowadza do pobicia npla lub przełamania frontu. Tymczasem bolszewicy są już na Bugu, na dosyć bliskich tyłach Armii.

Poszczególni dowódcy oceniają sytuację bardzo krytycznie. Gen. Piekarski zamierza przebić się nocą na bagnety. Dowódca Armii rozwiązuje wieczorem swój sztab i przestaje dowodzić.

Zbliża się koniec Armii.

24 września. A jednak przeciwnik widocznie też mocno ucierpiał, gdyż cofnął się na całym froncie o kilka kilometrów. W nocy i rano 24.IX. oddziały Armii przekraczają szosę Zamość-Tomaszów Lub. bez walki i posuwają się jeszcze kilka kilometrów.

Sytuacja jednak jest fatalna. Ogień artylerii npla panuje nad równinami o olbrzymich horyzontach, przez które prowadzą drogi marszu oddziałów.

Na wzgórzu nad płonącą Suchowolą spotykam kilku dowódców: gen. Kruk-Kruszewskiego, gen. Dindorf-Ankowicza, płk. Karcza. Oddziały są porozbijane, płk Karcz jest bez konia, jeden jego pułk rozbity w bitwie, resztki drugiego poszły gdzieś w lasy. Nikt nie wie, co jest z 1.D.P. *Widać ogólny bezład i brak kierownictwa.*

Dowódca Armii już nie dowodzi. Koniec Armii jest niewątpliwie bliski..." (L.dz.1844/39).

„... System wydawania ustnych i niedokładnych rozkazów do przebijania się przez puszcze powoduje całkowity chaos i brak koordynowania wysiłków poszczególnych oddziałów, co przyczynia się również do klęski dywizji.

Jest niemożliwością zebranie oddziałów po wielkim i skutecznym bombardowaniu przez lotnictwo npla, w obliczu naziemnego npla..." (L.dz.2538/40).

„... Praca w sztabie Armii była niezorganizowana, w sztabie panował niesłychany bałagan..." (L.dz.3549/40).

„System dowodzenia (w Naczelnym Dowództwie) przypominał raczej dowodzenie pułkami niż Armiami — pisze Szef Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza, pułkownik dypl. Kopański (L.dz.325/39) i dalej: „Zamiast wytycznych dla dowódców Armii, które by ich orientowały w działaniach chociaż na parę dni naprzód, dawano im zbyt częste rozkazy, wchodząc ponadto w szczegóły wykonania i tracąc przy tym niekiedy poczucie czasu i przestrzeni.

Nie pozbawiano dowództwa nieudolnych wyższych dowódców (gen. Fabrycy), a nawet powierzano im po nieudanych działaniach wyższe stanowiska (gen. Dąb-Biernacki). Wyznaczano lub przerzucano dowódców wyższych szczebli bez środków dowodzenia (gen. Sosnkowski, Piskor, Dąb-Biernacki, Skwarczyński)..."

Pierwsze dziury zapychano nielicznymi odwodami. Ale odwody skończyły się wraz z zaangażowaniem Armii odwodowej na południu i Armii rezerwowej (pułkownik Jaklicz) na północy, więc 4 lub 8 (jeśli kto woli) września „było dziur sześćdziesiąt, a kroków tylko sześć”...”. *Wraz z końcem dowódców skończyło się też dowodzenie Naczelnego Wodza. Armie („Modlin”, „Łódź”, „Kraków”, „Karpaty”) w ogóle odwodów nie posiadały.*

Upadła więc — o ile w ogóle przedtem istniała — chęć bicia nieprzyjaciela. Opanowała Naczelnego Wodza i jego dwóch najbliższych doradców natrętna myśl odwrotu.

Doszedł do tego braku w dowodzeniu na najwyższym szczeblu zupełny niemal brak łączności, tak między Naczelnym Dowództwem i Armiami, jak pomiędzy sąsiednimi Armiami i wewnątrz Armii.

„...Połączenia z Naczelnym Dowództwem nie mamy (G.O. 'Narew'), gdyż podobnie jak wczoraj w godzinach popołudniowych, *radiostacja w Naczelnym Dowództwie nie odpowiadała* (jak się później dowiedziałem, z obawy, żeby nie zdekonspirować Kwatery Głównej Nacz. Dowództwa)... ” (L.dz.1066/39).

„... Gdy Armia gen. Kutrzeby znalazła się pod Łowiczem i uderzyła na Łęczycę i dalej na południe, walczyła grupa operacyjna gen. Thommé na linii Brzeziny-Stryków. Obie jednostki nic o sobie nie wiedziały, bo łączności nie było...” (L.dz. 2795/40).

„... Wróciliśmy z powrotem do Bielska (11.IX.1939 r.), gdzie około godz. 18-tej przeprowadziłem rozmowę telefoniczną z kpt. Jędrzejewskim z Nacz. Dowództwa — podałem sytuację i prosiłem o wydanie wytycznych. Kazał mi zatelefonować za półtorej godziny, co też wykonałem, lecz *nikogo nie było w Nacz. Dowództwie w Brześciu...*

...W tej sytuacji postanowiłem jak najprędzej dostać się do Brześcia, ażeby przekazać wiadomość o przejściu brygady (?) na postój do rej. Wysokie Litewskie, wierząc, że ta wiadomość będzie wykorzystana i nasze 'Łosie' będą mieć wdzięczne zadania do wykonania.

Przeprawiliśmy się przez Bug w kierunku Janów Podl. i przez Białą dojechaliśmy do Brześcia, było to około godz. 2-iej dnia 13.IX. Obudziłem szefa sztabu obrony cytadeli ppłk. dypl. Hozaka (nazwisko może trochę przekręciłem) i przekazałem mu wiadomość, *która, jak mi się zdaje, pozostała w aktach sztabu jako nienadany radiotelegram do Naczelnego Dowództwa...*” (L.dz.1066/39).

„... Tymczasem z Armią gen. Szyllinga Sztab Nacz. Wodza nie miał przez kilka dni absolutnie żadnej łączności...”

...W nowym m.p. wiadomości o położeniu na froncie otrzymywano z wielkim opóźnieniem i bardzo niekompletnie...

...Wobec zagrożenia Włodzimierza przez nplską broń pancerną z kierunku pld. zach. — w nocy z 13/14.IX. Sztab Nacz. Wodza opuścił Włodzimierz i po zatrzymaniu się przez 14.IX. w rej. Dubna — dn. 15.IX. przybył do Kołomyi.

Nowa zmiana m.p. oznaczała zupełne przerwanie łączności pomiędzy Sztabem N.W. a dowództwami na froncie..." (L.dz. 534/39).

„...W sztabie Frontu (gen. Dąb-Biernackiego) narzekano na brak łączności z Naczelnym Dowództwem..." (L.dz.534/39).

„...Na tym odcinku stwierdziłem kompletny brak łączności. Pamiętam, że w dn. 8.IX. płk dypl. Jaklicz z Nacz. Dowództwa dopytywał się telefonicznie, co się dzieje z G.O. gen. Młot-Fijałkowskiego. Właściwie już w dn. 9 i 10.IX. żaden oddział nie wiedział, jaka jest sytuacja, co robi jego sąsiad i jakie są rozkazy od przełożonych..." (L.dz.2332/40).

„...W dowodzeniu niezrozumiałym dla mnie było złe, a właściwie żadne, funkcjonowanie łączności radiowej. Niewątpliwie przyczyniły się do tego dwa fakty: 1) dostanie się do rąk niemieckich zasadniczego 'czerwonego' szyfru w pierwszym dniu wojny w czasie walk 7.D.P. pod Częstochową, 2) źle interpretowany zakaz posługiwania się radiem przed zaangażowaniem, dla 'zachowania tajemnicy ugrupowania'..." (L.dz.2740/40).

„...W ciągu popołudnia przychodzi rozkaz gen. Thommé, który *wobec kompletnego braku łączności z Armią objął dowództwo...*" (L.dz.833/40).

„...Brak łączności radiowej na szczeblu dywizja-Armia i niedostateczna między pułkiem i dywizją..." (L.dz.3895/40).

„...Łączności nie mieliśmy żadnej, ani z dywizją, ani z sąsiadami..." (L.dz.3625/40).

„...Łączność z Armią utrzymywałem za pomocą oficerów łącznikowych na samochodach, pracujących ofiarnie ze względu na ciągłe jazdy po terenach zajętych przez npla..." (L.dz. 1683/40).

„...Po wszelkie rozkazy trzeba było jeździć, co w tych warunkach walki [powodowało, że] najlepiej przemyślany rozkaz nie trafiał do oddziału w czasie i przestrzeni. Z dywizją rozmawiać drogą radiową nie było można, gdyż pułk miał radio tylko Nr 2..." (L.dz.3818/40).

„...Łączności z G.O. wciąż nie ma... Gen. Plisowski spodziewa się każdej chwili ataku na twierdzę, której obronę ogranicza do cytadeli. Szerszej łączności z d-twami operacyjnymi twierdza nie posiada... nawiązuję osobistą łączność z dowódcą Armii, gen. Przedzimirskim na Woli Wereszczyckiej. Generał nie ma łączności z Naczelnym Dowództwem. Przechwyił tylko część depechy radiowej, nakazującej wycofanie się na Węgry.

Idziemy więc na Węgry...” (L.dz.1844/39).

„...Z powodu wydania przez dowództwo Armii rozkazu zabraniającego użycia radia, własna stacja meteorologiczna poczęła jedynie odbierać komunikaty, nie nadając swych obserwacji...

...O działaniach sąsiednich Armii brak wiadomości, gdyż Nacz. Dowództwo przeniosło się w Warszawie i nieznane są ich numery telefonów, a Hughes został przerwany w rej. Kutna przy sławnym przejeździe kolejowym, gdzie szły wszystkie linie łączności przy torze na głębokości zaledwie 50 cm. Pierwsza bomba je przerwała, a splotu 150 przewodów nie sposób było naprawić, było to zresztą już przewidziane w czasie pokoju, ale nie liczone się w Warszawie z możliwością skutecznego bombardowania lotnictwa niemieckiego i meldunki Armii w tej sprawie do Sztabu Głównego pozostały bez odpowiedzi...

...Dowódca Armii 'Łódź' nie decyduje się pozostać w Pabianicach i przenosi po chwilowym zatrzymaniu się tam swe m.p. do Mszczonowa. Łączność z wojskami Armii zostaje utraczona do końca... Opuszczając swoje m.p. w Łodzi i w Brzezianach Armia rozkazu op. nie wydała. Z wyjątkiem planu bitwy granicznej i obrony na linii rz. Warty i Widawki, dalsze przewidywania, dalsze linie obronne i kierunki wycofywania się nie były w Armii znane, tak, że nie było wiadomo, dokąd wycofywać należy jednostki lotnictwa i służb lotnictwa... Radiostacja Armii, która została rozwinięta w Mszczonowie, podała szybko szyfrem zapytanie do Nacz. Dowództwa na jakie odcinki Wisły ma się wycofywać Armia 'Łódź', jednak bez odpowiedzi...” (L.dz.256/39).

„...Całość działań obronnych Warszawy charakteryzuje brak łączności z przełożonymi. Na odcinku lotniczym było to specjalnie przykre. Nie otrzymywaliśmy odpowiedzi na nasze żądania nie tylko skierowane przez radiostacje Armii, ale i przez doskonałe funkcjonującą łączność radio-marynarki wojennej z Rakowieckiej do Pińska. Również żadnej odpowiedzi na meldunki przesyłane samolotem... podawałem, gdzie na Mokotowie można lądować. Na te żądania nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi...”

...Wobec decyzji zamknięcia się w Warszawie gen. Rómmel zaproponował odesłanie całej kawalerii gen. Andersa ku wschodowi, ta propozycja przesłana przez radio do Nacz. Dowództwa otrzymała pośpieszną aprobatę, wywołującą ironiczne komentarze w Warszawie, gdyż była to jedyna wieść, którą przez cały czas obrony otrzymaliśmy od Naczelnego Dowództwa...

...Muszę zaznaczyć, że wielką pomoc we wszystkim, a przede wszystkim w zorientowaniu się co się dzieje w Rumunii,

okazał mjr Wyrwicki, który nie chcąc się dać internować w Rumunii, na awionetce przyleciał do Warszawy..." (L.dz. 1631/39).

„...Zagadnienie łączności w czasie działań wojennych nie było należycie przepracowane, a tym mniej przygotowane.

Bogato rozwinięta na Pomorzu sieć stała telefoniczna zupełnie nie była dostosowana do potrzeb wojennych i nie mogła być wykorzystana przez wojsko. Główne błędy polegały na tym, że nie przewidziano i nie wykonano wyminić większych miast, stanowiących węzły łącznościowe. Zbombardowanie tych węzłów przez lotnictwo npla unieruchamiało natychmiast całą rozległą sieć. Następnie nie uregulowano zagadnienia ewakuacji i obsadzenia poszczególnych urzędów pocztowych przez personel wojskowy. Ewakuacja urzędów pocztowo-telegraficznych odbywała się w sposób dowolny i dziki, a skutek był ten, że często nie można było uzyskać połączenia na nieuszkodzonej linii, gdyż któraś z pośrednich central została samowolnie ewakuowana. Ciężar więc łączności spadł wyłącznie na kabel polowy, zapasy którego wyczerpały się w bardzo krótkim czasie.

Na całej linii zawiodła również łączność radiowa. Niejednolity sprzęt, niedostatecznie wyszkolona obsługa i niezyciowe przepisy ruchu dały w efekcie nieużyteczność radia w boju i zrobiły z niego jeszcze jeden naddatek do i tak zbyt wielkiego taboru. Osobiście zmuszony byłem do prowadzenia rozmów na mikrofon bez przestrzegania obowiązujących przepisów, gdyż tylko w ten sposób mogłem uczynić z radia sprzęt użyteczny w boju. Szyfry zresztą od pierwszego dnia wojny były w posiadaniu Niemców (wpadły w ich ręce wraz ze sztabami i dowództwami, wziętymi do niewoli).

Zagadnienie to poruszam tylko w skrócie, gdyż przedstawia ono zbyt obszerny temat, wymagający szczegółowego, osobnego opracowania..." (L.dz.1104/39).

„...W czasie całej wojny wyczuwałem brak łączności brygady z G.O., na co wskazywało działanie pozbawione wyraźnego celu i dla nas, dowódców pułków, często niezrozumiałe..." (L.dz. 142/39).

„...Łączność drutowa, zarówno stała jak i polowa, funkcjonowała bardzo źle i tylko okresowo, a to z powodu ustawicznych bombardowań przez lotnictwo npla. Łączność radiowa nie funkcjonowała zupełnie..." (L.dz.5167/40).

„...Stan sieci łączności drutowej był bardzo zły, zupełnie nieprzygotowany na kierunkach działań i w dodatku sprzężony ze zautomatyzowaną Pastą, co potem fatalnie się odbiło na działaniach...

...Łączność drutowa wkrótce przestała istnieć, a łączność radiowa zawiodła zupełnie. Czy to przesada kryptonimów, czy wada budowy (lampy) nie wiem, ale fakt faktem, że tej łączności wprost jakby nie było..." (L.dz.361/39).

Tak z braku dowodzenia przez Naczelnego Wodza jak i z braku łączności i braku wykształcenia i charakteru wielu dowódców rozkazodawstwo na wszystkich szczeblach zawiodło.

„...Rano dnia 8.IX.1939 r. poinformował mnie gen. Piskor, że ma obronę Wisły na dużej przestrzeni, a do dyspozycji ma na razie pułk ułanów i dwie kompanie saperów..." (L.dz.2718/40).

„...Stwierdziłem dużą niezaradność na szczeblu pułku i dywizji w organizowaniu pracy. Tak np. niektóre pułki pracowały tylko połowę stanu, gdyż zabrakło im łopat i kilofów, a nikomu nie przyszło do głowy zarządzenie od gmin dostarczenia potrzebnych narzędzi. W innych wypadkach nie kopano okopów w miejscach taktycznie ważnych w obawie przed koniecznością płacenia odszkodowania za szkody polowe.

Budowane stanowiska nie odpowiadały elementarnym potrzebom wojny nowoczesnej: były złe lub zupełnie nie zamaskowane, nie posiadały wnek strzeleckich przeciwczołgowych, nie miały urządzeń odwadniających (głina) i połączeń od tyłu, na odcinkach pozbawionych naturalnej przeszkody — były bezbronne przed czołgami. W miejscach zalesionych nie były wykonane ani zawały, ani też ścieżki komunikacyjne.

Stanowiska czat bojowych, odwodów i artylerii zostały wybrane i rozbudowane dopiero na mój rozkaz, tydzień przed początkiem wojny.

Nadmienić muszę, że oddziały straży granicznej, zmobilizowane już w tym czasie, nie dostały odpowiednich rozkazów i wykonywały różne prace fortyfikacyjne w miejscach nikomu i do niczego niepotrzebnych. Zespolenie ich wysiłku z pracami wojska nastąpiło również dopiero na mój rozkaz.

Zbyt powolne tempo pracy, brak narzędzi i środków transportowych, brak sił roboczych i nieskoordynowanie wysiłku doprowadziło do tego, że w chwili wybuchu wojny pozycje obronne nie były wykończone, a na niektórych odcinkach — dopiero rozpoczęte.

Było to niewątpliwie karygodne zaniedbanie i przeoczenie, gdyż szereg tych niedomagań zdołałem bez większej trudności usunąć, tylko zabrakło już czasu na techniczne wykonanie wszystkich prac.

Niewątpliwie duży wpływ na taki stan rzeczy wywierała

dwoistość władzy na terenie pomorskim i sprzeczność rozkazów wydawanych przez dowódcę Armii i dowódcę O.K. Jeden z nich nakazywał czynności wojenne, a drugi — przestrzeganie przepisów gospodarczych i norm pokojowych. Oddziały często nie wiedziały, który rozkaz mają wykonać...

...Żaden z dowódców dywizji nie znał zadania Armii i zamiaru jej dowódcy. Ugrupowanie całości Armii nie było znane nawet dowódcy G.O. gen. bryg. Bołtuciovi. Nie wiedział on nawet, gdzie znajduje się i jakie ma zadanie sąsiednia G.O. gen. Przyjałowskiego.

Przy późniejszych osobistych rozmowach z dowódcą Armii „Pomorze”, gen. dyw. Bortnowskim, stwierdziłem, że nie miał on żadnych dyrektyw na dalszą miarę. Dowódcy dywizji również takich dyrektyw nie otrzymywali. Rozkazy z reguły zawierały wytyczne tylko na dzień następny, przy czym często były wydawane w czasie, uniemożliwiającym terminowe wykonanie zadania...”

...Sąsiadów dywizja nie miała. O miejscu i zadaniach innych G.O. Armii „Pomorze” nie byli poinformowani ani dowódca grupy, ani też dowódcy dywizji...

...Nakazem przez dowódcę dywizji o godz. 18-ej przeciwnatarcie 66.p.p., będącego w odwodzie dywizji, do wieczora nie wyszło, gdyż pułk ten był umieszczony zbyt daleko i rozstawiony ponadto baonami na przestrzeni prawie 15 km...

...Dn. 2.IX.1939 r. natarcie niemieckie rozpoczęło się o godz. 7.30. Npl skupił cały ogień artylerii i posiadane czołgi w rejonie na południe od m. Rogoźno-Zamek, dążąc do rozdzielenia obydwóch naszych odcinków obrony.

Pomimo dzielnej postawy 65 i 64 p.p. były one spychane przez niemiecką broń panc. i powoli odchodziły w kierunku południowym.

Działania nasze w tym miejscu nie były należycie skoordynowane i nie posiadały wspólnego dowódcy. Natarcie nocne, podczas którego poszczególne baony były rzucane kolejno do walki, doprowadziło do pogubienia się w terenie i błędzenia. Wskutek tego nakazana na rano przez dowódcę dywizji obrona posiadała charakter dorywczy i improwizowany.

...Pomimo to oddziały własne dzielnie przeciwstawiły się czołgom i nie przepuściły tych ostatnich w głąb ugrupowania dywizji. Rozbito przy tym dalszych 6 czołgów...

...Dnia 7.IX. dywizja osiągnęła lasy na prawym brzegu Wisły na wprost Ciechocinka i miała rozkaz przeprawy się przez Wisłę przy pomocy 16 i 4 baonu saperów.

Tymczasem o godz. 19-tej, kiedy wszystkie oddziały dywizji były już uszykowane do przeprawy i zbliżyły się do rzeki, otrzy-

małem z dowództwa Armii rozkaz zaniechania przeprawy w tym miejscu i skierowania się marszem forsownym do Włocławka, gdzie dywizja przejdzie Wisłę przez most...

...Zaopatrzenie ludzi w czasie tych marszów było bardzo złe, gdyż tabory żywnościowe nie nadążały za wojskiem, a część ich (tabor żywnościowy samochodowy) została skierowana przez dowództwo Armii spod Gołubia przez Toruń i dołączyła do dywizji dopiero we Włocławku..." (L.dz.1104/39).

„...Tutaj z Komisji Wyładowczej otrzymałem pierwszy pisemny rozkaz dowództwa Armii.

Rozkaz ten nakazywał:

— rozpoznanie, a następnie zorganizowanie obrony linii rzeki Dunajec, frontem na zachód, na odcinku od przepraw w rej. Tarnów do przepraw w rej. Zakliczyn;

— umieszczenie po jednym pułku piechoty, każdy z dyonem artylerii w rej. Tarnów, w rej. Zakliczyn i w rej. Gromnik;

— umieszczenie m.p. 24.D.P. w m. Tarnów;

— pobranie map w K.W. Dębica.

Podkreślić muszę, że rozkaz ten ani słowem nie wspominał o ogólnym położeniu własnym lub o zamiarze dowódcy Armii, nie dawał żadnego zadania w rozumieniu operacyjnym, nie wskazywał nawet celu i warunków taktycznych ewentualnej obrony rz. Dunajec w sensie określenia długotrwałości tej obrony, oparcia skrzydeł, łączności lub współdziałania z sąsiadami itp. Zresztą wskazówki te na niewiele mogłyby się na razie przydać, gdyż mimo wyraźnej wzmianki w rozkazie, map w K.W. Dębica nie było, nie było więc mowy o zorientowaniu się w rozmiarach czekającego dywizję zadania...

...W ten sposób pojęta obrona dywizji obejmowała front od ujścia rz. Biała (płn. zach. Tarnów) do rej. Wróblowice (około 20 km), a w razie zagrożenia od południa objąć miała rygiel Wróblowice — Babia Góra (10 km) — razem około 30 km...

...Po powrocie do m.p. zastałem informacje dodatkowe z dowództwa Armii, wskazujące na obecność w odległości dwóch przemarszów dziennych jakichś większych jednostek pancernomotorowych npla, w kierunku płd. zach. od rejonu koncentracji dywizji (wobec braku map nie jestem w stanie umiejscowić dokładniej tych sił). Dowiedziałem się również, że na lewo od 24.D.P. działa grupa gen. Łukoskiego, ale gdzie ona jest, jakie jej siły i położenie, tego dowiedzieć się nie mogłem. W każdym razie mogła ona być gdzieś daleko i brak było z nią bezpośredniej łączności. W dalszym ciągu jednak nie otrzymałem żadnych danych o położeniu ogólnym własnym i npla, zwłaszcza sprzed

frontu dywizji, o które to wiadomości najbardziej mi chodziło...

...A tymczasem dywizja nie miała swoich środków rozpoznawczych, gdyż kawaleria dywizyjna i kompanie kolarzy jeszcze nie nadeszły, a lotnictwem dywizja nie rozporządzała zupełnie...

...Poza tym płk Schwarzenberg-Czerny przywiózł od dowódcy Armii, gen. Fabrycego, pozdrowienia osobiste dla mnie, zalecenie oszczędzania mego zdrowia i uwagę, że dowódca Armii liczy na 24.D.P. na okres kryzysu.

Przyznaję, że wynik tego nawiązania kontaktu z dowództwem Armii zupełnie mnie nie zadowolił, gdyż nie wyjaśnił dostatecznie położenia, na rozpoznanie którego sama dywizja nie posiadała środków, nie wyjaśnił zupełnie zamiaru dowódców Armii i nie rozszerzył horyzontów w zakresie zadania, jakie miała spełnić 24.D.P. Nie mogłem też odgadnąć, gdzie i kiedy dowódca Armii przewiduje powstanie 'kryzysu', o którym wspomniał i na czym miałby on polegać...

...Rano otrzymałem rozkaz z dowództwa Armii, nakazujący 24.D.P. obronę przejść przez rz. Dunajec na odcinku od m. Czhów (na południu) do ujścia rz. Nida do Wisły (na północ). W uzupełnieniu tego rozkazu zwrócono mi uwagę na konieczność utrzymania łączności z sąsiadem na północy od Wisły w rej. Nowego Korczyna.

Zadanie to było zupełnie nierealne ze względu na:

— stosunek sił do odcinka, który miał być rozszerzony do przeszło 60 km.

— stosunek szybkości poruszeń oddziałów własnych (piechota i artyleria o zaprzęgu konnym) do szybkości ruchów broni panc.-mot. npla,

— zupełny brak szybkich środków rozpoznawczych,

— niedostateczność środków dowodzenia, a głównie łączności...

...Późnym wieczorem nadszedł z dowództwa Armii rozkaz na dzień 6.IX., w którym w dalszym ciągu brakło sprecyzowania położenia ogólnego w rejonie interesującym 24.D.P., oraz brak jakiegokolwiek wzmianki o zamiarze operacyjnym dowódcy Armii. Rozkaz postanawiał krótko: 'pozostać w dotychczasowym rejonie, ubezpieczając się od zachodu i od północy'.

Rozkaz ten był dla mnie ponownym zaskoczeniem i zagadką. Bowiem dywizja nawiązała już pierwszy kontakt z nplem na swym południowym skrzydle, a dowódca Armii nie tylko nie nakazywał zwrócenia uwagi na kierunek południowy (choć już dnia poprzedniego były wiadomości o istnieniu na południowym wschodzie jakichś większych sił panc.-motorowych npla), ale wyraźnie odwracał moją uwagę na skrzydło północne, gdzie, o ile zdołałem się zorientować, jeszcze na przedpolu

Dunajca były jakieś większe oddziały własne (podobno część Armii Krakowskiej)..." (L.dz.5167/40).

Mógłbym tak cytować na kilku stronach jeszcze. Atoli już powyższe wyjątki charakteryzują dowodzenie w Armii „Karpaty” dostatecznie.

Ale ten sam dowódca Wielkiej Jednostki charakteryzuje też dowodzenie w Armii „Kraków”.

„...Dnia 6.IX.39 około godz. 3-ej otrzymałem telefonicznie rozkaz gen. Szyllinga (dowódcy Armii Krakowskiej), polecający 24.D.P. wykonanie 'natychmiast' natarcia z kierunku na m. Brzesko, dla odciążenia skrzydła grupy gen. Boruty-Spiechowicza, które jest naciskane od południa.

Rozkaz ten uznałem za niewykonalny, a to z następujących powodów:

— o akcji nocnej na zachodnim brzegu Dunajca nie mogło już być mowy wobec nadchodzącego już świtu,

— do akcji dziennej, w czasie której musiałem się już liczyć z koniecznością forsowania przejść przez Dunajec, dywizja nie była zdolna, nie posiadając artylerii,

— wszelka akcja zaczepna prowadzona większymi siłami wymagałaby jaśniejszego sprecyzowania położenia własnego i npla, o którym ciągle jeszcze nie miałem jasnego pojęcia, a nie posiadałem środków, by własnymi siłami sprawę tę wyjaśnić,

— każda akcja zaczepna prowadzona w dn. 6.IX. na Brzesko musiała być sparaliżowana przez reakcję wielkiej jednostki panc.-mot. npla, która poprzedniego wieczora nawiązała już kontakt z lewym skrzydłem dywizji, a która to reakcja musiałaby się skończyć rozbiciem własnych sił nacierających.

Ponieważ jednak podlegałem Armii Małopolskiej (gen. Fabrycy), a akcja na Brzesko mogła mimo wszystko leżeć w ogólnym interesie operacyjnym, poleciłem swemu szefowi sztabu zameldować natychmiast telefonicznie o otrzymanym rozkazie i żądać potwierdzenia lub anulowania tego rozkazu. Po upływie około 20 minut szef sztabu zameldował mi, że dowódca Armii nie zgadza się na akcję 24.D.P. na Brzesko. O decyzji tej poleciłem zawiadomić gen. Szyllinga.

Okolo godz. 6-ej zostałem zawiadomiony, że dowódca Armii, gen. Fabrycy, wyjechał z Rzeszowa udając się do m.p. 24.D.P. Ucieszyłem się tą wiadomością, obiecując sobie po tych odwiedzinach wyjaśnienia wielu zasadniczych wątpliwości.

Niestety, jak się okazało, gen. Fabrycy wyjechał podobno z Rzeszowa, jednak do 24.D.P. nie przybył w ciągu całego dnia...

...Okolo godz. 17-ej przeprowadziłem rozmowę telefoniczną z szefem sztabu Armii, płk. dypl. Morawskim. Dowiadywał się

on o położenie oraz chciał poznać me zamiary na przyszłość. Oświadczyłem mu, że na razie dywizja się broni, ale nie mogę przewidzieć, jaki będzie ostateczny wynik tej walki. Jeżeli chodzi o zachowanie się 24.D.P. w dniu następnym, to jest 7.IX., to:

— ciągle nie wiem, jakie 24.D.P. ma zadanie ogólne,

— postawa dywizji musi zależeć od wyniku walki w dniu bieżącym, a mianowicie w razie widocznego i nieodwracalnego niepowodzenia obrony, musiałoby nastąpić wycofanie się w ciągu nocy i to aż zapewne za rz. Wisłoka — natomiast w wypadku skutecznej obrony uważam za wskazane pozostać na miejscu i w następnym dniu bronić się na dotychczasowych stanowiskach.

Na zapytanie, co zamierzam robić w razie otoczenia 24.D.P. w dniu 7.IX. przez oddziały panc.mot. npla — odpowiedziałem, że w tym wypadku widzę tylko jedno wyjście, a mianowicie bronić się do następnego wieczora w zalesionym terenie na lewym skrzydle dywizji, a w nocy 7/8.IX. przebijać się. Płk Morawski zaawizował ukazanie się jakiegoś rozkazu Armii na dzień 7.IX. Przy tej okazji przestrzegłem go, że jeżeli 24.D.P. miałaby w ciągu nocy 6/7.IX. wykonać jakiś ruch, to w tej chwili (godz. 17-ta) jest ostatnia pora na zawiadomienie mnie o tym, gdyż wobec trudności w łączności mogę nie być w możności wykorzystania nocy. Płk Morawski przeszedł do porządku dziennego nad tą uwagą i polecił czekać na ukazanie się rozkazu Armii, nie informując mnie nawet, o jakie działanie może chodzić. Na ponowione żądanie przekazania mi wyników rozpoznania lotniczego sprzed lewego skrzydła dywizji, płk Morawski obiecał to zrobić...

...Okolo godz. 20-ej miałem ponowną rozmowę telefoniczną z szefem sztabu Armii, płk.dypl. Morawskim. Rozmowa ta nie przyniosła nic nowego. W dalszym ciągu nie otrzymałem żadnych wytycznych działania na dzień następny ani też nie dostałem wiadomości z rozpoznania lotniczego. Mam czekać na jedno i drugie...

...O godz. 22-ej zostałem ponownie wezwany do telefonu przez dowództwo Armii. Mówił ppłk dypl. Majewski Tadeusz, oficer sztabu Armii. Odczytał mi on rozkaz dowódcy Armii, streszczający się w następujących punktach:

— 24.D.P. przechodzi pod rozkaz dowódcy grupy gen. Łukoskiego,

— w ciągu nocy wycofać się za rz. Wisłoka, gdzie stanąć w dowolnym rejonie,

— odchodząc wykonać zniszczenia,

— nawiązać łączność z dowódcą grupy.

Rozkaz podany w formie bardzo kategorycznej zaskoczył mnie do tego stopnia, że nieopatrnie po jego powtórzeniu

przerwałem rozmowę. Gdy po chwili zastanowienia kazałem ponownie nawiązać połączenie z dowództwem Armii, by zażądać bliższych wyjaśnień co do powodów tej decyzji oraz dowiedzieć się wreszcie o wynikach rozpoznania lotniczego — łączność telefoniczna była niemożliwa...” (L.dz.5167/40).

„...Pułk podlegał dwóm dowódcom Korpusu, dowódcy brygady i od kwietnia dowódcy G.O. 'Narew'. Wynikały stąd duże trudności w wykonaniu rozkazów i celowej pracy. Pułk należał do Podlaskiej B.K., miał wykonywać nakazany program i jednocześnie prace, nakazane przez dowódcę G.O. To koliduje.

Rozkazem dowódcy G.O. pułk objął odcinek graniczny Myszyniec włącznie — Chorzele włącznie z zadaniem zorganizowania przedpoła rz. Narew i przestudiowania wspólnie z banoem O.N. i straży granicznej możliwości działania w tym pasie. Przeprowadziłem dokładne studium terenu i możliwości działania opóźniającego, o czym meldowałem dowódcy G.O. i delegatom Sztabu Głównego. Niezwłocznie przystąpiłem do prac w terenie i wspólnych ćwiczeń dla zorientowania dowódców w ich zadaniach. W sierpniu zagadnienie opóźnienia zostało przez oddziały opanowane dostatecznie. 31.VIII. w nocy jednak dostałem rozkaz odmarszu w rej. Nowogród-Stawiski do brygady i zostawienia 1 szwadronu + 1 działka ppanc. Pułk odszedł osłabiony do 1/4 — a szwadron nie był w stanie spełnić sam zadań przepracowanych przez pułk. Toteż mimo bardzo dzielnej postawy (szarżę wziął do niewoli 3 czołgi) poniósł straty i zadania osłony kierunku nie mógł wykonać. Przygotowany teren nie był wyzyskany.

Rozkazu mob. nie otrzymałem — a mobilizację pułku rozpocząłem na własną odpowiedzialność, gdy mi dał znać starosta, iż zarządził pobór koni i wozów i zaczęli napływać rezerwiści. Na zapytanie, skierowane do szefa sztabu Korpusu, otrzymałem potwierdzenie telefoniczne...

...2.IX. pułk (3 szwadrony + 8 k.m. + 3 działka ppanc.) wszedł w skład brygady i działał wspólnie z nią w jej składzie.

Działanie brygady potwierdziło moje zdanie — brygada (trzy pułki) nie mogła wypełnić samodzielnego zadania w ogóle — a w żadnym razie powstrzymania dywizji panc. npla. Uważam, że jeśli się stawia zadania W.J. kawalerii, musi się dać jej możliwości działania — zatem wzmocnić ją co najmniej do stanu 6-8-12 pułków, 2 baony piechoty mot., artylerią ciężką i czołgami. Taka jednostka może wywalczyć powodzenie i dzięki ruchliwości wykorzystać. Trzypułkowa brygada po spieszeniu przedstawia wartość baonu piechoty. Konno przy pościgu może dać piękne rezultaty. Tymczasem brygada musiała cały czas wypel-

niać zadanie przerastające jej możliwości — użycie nierealne spowodowało duże straty — a raczej jej zniszczenie. Rezultaty żadne...” (L.dz.142/39).

„...Zadanie dywizji zmieniano kilkakrotnie w ciągu dnia. Dywizja musiała nacierać na npla przygotowanego do obrony (18.D.P. niemiecka) bez rozpoznania, bo nie miała na to czasu. Dywizja otrzymała rozkaz wycofania się w ciągu dnia, mając sukces w czasie natarcia, a wiadomym przecież jest, że mowy być nie może o jakimś wycofaniu dywizji w biały dzień sprzed nieprzyjaciela, przygotowanego do obrony...” (L.dz.187/40).

„...Słaby stan zaznajomienia z planem działań (choćby wstępnych) nawet dowódców dywizji, stąd niedostateczny ich wpływ na kierownictwo wypadkami (10.D.P. przez 36 godzin nie miała łączności i działała na oślep, zaś w drugim wypadku wskutek sprzecznych rozkazów podzieliła się na dwie części)...” (L.dz.3895/40).

„...Zakres władzy między dowódcą Korpusu Nr VIII a inspektorem Armii, gen. dyw. Bortnowskim, nie był uregulowany — skutek był taki, że w tym samym czasie wychodziły z obu tych dowództw wręcz odmienne decyzje. Dotyczyło to powoływania oficerów, wykonywania prac fortyfikacyjnych i przydziału materiałów saperskich.

Np. dowódca O.K.VIII wydał rozkaz w dn. 29.VIII.39, aby zastępca dowódcy 14.p.p. wraz z III/14.p.p. pozostał we Włocławku i wykonał prace fortyfikacyjne przedmościa Włocławek — grożąc wyciągnięciem konsekwencji służbowych, a Inspektor Armii wydał rozkaz tegoż dnia, by III/14.p.p. ładował się na transport kolejowy i dołączył do 14.p.p. w rejonie koncentracji 4.D.P.

Ilość takich rozkazów była bardzo liczna...” (L.dz.1675/40).

„...9.IX.39 był ważnym dniem w życiu grupy. Około godz. 8-ej został doręczony rozkaz z Nacz. Dowództwa podający nowe zadanie dla grupy. Rozkaz powyższy nie był podpisany przez Nacz. Wodza, lecz z jego rozkazu przez płk. dypl. Jaklicza. Na samym wstępie była mowa o jak najdłuższym oporze na linii Bugu i Narwi. Następnie było podane nowe O. do B. grupy: 18.D.P. Podlaska i Suwalska B.K., 33. i 41.D.P. 35.D.P., Mazowiecka B.K., zgrupowanie w Suwalszczyźnie, obsada Ossowca i zgrupowanie Grodno. W następnej kolejności (na początku drugiej strony pisma maszynowego) było zadanie dla grupy, nakazujące obronę kierunku na Brześć przez skoncentrowanie wojsk w rej. Bielska..., wykorzystać, w znaczeniu oprzeć się, kolejno na lasach Białostockich i na puszczy Białowieskiej. Zgru-

powanie Grodno ma wycofać się na Krynki. Przypominam sobie dokładnie, że w zadaniu były użyte następujące słowa: 'jak najszybszymi marszami nocnymi przejść do rej....'.

Po przeczytaniu rozkazu od razu zauważono sprzeczność pierwszego punktu z ostatnim, precyzującym zadanie dla grupy — zadawaliśmy sobie wówczas pytanie, czy to nie jest obawa przed odpowiedzialnością?

Do godziny mniej więcej 10-ej skryształizował się ogólny wstępny plan działania dowódcy...

...Sztab opracowywał rozkazy, a gen. Podhorski otrzymał osobiście już ustne wytyczne, było to około godz. 11-ej, gdy stała się rzecz bardzo charakterystyczna.

Kpt. dypl. Matrybiński, oficer o silnym charakterze i dużej wiedzy, szef O.IV, sędzę, że przede wszystkim pod wrażeniem, że Białystok — nasza baza zaopatrzeniowa, posiadająca olbrzymie zapasy materiału int., ma być opuszczony bez walki — w formie rzadko spotykanej w pracy sztabów wpłynął na dowódcę grupy na zmianę decyzji. Generał zdecydował przejść do zwrotu zaczepnego. W tym celu obie brygady kawalerii zaangażować na kierunku Ostrów Maz. — Rożan, a 18.D.P. — wykonać silne wypadły w kierunku na Ostrołękę.

Zdążyłem tylko zameldować, że npl jest żywy i należy się liczyć ze wzrostem jego nacisku na Wisnę, a sąsiad możliwe, że będzie wkrótce daleko od nas.

Krótkie rozkazy dla W.J. już około godz. 12-ej zostały wydane. Przed ich ekspedycją generał zgodził się wysłać oficera do N.D. [dla] zaaprobowania powziętej decyzji — wyjechał mjr dyp. Kwaskowski, kwatermistrz grupy. Rozkazy dla W.J. (gen. Podhorskiego jako dowódcy kawalerii oraz dowódcy 18.D.P.) zawieźli oficerowie sztabu.

Zapadł już zmrok, a wiadomości od mjr. Kwaskowskiego nie było. Brygada rozpoczęła marsz. Dopiero około godz. 21-ej otrzymałem fonogram, nadany umówionym kodem między mną a mjr. Kwaskowskim, treści następującej: 'zgoda na działania zaczepne — wykonanie: brygady Suwalska i Podlaska; załoga Ossowca pozostaje'.

Natychmiast zameldowałem dowódcy grupy: 'no widzisz, wiedziałem, że N.D. zatwierdzi'. Na to odpowiedziałem w obecności między innymi szefa sztabu i szefa O.III, że z tego wyciągam wniosek, że Nacz. Dowództwo dotychczas nie posiada żadnego planu..." (L.dz.1066/39).

Rozpoczął się chaotyczny, przez nikogo nie regulowany odwrót. *Gros naszych Wielkich Jednostek walczyło dwa do pięciu dni, a resztę czasu maszerowało.*

Marsze w zupełności zniszczyły większość naszego wojska bez walki.

Wyścig piechura z motorem musiał wygrać motor. Żdźbło wyobraźni i nieco logicznych wniosków z tak bogatej na temat wojny totalnej i pancernej literatury własnej i obcej musiały nawet tępy umysł doprowadzić do dwóch decyzji. Pierwsza: „stać!” — „uczepić się terenu, murów we wsiach, miasteczkach i miastach!” — „bronić się na miejscu!”. Ale tej decyzji nikt nie powziął, tego bezwzględnego rozkazu nikt nie wydał. Toteż wojsko odpyływało w bezładzie do tyłu. Nie było też drugiej decyzji: „zatrzymać transporty kolejowe na Wiśle!” Byłby to tylko logiczny wniosek z doświadczeń bombardowań niemieckich w dniach 1, 2 i 3 września. Uratowano by w ten sposób 3.D.P., 12.D.P. i 36.D.P., nie licząc dziesiątek transportów najróżniejszych oddziałów pozadywizyjnych.

O przemęczeniu żołnierzy marszami, brakiem snu i wyżyczenia mówią nieomal wszystkie sprawozdania. Przytaczam tylko trzy krótkie wyjątki:

„...Żołnierze, zmuszeni do całodziennego wykuwania w stwardniałej glinie każdego metra okopu i do noszenia w rękach na 2-3 km faszyny — byli już przemęczeni przed początkiem działań wojennych...

...W następnych dniach 16.D.P. bez styczości z nplem wykonywała uciążliwe marsze nocne, początkowo po szosie, a następnie piaszczystymi drogami leśnymi. Żołnierze-rezerwiści, nie wytrenowani do tak długich (do 45 km) marszów nocnych z trudem wytrzymywali ten wysiłek. Kolumny rozciągały się. Wozy łamały się i grzęzły w piasku, konie ustawały, trzeba było bardzo dużego wysiłku ze strony dowództwa dywizji i dowódców pułków, by marsze te uregulować i wykonać w czasie. Pomimo wszystko straty marszowe były duże.

Zaznaczyć muszę, że oficerowie, a szczególnie młodzi, w większości wypadków zawadzili pod względem wytrzymałości fizycznej i nerwowej.

Dużą rolę odgrywało to, że nikt nie widział celowości wykonywanych poruszeń, gdyż sytuacja ogólna nie była znana ani dowódcy G.O., ani dowódcy dywizji. Marsze więc posiadały wszystkie znamiona szybkiego odwrotu bez styczości z nplem. Takie też wrażenie odnosiła i ludność cywilna, zrywając się z miejsc, pakując dobytek i uciekając w popłochu za wojskiem i stając się celem dla bestialskich bombardowań, wykonywanych dzień w dzień przez lotników niemieckich. Szosy i drogi pomorskie były na dziesiątki kilometrów zawałone rozbitymi wozami, poszarpanymi zwłokami kobiet i dzieci i setkami zabitych koni i bydła...” (L.dz.1104).

...Wieczorem dnia 9.IX.39 wyruszyła 16.D.P. w kierunku Łowicza z ogólnym zadaniem (łącznie z 4.D.P.) ubezpieczenia od wsch. i pld. wsch. Armii 'Poznań'.

Stan moralny dywizji był bardzo dobry, gdyż oddziały nieco wypoczęły i wiedziały, że idą na npla. Przestało ciążyć nad nami poczucie beznadziejności bezcelowego odwrotu..." (L.dz.1104/39).

„...26.D.P. w czasie od 4.IX. do 19.IX. maszerowała nocami przygotowując się w ciągu dnia do obrony, nacierając lub broniąc się, co spowodowało ogromne przemęczenie całej dywizji, z czym się jednak nie liczone, mimo kilkakrotnych meldunków dowódcy 26.D.P.

Żołnierz niemiecki natomiast był zawsze wypoczęty, nasycony i wchodził świeży do walki, podwożony przeważnie samochodami na bliskie odległości od frontu..." (L.dz.187/40).

„...Żołnierze głodni i zmęczeni do najwyższego stopnia, z otartymi i odparzonymi nogami. Odpoczynek. Przyjechał mjr Ochęduszek i lekarz jarosławskiego baonu O.N. por. dr Armeński, który po krótkim odpoczynku zaczął przegląd nóg i zaopatrzył niższe schorzenia nóg. Stwierdził, że *około 85 % ludzi jest niezdolnych do dalszego marszu...*" (L.dz.2386/40).

Marsze też, a nie walki zniszczyły bezużytecznie Grupę Operacyjną generała Kowalskiego i Grupę Operacyjną Kawalerii generała Andersa.

A było to tak:

Dnia 8 września odbyła się w Warszawie przy ul. Rakowieckiej Nr 6 w godzinach przedwieczornych odprawa, na której Szef Sztabu Naczelnego Wodza, generał Stachiewicz, wydał ustnie generałowi Rómmłowi zadanie dla tworzącej się grupy Armii, na której dowódcę wyznaczył w imieniu Naczelnego Wodza generała Rómmła. Zadaniem tej „Grupy Armii” było: „...na północy podporządkowana Armia generała Przedrzymirskiego ma bronić Narwi, Armia 'Łódź' broni Warszawy od Modlina do Pilicy, na południu generał Piskor broni górnego biegu Wisły, na przedpolu generał Kutrzeba, z którym brak łączności, ma współdziałać z ewentualnym wypadem Armii generała Rómmła, uderzając od północy na zaangażowane pod Warszawą jednostki nieprzyjaciela.

Zadanie było wydane bardzo ogólnikowo, łączność z generałem Przedrzymirskim była przez Hughesa, odprawa trwała bardzo długo przy pomocy monet przesuwanych na mapie. Został zawezwany generał Czuma, który przedstawił plan obrony samej stolicy i poczynionych przygotowań.

Na zakończenie generał Stachiewicz wzięwszy mnie na bok powiedział mi: 'Wiem, jaki Pan Pułkownik ma wpływ na gene-

rała Rómmla, proszę go podtrzymywać, musicie się tu bronić do ostatka, my Wam pomożemy'... Szef Sztabu Głównego ściskając mnie i jeszcze raz rekomendując hart ducha wsiadł do samochodu i około godziny 23-ej wyjechał z resztką Sztabu...

...Generał Rómml wiedział w pierwszych dniach obrony Warszawy, że poza pierścieniem broni pancernej otaczającej od zachodu miasto, na dalekim przedpolu maszerują ku wschodowi: resztką Armii 'Łódź' pod dowództwem generała Thommé i dotąd nie zaangażowana w walki Armia generała Kutrzeby.

Generał Thommé miał się wycofać z Łodzi na Warszawę i przeprawić na południe od Warszawy, generał Kutrzeba na Warszawę i Modlin. Było to wiadome jedynie z przypuszczeń, gdyż wątpliwym było, czy rozkazy do nich doszły...

Zadanie obrony trójkąta Wisły i Narwi, powierzone generałowi Rómmlowi przez Szefa Sztabu Głównego, zostało już po 48 godzinach sparaliżowane przez rozkaz Naczelnego Dowództwa wycofania się Armii generała Przedzrymirskiego dla osłony Brześcia.

Armia ta, rozciągnięta wzdłuż rzek Bugu i Narwi i mająca tylko luźny kontakt przez swą prawoskrzydłową grupę kawalerii z Grupą Operacyjną generała Młota-Fijałkowskiego, która biernie działała w rejonie Łomży, utrzymywała silnie nawet nacierając rejon na północ od Modlina, natomiast wyrwanie 1.D.P.Leg. ze środka jej ugrupowania z rozkazem odmarszu dla osłony Naczelnego Dowództwa w Brześciu, pokrzyżowało możliwości dowodcy Armii..." (L.dz.1631/39).

Dnia 9 września przed południem przyleciał samolotem do Warszawy podpułkownik dypl. Marecki i wręczył osobiście generałowi Rómmlowi list własnoręczny Marszałka Rydza-Śmigłego, datowany 8 września 1939 roku (bez podania miejsca postoj). Istotna treść tego listu była następująca:

„...Na wstępie jest powiedziane 'wszystko uważam za stracone', względnie 'opór nasz został całkowicie złamany'. 'Warszawa postanowiła się bronić. Mianuję Pana dowódcą Obrony Warszawy. Obronę należy urządzić zarówno z zachodu, północy i wschodu, jak również i z południa'. Innych dyspozycji nie było.

W drugiej części był rozkaz odesłania gen. bryg. Stachiewicza, Szefa Sztabu Głównego do Naczelnego Dowództwa, jako zbędnego w Warszawie. List ten ppłk dypl. kaw. Śmigiełski ma przechowany w kraju..." (L.dz.1062/A/40).

Dnia 12 sierpnia 1941 roku w Londynie Szef Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza mówił mi, że list powyższy zawoził on, to jest pułkownik dypl. art. Marecki, do Warszawy samolotem, że mu go wręczył Marszałek osobiście, że on go doręczył

9 września 1939 roku osobiście generałowi Rómmłowi, że w Warszawie nie zastał już Szefa Sztabu Głównego, generała Stachiewicza, że zawiózł również samolotem list generała Rómmła, który wręczył Marszałkowi w Brześciu.

Gdy przyleciał do Brześcia, właśnie pułkownik dypl. Jaklicz tłumaczył niezadowolonemu generałowi Stachiewiczowi, *dłaczego kazał odejść 1.D.P.Leg. spod Wyszkowa*. Miał to być zamiar „uratowania wszystkich nietkniętych jeszcze wojsk do Małopolski Wschodniej”. Pułkownik Marecki dodał jeszcze, że generał Stachiewicz nie chciał powierzyć dowództwa Armii „Warszawa” generałowi Rómmłowi „ze względu na jego stan nerwowy i fizyczny”...

Gdy w dniu 2 kwietnia 1941 roku w hallu hotelu „Rubens” rozmawiałem z Szefem Sztabu Naczelnego Wodza o odejściu 1.D.P.Leg. z nad Bugu pod Wyszkiem, co spowodowało załamanie się całego frontu na północ od Warszawy i unicestwiło koncepcję wielkiej bitwy na przedpolu Warszawy i o Warszawę, generał Klimecki powiedział do mnie: „*Tę nieszczęsną decyzję spowodował Jaklicz na Marszałku, gdy Stachiewicz pozostał w Warszawie...*”.

Potwierdza to i opisuje jeden z oficerów dyplomowanych z Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza.

„...W dniu 10 lub 11² września (ściślej daty nie pamiętam) około godz. 11-ej w mojej obecności płk dypl. Jaklicz zameldował Nacz. Wodzowi, że w Małkini ukazała się broń panc. npla. W tym czasie 1., 33. i 41.D.P. oraz Mazowiecka B.K. przeszły już na południowy brzeg Bugu, który obsadzały od Małkini do Narwi, więc zachodziła obawa przeskrydlenia tych jednostek od wschodu. Na czym jednak płk dypl. Jaklicz opierał swój meldunek, nie wiedziałem i nie wiem, ale ja słyszałem tylko, że od kogoś z Oddz. IV telefonował jakiś oficer z terenu i podał mu tę wiadomość, jako zasłyszaną od ludności cywilnej. Toteż zwróciłem płk. dypl. Jakliczowi uwagę po cichu, że ten meldunek nie jest sprawdzony. Zostałem na to przez niego zmonitowany, a ponieważ wówczas już byłem oficerem odcinkowym Armii gen. Piskora (organizowanej dla obrony środkowej Wisły), więc byłem mniej dokładnie zorientowany w sytuacji ogólnej i sądziłem, że moja uwaga była rzeczywiście nie na miejscu.

2. Co do daty autor myli się zupełnie wyraźnie. 9.IX.1939 r. w godzinach popołudniowych Szef Sztabu, gen. Stachiewicz, przyjechał do Naczelnego Dowództwa w Brześciu. Decyzja o odejściu 1.D.P. została przez Marszałka pod wpływem płk. Jaklicza powzięta w nieobecności gen. Stachiewicza, co zresztą potwierdza sam autor. Nieszczęsna ta decyzja musiała więc zapaść najpóźniej 9.IX.1939 r. w godzinach przedpołudniowych.

Na podstawie tego meldunku Nacz. Wódz rozkazał mnie osobiście zaraz wziąć dwa silne samochody i trzech żandarmów i w razie potrzeby 'przebić się' do dowódców 1., 33. i 41.D.P. z ustnym rozkazem natychmiastowego opuszczenia rz. Bug i wycofania się w ogólnym kierunku na Białą Podlaską. Nacz. Wódz podkreślił kilkakrotnie, że te jednostki miały rozkaz wycofania się na Warszawę i że ten rozkaz zmienia, by 'uratować je' przed zamknięciem w rej. Warszawy. Dowództwo nad 1., 33. i 41.D.P. i Mazowiecką B.K. miał objąć gen. Kowalski i on miał uregulować odejście znad rz. Bug, a w razie pościgu przez npla miał podpalić za sobą lasy dla zatrzymania nplskiej broni panc.

O godz. 12-ej wyjechałem z Brześcia i bez przeszkód dotarłem kolejno o godz. 17-ej do płk. dypl. Zieleniewskiego (33.D.P.), gen. Piekarskiego (41.D.P.) i gen. Kowalskiego (1.D.P. i podlegała mu już Mazowiecka B.K.). Zameldowałem tym dowódcom nowy rozkaz Nacz. Wodza i dowiedziałem się, że wszystkie te W.J. spłynęły znad Narwi przez most pod Wyszokowem i że dopiero po tym rozciągnęły się wzdłuż Bugu, ale do Małkini nie sięgają i nie wiedzą, co tam się dzieje. W trakcie mojej bytności u gen. Kowalskiego, około godz. 21-ej, przyjechał tam gen. Krzisch, który jechał z Łomży przez Małkinię. Na moje pytanie, co tam się dzieje, gen. Krzisch powiedział mi, że jechał tamtędy i że spotkał tam jakiś oddział Obrony Narodowej oraz baterię artylerii plot. i że tam nic o broni panc. npla nie słyszał, a w lasach na północ jest 18.D.P. i 1.B.K. z grupy gen. Młot-Fijałkowskiego.

Wobec takich zmian wiadomości poprosiłem gen. Kowalskiego o opóźnienie odejścia jego grupy znad Bugu do rana dnia następnego, wysunięcie jakiegoś wzmocnienia do Małkini, oraz — o ile to się da — przerzucenie Mazowieckiej B.K. na jego wschodnie skrzydło celem jego osłony i nawiązanie łączności z oddziałami gen. Młot-Fijałkowskiego w rej. lasów na północ od Małkini. Ja miałem wrócić do Brześcia i przedstawić ponownie sytuację Nacz. Wodzowi celem uzyskania nowych rozkazów. Gen. Kowalski zgodził się na to i polecił mi zameldować, że czeka do godz. 6-ej rano i że jego sytuacja jest o tyle trudna, że otrzymuje on rozkazy od dowódcy Armii, gen. Przedzrymirskiego z Modlina, od Szefa Sztabu Głównego z Warszawy, od gen. Młot-Fijałkowskiego z Łomży i wreszcie rozkaz, który ja przywożem od Nacz. Wodza. Różne te rozkazy gen. Kowalski uważał za kolidujące ze sobą, a nawet sprzeczne i prosił o wyjaśnienie jego podległości. Sytuację na swym odcinku gen. Kowalski oceniał optymistycznie i twierdził, że może się trzymać nad Bugiem, a npl nie wytrzymuje przeciwstarać naszej pie-

choty, której straty są niewielkie i głównie pochodzące od artylerii npla, która strzela dużo i dobrze. Poza tym gen. Kowalski wyraził mi swoje zastrzeżenia co do wartości bojowej 22. i 41.D.P., którym musi ciągle pomagać (były to jednostki rezerwowe i — o ile pamiętam — niekompletne).

Z tym odjechałem do Brześcia około godz. 22-ej i przez zatłoczone szosy oraz przez świeżo zbombardowane i płonące Siedlce dotarłem do Brześcia około godz. 3-ej rano. W sztabie dowiedziałem się od oficera dyżurnego (ppłk dypl. Przybylski), że w ślad za mną po południu wyjechało trzech oficerów, do tych samych dowódców dywizji celem zmienienia zawiezionych przeze mnie rozkazów dla gen. Kowalskiego i jego W.J. Wobec tego rano zameldowałem Szefowi Oddz. III cały wynik mojej bytności w tych W.J., moją umowę z gen. Kowalskim co do odejścia znad Bugu o godz. 6-ej rano i prośby jego co do uregulowania podległości...” (L.dz.1533/40).

Odejście 1.D.P.Leg. było zupełnym zaskoczeniem dowódcy Armii „Modlin”, generała Przedzimirskiego, i spowodowało katastrofę całej Armii „Modlin”. Potwierdza to jeszcze następujące sprawozdanie:

„...Od 1. do 11.IX. byłem w Warszawie w D.O.K.I. i dowództwie Obrony Warszawy jako kurier z własnym samochodem.

Dnia 11.IX. o godz. 20-ej otrzymałem z dowództwa Obrony Warszawy rozkaz, który miałem doręczyć dowódcy Armii, gen. Przedzimirskiemu, wyjeżdżając pierwszy raz poza teren obrony.

Pierwszym ujemnym wrażeniem był fakt, że nie otrzymałem nawet przybliżonego m.p. dowództwa Armii, tylko ogólny kierunek na Siedlce. Wyjechałem natychmiast spod ronda Washingtona na Saskiej Kępie, napotykając od ul. Grochowskiej począwszy na nieopisany bałagan i panikę wśród cofających się taborów. Były to tabory różnych jednostek, cofające się w bezładzie. Zatarasowały one całą szosę aż do skrzyżowania dróg pod Miłosną, zajmując całą jej szerokość, tworząc czasami nawet cztery szeregi, tak, że przejazd w kierunku Warszawy był absolutnie niemożliwy. Jednocześnie tworzyły się co chwilę stałe zatory. O sile tego zatarasowania mówi fakt, że odcinek szosy od ronda Washingtona do Miłosny, długości mniej więcej 15 km, jechałem samochodem od godz. 20-ej do 6-ej rano, czyli 8 godzin, torując sobie drogę często z rewolwerem w rękę. Jednocześnie podczas przejazdu przez lasy aniński i wawerski powstawały fałszywe alarmy o dywersji niemieckiej w tych lasach, powiększające panikę i wywołujące bezładną ogólną strzelaninę

nawet z k.m., którą każdorazowo z trudem opanowywałem, doprowadzając do zaprzestania ognia. Nie mogłem stwierdzić, jakie powstały straty przy tym wzajemnym ostrzeliwaniu się. Po przejeździe przez skrzyżowanie koło Miłosny droga stała się wolniejsza, tym bardziej, że tabory zaczęły nad ranem zjeżdżać do lasów. Dojeżdżam do Mińska Mazowieckiego, lecz niestety niczego nie mogę się dowiedzieć o dowództwie Armii gen. Przedzrymirskiego. Kierują mnie dalej na Kałuszyn. Tutaj spotykam nowy obraz. Całe boki szosy i brzegi rowów przydrożnych zajęte są uciekającymi żołnierzami, wszyscy bez broni, duża część bez butów, lub buty na plecach. Dowiaduję się, że są to dezertery z 1.D.P., uciekający w kierunku Kałuszyna. W Kałuszynie samym tłoczy się masa tych żołnierzy na placu i na ulicach. W Komendzie Placu znów nie mogę otrzymać żadnej wiadomości o dowództwie Armii, dowiaduję się natomiast, że w mieście jest dowódca 1.D.P. Po ciężkich trudach dostaję się do dowódcy, który również nie może mi dać żadnej wiadomości o m.p. dowództwa Armii. Kieruję się dalej na Siedlce, będąc od rana kilkakrotnie ostrzeliwany z k.m. przez lotników. W Siedlcach spotykam szefa sztabu D.O.K.I., płk. dypl. Aleksandrowicza, przybyłego z misją zahamowania i opanowania ucieczki, od którego otrzymuję wiadomość, że 9.D.P.³, wchodząca prawdopodobnie w skład Armii gen. Przedzrymirskiego, stoi w Miedzeszynie na linii Warszawa-Otwock i poleca mi jechać do niej, gdzie prawdopodobnie dowiem się o m.p. dowództwa Armii. Jednocześnie ostrzega mnie, żebym nie wracał z Siedlec na Miłosnę, lecz szosą na Garwolin, ponieważ niemieckie oddziały pancerne znajdują się już o 3 km od szosy pod Kałuszynem. Kieruję się nie do Garwolina, lecz przez Seroczyn do Siennicy, żeby stąd przez Otwock dotrzeć do Miedzeszyna. W Siennicy spotykam przypadkowo dowódcę etapów Armii gen. Przedzrymirskiego i dowiaduję się, że dowództwo stoi w wiosce Jerusal około 20 km na południe od Kałuszyna. Ostrzeliwany kilkakrotnie przez lotników w drodze do Siedlec, docieram wreszcie wieczorem 12.IX. do dowództwa Armii i doręczam rozkaz. Od szefa sztabu Armii otrzymuję równocześnie meldunek o sytuacji operacyjnej Armii z poleceniem doręczenia go gen. Rómmłowi, dowódcy Obrony Warszawy. Jednocześnie otrzymuję dyspozycję nauczania się meldunku na pamięć i trzymania w pogotowiu butelki z benzyną, żebym mógł w każdej chwili spalić meldunek, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że mogę wpaść w ręce wroga, bo skrzyżowanie koło Miłosny, jak mnie informuje do-

3. Jest to oczywiście omyłka, gdyż 9.D.P. wchodziła w skład Armii „Pomorze”.

wódca oddziału op. Armii, jest prawdopodobnie już zajęte przez zmotoryzowaną dywizję niemiecką, jak również na szosie Międzeszyńskiej jako jedynym dwóm szlakom do Warszawy od południowego wschodu, są już jednostki niemieckie, które przekroczyły Wisłę mostem pod Świdrem.

Zasadnicza treść meldunku była następująca:

1.D.P. opuściła bez powodów zajmowane stanowiska (wyliczone gdzie) cofając się „wbrew wszelkim moim rozkazom i intencjom” — jak brzmiały słowa gen. Przedzimirskiego — o 20 km w tył, stwarzając przez to lukę. W którą natychmiast wsunęła się zmotoryzowana dywizja niemiecka zagrażając Kałuszynowi i dalej Siedlcom. Zmusza to dowódcę Armii do wykonania manewru odwrotnego lewym swym skrzydłem w kierunku południowo-wschodnim, odsłaniając przez to ostatecznie Warszawę od wschodu, o czym zawiadamia gen. Rómmla, dowódcę obrony Warszawy...” (L.dz.1540/40).

Oficer sztabu 1.D.P.Leg. fakt ten przedstawia następująco:

„...W dniu 9.IX. w dalszym ciągu obrona na południowym brzegu pod Wyszkiem. W czasie próby forsowania rzeki przez Niemców dyrygowałem razem z kpt. dypl. Pohoskim przeciwnatarciem, gdyż akcja zaczepna zbiegła się z nieobecnością dowódcy dywizji, dowódcy p.d. i szefa sztabu, którzy w tym czasie byli na inspekcji pierwszego rzutu obrony.

Na skutek rozkazu Nacz. Wodza w dn. 10.IX. dywizja rozpoczęła ruch odwrotowy na Kęty. Po wykonaniu prac związanych z formowaniem kolumn posuwałem się w sztabie ścisłym dowódcy dywizji.

Rozkaz Nacz. Wodza był o tyle przykry dla dywizji, że zmuszał do oderwania się już po świcie, z drugiej strony nie uchronił dywizji przed otoczeniem, zaś pozycja Wyszkowska była stosunkowo najdogodniejsza do obrony.

W dniu 11.IX. *w myśl intencji Nacz. Dowództwa, by 1.D.P.Leg., jako W.J. o pełnych wartościach bojowych i o bardzo dobrym stanie moralnym uchronić od zamknięcia w Warszawie.* Dywizja kontynuuje ruch odwrotowy w rej. Ignacowa, gdzie teren dawał pewne walory obrony...” (L.dz.1087/40).

Z tym „...bardzo dobrym nastrojem moralnym 1.D.P.…” wcale nie było tak dobrze, jak autor twierdzi. (Sądzę, że chodziło mu o ratowanie „legendy”...). Przytaczałem już powyżej słowa oficera, kuriera od generała Rómmla: „...całe boki szosy i brzegi rowów przydrożnych zajęte są uciekającymi żołnierzami, wszyscy bez broni, duża część bez butów lub buty na plecach. Dowiaduję się, że są to dezercerzy z 1.D.P.Leg., uciekający w kierunku Kałuszyna...” (L.dz.1540/40).

Poniższe wyciągi ze sprawozdań, *wyłącznie oficerów 1.D.P.Leg.*, opisują *odejście 1.D.P.Leg. od Bugu* oraz *niskie morale 1.D.P.Leg.*:

„...Około 40% rezerwistów nie było na ćwiczeniach od 6-8 lat. Tyleż % nie znało kb. Mauzer. Ponad 75% nie znało zupełnie r.k.m. Zaledwie 6 znało pobieżnie granatnik. Ponad 50% w życiu nie rzuciło granatami ręcznymi. Około 15% było z innych broni. Co najmniej 40% nie umiało zabezpieczyć kb.; około 25% nie znało zupełnie szyków luźnych. Niemal wszyscy nigdy nie byli w pułku. Około dziesięciu nigdy w życiu nie strzelało!! Przeciętny wiek 32 lata. Wahania w rocznikach: od 1895 do 1913. Przeciętny stan fizyczny — dostateczny. Bardzo duży procent niedołęgów, niedorozwiniętych i oferm. Ludzie apatyczni, bez zapału, często przerażeni; na huk padającej ławki — padali ze strachu na podłogę. Dużo płaczących, rozpaczających. Wielu zwracało się z pytaniem: „Panie poruczniku — co ja zrobię, jak mnie zabiją?” Nastroj poprawił się po dwóch dniach, ale mimo wszelkich starań — nie był dobry. Element zabiedzony — fantastycznie żarłoczni. Uświadomienie obywatelskie równe niemal zeru. Jaskrawo odbijali się od nich strzelcy służby czynnej: energiczni, weseli, karni — wszystkie rozkazy wykonywali w lot, bardzo starannie... O nastroju — wprost szkoda pisać. Ze strachu np. zjadali żelazne porcje, motywując: „niech się człowiek choć naje przed śmiercią”. Siedział Niemiec na drzewie i z pistoletu maszynowego strzelał. Z prawej ukazuje się kilkunastu Niemców w odległości około 150 m. Ktoś krzyknął „Niemcy” — wielu zdradziło chęć do ucieczki — ale ich zatrzymałem... Niemcy w lesie na wysokich pagórkach — ani dojść. C.k.m. nasze silnie ostrzeliwują — podchodzimy na 200 m, ale *ludzi trzeba wprost popychać kijem*. Nie chcą zajmować stanowisk ogniowych. Chodzę od prawego do lewego — ciągle; aż ze zmęczenia na krótko osłabłem... wyciągam z beładnie cofających się moich ludzi...

O 4-ej rano dn. 7.IX. przechodzimy przez most na Bugu. Wyszków w gruzach. Bałagan okropny, nikt nie kieruje, wszystko się pcha, aby prędzej. Oficer kierunkowy za mostem wciąż się myli w podawaniu kierunków. W tłoku gubi się część ludzi...

...Powody porażki pod Pułtuskiem: 1) Przewaga npla... 2) Idiotyczne (tak!!) rozciągnięcie pułku (w lesie!!) i batalionu w kordon, prawie bez ugrupowania w głąb. 3) Kompletny brak rozpoznania na szczeblach od baonu wzwyż (nawet na nasze prośby — dowódca baonu nie wysłał rozpoznania). 4) Brak współpracy z artylerią, która w ogóle nie strzelała, motywując to

brakiem żądań ze strony piechoty. 5) Ruch oskrzydający od strony na zachód od Pułtuska, gdzie rzeka niemal nie była broniona. 6) Zupełne zaniedbanie opóźnienia, zasadzek itp., a stawianie podczas wycofania się tylko chwilowego oporu od czoła — pojedynczymi k.m. 7) Bardzo słaby stan moralny i fizyczny ludzi. 8) Kompletny brak łączności, która w ogóle nie istniała...

...Raptem na lewo od nas, mniej więcej na tor, spada seria pocisków art. — i cały baon w popłochu zaczął biec w prawo przez szosę. Krzyknąłem „Stać!” i — dziwna rzecz — niemal wszyscy stanęli... Co było w dn. 10 i 11.IX. dokładnie nie pamiętam — to był koszmar — ten beznadziejny i bezładny odwrót, gdzie nie widziało się ze strony władz żadnej ingerencji. Idziemy przez uzdrowiska podmiejskie — na Mińsk Mazowiecki. W jakimś lesie organizują baon. Zebrałem jeszcze około 130-140 ludzi. Inne kompanie miały przeciętnie 50-60. Wszyscy ledwie żywi ze zmęczenia... Silny ogień od czoła — ale skokami — wolno — idziemy naprzód. Oglądam się. Przy mnie — około 40 ludzi — reszta rozeszła się po chatkach za jedzeniem (brak dowódców plutonów, oraz drużynowych. Jestem sam z kadry). Znajduję mjr. Galicę — pokazuję moich 40 ludzi — proszę o pomoc — „Po co? — i tak zaraz uciekniecie!” — i pojechał dalej. Za nim idą jego ludzie gęstą grupą (Niemcy ich nie widzieli, bo to było za lasiem). Krzyczę „Chłopcy — za mną — tam Niemcy wieją!” Chwila — i jakiś strzelec (Kostkowski Jan — zginął) mówi do kolegów. „K...mac! ja idę! p...dolić! Pociągnął za sobą około 100 ludzi. Z nimi zdobywam drugą wieś, która już płonie. Zdobywam 6 motocykli, 8 aut, w tym 4 zepsuta, 2 k.m., mnóstwo kb. Ludność z placzem wita nas, pomagając szukać ukrytych Niemców, których wprost w sztuki rozrywano. Padło ich tam co najmniej 40-50. Stanowisko świetne — na skrzyżowaniu szos. Kpt. Karuba, por. Cegłowski i ja organizujemy zdobyty teren — szukamy dowódcy pułku — nie ma go! Po dwóch godzinach znaleziono go w lesie — z niepokonanym II baonem — kazał nam cofać się!! Nie wierzyliśmy własnym uszom — ale rozkaz! (L.dz.2355/40).

Meldunek powyższy nie świadczy chyba o „bardzo dobrym nastroju moralnym 1.D.P.”. Ani też następujący:

„...Jako dowódca baterii brałem udział w obronie Pułtuska. Obrona załamała się zasadniczo po 2-ch-3-ch godzinach walki. Niepowodzenie tej obrony widzę w tym, że piechota zbyt szybko została moralnie załamana ogniem artylerii niemieckiej...

...Zbyt szybkie załamanie się piechoty widzę w tym, że nie miała ona dostatecznie przygotowanych rowów strzeleckich oraz

umieszczenie linii obronnej przy zabudowaniach, które artyleria niemiecka paliła. Artyleria strzelała nie do piechoty, ale do zabudowań, tylko przypadkowo trafiały pociski w pobliżu rowów strzeleckich. Uważam, że nie ogień artylerii załamał moralnie piechotę, ale wzniecone pożary. Baterie niemieckie były o kalibrze 100 mm i 105 mm (dalekonośne), używali zapalników natychmiastowych oraz rozpryskowych (granaty na rozprysk). Piechota jak na komendę wyskoczyła z rowów strzeleckich bez rozkazu i panicznie zaczęła uciekać. Od tej chwili aż do dn. 23.IX. nikt baonu tego nie zebrał (był to baon obrony narodowej Pułtusk). Straty w zabitych stosunkowo nieduże i powstały wówczas, kiedy piechota opuściła rowy strzeleckie. Działo się to dn. 8.IX.39 (albo 7.IX. — dokładnie daty nie pamiętam).

Obrona na Bugu w rejonie Wyszkowa. Byłem jako dowódca baterii bezpośredniego wsparcia na odcinku kawalerii dywizyjnej. Po jednodniowej walce 9. i w nocy 9/10.IX. z rozkazu mjr. Kulika obrona wycofała się. Ja otrzymałem rozkaz udania się z baterią (o godz. 4-ej rano dn. 10.IX.) do lasów w rejon Sulejówek, gdzie miałem znaleźć dowódcę dyonu i dywizję. Po przybyciu około godz. 12-ej nie zastałem nikogo, jedynie tabor szwadronu kawalerii dywizyjnej. Wysłałem dwóch oficerów, ppor. rez. Szczukę oraz ppor. rez. Hincza, na poszukiwanie dowództwa dyonu, pułku lub dywizji. Około godz. 15-ej albo 16-ej ppor. Szczuka zameldował mi, że znalazł oficera operacyjnego 1.D.P., który mu odpowiedział, że nie wie, gdzie są oddziały, że *jest to nie odwrot, ale panika, jedźcie, gdzie chcecie*. Po takim meldunku obrałem kierunek na południe, wyprowadzając baterię. W międzyczasie wysłałem oficerów i podoficerów na poszukiwanie pułku, jednak nigdzie znaleźć nie mogłem. Szybkość marszu niemieckich wojsk była większa, ponieważ stale mnie ostrzeliwali pomimo marszów bez odpoczynków. Poprzez Dęblin i Lublin dotarłem do rej. Cycowa. Przy szosie Włodawa — Lublin w dniu 17.IX. odnalazłem swój dyon, a właściwie tylko dowódcę dyonu oraz kilku jego zwiadowców. 4. i 6. bateria już nie istniały. Bateria moja była w komplecie poza kilku dezertkami. Sprzęt artyleryjski cały. Brak było lunety i aparatów telefonicznych, które zostały przez zwiadowców i telefonistów porzucone bez rozkazu wraz z bębniami i kablem..." (L.dz.714/39).

Dowódca sąsiedniej 33.D.P. pisze:

„...Obydwie akcje rozwijają się pomyślnie: 134.p.p.k i oddziały 41.D.P. odrzucają nieprzyjaciela na błonia nad Bugiem i osiągają wydmy i północne skraje lasów dominujące nad łąkami nadbużańskimi. W trakcie walki ginie jednak dowódca dyonu artylerii, mjr Bartkiewicz, 131.p.p. napotyka pod Sadownem nie-

przyjaciela, który już przeszedł Bug pod Brokiem. Zawiązuje się bój piechoty, następnie artylerii. Zaznacza się nasza przewaga. Dowódca pułku montuje, w porozumieniu ze mną, manewr obejściowy lasami na skrzydło npla pod Sadownem. Manewr da wyniki dopiero jutro rano. Zresztą jutro cała 33.D.P. będzie działała w kierunku Broku, gdyż 134.p.p. walczący na odcinku 41.D.P. zostanie zluźwany przez tę dywizję.

Bitwa więc rokuje dobre nadzieje.

Tymczasem wieczorem przychodzą rozkazy zupełnie nieoczekiwane. Przyjeżdża samochodem major z Nacz. Dowództwa (nazwiska nie pamiętam) i przywozi ustny rozkaz przerwania bitwy na Bugu i odwrotu. Major był już u gen. Kowalskiego, dowódcy 1.D.P., teraz daje ten sam rozkaz mnie i znajdującemu się obok gen. Piekarskiemu, dowódcy 41.D.P. Improvizowana grupa operacyjna gen. Kowalskiego w składzie: Mazowiecka B.K., 1.D.P., 41.D.P. i 33.D.P. ma maszerować w kierunku Siedlce — Biała Podlaska, tak, by przejść na południe od Białej Podlaskiej. Szczegóły ureguluje dowódca grupy, gen. Kowalski...

...Wracamy do swoich dywizji, aby wydać konieczne rozkazy. W ten sposób ledwie zaczęta i pomyślnie rozwijająca się bitwa na Bugu zostaje przerwana. Bitwa ta może przechodziłaby jeszcze ciężkie koleje z powodu prawdopodobnego braku odwodów, ale dotychczas szła dobrze, dotychczas nie nastąpił prawdziwy wysiłek szeregu Wielkich Jednostek. Bitwa ta powinna się była toczyć dalej, a przerwanie jej tłumaczyłem sobie tym, że może gdzie indziej nastąpiły wypadki wymagające naszego odwrotu, lub że może montuje się jakiś większy manewr.

Tymczasem w parę miesięcy później (w Budapeszcie) dowiedziałem się od płk. Gałązki, b. dowódcy artylerii Armii gen. Przedzimirskiego, że dowódca Armii był jakoby zaskoczony odwrotem całego skrzydła, gdyż jakoby otrzymał pisemny rozkaz z podpisem Nacz. Wodza, nakazujący obronę Bugu!

Czyż znowu, jak parę dni temu w bitwie nad Narwią, tak teraz w bitwie nad Bugiem, napotykał się na dwoistość rozkazów...” (L.dz.1844/39).

„...W momencie otrzymania rozkazu Nacz. Wodza, że Armia „Modlin” ma stworzyć obronę na rzece Bug od Serocka — Brok, nadchodzi meldunek od dowódcy 1.D.P., gen. Kowalskiego, że szczególnym rozkazem Nacz. Dowództwa, przekazanym przez majora (nazwiska nie wiem), 1.D.P., 41.D.P. i 33.D.P. mają wycofać się na Białą Podlaską — Hrubieszów i że dywizje te marsz ten rozpoczęły.

Ponieważ nie było mowy o stworzeniu obrony rzeki Bugu — dowódca Armii nakazał wycofanie się na ogólny kierunek

Kałużyn — Chełm — Hrubieszów, co zdaje mi się nie zostało potwierdzone przez Naczelne Dowództwo, nakazujące wycofanie się w kierunku południowo-wschodnim...” (L.dz.495/40).

Przez ten dziwny rozkaz Naczelnego Wodza, inspirowany przez pułkownika Jaklicza, odejścia 1.D.P. i całej Grupy Operacyjnej generała Kowalskiego od Bugu, załamał się front północny, Warszawa została zamknięta od wschodu, a Armia generała Kutrzeby (Armia „Poznań” i podporządkowana mu Armia „Pomorze”) pozostawiona sama sobie na łasce losu.

„...Ze słów gen. Bołtucia wiedziałem, że Armia 'Poznań' zamierzała poprzednio uderzyć na Warszawę, lecz nie zgodził się na to Naczelny Wódz, polecając natarcie na Łódź. Był to jedyny i ostatni ślad łączności dowódców Armii z Nacz. Dowództwem, utrzymywanej przez lotnika, latającego z meldunkami i rozkazami (z Armii gen. Bortnowskiego)...” (L.dz.1104/39).

A 1.D.P. i cała Grupa Operacyjna generała Kowalskiego zostały zniszczone nie tyle walką, ile marszami. Biły się tylko pod Pułtuskim, pod Wyszkowem i pod Tarnawatką, przy czym w pierwszych dwóch walkach z Niemcami odeszły, a właściwie uciekły z pola bitwy przy silniejszym natarciu niemieckim, a pod Tarnawatką biły się tylko resztkami nie po to, aby bić wroga i go zwyciężyć, ale by sobie otworzyć drogę... za granicę.

Podobnie rzecz się miała z kawalerią generała Andersa. Brygada Nowogródzka z powodzeniem opóźniała Niemców w rejonie Sierpca. Swoją drogą nieprzyjacieli w tym kierunku specjalnie nie nacierał. Potem również z powodzeniem broniła przedmościa Płock do chwili nadejścia 19.p.p. z dywizjonem 5.p.a.l. z Włocławka, po czym dozorowała Wisłę od Płocka do Wyszogrodu. „...Zresztą w sprawie zadań dla Nowogródzkiej Brygady Kawalerii były wydawane z Naczelnego Dowództwa dość często różne rozkazy...”, pisze wysoki oficer z dowództwa Armii „Modlin” (L.dz.495/40), co znów charakteryzuje dowodzenie przez Naczelnego Wodza (a raczej pułkownika Jaklicza). 9 września 1939 Nowogródzka B.K. przechodzi w rejon Otwocka. 11 września 1939 dołącza do niej Wołyńska B.K. (z dotychczasowej Armii „Łódź”) oraz mocno przetrzebiona Kresowa B.K. Z tych Wielkich Jednostek kawalerii generał Rómmel tworzy Grupę Operacyjną Kawalerii pod dowództwem generała Andersa. Chciał tę Grupę Operacyjną użyć do uderzenia na zachód dla „podania ręki” generałowi Kutrzebie. Załamanie się obrony Bugo-Narwi przez odejście 1.D.P.Leg. i całej Grupy Operacyjnej generała Kowalskiego zmusiło generała Rómmela do zamknięcia Warszawy również od wschodu. Wobec tej decyzji:

„...gen. Rómmel zaproponował odesłanie całej kawalerii gen.

Andersa ku wschodowi. Ta propozycja, przesłana przez radio do Nacz. Dowództwa, otrzymała pośpieszną aprobatę wywołującą ironiczne komentarze w Warszawie, gdyż była to jedyna wieść, którą przez cały czas obrony otrzymaliśmy od Naczelnego Dowództwa..." (L.dz.1631/39).

Przed odejściem „na południowy wschód” Grupa Operacyjna generała Andersa miała opóźnić nieprzyjaciela, podchodzącego od północnego wschodu do Warszawy. Lecz „...gen. Anders nie zdołał odbić Mińska Mazowieckiego...” (L.dz.1631/30). „...Przerwał bitwę na wiadomość sforsowania przez Niemców Wisły pod Otwockiem, co mogło zagrozić wycofaniu się Grupy Operacyjnej Kawalerii na Garwolin. W bitwie pod Mińskiem walczyła tylko Wołyńska B.K., gdyż Nowogródzka B.K. do bitwy nie doszła. Według słów oficerów sztabu gen. Andersa zawinił tam dowodzony przez płk. dypl. Szwajcera 26.p.Uł., który szedł w straży przedniej Nowogródzkiej B.K. i zmylił drogę...” (L.dz. 5783/40). Grupa Operacyjna maszerowała przez Garwolin (14 września 1939), przez Michów na południe od Wieprza (15 września 1939), Lubartów (17 września 1939), Łęczna (18 września 1939). W dniu 19 września 1939 roku walki z rozpoznaniem nieprzyjaciela w rejonie miejscowości Uchanie. 20 i 21 września 1939 roku Grupa Operacyjna Kawalerii w rejonie lasów pięć-sześć kilometrów na wschód od Komarowa. „...dzień 22 września Grupa Operacyjna uderza na Komarów w celu przebicia się przez kordon wojsk niemieckich między Zamościem a Tomaszowem, by następnie lasami Zamojszczyzny iść na południe. Całodzienna walka nie daje rezultatów. Na południu i północy również słychać walkę, to znów walczą dywizje gen. Przedzrymirskiego i Olbrychta — niestety poszczególne Wielkie Jednostki biją się samodzielnie, nie jest to grupa skoordynowana, raczej działanie na ślepo i na szczęście...” (L.dz.5788/40). 23 września bitwa pod Krasnobrodem, celem przebicia się przez kordon niemiecki. Bitwa ta jest „...typowym przykładem spotkaniowej, losy której kilkakrotnie przechylały się to na jedną stronę, to na drugą. Generał Anders, któremu, jak się okazało później, udało się wraz z Nowogródzką B.K. przejść przez Wieprz pod Krasnobrodem trzy kilometry od miejscowości Cykanie i który znalazł się całkowicie na tyłach nieprzyjaciela, związanego walką z nami, zupełnie nie interesuje się losem Wołyńskiej B.K. i maszeruje z resztą grupy na południe. Słyszac naszą walkę (co dziś wiem od oficerów Nowogródzkiej B.K.) generał Anders mógł i był winien uderzyć na pomoc Wołyńskiej B.K. Działanie to miało 100% szans powodzenia. W konsekwencji Grupa Operacyjna Kawalerii, wzmocniona jeszcze oddziałami płk. Zakrzewskiego i Mazowieckiej B.K., miała wszelkie

dane do przebicia się w całości na Węgry. Błędem więc było samo założenie, nakazujące poszczególnym brygadam marsz samodzielny do rejonu koncentracji. Grupa Operacyjna Kawalerii winna była iść naturalnie po dwóch, trzech osiach, lecz działać stale jako jedna całość..." (L.dz.5788/40).

Opisałem tak szczegółowo odejście Grupy Operacyjnej piechoty generała Kowalskiego i Grupy Operacyjnej Kawalerii generała Andersa „...na południowy-wschód...”, aby na tych dwóch przykładach wykazać, jakie tragiczne następstwa spowodowało chaotyczne i nieprzemyślane dowodzenie przez Naczelnego Wodza.

„...Nieuzgodnienie działań Armii gen. Kutrzeby, resztek Armii 'Łódź' pod dowództwem gen. Thommé i oddziałów będących w Warszawie pod dowództwem gen. Rómmla stanowi powód, że zwycięska bitwa wygrana przez gen. Kutrzebę w rejonie Łowicz-Kutno nie przeistoczyła się w wielkie rozbicie jednostek niemieckich, rozciągniętych między Piotrkowem i Błoniem, a których jednostki pancerne miały swe materiały pędne na wyczerpaniu.

W rezultacie oddziały polskie z zachodu wycofywały się bez rozkazu z góry, a więc bez przewidzianej linii odejścia i wszystkie dążyły ku Wiśle, ku puszczy Kampinoskiej, w lasach której miały nadzieję schronić się przed prześladowającym je lotnictwem npla...

...Gdyby lotnictwo polskie było dowodzone, a nie „ewakuowane” i gdyby myślą przewodnią dowództwa nie było kierowanie się ku granicy, a czy żeby były zwrócone ku nieprzyjacielowi, przejście gen. Kutrzeby przez Bzurę, wykonane w bezwzględny porządku, po dołączeniu do oddziałów Warszawy i Modlina umożliwiłoby odtworzenie armii, która by przedłużyła o długie tygodnie obronę trójkąta Wisły i może zaważyła, jeżeli nie na losach, to na honorze armii.

Nie trzeba zapominać, że w rejonie Warszawa-Modlin-Łowicz znajdowało się w tym czasie 25 wielkich jednostek armii polskiej, a więc jej gros, przy wysiłku tego gros powinien znajdować się główny wysiłek lotnictwa.

Opinię tę nabrałem i wyczuwaliśmy ją już w Warszawie, została ona potwierdzona w zupełności przez gen. Kutrzebę, po jego przybyciu około 21 września do Warszawy..." (L.dz.1631/39).

Z góry było nastawienie do wycofywania się. Nie było silnej woli, dominującej nad wszystkim, bicia Niemców, lecz chęć ratowania się do tyłu. Wynika to wyraźnie tak z zachowania się Naczelnego Dowództwa i ciągłego jego odjazdu do tyłu bez praktycznej możliwości dowodzenia (choćby z braku przygoto-

wanej łączności i pomieszczeń), jak i — bezpośrednio lub pośrednio — ze sprawozdań pułkownika Jaklicza, Münnicha, Kopańskiego i większości oficerów Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza, z rozmowy Marszałka z generałem Burhardtem (L.dz.100/A), z braku reakcji na nieudolność dowódców (dowódcą Armii Odwodowej, 8.D.P. no i kilku innych) lub ich ucieczkę (dowódca 2.D.P., 28.D.P.) oraz z takich rozkazów, jak wycofanie 1.D.P. i całej Grupy Operacyjnej generała Kowalskiego i Grupy Operacyjnej generała Andersa, co z góry przesądziło losy doskonałej Armii generała Kutrzeby „...prowadzącej 30.000 jeńców...” (L.dz.1631/39 i wiele innych), a wycofane jednostki zniszczyły bez korzyści dla Polski.

Toteż były Szef Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza, pułkownik dypl. Kopański, pisze:

„...metoda i błędy dowodzenia mogły się odbić ujemnie na następujących operacjach:

- 1) obrona linii Narwi,
- 2) utrzymanie linii Bugu,
- 3) obsadzenie i osłona rzeki Wisły,
- 4) odwrót gen. Kutrzeby i obrona Warszawy.

Zbadanie tego twierdzenia musiałbym odłożyć do chwili dostarczenia dokumentów operacyjnych z Rumunii do Paryża.

Ujemny wpływ na działanie mogło wywierać powzięcie i realizowanie w czasie działań wojennych koncepcji stopniowego ściągania całości sił zbrojnych na pogranicze Rumunii i Węgier.

Wydaje mi się, że realizacja tej koncepcji była dostatecznie przed wojną przygotowana.

Pierwszy raz usłyszeliśmy o niej (płk dypl. Klimecki, Szef Wydziału Operacyjnego) z ust Naczelnego Wodza w Warszawie już 5-6 września⁴. Wydaje mi się, że przeprowadzona ona była bez dostatecznego uwzględnienia realnych możliwości wykonania i ze szkodą dla innych działań, zwłaszcza dla operacji Armii gen. Kutrzeby i Bortnowskiego. Zbadanie tej tezy odkładam również do czasu otrzymania map i dokumentów...” (L.dz.325/39).

Jeżeli pułkownik Kopański używa wyrażenia „mogłyby się odbić...” i dodaje „...zbadanie tego twierdzenia itd...”, to zastrzeżenia te dowodzą jednego:

— zrozumiałej u poważnego oficera ostrożności w wypowiedzeniu sądu,

— powściągliwości kulturalnego człowieka w osądzaniu dotychczasowych swoich bezpośrednich przełożonych (zwłaszcza, że płk Kopański był szefem Oddziału III podczas kampanii i

4. Moja uwaga: do gen. Burhardta powiedział to Marszałek już 3 września 1939 r. (L.dz.100/A).

sprawozdanie swoje pisał w Paryżu 13 listopada 1939 r., więc bardzo świeżo po wypadkach).

W najmniejszym jednak stopniu nie zmniejszają tych zarzutów, które w świetle setek sprawozdań i innych dokumentów, nam już dzisiaj dostępnych, zarzuty te potwierdzają i czynią je wiarygodnymi faktami.

W braku „Wytycznych” Naczelny Wódz, który „...wzorem Pierwszego Marszałka nie chciał zdradzać przedwcześnie swych zamiarów...”, jak pisze⁵ pułkownik Jaklicz (L.dz.1690/40) i wobec chaotycznego dowodzenia przez Naczelnego Wodza i braku łączności, poszczególne Armie, rozbite przez nieprzyjaciela, cofały się bezładnie do tyłu. Naczelny Wódz nie koordynował ruchów Armii. Zdezorientowani dowódcy Armii działali na ślepo. To znów rozprzęgło rozkazodawstwo w Grupach Operacyjnych i dywizjach. Skutkiem tego nieprzyjaciel rozbijał kolejno nasze Wielkie Jednostki (jak pod Piotrkowem, Tomaszowem, Iłżą, Mińskiem, Tarnawatką itd.) Jedne dywizje krwały lub kapitulowały, gdy inne o kilka kilometrów spokojnie maszerowały lub odpoczywały.

Dowodzenie a raczej brak dowodzenia przez Marszałka Śmigłego-Rydza jest najistotniejszą przyczyną naszej tak szybkiej klęski.

Brakło konsekwentnych, jasnych, krótkich, energicznych i wykonalnych rozkazów, skupiających własne siły do walki z jednej strony, a zwalczających sądami doraźnymi i karą śmierci dezercję indywidualną i ucieczkę zbiorową.

Doszły do tego błędy na niższych szczeblach dowodzenia:

„...Uważam, że akcja 3.p.s.g. na Stary Sambor w dn.17.IX. nie miała żadnej głębszej myśli przewodniej, a sposób jej przeprowadzenia nie zgadzał się z elementarnymi zasadami taktycznymi. Nie było żadnej woli bicia Niemców, aczkolwiek było to w tych warunkach aż nadto możliwe. Akcję tę przeprowadzono chyba dlatego, 'aby coś zrobić'. Dowódcy wyżsi zachowywali się biernie i nie interweniowali swoimi odwodami tam, gdzie to było potrzebne; nie trzymali ręki na pulsie walki. Wyślano 6 kompanię kpt. Gacka jako delegację po to chyba, aby się skrwawiła, aby przysporzyć pułkowi jeszcze jedną porażkę, kiedy była możliwość osiągnięcia sukcesu, tak potrzebnego dla podniesienia ducha żołnierzy i ich morale. Zmarnowano żołnierski trud i ich zapal do walki, który w nich tkwił pomimo dotychczasowe przejścia. To jest mój sąd, który ośmielam się wypowiedzieć. Możliwe, że się mylę...” (L.dz.2386/40).

5. To jest niewiarygodne, ale naprawdę tak pisze!!

„...Natarcie wykonał w nakazanym czasie tylko III/18.p.p. baon mjr. Dorożyńskiego, dopiero o godz. 2.30 dwa baony 37.p.p., dopiero o godz. 7.30 zaś baon 10.p.p. mjr. Roszkowskiego dopiero o godz. 8.30 na interwencję dowódcy dywizji i dowódcy p.d.

Baony 18.p.p. natarciem rozbiły baon niemieckiego 74.p.p. i stwierdziły obecność nowej 24.D.P. niemieckiej. Baon niemieckiego 74.p.p. przeprawił się przez Bzurę wieczorem dnia 16.IX. i znajdował się w lesie na wschód od Gąglina.

Natarcie nie dało oczekiwanego wyniku ze względu na to, że baony nacierały w różnym czasie (delegacjami)...

...Zadanie dywizji zmieniano kilkakrotnie w ciągu dnia. Dywizja musiała nacierać na nieprzyjaciela przygotowanego do obrony (18.D.P. niemiecka) bez rozpoznania, bo nie miała na to czasu. Dywizja otrzymała rozkaz wycofania się w ciągu dnia, mając sukces w czasie natarcia, a wiadomym przecież jest, że mowy być nie może o jakimś wycofaniu dywizji w biały dzień sprzed nieprzyjaciela, przygotowanego do obrony...” (L.dz.187/40).

„...Około godz. 18-ej w rejonie stacja kolejowa Mełno-dwór Mełno przybył 14.p.p. (dowódca ppłk dypl. Brayczewski) z 4.D.P., który z rozkazu dowódcy G.O. miał osłonić koncentrację i rozwinięcie się przeciwnatarcia nadchodzącej odwodowej 4.D.P.

Pułk ten zadania swego nie wykonał i bez nacisku ze strony npla wycofał się 6-7 km. w tył...” (L.dz.1104/39).

„...6.IX. o godz. 4.30 alarm. Dowódca baonu daje rozkaz do natarcia. Rozkaz podano z mapy, bez orientacji w terenie i ograniczył się do słów: 'kompanie na równej wysokości w tyralierkę — pan pójdzie tu (na mapie), a pan tu'. Na moją uwagę, że jest to gęsty młody las, że ludzie się rozbiegną i pogubią — otrzymałem odpowiedź: 'Niech Pan wykona rozkaz, a nie reżonuje'. — Zrobiłem, co kazano — niestety — z tym, że drużyny szły w rojach. Teren niemal do Narwi pokrywał las. Od razu ludzie zaczęli się gubić, co było zupełnie naturalne, gdyż przez młodniak ledwie można było przejść. Po wyjściu zeń miałem koło siebie około 60 ludzi, z 2 i 3 plutonu. 1 pluton poszedł za 5 kompanią, która była ode mnie na prawo około 700 m...” (L.dz.2355/40).

„...Pod Piotrkowem straty kompanii po całodziennej walce wyniosły około 6 zabitych i rannych — straty małe; można było jeszcze parę dni trzymać się na stanowiskach, a nie wycofywać się — w kraju więcej czasu byłoby do przygotowania obrony. Jeżeli zaś wycofywać się, to dla osłony zostawić jednostkę pan-

cerną z bronią ppanc. — to pozwoliłoby spokojnie odejść. 19.D.P. nie została rozbita, ale sama rozbiła się podczas wycofywania się w nocy...” (L.dz.1341/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Brak map utrudnił niestychanie dowodzenie:

„...Zaznaczam, że dywizja (30.D.P.) nie posiadała zupełnie map. Korzystaliśmy z map, zdobytych na Niemcach...” (L.dz.2796/40).

„...W chwili wybuchu wojny referat mów[? — Red.] zostaje automatycznie rozwiązany. Ja zaś przechodzę do Wydziału Operacyjnego Oddziału III Nacz. Wodza, obejmując w drugim dniu wojny referat kartograficzny. Praca tego referatu podczas wojny ograniczyła się do rozesłania przygotowanych kompletów map i ewakuacji W.I.G.

Na przygotowanie wyposażenia w mapy wpływu nie miałem. Wskutek nagłej ewakuacji W.I.G. i zlikwidowania zachodnich składnic map, zaopatrzenie w mapy oddziałów wycofujących się z zachodu natrafiało na bardzo znaczne trudności; rozpoczęła się właściwie improvisacja i dorywcze dosyłanie map z zasobów mob. Sztabu Nacz. Wodza i wschodnich składnic. Jednak zasięg terenowy tych ostatnich był ograniczony, toteż nie wszystkie zapotrzebowania dowódców Armii mogły być zrealizowane.

Dla gen. Kutrzeby wysłałem dwukrotnie mapy samolotem i w obu wypadkach mapy dotarły do celu, lecz było ich zbyt mało.

Niektóre oddziały po wykorzystaniu map własnych zasięgów działały bez map w ogóle.

Złą zaradzić można by było przez zwiększenie zaopatrzenia oddziałów w mapy, przez zwiększenie ilości składnic map i większe zasięgi terenowe tych składnic...” (L.dz.4359/40).

„...Katastrofalnie dawał się odczuć brak map. W ostatnich dniach działań posługiwano się tylko mapami zdobytymi na nplu, odebranymi od jeńców lub znalezionymi u zabitych. Często na tych zdobytych mapach była narysowana szczegółowo sytuacja npla...” (L.dz.954/40).

„...Dotkliwie dawał się odczuwać wielki brak map. Już w dziewiątym dniu wojny mapy pokończyły się, tak że nawet dowódca baonu nie posiadał mapy. Częsta zmiana miejsca postoju wymagała dokładnej mapy, podczas gdy byłem w posiadaniu mapy tylko samochodowej. Trzeba było iść z pomocą przewodnika...” (L.dz.4398/40).

„...Nie miałem mapy, bo była tylko jedna mapa na pułk w skali 1:500.000...” (L.dz.3625/40).

„...W niektórych wypadkach cała dywizja posiadała tylko jeden egzemplarz mapy 1:100.000 tego terenu, w którym miała działać... (L.dz.187/40).

„...Zameldowałem dowódcy G.O., że w bezdrożnym terenie, w jakim 16.D.P. znajduje się, bez map nie będę w stanie...

...Położenie utrudniał ponadto fakt, że tylko w sztabie dywizji była jedna jedyna mapa w skali 1:300.000, oddziały zaś map nie posiadały zupełnie...” (L.dz.1104/39).

„...Mimo wszelkich wysiłków ponawianych wielokrotnie przez cały dzień, nie udało się zdobyć map, prócz kilku egzemplarzy oddanych przez garnizon Tarnów, co dało około 10 kompletów na całą dywizję...

...Mimo osobiście przeprowadzonych poszukiwań map, jakie były przeznaczone dla 24.D.P., płk Schwarzenberg-Czerny nie mógł ich znaleźć ani w Rzeszowie, ani w Dębicy...” (L.dz.5167/40).

„...Szukam map, lecz niestety nie dostaję nic, prócz mapy samochodowej...” pisze szef sztabu Wielkiej Jednostki kawalerii (L.dz.5788/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Żołnierze zaczęli się rozłazić.

„...Stan fizyczny wojska fatalny, nogi odparzone, żadnej opieki, żołnierze nie otrzymali od Krakowa jeść, żyją z rabunku. Dezercja zaczyna się szerzyć — w dowództwie dywizji codziennie wieczorem jest około 1000 żołnierzy, którzy zgubili pułki lub meldują, że wszyscy zginęli, a oni tylko ocaleli. (Kłamstwo). Sądzę, że silna ręka dowódców, a przede wszystkim uruchomienie sądu polowego rozwiązałoby radykalnie tę sprawę, przy czym w ciągu 20 dni nie widziałem ani razu funkcjonującej żandarmerii wojskowej...

Podczas tej paniki został wysłany na odcinek pułku kpt. Zawarczyński z dowództwa 23.D.P., celem zorientowania się w sytuacji, bo druty telefoniczne zostały przerwane. Kpt. Zawarczyński widząc popłoch i uciekających żołnierzy, podbiegł do działka ppanc. i zniszczył sam 4 czołgi npl, a uspokojona i zawstydzona zimną krwią kpt. Z. obsługa działka zniszczyła jeszcze 3 czołgi npl. Npl cofnął się, mieliśmy kilku rannych i zabitych. Z wchm. Wasiakiem poszedłem odtwarzać stanowiska I baonu. Podkreślam specjalnie dzielne zachowanie się wchm. Wasiaka, który z chałup wyciągał sam z własnej inicjatywy żołnierzy kompanii strzeleckich i kładł ich na poprzednie stanowiska. Spokój i porządek zapanowały wreszcie w I/73.p.p....

14 września. Zatrzymanie się 73.p.p. w rej. Stalowej Woli. Dowództwo 23 D.P. w klasztorze w Rozwadowie. Wartość moralna i fizyczna żołnierza — mała. Żołnierze zostawali po lasach lub przebierali się w ubrania cywilne i napadali na ludność. W Stalowej Woli utworzyła się specjalna milicja, która broniła ludność przed napadami żołnierzy-dezertarów...

Teraz dopiero ocenilem wartość Ślązaków, którzy za żadną cenę nie chcieli ruszyć do natarcia. Nie pomogły przykłady dowódców, żołnierze leżeli — zastraszeni świstem kul...

Lukę tę załatała 9 kompania. Zachowanie się jednak żołnierzy nie było bojowe. Krzyki, nawoływania się, niechętnie wykonywanie rozkazów świadczyły o gangrenie, która ich toczyła...

Charakterystycznym jest zachowanie się wystraszonych żołnierzy, z których nikt nie chciał iść na szperacza...

I znowu wojsko rozbiegło się po lesie...

24-25 września. O godz. 13.30 wywieziono nas z całym transportem jeńców samochodami do Jarosławia, skąd ze świetlicy baonu O.N. o godz. 20.30 na stację i transportem kolejowym w końskich wagonach przez Tarnów-Skawinę-Oświęcim-Bogumin. W Jarosławiu na stacji kolejowej stał cały transport żołnierzy Ślązaków z naszej dywizji, którzy opowiedzieli się za „Volksdeutsche” i jechali wagonami osobowymi, a kiedy nasz transport ruszył ze stacji, zaśpiewali nam: *Deutschland, Deutschland über alles...* Z takimi żołnierzami walczyliśmy...

...Sądzę, iż gdyby był inny dowódca dywizji i pułku, wojsko by się lepiej biło, nie zginęłoby tylu oficerów z kadry zawodowej. Uważam bowiem, że 23.D.P. w sumie nie dokonała żadnych walecznych wyczynów...” (L.dz.3625/40).

„...Element żołnierski 1 kompanii O.N., słabo wyszkolony w działaniach piechoty, nienależycie zdyscyplinowany, fizycznie wyniszczony i odwykły od trudów żołnierskich, o dużej rozpiętości wieku, bo od 17 do 42 lat, niezżyty, nie był należycie przygotowany do zadań wojennych. Dowódcy plutonów nowi, nie znający ludzi. Uzbrojenie niewystarczające i nieopanowane należycie przez żołnierzy, zwłaszcza r.k.m., granaty karabinowe i ręczne, których żołnierze w większości nie znali praktycznie. Brak broni ppanc. Dawał się odczuć również brak zaufania żołnierzy do kb. francuskich Berthiera, które często nie podawały naboju i nie wyrzucały łusek...” (L.dz.2386/40).

„...Żołnierz pułku po wyładowaniu czuł się dobrze, duch był doskonały, każdy rwał się, by bić Niemców. Dwa dni postoju na obronie Dunajca duch ten cokolwiek poderwały, gdyż żołnierz widział, iż przez jego obronę uciekały te masy uciekinierów cywilnych, te masy maruderów i rozbitków, opa-

nowanych strachem, uciekających nie wiadomo dokąd. Żołnierze i cywili opowiadali niestworzone rzeczy o 'potędze Niemców i niezliczonych masach broni panc. i o zdradzie naszego dowództwa'. Wskutek tych opowiadań wkradło się przekonanie, że nasza obrona ppanc. nie jest skuteczna. Poderwane zostało zaufanie do własnej siły, do własnej broni i dowódców, zwłaszcza, że dywersanci i szpiegdy robili swoje. Zaczęły się rozmowy 'kupkami', nieufność do dowódców, zaczęły wychodzić różne charaktery destrukcyjne, było kilka wypadków dezercji. W tych warunkach przyszedł rozkaz wycofania się znad Dunajca. I znowu czynniki destrukcyjne zaczęły działać, rozsiewając wieści między żołnierzami, że dowódcy wyżsi uciekli, że Polska jest zdradzona itp. W tym czasie dowódca dywizji, płk dypl. Krzyżanowski Bolesław, oddał dowództwo płk. Schwarzenberg-Czernemu.

Żołnierz stracił wiarę w swych dowódców. Widział te masy oficerów różnych stopni uciekających autami z dobytkiem i rodzinami, a tu nie było czym i któredy odwozić rannych. Grozę tego wszystkiego powiększały ciągle naloty, i one oraz bezsilność przeciwobrony, niewyspanie, ciągle marsze i gład załamywały nieraz ludzi mocnych.

Zaczęło się masowe uciekanie z oddziałów, zwłaszcza Żydów i Ukraińców. Ci ostatni, przechodząc koło niedalekich miejsc zamieszkania swojego, uciekali z wozami i z końmi...

Zaopatrzenie w żywność zupełnie nie funkcjonowało po ósmym dniu walk. Do samego Łwowa żołnierz żył własnym przemysłem lub też sprytem podoficera gospodarczego. Chaos wszystkiego powiększali maruderzy i rozbitek różnych oddziałów, którzy przy pierwszych walkach uciekali pociągając za sobą takich, którzy trzymali się swoich oddziałów. Ci, którzy zostali mimo tego, bili się dzielnie i twardo aż do Łwowa..." (L.dz.318/40).

„...Obciążenie piechura w walkach ruchowych za wielkie. Wywołuje zupełne wyczerpanie nieprzyzwyczajonego do wysiłku rezerwisty i robi go niezdolnym do walki". Niedostateczne odżywianie żołnierza odbijało się niekorzystnie na morale oddziałów..." (L.dz. 2538/40).

„...Żołnierz nasz nie otrzymywał normalnego zaopatrzenia ze względów zrozumiałych, co również nie podnosiło jego ducha. Z powodu ogromnej przewagi lotnictwa, czołgów i artylerii żołnierz nasz czuł się jak Abisyńczyk. A widząc, jak bezkarnie latają lotnicy npla tuż ponad jego głową — demoralizował się.

Widziałem tylko, jak własny samolot został zestrzelony przez

nasze działa plot. 40 mm., natomiast nie widziałem ani jednego zestrzelonego lotnika npla mimo stałej strzelaniny.

Wiem, że jeszcze w sierpniu wysyłano działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze za granicę, prawdopodobnie dla podtrzymania złotego. Za to własne dywizje otrzymały tylko po 4 działa plot 40 mm zamiast przewidywanych 8 dział, o których stale się mówiło z okazji różnych ćwiczeń.

Własna artyleria nie mogła być należycie wykorzystana z powodu zupełnego braku lotnictwa artylerii, a teren — płaski jak stół w rejonach, w których operowała 26.D.P. — pozwalał tylko na bliską obserwację, czasami tylko do jednego kilometra..." (L.dz.187/40).

„...Odmarsz 4.D.P. został jednak wstrzymany przez kilkogodzinny nalot około 60 bombowców niemieckich. Nalot ten objął również i 16.D.P., jednak spowodował tylko nieznaczne straty w ludziach i sprzęcie, gdyż zastał dywizję rozwiniętą i rozczłonkowaną. Moralne wrażenie spowodował on jednak znaczne, gdyż żołnierze czuli się bezradnymi i bezbronnymi wobec latających nad ich głowami na wysokości 30–40 m bombowców niemieckich.

Zaznaczyć muszę, że eskadry wykonywujące nalot działały z wielką brawurą, odwagą i umiejętnością. 16.D.P. naonczas nie posiadała jeszcze baterii przeciwlotniczej..." (L.dz.1104/39).

„...O ile w pierwszych dniach walki duch żołnierza był świetny i pełen zapału, to po 5–6 dniach codzienne walki i przemarsze nocne wyczerpały energię fizyczną i duchową żołnierza. Żołnierz nie jadł (kuchnie rozbite lub przepadły), nie spał, widział zostawianych na polu walki rannych (brakło bowiem wozów do transportu). To wszystko obniżało z dnia na dzień jego sprawność i waleczność... Żołnierza deprymowała siła ognia artylerii npla, ustawiczne bombardowanie lotnicze i wiadomości o tym, że Niemcy są na naszych tyłach..." (L.dz.142/39).

„...Silny ogień od czoła — ale skokami — wolno — idziemy naprzód. Oglądam się. Przy mnie — około 40 ludzi, reszta rozeszła się po chatkach za jedzeniem (brak dowódców plutonów oraz drużynowych. Jestem sam z kadry)..." (L.dz.2355/40).

„...Śmiem twierdzić i przytoczyć nawet cyfrę, że 50–60% naszego zmobilizowanego żołnierza nie brało udziału w walce, zwłaszcza rezerwistów. Zwiali przy pierwszym nalocie z transportu. Wiadomo, transport nie czekał — usunięta przeszkoda — jazda dalej — brak 50–60 ludzi, gdy było kilka takich nalotów, liczba ta stale wzrastała..." (L.dz.1779/40).

„...W dniu 11.IX. były wykonane przez baon dwa wypadki. Wypadek 6 kompanii strzel. pod dowództwem kpt. Dziewulskiego na lotnisko pod Rzeczą. Szczegółowe rozpoznanie przeprowadził ppor. Pruszanowski Stanisław. Kompania nocą przekroczyła Pilicę i podeszła pod lotnisko. Ppor. Pruszanowski miał uderzyć na wartę, kpt. Dziewulski z całą kompanią na samoloty, były przygotowane granaty do niszczenia i benzyna do podpalenia.

Uderzenie ppor. Pruszanowskiego udało się, ubezpieczenie niemieckie wycofało się, natomiast *gros* kompanii na odgłos walki ukryło się w lesie i zaczęło uciekać. Kpt. Dziewulski z kilku podoficerami mimo usilnych starań nie zdołał już opanować położenia. Ppor. Pruszanowski sam wpadł między samoloty i uszkodził dwa granatami ręcznymi.

Wyróżniające się było zachowanie, odwaga i rezultat pracy ppor. Pruszanowskiego Stanisława...

Szybki, często bezładny odwrót rozbił części własnych oddziałów bez walki. Brak było środków łączności, a przez to i brak dowództwa.

Gdyby więcej oddziałów pozostało na tyłach z chęcią walki, tak jak grupa ppłk. Kruk-Śmigli, można by było uzyskać znaczne powodzenie, a przynajmniej zadać duże straty. Pojedyncza grupa zdania tego wykonać nie mogła.

Drugim momentem wynikającym z pierwszego było załamywanie się żołnierza, na co wpłynęły następujące okoliczności:

- fale uciekającej ludności cywilnej,
- pierwszym działaniem wojennym wielu jednostek był odwrót,
- masy lotnictwa niemieckiego przy braku własnego oraz braku artylerii przeciwlotniczej,
- agitacja: przez dywersantów, przez ulotki oraz mimowolna agitacja żołnierzy, którzy byli w pierwszych dniach wzięci do niewoli i po odebraniu im broni przez Niemców byli zwolnieni 'do domu',
- brak taborów i wyżywienia.

II/85.p.p. utrzymał się dłużej zwarcie dzięki prawie normalnemu żywieniu oraz ofiarności pracy i poświęcenia oficerów i podoficerów baonu, zarówno zawodowych jak i rezerwy, którzy służyli dobrym przykładem dla żołnierzy.

„Żołnierz wyrabiał się i opanowywał...” (L.dz.4401/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Oficerowie — zwłaszcza zawodowi — dobrze się bili:

„...Nie patrząc jednak na wszystkie wyżej wymienione braki, młody nasz oficer egzamin w obecnej kompanii zdał. Ilość mógł

jest najlepszym świadectwem. Był on z gruntu dobrym i kochającym Ojczyznę człowiekiem, toteż swój obowiązek spełnił jak umiał najlepiej...

Moim zdaniem zawsze było i jest, że oficerowie służb powinni odróżnić się od oficerów liniowych, jeżeli nie prawami, to przynajmniej wyglądem zewnętrznym.

Ileż krzywdy ponieśli oficerowie liniowi w tej wojnie z powodu braku tej różnicy zewnętrznej.

Naród widząc wiejące tyły, od luksusowych aut do zwykłych wozów włącznie, przepelnione najprzeróżniejszymi Biurami Cenzury itp. oraz tymi, co mieli i nie mieli prawa do włożenia munduru oficerskiego, w czambuł określa: oficerowie uciekają, co, stanowczo twierdząc, było nieprawdą, poza małymi wyjątkami..." (L.dz.1683/40).

„...Ogólnie biorąc korpus oficerski piechoty był z małymi wyjątkami dobry i spełnił swoje zadanie. Były naturalnie, na szczęście nieliczne, jednostki, które opuszczały swoje oddziały. Korpus oficerski artylerii poza niechlubnymi wyjątkami — bardzo dobry. Specjalnie należy tutaj podkreślić bojowy nastrój podchorążych artylerii, którzy w obronie Modlina chodzili na ochotnika na patrole i stawali do raportu z prośbą o wyznaczenie ich na dywersję. Pogłoski szerzone w kraju przez łązików, jakoby oficerowie uciekali z frontu, nie mogą dotyczyć oficerów 30.D.P. Były to oszczercze twierdzenia tchórzów, którzy w ten sposób starali się wobec społeczeństwa usprawiedliwić swoją własną nieobecność w linii bojowej. Niemniej brak zewnętrznej różnicy w umundurowaniu oficerów służb, uciekających niejednokrotnie pod wpływem bombardowania, musiał w społeczeństwie i także wśród żołnierzy wywołać wrażenie, że oficerowie liniowi opuszczają swe oddziały..." (L.dz.2795/40).

„...Natomiast bardzo dobrze spisała się cała kadra, tak służby stałej jak i rezerwy, płacąc to obficie krwią. 33% strat — to kadra. Po tej bitwie otrzymałem osobiście od dowódcy pułku rozkaz, żeby się oszczędzać i trzymać się z tyłu, bo 'nie po to Pan jest, aby ginąć, tylko po to, aby dowodzić'. Podobny rozkaz otrzymali i inni koledzy. Z bitwy wyniosłem wszystkich rannych..." (L.dz.2355/40).

„Ogólna fama co do 'wiania' oficerów sztabowych powstała stąd, że cała masa oficerów z sądownictwa, różnych służb — była bez przydziałów i tych można było spotkać wśród ucieczki całej masy ludności cywilnej, która tych rzeczy nie odróżnia. Śmiem twierdzić na podstawie własnej obserwacji i obserwacji

swoich kolegów, że wśród oficerów liniowych prawie że nie miało to miejsca, przeciwnie, byli wzorowym przykładem.

Dla gen. Rueckemanna, płk. dypl. Różyckiego, ppłk. Jury, mjr. Dulemby mam pełny szacunek. Dowódca I/135.p.p., mjr Nowicki Stanisław, zawsze będzie wzorowym przykładem oficera, starego wygi z wojny, człowieka, którego nie widziałem, żeby się położył w największym ogniu. Spokojny, opanowany, powtarzający stale w ogniu 'chłopcy, za mną'. W krytycznej chwili w rejonie Kocka zdążył jeszcze w lesie dużo sprzętu zakopać, odśpiewać z kadrą i resztką oddziału 'Jeszcze Polska nie zginęła' i rozejść się w swoje strony.

Według opowiadań por. Dietricha o ppłk. Tabaczyńskim, z którym nie miałem szczęścia się bić, jest on również dobrym przykładem. W gradzie pocisków artylerii szukał podobno jawnie śmierci. Oficerowie go zmuszali, aby się ukrył. Sam z żołnierzami chodził na patrole..." (L.dz.1779/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Gdzie było dobre dowodzenie, żołnierz dobrze się bił:

„...Organizowaliśmy ze względu na O.P.L. marsze nocne, tak, by odbywać przemarsze pod osłoną nocy. Przeważnie jednak długość przemarszu nie pozwalała na całkowite ukrycie marszu w nocy. Wobec tego albo rozpoczynaliśmy przed zmierzchem ruch, albo kończyliśmy po świcie (nieregularnie). W rezultacie dywizja nie była w marszu ani razu bombardowana. Mimo silnej działalności lotnictwa rozpoznawczego npla mgły poranne ułatwiały i kryły często nasz ruch po świcie. Szybko stwierdziliśmy, że zatorów na drogach nie można usunąć ani użyciem żandarmów ani wyznaczeniem poszczególnych oficerów sztabu dla regulacji ruchu. Wobec tego zarządziliśmy rozpoznawanie dróg marszu przez oficerów w dzień oraz ich oczyszczanie na czas przemarszu przez oddziały zwiadowcze pułków i plutony pionierów. Dało to dobre wyniki i przyspieszyło marsz.

Wniosek: Potrzeba w takiej sytuacji plutonu regulacji ruchu na dywizję. Konieczność uprzedzania przez przełożonego rozkazem.

Przesunięcia pułków odbyły się w ciągu godzin popołudniowych w pobliżu rzeki skrycie, i to 57.p.p. wprost na Piątek, 58.p.p. — na Sieniawice (wzgórze zachód Piątek). A.D. została również rozwinięta i przygotowana do działania. 55.p.p. — w odwodzie.

Dowódca dywizji zdecydował się sforsować Bzurę przez zaskoczenie, natarciem o zmierzchu w luki ugrupowania npla.

G.O. uwzględniona. O godz. 17-ej ruszyła 17. i 25.D.P. — sły-
chać było wałę o Łęczycę.

Około godz. 19.30 wyruszyło nasze natarcie wplaw przez rzekę i bagna. Dopiero z chwilą otwarcia ognia przez npla wykonała własna artyleria ognie obezwładniające na cele rozpoznane za dnia. Około godz. 23-ej pułki opanowały przedmościa około 3-4 km za Bzurą i zlikwidowały npla okopanego na głównych kierunkach. 57.p.p. przysłał meldunek znaleziony przy zabitym st. sierżancie szefie 1 kompanii od dowódcy tej kompanii do dowódcy pułku. Meldunek ten potwierdził słuszność naszego natarcia w luki, a nie łamanie oporu czołgowego. Urywek treści brzmiał: *Pole greift in die Lücke ein*. Wzięto jeńców z 2-ch p.p. należących do 30.D.P. Zostaje zarządzone przeprowadzenie artylerii i opanowanie jeszcze szerszego przedmościa. Z względu na szczupłość środków pułkowych na ogół zostaje przeprowadzone tylko dwa dyony artylerii i odwód.

W ciągu nocy jeden z baonów 58.p.p. chcąc opanować nakazany przedmiot do wykorzystania, został zaskoczony ogniem c.k.m. i czołgów w świetle reflektora ze wsi przy szosie zachód Piątek i poniósł straty. Okazała się konieczność dalszego montowania natarcia. Zostaje wzięty łazik niemieckiego dowódcy p.p. i zostawione w nim mapy adiutanta, któremu niestety udało się zbiec.

Śmierć mjr. Wieczorka z 57.p.p.

11.IX. Reszta artylerii musiała być przeprowadzona po świcie, w miarę opanowywania terenu. Dalsze natarcie na Piątek i wzgórze na zachód Piątek przy szosie wyrusza w godzinach przedpołudniowych, po przeprowadzeniu artylerii i przygotowaniu jej do działania. W miarę posuwania się natarcia została wykryta bateria npla w rejonie wzgórza zachód Piątek.

Dowódca a.d. zarządził wstrzelanie się d.a.c. i III/14.p.a.l. jeden kilometr na zachód, przy czym wykonał nawałę ogniową. Przedtem wydano kilka nawał (d.a.c.) na Piątek i drogi podejścia npla. Po południu natarcie opanowało Piątek i wzgórze na zachód. Okazało się, że ogień własnego d.a.c. był bardzo skuteczny. Na południowym skraju Piątek został zabity dowódca 30.D.P. npla — na wzgórzu zachód Piątek zdobył 57.p.p. 4 działa 77 mm i haubicę 105 mm, których obsługę zniszczyła własna artyleria bardzo dokładnie. Wg zeznań jeńców rozbiliśmy tego dnia 5-6 baonów npla 30.D.P. Na pobojuwisku pod Piątkiem było 180 zabitych npla. Ze względu na niemożliwość podjęcia z tego ugrupowania pościgu za nplem i zmęczenia oddziałów przejściem wplaw przez Bzurę i bagna oraz samodzielnym natarciem, zostaje zarządzone przez dowódcę przeprowadzenie.

Pościg ma się odbyć w dwóch kolumnach pościgowych:

d-cy 57.p.p. z II/14.p.a.l. po osi Piątek-Mąkolice,

d-cy 56.p.p. z I/14.p.a.l. (wzgórze zach. Piątek) rej. Gaj

Nowy równolegle,

d-ca 58.p.p. (największe straty) zostanie po zebraniu i uporządkowaniu skierowany za jedną z kolumn. Pościg wyruszy około godz. 23-ej.

Noc z 11/12. IX. Kolumny pościgowe wyruszyły. Oś łączności budowana za 57.p.p., z którym łączność jest utrzymana, natomiast za 55.p.p. tracimy około godz. 1-2-ej, wszyscy wysłani łącznicy i patrole przepadają. Dopiero po świcie jeden z oficerów wysłany z patrolem dotarł do dowódcy 55.p.p. i zameldował przebieg działania nocnego. Ruch obu pułków był wstrzymywany ciągle ogniem rozbitków npla, którzy nie poddawali się. Trzeba było ich wybijać. Powodowało to ciągle zatrzymywanie kolumn pułku. Po północy z kierunku Warszucy-Biecno ukazało się kilka samochodów panc. npla, które 55.p.p. spalił. Natomiast po świcie udało się 55.p.p. zaskoczyć ogniem i prawie w całości zniszczyć baon 3.p.p. z dyonem artylerii i wziąć bardzo dużo sprzętu, koni, amunicji, taborów i 7 dział (haubic 100 mm). Kolumna 57.p.p. posuwała się w nocy z mniejszymi przeszkodami.

12.IX. Przed południem zostaje opanowany las południe Mąkolice, po czym zorganizowane natarcie na nowego npla (D.P. przeniesione samochodami) w rej. wsi Mąkolice. Natarcie to opanowuje (57. i 55.p.p.) wieś Mąkolice oraz wdarło się częściowo do lasu Hryków lecz zostaje odrzucone przez natarcie npla z rejonu wzgórz Celestynów (na które nacierała 17.D.P., lecz jeszcze nie zdobyła). W ciągu dnia okazuje się, że bardzo wielu rozbitków 30.D.P. niemieckiej pozostało wewnątrz naszego ugrupowania. Niszczyli oni łączność i gońców. Trzeba było organizować wyprawy karne, np. kompania sztabowa dymna zniszczyła około plutonu npla, K.D. — około 22 ludzi npla. Npl się nie poddawał, lecz bronił do końca..." (L.dz. 5786/40).

„...Przemarsze nocne okazały się bardzo właściwe. Ostoniły oddziały od działań lotnictwa npla..." (L.dz.2538/40).

„...Z dowódcą załogi Grudziądza, płk. Cieślakiem, nie posiadałem w tym czasie żadnej łączności.

Patrole oficerów na motocyklach dotrzeć do niego nie mogły, a radiostacja nie odpowiadała na wezwania (była rozbita przez artylerię npla).

Położenie załogi Grudziądza pod wieczór stało się krytyczne. Npl prawie otoczył Grudziądz i zwiększył siłę natarć. Około godz. 17-ej zostały utracone stanowiska obronne II/65.p.p.

na górach Księżych i walka toczyła się na przedmieściu Grudziądza.

Około godz. 19-ej płk Cieślak zebrał swoje oddziały i przebił się w kierunku południowym, wyprowadzając jedną baterię lekką. Dołączył on do dywizji następnego dnia.

Trzydniowa walka tych oddziałów zasługuje na pełne uznanie i wyróżnienie.

Uderzenie na Łowicz postanowiłem wykonać pułkami 64 i 65, jako bardziej pewnymi w działaniach nocnych. 66.p.p. zatrzymałem w odwodzie, powierzając mu zadanie utrzymania łączności z 4.D.P. i ubezpieczenia skrzydła natarcia własnego.

Do wieczora oddziały nie ruszyły się z miejsc, by uzyskać moment zaskoczenia.

Natarcie rozpoczęło się o godz. 10-ej — bez przygotowania artylerii.

64.p.p. po dwugodzinnej walce wdarł się do miasta, gdzie wywiązała się krwawa walka uliczna na bagnety. Żołnierze nasi, będący pod świeżymi wrażeniami bestialstwa Niemców, nie brali jeńców. Wykłuli oni bagnetami prawie doszczętnie dwa baony 52.p.p. niemieckiego. Zginął tu dowódca tego pułku. Wzięto całą kancelarię pułkową, kasę i tabor samochodowy, złożony z przeszło 100 samochodów ciężarowych. Zdobyto 4 działa, 6 działek ppanc., kilkanaście c.k.m. Rozbito 2 auta pancerne i 4 czołgi. Resztki tego pułku w popłochu uciekły w kierunku południowym.

W tym samym czasie 65.p.p. sforsował rz. Bzurę bezpośrednio na wschód od Łowicza i atakiem na bagnety rozbił batalion 53.p.p. niemieckiego, posuwając się do wysokości północno-zachodniego skraju lasu, leżącego na wschód od Łowicza.

Do świtu miasto i najbliższa jego okolica były opanowane, oddziały uporządkowały się i posunęły do drugiej linii obronnej npla, trzy dyony artylerii przeszły po naprawionym przez 16 baon saperów moście i zajęły stanowiska na południowym brzegu rzeki...

W późniejszych godzinach popołudniowych otrzymałem od dowódcy Armii telefoniczny rozkaz przygotowania 16.D.P. do ruchu. Na mój meldunek, że wszystkie przygotowania do dalszego nocnego uderzenia już uczyniłem, dowódca Armii powiedział: 'Nie, dywizja pójdzie tam, gdzie była wczoraj'. Na mój mimowolny okrzyk: 'Jak to, cofamy się?' polecił mi dowódca Armii nie dopytywać się i oznajmił, że szczegółów dowiem się z rozkazu.

Dwie godziny po tym otrzymałem rozkaz operacyjny Armii nakazujący wykonanie w nocy odwrotu na północny brzeg rz. Bzury i zorganizowanie tam obrony.

Z rozmowy z dowódcą G.O. dowiedziałem się, że Armia 'Poznań' przerwała natarcie i pod osłoną G.O. gen. Bołtucia przesuwa się w kierunku wschodnim, celem przebicia się do Warszawy.

Odwrot 16.D.P. na północny brzeg Bzury odbył się w ciężkich warunkach, gdyż oddziały do późnego wieczora były w ścisłej styczności z dużymi siłami npla i nie mogły oderwać się niepostrzeżenie. Gdy tylko rozpoczęły one ruch ku tyłowi — npl niezwłocznie ruszył za nimi do natarcia.

Przeprawa przez rzekę odbyła się jednak w porządku i pod osłoną straży tylnych, walczących uporczywie na krawędzi południowej i wewnątrz miasta. Cała artyleria i gros piechoty przeszło na północny brzeg rz. Bzury. Znaczna część straży tylnych przeprawić się już nie zdołała, dostając się do niewoli.

Straty własne w oficerach, żołnierzach i sprzęcie były tego dnia bardzo znaczne. Byłem zmuszony do wyznaczenia na dowódców baonów oficerów ze sztabu dywizji (posiadałem w ogóle tylko 5 oficerów zawodowych w sztabie dywizji, w tym 3 dyplomowanych), gdyż w baonach pozostawali już przeważnie tylko oficerowie rezerwy, którym dowodzenia powierzyć nie mogłem, bo nie dopisywali..." (L.dz.1104/39).

„...Wszystko wskazuje na to, że Niemcy wprowadzili wszystkie swe siły do walki i że zbliża się rozstrzygnięcie boju. Wobec tego dowódca dywizji decyduje się na przeciwnatarcie na południowe skrzydło npla z ogólnego kierunku Hajkówki, wzdłuż szosy Włodawa-Kobryń. W przeciwnatarciu wezmą udział: II/83.p.p., wypoczęty już po walce w dn. 17.IX. nad Trościańnicą, II/84.p.p. spod Hajkówki i odwód i 83.p.p., tj. dochodzące do miasta kompanie I/82.p.p., łącznie z załogą miasta.

Główne zadanie przypada II/83.p.p., który ma uderzyć między kanałem Bony i szosą i odrzucić npla sprzed południowej kompanii I/83.p.p. Z II/83.p.p. współdziała II/84.p.p., który ma osłonić przeciwnatarcie od zachodu. Bezpośrednio po wyjściu natarcia obu tych batalionów ma uderzyć I/83.p.p. wzdłuż szosy Kobryń-Brześć swym odwodem (kompania I/82.p.p.) i częścią załogi miasta.

Przeciwnatarcie wychodzi planowo o godz. 17.30, a bezpośrednio potem uderza załoga Kobrynia. Na całej długości frontu dywizji słychać szturmowy okrzyk: „Niech żyje Polska” zamiast szkolonego: hurra!

Uderzenie uzyskało całkowity sukces. Npl wycofał się z zajętego terenu. Artyleria npla w krótkim czasie zaprzestaje całkowicie ognia. Jedynie jeden z folwarków Gubernia walczył jeszcze do nocy. Piechota nasza wymieszała się w nim z piechurami niemieckimi.

Jeńca nie brano.

Dopiero po długim czasie, już w zapadającym zmierzchu, odezwała się znowu artyleria niemiecka. Zgłuszone odgłosy odstrzałów, długi świst pocisków w powietrzu wskazywały, że odskoczyła daleko w tył, dalej poza stanowiska, z których rozpoczęła ogień dziś rano. Ogień jej, prowadzony chaotycznie, przeważnie na miasto, pozwalał przypuszczać, że nie orientuje się w położeniu oddziałów niemieckich i naszych.

Zapadający wieczór rozświetlały łuny płonących budynków w mieście i zabudowań podmiejskich.

Bitwa o Kobryń dobiegała końca. Niemcy nie ponowili żadnej akcji, nawet artyleria ich zaprzestała działania..." (L.dz. 5277/40) i dziesiątki innych sprawozdań.

Żołnierz nasz bitnością przewyższał żołnierza niemieckiego:

„...Obrona Warszawy potwierdziła dotychczasowe moje twierdzenia wyższości piechura polskiego nad niemieckim, który zdolny jest bić się w gorszych dla siebie warunkach wsparcia artylerii. Piechur niemiecki nie ruszał się bez uprzedniego przygotowania dla niego wyjścia przez broń panc., ogień artylerii i lotnictwo.

Piechur nasz bił się dobrze w natarciu, również dobrze bił się w obronie, jednak trzeba wielkiego wysiłku dowódców najniższych szczebli, by odzwyczaić go od zbyt pochopnej strzelaniny w nocy, która przyniosła nawet straty własnym żołnierzom, znajdującym się na przedpolu.

Żołnierz uczynił zadość tym wymogom, które zostały tam postawione. Obowiązki swe spełniał sumiennie, tak oficer jak i podoficer jak i strzelec. Wzajemny stosunek podkomendnego do dowódcy i na odwrót był bez zarzutu, twardy i serdeczny. Rezerwiści-szeregowcy byli mało wytrzymali na trudy (pochodzili z Warszawy i okolic), byli jednak chętni. Oficerowie i podoficerowie rezerwy mimo swych dobrych chęci byli mało pewni siebie jako dowódcy — wskutek tego w wielu wypadkach mało autorytatywni. Tu różnica między nami a Niemcami wypadła na naszą niekorzyść.

Duch wojska był doskonały, jego zaczepność bez zarzutu, chęć bicia się, dążność do zwarcia się piechoty na bagnety — niewątpliwa. Ilekrość żołnierz doszedł do zwarcia na bagnety, górował nad niemieckim przeciwnikiem.

Była łatwość przechodzenia z jednego do krańcowo przeciwnego nastroju podczas walk. Była wrażliwość na okrażenie, była wrażliwość przy działaniach nocnych. Stąd wynikła konieczność właściwego doboru dowódców. O zachowaniu żołnierzy

w ogromnej mierze decydowali ich dowódcy. Była wielka ilość objawów indywidualnego bohaterstwa szeregowych, podoficerów i oficerów. Zachodziły jednak poszczególne wypadki paniki łącznie do porzucenia broni. Opanowane działania nocne dawały bardzo piękne wyniki, były szeroko stosowane..." (L.dz.2778/40).

„Duch żołnierza był na początku entuzjastyczny. Duch ten jednak powoli zaczął upadać wskutek następujących przyczyn:

- ciągle cofanie się, marsz i kontrmarsz,
- brak zaopatrzenia, nieotrzymywanie należności (żołdu),
- opowiadania rozbitków z piechoty i innych oddziałów,
- spotykane rezerwistów bez broni i ich żale,
- zupełny brak i niefunkcjonowanie służby zdrowia, tak że ranni byli transportowani jedynie na wozach chłopskich i nie było ich gdzie zdać,
- spotykane żołnierzy bez broni, których Niemcy dla szerzenia defetyzmu po wzięciu do niewoli swobodnie do domów puszczali z zaświadczeniem, by im wszędzie pójść pozwalano, gdyż się u nich meldowali,
- wiadomość o przejściu Naczelnego Wodza do Rumunii i o rozkazie przejścia na Węgry. To było przyznaniem się do klęski i odebraniem celu walki,
- niesłyszane przemęczenie wskutek ciągłych marszów przy braku pożywienia,
- zupełny brak O.P.L., tak że zjawienie się samolotów i ich działanie uświadomiło żołnierzowi jego bezbronność i wyolbrzymiało jego strach przed tą bronią,
- brak własnego lotnictwa,
- niższość uzbrojenia w broń maszynową,
- brak broni pancernej i prawie że bezbronność przed nią,
- nieopisany chaos na tyłach.

Pod wpływem tych czynników żołnierz, który na początku nie bacząc na straty i niebezpieczeństwo szedł na wypad, rwał się do akcji, przed samolotem na rozkaz dopiero krył się do lasu, powoli zaczął tracić wiarę w swoje uzbrojenie i potem widział jedyny swój ratunek przed bronią pancerną i lotnictwem w lasach. Świadomość, że w każdej akcji może spotkać broń pancerną czyniła go ostrożnym — mimo, że *czuł przy spotkaniu piechota na piechotę swoją wyższość*. Ale ta myśl, że w każdej chwili broń pancerna może się zjawić nad nim wisiała. Jeśli dodać do tego zmęczenie, które przy braku zaopatrzenia przedstawia tabela marszów i które ciągle się zwiększało, to zrozumieć można, że przy niskim stopniu inteligencji naszego poborowego pod koniec września nic już z entuzjazmu nie pozostało

i że słabsi na duchu odłączali i wracali do domów, zwłaszcza, gdy rozeszła się wieść, że w Chełmie i Włodzimierzu całe uzbrojone dywizje dowódcy ich do domu odesłali..." (L.dz.594/39).

„...Żołnierz!... Tu jedno tylko da się powiedzieć: dobry był i pełen entuzjazmu..." (L.dz.4851/40).

„...W walkach z Niemcami stwierdziłem, że na ogół Niemcy walki wręcz unikali, a zmuszeni do przyjęcia bardzo prędko uciekali. Odnosnie strzelania ze strony npla zauważyłem, że strzelają bardzo źle, tak z broni automatycznej, jak i kbk..." (L.dz.2799/40).

„... Tak gdzie ułan spotkał się z niemieckim piechurzem — łatwo go zwyciężał, górując nad nim celnością strzału i zapalem..."

„...Niemcy nie lubili walki wręcz, nie wytrzymywali też natarcia batalionu na bagnety. Zaczęli się szybko wycofywać z lasu z naszymi strzelcami na piętach.

Niemal równocześnie przychodzi meldunek telefoniczny, od I/83.p.p. Triumfalnie brzmią w telefonie słowa: — jesteśmy na tyłach npla — Niemcy rzucają ryszstunek i cofają się w popłochu..." (L.dz.5274/40).

„...Tam, gdzie nasza piechota mogła przez broń panc. npla dorwać się do szturmu na bagnety na piechotę niemiecką, ta ostatnia podnosiła ręce, nieraz dosłownie na kolanach i poddawała się..." (L.dz.415/39).

„...*Niemcy boją się walki na bagnety.* Walczą tylko artylerią, lotnictwem i ogniem karabinów maszynowych i ręcznych; gdy wybiją prawie wszystkich, gdy uzyskają szaloną przewagę, wtedy uderzają..." (L.dz.1341/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Było też dużo bohaterstwa:

„...por. Polaszek, podporządkowawszy sobie oddziały Straży Granicznej i Policji, odrzucił npla i zdobył po raz trzeci Zbąszyń..." (L.dz.5786/40).

„...Ponieważ dowódca dywizji nie posiadał żadnego odwodu, poszli oficerowie sztabu dywizji i szoferzy samochodów dywizji z dowódcą dywizji na czele wsparci trzema T.K. i jednym działem kierowanym przez dowódcę a.d. do przeciwnatarcia. Natarcie udało się, droga została otwarta. Jednak z akcji tej nie wróciło 8 oficerów sztabu z szefem sztabu, ppłk. dypł. Surackim na czele..." (L.dz.2795/40).

„...jestem bez odwodu. O godz. 17-ej są już Niemcy na wysokości coty 256.

Wszystko co koło mnie żyło — całą łączność — wszyscy taboryci — gońcy — nadludzkim wysiłkiem w bardzo silnym ogniu artylerii niemieckiej. Zbierałem ten oddział przy pomocy mego szefa sztabu i rzuciłem osobiście ich do przeciwnatarcia. W międzyczasie bardzo dzielnie spisała się prawoskrzydłowa bateria nasza, która z odległości 300 m (stała w barykadach kolonii Bożydar) prażyła bezpośrednim ogniem w Niemców, — zatrzymując ich. Przeciwnatarcie przez doraźnie zebranych ludzi (około 60) zagrzanych do walki dało piękny rezultat — Niemcy nie przyjęli walki na bagnety — pozycja została utrzymana — zdobyto kilkunastu jeńców, 4 k.m.

Przeciwnatarcie zakończyło się pięknym sukcesem — doszło aż do Barchaczewa — Niemcy zostali tutaj doszczętnie rozbici — wzięto 27 jeńców — ale w ogóle jeńców nie brano — wykłuto przeważnie. Zabrano z Barchaczewa kilkanaście samochodów (spalono je), kilka samochodów (3) panc. (spalono) i 8 k.m. Przeciwnatarcie zakończyło się o godz. 9-ej wieczorem bardzo pięknym porywem żołnierskim — po szturmie któryś ze strzelców zaintonował 'Jeszcze Polska nie zginęła' i wszyscy natychmiast podchwycili hymn. Była to chwila bardzo głęboka i niezapomniana. Podkreślam to specjalnie jako charakterystykę naszego żołnierza, gdy go się porwie..." (L.dz.442/40).

„...Po zapadnięciu zmroku I i II/95.p.p. wykonały przeciwnatarcie na las w rejonie Barchaczew (płd. wsch. Zamościa), opanowany przed wieczorem przez npl. Przeciwnatarcie udało się w zupełności. Npl w starciu na bagnety został wyrzucony z lasu, ponosząc duże straty, jeńców nie brano. Po opanowaniu lasu jeden z żołnierzy zaintonował hymn narodowy i wśród nocy w lesie płynęła pieśń podchwyciona przez oba baony i inne oddziały..." (L.dz.954/40).

„...Żołnierze bili się dzielnie i chcieli się bić. Nie spotkałem mimo tylu wypadków stykania się na froncie z żołnierzami, by który nie chciał się bić. Oficerowie w tej dywizji padali. 12. IX. około godz. 6-ej wracając z Łowicza do Zdun Kościelnych chciałem zabrać na samochód rannego, którego „chłopcy” nieśli. Nie wiedząc kogo niosą wołam: 'Dajcie mi rannego, to go autem odwiezę'. Usłyszałem taką odpowiedź: 'Pan mjr Kamiński ma dwie nogi przestrelone, my go sami odniesiemy' i mi go nie dali. A ci żołnierze poznali, co było pod Grudziądzem i na własnych nogach poszli do Łowicza i zdobyli go. Jako drugi dowód, że żołnierz pomorski chciał się bić, to słowa żołnierza nad Wisłą (lewy brzeg), gdyśmy napadali na Niemców i ci nas

odrzuć. Leży chłop żołnierz pod wikliną, pół twarzy granat z moździerza mu urwał i tak wisiała ta połówka, że twarz miał podwójną. Kazałem go opatrzyć, a ten dziwnym szeptem mówi waląc się na ziemię: 'Ale bijcie tych Germanów'. Jeden szeregowy lotnik obok mnie stojąc został ranny, nawet nie spostrzegłem tego, jak się powalił i żeby nie dać się do niewoli, z pistoletu u nóg moich się dobił (wtenczas go spostrzegłem)..." (L.dz.949/40).

„...Stwierdzam przy tym, że ułan Woroniewicz z K.D.23 (pochodzący z 3 szwadronu 3.p.Uł.Śląskich) uratował mi życie w czasie pierwszego przebijania się, gdy pod ogniem dwóch k.m. zawrócił po mnie widząc, że sam nie mogę się wydostać spod zabitego konia jednego z pozostałych ułanów.

Wszystko to zrobił nie wiedząc nawet jak się nazywam i z jakiego jestem oddziału.

W przeciwieństwie do tych wszystkich błędów dowództwa, twierdzę i mogę przytoczyć wiele przykładów, że żołnierz był bardzo dobry. Wybitnym tego dowodem było na przykład zachowanie się ułana Woroniewicza dnia 20.IX. o świcie..." (L.dz.2740/40).

„...kpt. Kostka pierwszy zauważył nadjeżdżające czołgi i zaalarmował maszerującą kolumnę. Dowództwo objął ppłk Bednarski⁶, bardzo dzielny i dobry oficer, baterie odprzodkowały i zachęczone osobistym przykładem oficerów, którzy sami zaczęli pracować przy działach, otwarty ogień na czołgi. Nawet bateria 105 strzelała, a sama przy jednym dziale otrzymała honorową dziurę w tarczy. Po zniszczeniu 9 czołgów i samochodów obsługa tychże opuściła je, zajmując stanowiska na ziemi. Na to ppłk Bendarski zebrał obsługę, wykonując natarcie. Około 60 Niemców zostało unieszkodliwionych, sam on jednak zginął śmiercią walecznych..." (L.dz.833/40).

„...3.X.1939 r. 10.p.Uł.Litewskich będąc podporządkowany gen. bryg. Podhorskiemu, maszerował w straży przedniej Brygady z zadaniem opanowania przeprawy na rz. Wieprz i przebijania się w kierunku granicy węgierskiej.

Wieczorem tego dnia doszliśmy do miejscowości (nazwy nie pamiętam) gdzie komisarz policji (nazwiska nie pamiętam) dokładnie nas poinformował, co znajduje się z drugiej strony Wieprza.

Płk Busler samorzutnie wykonał wypad nocny na m. Zawierzyce. Zaskoczeni Niemcy zostali dosłownie „wyrżnięci”, gdyż o ile orientuję się, to pułk amunicji posiadał około 5 szt.

6. Dowódca 28.d.a.c.

na kbk. i 100 sztuk na c.k.m. Między oficerami niemieckimi we dworze Zawieprzycy przypadkowo ułani nasi zaktuli właściciela majątku, płk. emeryta Głowińskiego lub Głowackiego. Płk Głowacki przed śmiercią nie miał żalu do pułku, gdyż rozumiał, że w tłoku i nocy trudno było poznać kto swój a, kto jest Niemcem, zwłaszcza, że Niemcy na kolanach dosłownie 'wyli' o litość.

Pod Syrokomlą patrol dał znać, że kolumna samochodowa z piechotą niemiecką jedzie w kierunku na nasz pułk. Gen. Podhorski, który maszerował w straży przedniej dywizji, zarządził ustawić pułkowe k.m. (12 sztuk) na stanowiskach wzdłuż drogi i rozpocząć ogień na jego rozkaz. Ponieważ w m. Zawieprzycy zaopatrzyliśmy się dość dobrze w amunicję niemiecką, więc zaskoczenie ogniowe było kompletne. Pod ogniem naszych k.m. można było widzieć takie rzeczy, jak odcięte głowy, przecięty tułów itp. Niemcy, którzy uszli z życiem, poddali się w liczbie 1 major + 4 oficerów + 350 szeregowych. Ponieważ w poprzednich walkach pułku mogliśmy oglądać całe masy masakrowanych naszych mieszkańców i żołnierzy — pułk nasz jeńców nie brał, a wziętych rozstrzeliwał. Jedyne wypadek to była Syrokomla, gdzie gen. Podhorski kategorycznie zabronił rozstrzeliwać jeńców. Na rozkaz gen. Podhorskiego odesłał pułk Niemców pod dowództwem wachm. Wardawego do bolszewików.

Nie przypominam sobie tylko, czy wachm. Wardawy dostał pokwitowanie, czy też nie, gdyż po powrocie jego słyszałem zasypiając, jak rozmawiać o pokwitowaniu z dowódcą pułku...” (L.dz.2799/40).

„...Walka tego dnia posiadała charakter fragmentarycznych uderzeń broni panc. i kilkakrotnych nalotów bombowców i eskadr myśliwskich.

Około godz. 17-ej podeszła od południa i zachodu piechota niemiecka.

66.p.p. posiadający odważnego, lecz niezaradnego i powolnego dowódcę pułku (płk Michalski) i takiegoż zastępcę (ppłk Popek) nie wytrzymał uderzenia npla i począł wycofywać się w nieładzie. Nie posiadając żadnego odwodu, zorganizowałem z będących pod ręką taborytów i łącznościowców i żandarmów oddział piechoty, oficerów sztabu dywizji wyznaczyłem na dowódców i zarządziłem przeciwnatarcie w celu przywrócenia położenia.

Równocześnie zameldowałem gen. Bortnowskiemu, że udając się ku przodowi nie jestem w stanie zapewnić mu bezpieczeństwa, gdyż w folwarku, gdzie umieściło się dowództwo dywizji, pozostają tylko taboryci nieznanymi mi oddziałów.

Gen. Bortnowski wraz z towarzyszącym mu mjr. dypl. udał się w kierunku 4.D.P., znajdującej się bardziej na północ.

Do godz. 18-ej udało się powstrzymać 66.p.p., pchnąć go naprzód i przywrócić poprzednie położenie. Do godz. 21-ej wszystkie pułki dywizji utrzymały swoje rejon...” (L.dz.1104/39).

„...Batalion 79.p.p. przeglądał dowódca dywizji dopiero następnego dnia po bitwie. Wojsko 20.D.P., jedyne jakie miał w swej dywizji, rozmawiało z nim dumne i zadowolone. Gdy podszedł z dowódcą batalionu, śp. mjr. Bartulą, do wozu sanitarnego, na którym leżał ranny oficer 79.p.p., oficer — zwracając się do dowódcy batalionu — powiedział: 'A co, panie majorze, nie zawiedliśmy...'

Pierwszym, który zakończył walkę, był nasz jedyny w S.G.O. lotnik, por. pil. Piorunkiewicz. Znalazł się pod Włodawą. Latał na sportowym R.W.D., zbrojny tylko w swój pistolet. Rozpoznawał kolumny i skupiska bolszewickie i niemieckie, przepędzany bez miłosierdzia przez samoloty bojowe nieprzyjacielskie. Po każdym lądowaniu zaklejał niezliczone dziury w płatach, w kadłubie, a nawet w siedzeniu pilota. Naprawy skutecznie zniósł płótnem wiejskich gospodyń.

Gdy wyszła Grupie benzyna, a samolot miał więcej dziur jak całych miejsc, zameldował, że służba jego się skończyła.

Dzielny żołnierz, odchodził z pola walki po złamaniu mu broni.

Bitwa pod Kockiem naprawdę się kończyła.

Drogą koło gajówki Ofiara jechały polskie wozy z rannymi. Na jednym z nich leżał młody chłopak, podchorąży. Kątem ust ściekała mu krew: był śmiertelnie ranny w plecy odłamkiem granatu. Chłopak uśmiechnął się, jak się uśmiechali niemal wszyscy nasi ranni żołnierze, gdy się z nimi rozmawiało i powiedział z trudem: 'Panie pułkowniku, zwyciężyliśmy!'

Zwożonych zabitych składano przy gajówce. Przy starym, pamiątkowym krzyżu kopali strzelcy mogiły. Legli w nich wśród innych, mjr Bartula, dowódca baonu 79.p.p., oficer baterii stojącej przy gajówce, strzelcy i kanonierzy.

Wszyscy dochowali sobie wierności do końca...” (L.dz.5277/40).

„...Ppłk Litewski (dowódca 1.p. Uł. Krechowickich) oczekując na dowódcę batalionu siedział koło mnie z jednej strony, rtm. Jaczyński z drugiej strony, nagle z tyłu i lewej strony otrzymaliśmy ogień około 12 c.k.m. Wówczas ppłk Litewski krzyknął: 'Koniowodni 1. szwadronu do mnie, bagnet na broń, konie puścić', powstając w tym momencie został ugodzony kulami w piersi i z okrzykiem 'Naprzód!' życie zakończył...” (L.dz.83/39).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Uznanie Niemców dla Wojska Polskiego:

„...Gdy już byłem w Budapeszcie, dowiedziałem się od konsula, Jana Zakrzewskiego, b. oficera 16.p.Uł., że Niemcy podawali przez radio o kompletnym zniszczeniu Pomorskiej B.K. w Borach Tucholskich, która jednak swą postawą zasłużyła na najwyższe uznanie naczelnego dowództwa niemieckiego.

Niewątpliwie jest przyjemnie słyszeć stwierdzenie takiego faktu nawet przez Niemców...” (L.dz.1683/40).

„...Niemcy podali jako miejsce pertraktacji dwór w Jabłonie. Godzina spotkania — godz. 14-ta. Dowódca G.O. wyznaczył do pertraktacji dowódcę 30.D.P. gen. Cehaka i mnie jako władającego językiem niemieckim.

O godz. 14-ej przy drutach kolczastych na szosie Nowy Dwór — Jabłonna przywitał nas oficer niemiecki, który eskortował nasz samochód do Jabłonny. Przed zamkiem wyszedł na nasze spotkanie dowódca wojsk niemieckich przed Modlinem gen. dyw. Strauss w otoczeniu trzech generałów, z których jeden — gen. Böhme — został mianowany komendantem twierdzy. W salonie gen. Strauss podkreślił w krótkich słowach uznanie wojska niemieckiego dla obrońców Modlina za uporczywą i aktywną obronę. Potem podał do wiadomości, że zdanie twierdzy nastąpi na tych samych honorowych warunkach, co zdanie Warszawy...” (L.dz.2795/40).

„...Wyznaczone zostały cztery punkty składania broni, dla każdej W.J. osobno. O ile się dało, został sprzęt bojowy samorzutnie przez żołnierzy zepsuty i niezdolnym do użytku uczyniony. W ciągu przedpołudnia 6.X. złożono broń. D.B. 'Kobryń', na wschód od m. Wola Gutowska.

Miałem od dowódcy dywizji rozkaz oddania w porządku wszystkiego, co wg umowy podlegało zdaniu Niemcom. W czasie smutnej czynności przybył na miejsce dowódca niemieckiej 15.D.P., a wezwawszy mnie wyraził w krótkich słowach bez żadnych aluzji hołd i uznanie oddziałom i żołnierzom D.P. 'Kobryń', przy czym wręczył dla dowódcy i dla mnie po jednym rewolwerze, jako broń honorową, z prawem noszenia jej w niewoli. Równocześnie wydał odpowiednie dokumenty legitymacyjne...” (L.dz.899/A/40).

„...Nad naszymi oddziałami pojawił się pierwszy samolot niemiecki. Był to nasz zdobyczny R.W.D. z lotniska w Dęblinie. Latał nad stanowiskami 84.p.p. i zrzucał ulotki. Przywitały go nasze c.k.m.-y i szybko spędziły znad pola walki.

Ulotki spadały na ciemniejące już pola w zmroku zapadają-

cego dnia. Były pisane po polsku i adresowane do polskich oddziałów:

'Uznajemy wasze męstwo i miłość Ojczyzny. Zaprzeście walki. Jesteście sami w Polsce. Niemcy szanują swych jeńców i zapewniają rycerskie traktowanie w niewoli'.

Taka była treść ulotek. O tym, że jesteśmy sami — wiedzieliśmy. O tym, że Niemcy szanują swych jeńców i mają dziwne pojęcia o rycerskości — mieliśmy się przekonać niedługo.

Samodzielna G.O. składała broń. Zabrakło nam amunicji do dalszej walki. Niektóre oddziały, jak D.P. 'Brzoza', już koło południa dnia 4.X. nie miały się czym bić. Pozostawał tylko bagnet.

W dniu 5.X.1939 w godzinach popołudniowych rozpoczęła dywizja 'Kobryń' swój ostatni marsz, na punkty składania broni.

W dowód uznania dla męstwa oddziałów dywizji pozwolili Niemcy maszerować oddziałom w szykach zwartych, z bronią, pod dowództwem oficerów. Oddziały niemieckie oddawały nam honory.

Ostatni raz szły pułki dywizji przed swym dowódcą. Żołnierze patrzyli śmiało w oczy dowódcy. Ani on, ani oni nie mieli się czego wstydić.

Dziwili się Niemcy małym stanom broni w oddziałach (większość sprzętu została zakopana). Dziwili się 5 haubicom i kręcili z niedowierzaniem głowami.

Komendant punktu składania broni przekazał dowódcy dywizji 'Kobryń' pismo dowódcy 13.dyw.niem.zmot., zezwalające mu na zachowanie broni w niewoli: najwyższe uznanie wroga.

'Zezwalam dowódcy dywizji, płk. ..., składającej honorowo broń, na zachowanie broni w uznaniu bohaterskiej postawy dywizji, dowodzonej przez niego'.

Oficerowie niemieccy podchodzili do nas ze słowami niekłamane go uznania. Jako najwyższy jego wyraz podkreślali, że biliśmy się 'po niemiecku'.

Bardzo się skarżyli na naszą nieliczną artylerię, co by mówili, gdyby jej była normalna ilość i nie zabrakło nam amunicji.

Szliśmy do niewoli nie pokonani przez nikogo, bo po zwycięskiej walce, wierni sobie wzajemnie, przekonani, że walka się jeszcze nie skończyła..." (L.dz.5277/40).

„...W drodze — na szosie do Biłgoraju — około 7,5 km szosy — pełno pobitych taborów, artylerii, kuchen itp. niemieckich. Wg opowiadania jednego kapitana niemieckiego — zrobił to jeden nasz major z artylerii, który ranny został przy działach, a z nim 3 ludzi. W nocy nadszedł tabor artylerii niemieckiej — a

on zaczął strzelać. Został wzięty do niewoli, ciężko ranny i — wg słów Niemca — zostanie wyleczony, dostał wysokie odznaczenie wojskowe niemieckie i zostanie wysłany, dokąd chce. Kończąc, stanął na baczność, zaszalutował i powiedział: 'Bohater'...' (L.dz.2355/40).

„...W rozmowach oficerowie niemieccy niejednokrotnie nawiązywali do przebiegu kampanii, podkreślając wartość żołnierza polskiego. Na wspomnienie walk pod Kutnem i Łęczycą byli wściekli i z przekleństwem mówili o polskiej kawalerii: 'przeklęta polska kawaleria'...' (L.dz.734/A).

„...Oficer niemiecki kupuje pocztówkę z defilady polskiej kawalerii i mówi: 'To są prawdziwi bohaterowie, nie myślałem nigdy, że ludzie mogą się bić z taką odwagą'...' (L.dz.3819/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Odjazd do tyłu Naczelnego Dowództwa demoralizował wojsko:

„...Po południu zostałem wezwany do Juza. Przy Juzie był gen. Stachiewicz. Wiedział — sądzę — że rozkazów jeszcze nie wydałem. Treść rozmowy: Naczelnny Wódz polecił zakomunikować Panu Generalowi, że przed chwilą została zawarta umowa Rządu Polskiego z Rządem Rumuńskim, na podstawie której Pan Prezydent, Naczelnny Wódz, Sztab Główny i całe wojsko zostanie tranzytem przewiezione przez teren Rumunii i pojedzie do Francji w celu formowania Armii polskiej na gruncie francuskim, to samo się tyczy Węgrów. W związku z tym Nacz. Wódz poleca Panu Gen. wydać odpowiednie rozkazy z tym, by Grupa gen. K. przekraczała granicę rumuńską, Grupa gen. Dembińskiego granicę węgierską. Pan General przejdzie na teren Rumunii i zamelduje się w Nacz. Dowództwie. Taka mniej więcej była forma juzogramu. Ten juzogram zmienił w dużym stopniu sytuację i moją ciężką i odpowiedzialną decyzję.

W roku 1920, pomimo dojścia bolszewików pod same mury Warszawy, dojścia ich do Wisły daleko na płn. zachodzie — pod sam Toruń — Marszałek Piłsudski i Nacz. Dowództwo nie wyjechało z Warszawy i to miało swoją wielką wymowę i duże znaczenie pod względem morale i hartu.

W wojnie obecnej wyjazd Nacz. Wodza i Sztabu Nacz. Dowództwa z Warszawy, a następnie bardzo szybkie zmienianie miejsca postoju Nacz. Dowództwa niesłuchanie deprymująco wpłynęło na mocną postawę oddziałów i na uporczywość walki. Nastąpiło niejako rozdwojenie. Większa część wojska biła się rozpaczliwie — część jednak pierzchła po pierwszym zetknięciu

się z nplem. Znikł od razu autorytet wielkiej instytucji, jaką powinien być Sztab Główny.

A długie kolumny samochodów pełnych łazików, rodzin pełnych wszelkiego mienia osobistego uciekających na wschód, a potem w kierunku granicy rumuńsko-węgierskiej do reszty zła- mały morale i zaufanie oddziałów liniowych do kierownictwa wyższego..." (L.dz.433/40).

„...Dnia 11.IX... po zameldowaniu się i odczekaniu, Pan Minister (zupełnie nie pytając o losy mojej 45.D.P.rez. ani dla- czego tu jestem) nakazał jechać do Brzeżan na komendę punktu zbornego dla oficerów, nadmieniając, że dalszy ewentualny nasz etap — to Rumunia..." (L.dz.2718/40).

„...Wracając ze sztabu Armii wstąpiłem do gen. Olbrychta, stojącego w Pawłowie, celem omówienia szczegółów działania.

Po omówieniu gen. Olbrycht poinformował mnie w drodze poufnej, że sytuacja jest nader ciężka. Nacz. Dowództwo i Rząd z Prezydentem na czele przekroczyły granicę Rumunii. Wojska mają się przebijac samodzielnie do Rumunii i na Węgry. W naj- gorszym wypadku ma to wykonać kadra zawodowa, która będzie potrzebna do formowania nowej Armii poza granicami państwa.

To był najcięższy cios.

Wodza Naczelnego nie ma.

Teraz po całym terenie Polski wolnym od npla poszcze- gólni dowódcy pobierać będą najprzeróżniejsze decyzje, nie- skoordynowane, a tym samym i sprzeczne z sobą.

Hasłem naszym od tej chwili przestało być 'bicie wroga', a wysunęło się hasło 'przedzierania się przez niego'.

Opuszczenie wojska przez Nacz. Dowództwo przekreśla, moim zdaniem, możliwość oceny tego działania z punktu widze- nia dowodzenia.

Iść na Węgry. Ale jak? Tego nikt nie wiedział.

I każdy dowódca działając w najlepszej wierze robił co chciał i jak umiał, a jedyną oceną jego działania może być stwierdzenie: chciał czy nie chciał się bić.

Otóż stwierdzić należy, że i dowódcy i wojsko bić się chcieli (poza małymi wyjątkami). Toteż się bili. I dobrze, i źle, i krócej i dłużej oraz wyszli z większym lub mniejszym honorem z tej walki.

Walka, której celem stało się nie zniszczenie przeciwnika, a przebicie się przez niego, uzależniona całkowicie od osobistego charakteru dowódcy, bez nacisku i rozkazów z góry, nieskoor- dynowana musiała stracić na żywiołowości i stać się anemiczną.

Wielu biło się już tylko dla honoru.

Poza tym rozpraszając się od góry na coraz mniejsze ogniska, doszła w końcu do małych grup, a nawet pojedynczych ludzi.

Z wojsk podległych gen. Dąb-Biernackiemu na Węgry doszedł, daj Boże, zaledwie 1 %.

Niemcy wycofywali się za San i walki chętnie unikali, pozostawiając ją bolszewikom.

Byli oni już nerwowo, fizycznie oraz sprzętem wyczerpani...” (L.dz.1683/40).

„...W nocy z 17/18.IX. w Stanisławowie nikogo nie zastałem, podobno N.D. ma być w Kutach. Gdy przyjechałem do Kut, zastałem długą, kilkunastokilometrową kolumnę samochodów i autobusów oraz czołgi R. baonu panc., które ani razu nie brały udziału w akcji — wszystko w oczekiwaniu na przekroczenie granicy. Spotykam płk. dypl. Mally'ego, który zapoznaje mnie z rozkazem gen. Stachiewicza, nakazującym przejście do Rumunii — potwierdzają powyższy rozkaz spotkani przeze mnie inni oficerowie, m.in. ppłk dypl. Zaleski. Długo rozmawiałem z płk. Mally'm, w rezultacie wykonałem rozkaz i przekroczyłem most graniczny. Po przekroczeniu granicy spotkałem mjr. dypl. Kobylńskiego, który zdążył jeszcze zameldować się u gen. Stachiewicza w Kutach, od którego osobiście otrzymał dla siebie i dla nas rozkaz przejścia do Rumunii...” (L.dz.1066/39).

„...Dn. 13.IX. bitwa w rejonie Mińska przerwana tak nagle, że nawet 26.P.Uł. nie został o tym zawiadomiony.

Od tej chwili grupa mając rozkaz przejść do odvodu Nacz. Wodza maszeruje naprzód w rejon Lublin, potem Lwów, nie z zadaniem by szukać npla i go bić, lecz by go rozmijać i tylko w razie natknięcia się bić.

Zdaje mi się, że w tym czasie i w rejonach do 40 km były inne W.J. Gdyby d-two nimi kierowało, gdyby dało zadania, może Niemcy tak łatwo kraju na wschód od Wisły by nie zdobyli.

Tymczasem uciążliwe marsze noce, stanie w dzień po lasach i krycie się męczyły żołnierza i osłabiały jego ducha. Rozkaz kierowania się do granicy Węgier, który rozszedł się dn. 21.IX., był bardzo nieszczęśliwy, bo był przyznaniem się do klęski i cel walki dla żołnierza zniknął...” (L.dz.594/40).

„...Z chwilą przybycia Nacz. Dowództwa do Kołomyi zarządzony manewr znajdował się w kryzysowym punkcie. Dawał on jednak nawet w wypadku konieczności utraty Lwowa możliwość utrzymania południowo-wschodniej połaci kraju w oparciu

o Karpaty wschodnie i linię Dniestru i Sanu z utrzymaniem komunikacji przez Rumunię. W tym duchu szły rozkazy ruchów i zaopatrzenia. Jeszcze we Włodzimierzu zgłosił się do mnie kpt. de Winter z misji gen. Faury z opracowanym przez misję wariantem tego planu ze szkicem linii i ośrodków zabezpieczających ten rejon i komunikacje z Rumunią, której współdziałanie z aliantami misja uważała za pewne. W tym też czasie gen. Faury był przyjęty przez Nacz. Wodza.

Z chwilą przybycia do Kołomyi Nacz. Wódz rozkazał najbliższemu otoczeniu zaopatrzyć się w karabiny wobec spodziewanych walk i ew. przebijania się w górach. U nikogo nie było najmniejszej myśli o przejściu granicy. Przygotowania szły w kierunku zaopatrzenia się w ciepłą odzież na walki zimowe, a nie cywilne ubranie.

Dn. 17.IX. około godz. 5-ej nad ranem w rozmowie telef. z Szefem Sztabu doszła Nacz. Wodza wiadomość o przekroczeniu naszych granic przez oddziały sowieckie. Po wymianie strzałów przez K.O.P. szły one bez walki niosąc transparenty i głosząc, że idą przeciw Niemcom. Przed dwoma dniami ofiarowywały Sowiety pomoc z żywności i mat. sanit. Koło godz. 12-ej pancerne ich oddziały dotarły do Horodenki. O godz. 14-ej Kwatera Gł. przeszła do Kosowa, skąd Nacz. Wódz wyjechał do Kut, gdzie w siedzibie Pana Prezydenta odbyły się narady z rządem i min. spraw zagranicznych. Koło godz. 17-ej Pan Marszałek powrócił do Kosowa, gdzie przyjmował jeszcze przybywającego z Kut Premiera i płk. Jaklicza. Koło godz. 19-ej zapadła decyzja wyjazdu Kwatery do Kut.

Wkrótce potem w Kutach około godz. 2-ej dn. 18.IX. przekroczyłem wraz z I. eszelonem Kwatery Gł. granicę Rumunii..." (L.dz.415/39).

„...Stale odchodzenie ku tyłowi, bez poważnych walk żołnierzy pragnących walki i pójścia naprzód, wpływało ujemnie na ich morale i podważało zaufanie do kierownictwa.

Masa innych żołnierzy, idących bez broni, z rozmaitych formacji i oddziałów w poszukiwaniu za oddziałami, którym informacji, gdzie mają iść, gdzie się zbierać, dać nie mogłem, wpływała w sposób ujemny na morale żołnierzy, znajdujących się w oddziałach maszerujących zwarcie i wykonywujących swe zadanie bojowe..." (L.dz.2778/40).

„...Pogłoski (którym poleciłem zaprzeczać) o ewakuacji Rządu i Nacz. Dowództwa wpłynęły przygnębiająco nie tylko na szeregowych, ale i na oficerów — szczególnie, gdy się dowiedzieli, że Nacz. Dowództwo przekroczyło granicę rumuńską..." (L.dz.142/39).

„...już 19.IX zaczęła spotykać tłumy zdemobilizowanych żołnierzy kowelskich, przeklinających swój los i wracających do domu 'po skończonej wojnie'.

Dużo z nich wstąpiło do szeregów oddziałów gen. Kleeberga. Wielu jednak poszło dalej, rozpowiadając wśród naszych żołnierzy, a potem po całym kraju najtragiczniejsze wieści o swych dowódcach; o Nacz. Wodzu, rządzie, zdradzie i zaprzecaniu kraju wrogom. Przemawiała przez nich wielka gorycz, granicząca często z rozpaczą. Widziało się żołnierzy płaczących jak dzieci. Trzy doby ciągnął się pochód rozbitków kowelskich i tych, którzy — idąc z południa, Wołynia, Małopolski — przez Kowel, a potem przez nasze oddziały przechodzili...” (L.dz. 5277/40).

i dziesiątki innych sprawozdań.

Brak koleżeństwa:

„...Szczególny nacisk należy położyć na wyrobienie *esprit de corps*, który stanowi potężny czynnik moralny...” (gen. de Gaulle, *Vers l'armée du métier*, 1934 r.).

U nas było bardzo źle pod tym względem.

Nie było sławnego *marcher au canon*. Przeciwnie: gdy jedna dywizja krwawiła w nierównym boju, inna dochodziła lub nawet odpoczywała. Tak było pod Piotrkowem i Iłżą, tak było pod Wyszkowem i Krasnobrodem i w wielu innych wypadkach. (L.dz.433/40, 442/40, 3853/40, 511/39, 2722/40, 5760/40, 1329/40, 495/40, 499/40, 326/30, 5276/40, 2793/40 i wiele innych).

Ten brak koleżeństwa ujawił się tak na polu walki jak i na tyłach i po klęsce.

Kilka tylko przykładów (spośród bardzo wielu):

„...Podkreślić muszę niekoleżeństwo oficerów sztabu D.O.K. IV. Mianowicie — byłem jedynym oficerem ze składu sztabu rannym w tej wojnie. Znajdowałem się w szpitalu w Wilnie od 12.IX. Sztab D.O.K. przybył do Wilna 13.IX. gdzie przebywał do 18.IX. Przez ten czas nikt z oficerów nie zainteresował się moim stanem zdrowia oraz sytuacją materialną. 18.IX. wszyscy uciekli na Litwę, pozostawiając mnie bolszewikom bez żadnych środków pieniężnych...” (L.dz.2332/40).

„...W Działdowie byłem świadkiem rozmowy gen. Cehaka z gen. Bończą-Uzdowskim na temat terminu zwolnienia z obozu. Gen. Cehak tłumaczył, że dowódcy dywizji powinni zostać w obozie do czasu zwolnienia oficerów ich dywizji, na co gen. Bończa-Uzdowski oświadczył, że oficerowie jego dywizji 'g...' go

obchodzą i że generałów powinni Niemcy najpierw zwolnić...” (L.dz.2795/40).

„...Jak zwykle, wszyscyśmy uciekli, zostawiając rannych kolegów...” (L.dz.3625/40).

„...Na terenie Rumunii uderzający był fakt ogólnego obniżenia dyscypliny wśród wojskowych polskich — objaw przykry i wręcz kompromitujący nas wobec Rumunów, jak również częste wypadki nadużycia alkoholu i przestępstw natury moralnej...” (L.dz.3549/40).

Jaka wojna — taki koniec:

„...Okolo godz. 18-ej odbyła się odprawa oficerska u dowódcy pułku, na której dowódca pułku, mjr Majchrowski, odczytał nam rozkaz dowódcy 3 Brygady Strzelców Górskich o przejściu granicy węgierskiej (rozkaz operacyjny L.dz.534/tj. 39 z dn. 18.IX.1939 r.). Po odczytaniu tego rozkazu dowódca pułku czytając w naszych twarzach stan naszych żołnierskich dusz wypowiedział słowa, które mocno utkwiły mi w pamięci: 'Jaka wojna, taki koniec'. Wszak wykonywaliśmy ściśle rozkazy naszych dowódców i robiliśmy jako żołnierze wszystko, na co nas było stać...” (L.dz.2386/40).

„...Oddziały 16.D.P. i Pomorskiej B.K. posunęły się do wschodniej krawędzi lasu Białogóra i rozpoczęły natarcie w kierunku na Witkowiec. Spotkały się jednak z przeciwuderzeniem piechoty npla wspartej czołgami i zmuszone były do wycofania się na krawędź lasu. Nacisk i ruch npla zaczął zaznaczać się również od południa i zachodu, przybierając charakter otoczenia.

Okolo godz. 18-ej w artyleria niemiecka otworzyła ogień huraganowy na las Białogóra. Strzelało 5-6 dyonów artylerii ciężkiej (w tym dyon 210 mm). Ogień był korygowany przez lotnika. Ogień ten, masowany z dokładnością matematyczną na miejsca znajdowania się naszych oddziałów, trwał do późnego wieczora. Straty poniesione przez resztki 16.D.P. i brygady kawalerii były olbrzymie. Artyleria własna przestała istnieć. Baterię konną rozbito w ciągu niespełna dwóch minut.

Podobny los spotkał oddziały 4. i 14.D.P. znajdujące się w tym czasie w lesie w pobliżu ujścia rz. Bzury do Wisły.

Zginęli tam gen. Bryg. Bołtuć i gen. bryg. Wład...” (L.dz.1104/39).

Mogło być inaczej:

„...wojna niemiecko-polska nie skończyła się — jak chciał Hitler — w 18 dni, ani nawet upadkiem Warszawy, ale dopiero 5 października pod Kockiem. Zakończyła się nie klęską naszą, ale — jakby dla wróżby na przyszłość — klęską niemiecką. Tylko zupełny brak amunicji, która nam całkowicie wyszła w 3-dniowej bitwie pod Kockiem sprawił, że wojna nie trwała jeszcze dłużej.

Na przekór wszystkim bajkom, chodzącym o żołnierzu polskim po kraju, żołnierz spod Kocka chciał się bić dalej i nie chciał składać broni. I biłby się dalej. Miał wodza, któremu wierzył, miał oficera, który nie opuszczał żołnierza, miał w swej długiej drodze spod Kobrynia, przez Ratno, Włodawę pod Dęblin same sukcesy. Bił Niemca, bolszewika, zbuntowane, uzbrojone po uszy wsie kowelskie i bił znowu Niemca.

Epopeja żołnierska nasza zakończyła się pod Kockiem 5 października 1939 roku.

W Branicy, na przejściowej kwaterze dowództwa dywizji młoda dziewczyna, córka gospodarza, tłumaczy strzelcowi naszej dywizji, a raczej marynarzowi baonu morskiego, swemu narzeczonemu, że ma do niej wrócić dopiero do skończonej wojnie, a nie tak, jak inni...” (L.dz.5277/40).

Premier Składkowski do Komendanta Głównego Policji Państwowej w Kosowie nad granicą rumuńską dnia 16 września 1939 roku:

„...Sytuacja bardzo dobra...” (podał: generał Zamorski, L.dz.1620/39, str. 18).

*Konkluzja za okres 1 wrzesień 1939 — 18 wrzesień...
względnie 6 październik 1939 roku.*

1) Brak planu wojny, a nawet *brak ogólnej koncepcji przemyślanej i skutecznej bitwy obronnej* spowodował — po pierwszych niepowodzeniach — załamanie się psychiczne Marszałka Rydza-Śmigłego. *Les extrêmes se touchent...* Toteż ze *skrajnego optymizmu* z okresu *przed wojną* („silni, zwarci, gotowi”, „nie damy nawet guzika” itd.) popadł w *skrajny pesymizm po jej wybuchu*. [... już 2 września 1939 roku miał koncepcję odpływania „na południowy-wschód” (L.dz.100/A), już 6 września 1939 r. wyjeżdża do Brześcia, gdy traci faktycznie możliwość dalszego dowodzenia, już 11 września 1939 r. generał Krok-Paszkowski dostał od generała Kasprzyckiego wskazówkę, „...że dalszy ewentualny etap to Rumunia...” (L.dz.2718/40)].

2) Dowodzenie Naczelnego Wodza było chaotyczne i „...przyminało raczej dowodzenie pułkiem, niż Armiami...” (L.dz. 325/39). Tak pisze ówczesny Szef Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza. Pesymiści twierdzą, że było jeszcze gorzej, i to tak, że „...oficerowie Oddziału III wraz z pułkownikiem Klimeckim planowali w Brześciu odsunięcie siłą od władzy... pułkownika Jaklicza...” (ppłk dypl. art. 0. — bez liczby).

3) Marszałek Rydz-Śmigły jako Wódz Naczelny nie wykazał ani wiedzy wojskowej, ani doświadczenia, ani charakteru, a przez to spowodował tak szybką klęskę.

4) Fatalne dowodzenie, a po kilku już dniach brak dowodzenia przez Naczelnego Wodza spowodował, że Armie — które nie znały ogólnej koncepcji bitwy, gdyż nie otrzymały „wytycznych” od Naczelnego Wodza (tajemnica!) były się oddzielnie i były oddzielnie bite przez wroga. Fakt ten spowodował ostateczne rozbitcie Wojska Polskiego. Poza tym bezustanne marsze do tyłu spowodowały — zwłaszcza przy braku normalnego wyżywienia — niesłychane przemęczenie i demoralizację żołnierzy, a przez to gwałtowne topnienie stanów i psychiczne załamanie, zwłaszcza przy bezustannym nieomal i bezkarnym bombardowaniu z powietrza i naporze czołgów.

5) Gdzie byli dowódcy z charakterem, posiadający wiedzę i doświadczenie, wojsko biło się doskonale, gdyż tak oficerowie, jak podoficerowie i szeregowcy chcieli się bić i bili się też (zwłaszcza, gdy byli najedzeni i wyspani) z determinacją, graniczącą częstokroć z bohaterstwem. Bohaterstwo to uznał nawet wróg.

Tysiączne przykłady naprawdę wyjątkowej bitności naszych oficerów i szeregowych, gdy byli dobrze dowodzeni, są najlepszym dowodem, że opór nasz czyli wojna obronna w Polsce, mógł trwać długie miesiące a nawet i dłużej, gdyby tak przed wojną jak też podczas wojny właściwi ludzie byli na właściwych miejscach, gdyby wszyscy spełnili swój obowiązek i obrona nasza przez to była dobrze przygotowana w czasie pokoju i gdyby wojna była prowadzona przez ludzi do tego fachowo przygotowanych i posiadających doświadczenia, charakter, energię i determinację oraz wolę bicia nieprzyjaciela, a nie „myśl natrętną”... ucieczki.

ZAKOŃCZENIE

„...Czy mogliśmy być lepiej przygotowani wojskowo? Tak, gdybyśmy byli konsekwentnie realizowali wielki program generała Sikorskiego z 1925 roku, przystosowując szczegóły do nowych doświadczeń i technicznego postępu. Gdyby przez lat dziesięć nie była ciężka nad naszymi przygotowaniem wojennymi wola wszechwładna wielkiego człowieka, nie doceniającego ani lotnictwa, ani broni pancernej, ani motoryzacji, ani w ogóle nie uznającego roli techniki w nowoczesnej wojnie...” (gen. dyw. Kukiel w tygodniku *Polska Walcząca* Nr 35 z 30 sierpnia 1941 r.).

Generał dywizji Kukiel ma niewątpliwą rację. Ten „wielki człowiek” to Józef Piłsudski.

On jest największym winowajcą klęski wrześniowej.

Drugim i bezpośrednim winowajcą jest Marszałek Śmigły-Rydz.

Nie spełnił swego obowiązku, choć miał pełnię władzy wojskowej i duży wpływ na władze cywilne w swym ręku.

Był niesumiennym tak samo, jak generał dywizji Poniński, gdy 10 października 1794 roku spóźnił się — przez opieszałość — do bitwy Maciejowickiej i przez to spowodował klęskę Kościuszki; — jak generał dywizji Łubieński Tomasz, gdy 25 lutego 1831 roku spóźnił się — ze złej woli w stosunku do Chłopickiego — z szarżą na flankę ostatnich batalionów odwodu Dybicza i przez to spowodował klęskę pod Grochowem; — jak generał dywizji Skrzynecki, gdy 10 kwietnia 1831 roku spóźnił się — przez zawiść do generała Prądzyńskiego — pod Iganie i przez to... uratował Moskali od zupełnej klęski; — jak generał dywizji Ramorino, który we wrześniu 1831 roku wbrew wyraźnym rozkazom — zdradzając naszą sprawę — nie przyszedł ze swym korpusem do walnej bitwy z Paszkiewiczem o Warszawę. Ale to był przynajmniej cudzoziemiec i wkrótce go rozstrzelali... choć nie Polacy. Inni nie odpowiadali za swe niecne czyny i uszli bezkarnie, bo Naród, z ich winy pokonany, nie mógł ich stawić przed sądem...

Oby to przekleństwo bezkarności za popełnione wobec Narodu Polskiego winy nie przeszło do tradycji i nie zachęcało następnych pokoleń do lekceważenia sobie obowiązków publicznych.

EPILOG

Szwajcarska *National Zeitung* z 3 stycznia 1940 roku artykuł⁷ pod tytułem *Der Krieg in Polen* rozpoczyna słowami: „W najściślejszym związku z błędami polskiego reżymu w polityce wewnętrznej i zagranicznej są niewiarygodne wprost zaniedbania w dziedzinie wojskowej... Na cokolwiek się spojrzy: uzbrojenie, motoryzację, obronę przeciwlotniczą, komunikację, obronę ludności cywilnej, lotnictwo, walkę ze szpiegostwem — w każdej z tych dziedzin okazała się od pierwszej chwili wojny tak niesłychana ilość zaniedbań, niedociągnięć, niewłaściwości i słabości, że narzucało się wprost pytanie, w której wreszcie dziedzinie ludzie, odpowiedzialni za wojskowe przygotowanie Polski, spełnili swój obowiązek...”

Artykuł kończy się słowami: „...Najmniejsza wina nie spada na Naród Polski, żołnierza polskiego i większość polskich oficerów frontowych za tak szybkie załamanie się polskiego oporu. Najlepszym tego dowodem — pomijając już wszystko inne — jest bohaterska obrona Warszawy. Wina obciąża wyłącznie i jedynie reżym, który przez błędną politykę wewnętrzną, błędną politykę zagraniczną i przez niespotykane w historii nadużycie zaufania (*Vertrauensmissbrauch auf militaerischem Gebiet*) w dziedzinie wojskowej doprowadził Polskę do takiego nieszczęścia...”

Tak też rozumie Naród Polski:

„...Wszędzie po drodze pełno żołnierzy, pałą i niszczą broń i sprzęt — widok okropny, zatrzymuje mnie grupa żołnierzy i pyta, czy nie jestem „legionistą”. Pytam ich, o co im chodzi — odpowiadają, iż „szukają legionistów, bo oni sprzedali Polskę”. Są to już skutki demoralizacji, którą wykorzystuje sprytnie agitacja niemiecka i bolszewicka. Tłumaczę tym żołnierzom, że to do nich nie należy i proponuję im iść ze mną na Węgry, jednak żołnierze odmówili...” (L.dz.5788/40).

„...Będąc w Warszawie, zbliżyła się do mnie jakaś kobieta, która wskazując na kilkumetrowy ogon, czekający na chleb, powiedziała, że to są wyniki rządów pułkownikowskich, którzy pozostawiają nas biednych na opatrzności Boga. To samo słyszałem kilkakrotnie od różnych wieśniaków, nocując po wsiach w czasie mojej wędrówki.

7. Jest to ostatni z cyklu czterech artykułów na ten sam temat, które się ukazały w Nr. 604 i 605 *National Zeitung* z 1939 r. i w Nr. 1 z 1940 r.

Inteligencja natomiast miała pretensje do byłego rządu za okłamanie społeczeństwa, że jesteśmy rzekomo silni, zwarci i gotowi, co nie odpowiadało rzeczywistości..." (L.dz.187/40).

Takich głosów mógłbym przytaczać setki.

Długoletnie rządy sanacyjne wraz ze spowodowaną przez nie klęską wrześniową i katastrofą Polski były zbrodnią na żywym ciele Narodu.

Ta zbrodnia nie może pozostać bezkarna.

Londyn, 1 września 1941 roku

GEN. Izydor MODELSKI

KLUCZ DZIENNIKA

byłego Biura Rejestracyjnego

32/39	— ppor. rez. Haller Eryk
62/tj.Rej/40	— komandor Zajączkowski
78/40	— ppłk Bernacki Wiktor
83/39	— kpt. zaw. Heybowicz Adam
100/A	— gen. dyw. Burhardt-Bukacki
128/39	— rtm. dypl. Bolechowski
142/39	— płk kaw. Chomicz Stefan
148/39	— mjr dypl. Czyżewski
187/40	— płk dypl. Kulczycki
246/39	— ppłk Zientkiewicz
256/39	— ppłk dypl. pil. Iżycki
325/39	— płk dypl. Kopański
332/40	— ppłk dypl. Izdebski Stefan
361/39	— płk dypl. Gierulewicz
407/39	— gen. bryg. Ładoś
411/A/40	— ppłk dypl. Koperski
415/39	— płk dypl. Münnich
433/40	— gen. bryg. Paszkiewicz
436/39	— kpt. zaw. Malinowski
442/40	— płk dypl. Duch
484/39	— płk Rybicki
495/39	— inż. pil. Riess
495/40	— płk Gałązka
499/40	— płk Rawski

507/39	— płk dypl. Pelc Stanisław
511/39	— gen. bryg. Przeździecki
528/39	— ppłk dypl. Piasecki
534/39	— ppłk dypl. Przybylski
555/39	— kpt. dypl. Starkiewicz
558/39	— ppłk dypl. Szeligowski
572/39	— mjr dypl. Czyżewski
594/39	— płk dypl. Szweicer
652/40	— ppłk dypl. Pęczkowski
714/39	— kpt. zaw. Rydzewski
734/A/40	— ppor. zaw. Paciorek Zbigniew
735/A/40	— por. zaw. Paciorek Michał
751/39	— ppłk dypl. Rzyziński
833/40	— płk Dembiński Włodzimierz
899/A/40	— ppłk dypl. Śmigieński
949/40	— kpt. zaw. Szydłowski
954/40	— ppłk Stankiewicz Stanisław III
961/39	— mjr dypl. Dudziński Zbigniew
994/A/40	— gen. bryg. Zamorski
1037/40	— kpt. zaw. Gawęda Marjan
1053/Rej/tj/40	— komendant P.P. Zoltaszek
1057/39	— por. dypl. Chomiak Józef
1066/39	— kpt. dypl. Majorkiewicz
1087/40	— kpt. Mazurkiewicz Edward
1104/39	— płk dypl. Szyszko-Bohusz
1130/39	— por. zaw. Burbo
1329/40	— płk Łańcucki
1341/40	— ppor. zaw. Matyszczyk Jan
1395/40	— por. zaw. Piątkowski
1533/40	— mjr dypl. Napieralski
1540/40	— por. zaw. Jaroszewski
1618/39	— mjr Lipszyc-Steiner
1620/39	— gen. bryg. Zamorski
1631/39	— ppłk dypl. pil. Iżycki
1664/39	— płk dypl. Kopański
1667/40	— ppor. zaw. Minor
1675/40	— kpt. dypl. Kamieński Jan
1683/40	— płk Bogorja-Zakrzewski
1690/40	— płk dypl. Jaklicz
1779/40	— kpt. zaw. Szternal
1783/40	— mjr Szpaltenstein

- 1844/39 — płk dypl. Zieleniewski
 1926/40 — kpt. zaw. Grawiański
 2239/40 — płk dypl. Aleksandrowicz
 2267/40 — mjr pil. Zarski
 2332/40 — mjr dypl. Kozłowski Jerzy
 2355/40 — por. zaw. Niepokojczycki
 2386/40 — kpt. zaw. Witrylak
 2538/40 — kpt. dypl. Lech Jan
 2619/40 — rtm. dypl. Powąła-Dzieślewski
 2718/40 — gen. bryg. Krok-Paszkowski
 2740/40 — kpt. dypl. Pudakowski Leon
 2778/40 — płk dypl. Sosabowski Stanisław
 2795/40 — płk Zygmunt Łakiński
 2799/40 — ppor. zaw. Budyń
 3118/40 — kpt. zaw. Buczyński
 3349/40 — płk Nowak Karol
 3625/40 — por. zaw. Jüttner Alfred
 3853/40 — gen. bryg. Orlik-Rückemann
 3895/40 — ppłk dypl. Biegański Stanisław
 4359/40 — mjr Jacyna Wacław
 4398/40 — ppor. zaw. Lichnowski
 4401/40 — mjr Maciejowski
 4542/40 — mjr Chudzikiewicz
 4851/40 — ppłk dypl. Wzacny Zenon
 4893/40 — ppłk dypl. Pokorny
 5087/40 — rtm Zbroski Jan Kanty
 5167/40 — płk dypl. Krzyżanowski
 5277/40 — płk Epler Adam
 5760/40 — płk dypl. Korkozowicz
 5780/40 — płk Chomicz Stefan
 5786/40 — por. dypl. Zawadzki Zygmunt
 5788/40 — mjr dypl. Lewicki Wilhelm
-

RAPORT PPLK. HENRYKA POHOSKIEGO

Wśród przechowywanych przez Janinę Fieldorf dokumentów, fotografii i pamiątek osobistych po jej mężu znajdowała się relacja-raport, dotycząca sytuacji we Lwowie w lipcu i sierpniu 1944 roku. Dokument nie był datowany i podpisany.

Janina Fieldorf przekazała go ppłk. Stefanowi Zan-Krzywiakowi, który wykonawszy z oryginału odpis, dodał:

Odpis raportu oficera AK z Obszaru Lwów o sytuacji we Lwowie w lipcu-sierpniu 1944 roku.

Obok znajduje się odręczna notatka mjr. dypl. Bolesława Tomaszewskiego, byłego szefa oddziału III Komendy Obszaru Lwów: „Autorem relacji — według mojego zdania — jest ppłk dypl. Henryk Pohoski ps. „Walery” b. szef oddz. II K-dy Obszaru we Lwowie, a w czasie Burzy był szefem sztabu gen. Władysława Filipkowskiego”.

Dziś nie ma już wątpliwości co do autorstwa relacji.

Płk dypl. Henryk Pohoski (1909-1987) ps. „Adolf”, „Marcin”, „Siwek”, „Stawisz”, „Walery” we wrześniu 1939 roku był oficerem operacyjnym sztabu I Dywizji Piechoty Legionów. Po ucieczce z niewoli niemieckiej, od października 1939 r. w SZP-ZWZ-AK. Początkowo kierował Biurem Studiów w Warszawie. Od września 1941 r. do końca lipca 1944 r. był szefem Oddziału II Komendy Obszaru nr 3 Południowo-Wschodniego ZWZ-AK we Lwowie. Równolegle, od listopada 1941 r. do 13 marca 1943 r. był przewodniczącym Wojskowego Sądu Specjalnego. W okresie Burzy został aresztowany i więziony przez NKWD jako szef sztabu Obszaru nr 3 Armii Krajowej.

Oto treść relacji-raportu:

„I. Opierając się na otrzymanych wytycznych Obszar nasz opracował plan ujawnienia w pełni odtworzonych oddziałów i instytucji OK VI¹ oraz władz cywilnych. Myślą przewodnią tego planu było stworzenie faktu dokonanej walki zbrojnej i przejęcie władzy na terenie Obszaru, który ze wszystkich był najbardziej przychylnie nastawiony do Sowietów. Uważaliśmy, że jeśli bolszewicy wystąpią wrogo wobec nas, to nasz Rząd będzie miał w ręku silne atuty stwierdzające złą wolę Sowietów.

Patrzac retrospektywnie widzę, że w tym planie nie doceniłmy sprawności z jaką władze sowieckie zapobiegły pełnemu

1. Okręgu Korpusu VI.

utworzeniu tego faktu dokonanego, jak i przeceniliśmy odwagę i sprawność naszych władz cywilnych. Prócz tego, nawet w przybliżeniu, nie przypuszczaliśmy u Sowieców tak wielkiej pogardy dla prawa międzynarodowego. Z tych powodów plan udał się tylko częściowo. Przebieg wypadków był następujący:

II. Dnia 27 VII pierwsze patrole sowieckie weszły do Lwowa od wschodu. Rozpoczęły się walki uliczne. Trwały one 5 dni, do 29 VII [sic]. Od pierwszego dnia oddziały AK wystąpiły do walki współdziałając ściśle z wojskiem sowieckim. Komendant Okręgu [ppłk dypl. Stefan Czerwiński — przyp. aut.] nawiązał i utrzymał łączność z sowieckim dowódcą dywizji, a ich współpraca była nawet serdeczna.

Dnia 27 VII otrzymaliśmy radiodepeszę od Komendanta Głównego z datą 12 VII, podającą, że Komendant Obszaru Wilno [płk Aleksander Krzyżanowski, tytularny generał AK — przyp. aut.] ujawnił się wobec gen. Czerniachowskiego i uzyskał zgodę na odtworzenie 1 dywizji piechoty i 1 brygady kawalerii.

Dnia 29 VII przybył do Komendy Okręgu gen. lejtn. Gruszko, szef wojennego NKWD przy dowódcy 1 Frontu Ukraińskiego. Komendant Obszaru [gen. Władysław Filipkowski — przyp. aut.] ujawnił się wobec niego. Z dłuższej z nim rozmowy wynieśliśmy przykre wrażenie, gdyż oświadczył nam on, między innymi:

1) że 'tu sowiecka ziemia i sowiecki naród, a wy nie macie co tu robić',

2) że Rosji nie chodzi o taką, czy inną granicę, a o to by w Polsce była przyjaźń dla ZSSR.

I dlatego nie wpuszczą tu nigdy panów z Londynu.

Wobec tego generała ujawnił się też [Okręgowy — przyp. aut.] Delegat Rządu [Adam Ostrowski — przyp. aut.] jako przedstawiciel Rządu Rzplitej i jako kierownik administracji cywilnej, przygotowanej do uruchomienia wszystkiego co trzeba dla zaspokojenia potrzeb ludności i zabezpieczenia normalnej pracy na tyłach frontu. Gen. Gruszko zupełnie nie podjął sprawy przedstawicielstwa Rządu, a w sprawie przygotowanej administracji prosił, by zwrócić się do tzw. *Ispolkom*², który tym zagadnieniem się zajmuje.

Tego samego dnia po południu przybył do Lwowa gen. lejtn. Iwanow [Iwan Aleksandrowicz Sierow — przyp. aut.], przedstawiciel dowódcy 1 Frontu Ukraińskiego (marszałka Koniewa) i zaprosił nas do siebie. Wyjaśnił nam, że rząd ZSSR nie uznaje żadnego innego Rządu Polskiego poza PKWN, ani

2. *Ispolkom* — egzekutywa.

żadnego wojska poza Armią Berlinga. Wobec tego postawił nam dwa warunki:

- 1) złożenie broni w ciągu dwóch godzin,
- 2) nawiązanie bezpośredniego kontaktu z gen. Żymierskim.

Komendant Obszaru kładł nacisk na odtwarzanie oddziałów, powołując się na precedens wileński znany nam z radiodepeszy. Gen. Iwanow sugestie te stanowczo odrzucił i spokojnie oświadczył, że co do Wilna musimy być w błędzie, gdyż wszędzie stanowisko wobec AK jest to samo.

Po powrocie z tej rozmowy otrzymaliśmy radiodepeszę Komendanta Głównego, datowaną 17 VII i brzmiącą: 'Oddziały Obszaru Wilno zostały podstępnie rozbrojone, a oficerowie aresztowani. Nie dajcie się zaskoczyć'. Depesza była spóźniona. Byliśmy już pod nadzorem i Komendant nie posiadał swobody działania.

Toteż Komendant Obszaru uznał, że niezłożenie broni doprowadzi do konfliktu zbrojnego, co może być szkodliwe i nakazał broń złożyć. Jednak szereg niższych dowódców (Komendantów Obwodów i oddziałów leśnych) odmówiło wykonania rozkazu.

W sprawie nawiązania kontaktu z Żymierskim Komendant Obszaru chciał zasięgnąć opinii „Rady Polskiej”³ (przedstawiciele stronnictw) oraz [Okręgowego — przyp. aut.] Delegata Rządu. Po całonocnej debacie uchwalono celowość nawiązania tego kontaktu dla odtworzenia 5 dywizji piechoty w ramach Armii Berlinga.

Dnia 30 VII Komendant Obszaru wydał rozkaz rozwiązujący organizację, zgodnie zresztą z obowiązującą instrukcją 'Nie' oraz zaprosił przedstawiciela Żymierskiego.

Tego samego dnia odbyła się powtórna rozmowa z gen. Iwanowem, w czasie której byliśmy na wszystkie strony fotografowani i filmowani oraz rozmowy z Komisarzem NKWD na Lwów, z Chruszczowem, a wieczorem z ppłk. Groszem, przedstawicielem Żymierskiego. Rozmowy te nie wniosły nic nowego do naszego położenia, a podkreśliły tylko dwa zasadnicze elementy:

- 1) ZSSR nigdy nie uzna Rządu Londyńskiego i nigdy nie zrezygnuje z 'utrzymania przy władzy w Polsce elementów demokratycznych',

- 2) dla członków AK istnieje tylko dylemat: albo do Berlinga albo do więzienia.

Dnia 31 VII wieczorem odlecieliśmy samolotem do Żytomie-

3. Rada Polska Ziem Południowo-Wschodnich R.P., w skład której wchodził przedstawiciele stronnictw.

rza w składzie 5 osób: Komendant Obszaru [gen. W. Filipkowski — przyp. aut.] z oficerem ordynansowym [ppor. Zygmunt Łanowski — przyp. aut.], Komendant Okręgu Lwów [ppłk Stefan Czerwiński — przyp. aut.], Komendant Okręgu Tarnopol [płk Franciszek Studziński — przyp. aut.] i Szef Sztabu⁴. Do Żytomierza przybyliśmy o godzinie 9 wieczór i zostaliśmy natychmiast przyjęci przez Żymierskiego.

Na wstępie Komendant Obszaru określił nasze stanowisko (które miało na celu poparcie Mikołajczyka, o którym wiedzieliśmy, że jest w drodze do Moskwy) w następujących punktach:

1) uznajemy realną politykę PKWN oraz Armię Berlinga walczącą z Niemcami,

2) chcemy wejść w skład Armii Berlinga, jednak przysięga złożona Rządowi Polskiemu nie pozwala nam na to. Ale z chwilą dojścia do porozumienia z Mikołajczykiem zapora ta przestanie istnieć.

3) Jeśli do tego porozumienia nie dojdzie chcemy złożyć oficerskie stopnie i jako szeregowcy wziąć udział w walce z Niemcami.

W odpowiedzi Żymierski wyraził Komendantowi uznanie za 'tak piękne i żołnierskie stanowisko'. Zapewnił, że nikt bardziej od niego nie pragnie porozumienia z Mikołajczykiem i wyraził przypuszczenie, że to porozumienie nastąpi w najbliższych dniach.

W toku dalszej rozmowy nie odrzucił sugestii Komendanta o odtwarzaniu 5 dywizji piechoty i obiecał sprawą się zająć. Sam zaś postawił pytanie, czy zostaną mu przekazane archiwa i majątek organizacji, na co Komendant odpowiedział, że nie posiada dojść do tych komórek.

Przed północą zostaliśmy pożegnani i odesłani do swoich kwater. Wrażenie całości było ciężkie. Całość sztabu Żymierskiego (przy rozmowie byli obecni gen. Iścienko, gen. Półturzycki, płk Spychalski, ppłk Grosz i dwóch innych generałów) robiła wrażenie jakiegoś zbiorowiska oficerów-bandytów z Boliwii czy Peru. W środku zaś ogromna figura Żymierskiego, układna, życzliwa, chytra i podstępna. To było wstrętne.

Więcej Żymierskiego już nie widzieliśmy. Na trzeci dzień, 3 VIII o świcie, zostaliśmy aresztowani przez Sowieców.

III. Po dokładnej rewizji i odebraniu nam wszystkiego prócz papierosów i zapalek odtransportowano nas samochodem

4. Jako szef sztabu ujawnił się ppłk dypl. Henryk Pohoski. Właściwy szef sztabu ppłk dypl. Feliks Janson pozostał w konspiracji, gdyż był wyznaczony na Komendanta Obszaru w organizacji „Niepodległość”, znanej pod kryptonimem „Nie”.

do Kijowa do NKGB (*Narodnyj Komisarjat Gosudarstwiennoj Bezopasnosti*). Zostaliśmy zamknięci w pojedynczych celach ogromnego gmachu więziennego.

Tej samej nocy nastąpiło badanie. Chodziło o wydobyć ze mnie mojego światopoglądu.

Ogółem badano mnie trzy razy po dwie godziny (zawsze od drugiej do czwartej w nocy).

Ciekawe były dwa momenty: pierwszy dotyczył oskarżenia o zdradę Ojczyzny, co umotywowano następująco: „jako obywatel sowiecki organizował na ziemi sowieckiej ruch podległy nieprzyjaznemu rządowi w celu oderwania ziem Zachodniej Ukrainy od ZSSR”. Ja sprzeciwiłem się temu twierdząc:

a) że nie jestem sowieckim obywatelem, co uznano po stwierdzeniu, że nie brałem udziału w plebiscycie ani nie posiadałem sowieckiego paszportu,

b) że nie byłem na sowieckiej ziemi, gdyż w chwili mego przyjazdu do Lwowa obszar ten nazywał się Distrikt Galizien i należał do General-Gouvernement. Jeśli zaś chodzi o przeszłość, to ziemia była polska. Co do przyszłości praw sowieckich do tej ziemi, to nic powiedzieć się nie da, gdyż linia Curzona tędy nie biegła, plebiscyt nie jest miarodajny, bo był też w Białymstoku, który Sowiety uznają jako polski teren, a przedłużenie linii Curzona też nic nie mówi, gdyż poprzednio oddawało Przemyśl Rosji, a obecnie podobno Polsce.

c) Rządu polskiego nie mogę nazwać nieprzyjaznym, gdyż w owym czasie Stalin przyjmował na bankiecie Sikorskiego i miał z nim podpisany układ;

d) celem nie było żadne odrywanie ziem, a tylko walka z Niemcami, która była we wspólnym Polski i Rosji interesie.

Po dyskusji zupełnie zrezygnowano z tego oskarżenia i już do niego nie wracano.

Drugim momentem było oświadczenie, że jestem aresztowany i żądanie bym podpisał arkusz aresztowania. Odmówiłem stanowczo. I do tej sprawy już później nie wracano.

Dnia 9 VIII zostaliśmy wydani w ręce kontrwywiadu 1 Frontu Ukraińskiego i przewiezieni samolotem w okolice Lubaczowa (koło Rawy Ruskiej). Jechaliśmy znów wszyscy razem. Mieliliśmy możliwość rozmawiania i od Komendanta dowiedziałem się, że był badany ponad 20 godzin i to przez Szefa Urzędu (nazwisko lub pseudo — Miedwiediew). Badanie tyczyło spraw politycznych oraz spraw warszawskich. Komendant był zdziwiony ich dobrą orientacją w tych sprawach i znajomością nazwisk rodowych (pamiętam, że wymienił nazwisko Bora, Prezesa i Grzegorza). Mimo wszystko Komendant był dobrej myśli

i uważał, że wszystko skończy się dobrze. Duże nadzieje pokładał w powodzeniu powstania w Warszawie.

Dnia 10 VIII przybyliśmy na miejsce. Przyjął nas ppłk Kołomicz i zapytał, czy nasz położenie jest nam dostatecznie jasne. Komendant zaprzeczył; wtedy oświadczył nam: 'jesteście aresztowani, a wasza sprawa jest u prokuratora. Wasz los będzie jednakowy i zależy tylko od postawy jaką zajmie pan, generale (zwrócił się do Komendanta Obszaru). Jeśli chcecie pomóc Armii Czerwonej powiedzcie wszystko, bo dotychczas nie powiedzieliście nam nawet 10 % tego, co chcemy wiedzieć'.

Następnie zostaliśmy osadzeni w celach. Generał i dwaj Komendanci Okręgów w osobnych izbach chałup chłopskich, ja zaś w ziemiance (sześcian o boku 1m 25cm), w której było trochę słomy. Po tygodniu, bez żadnego badania, przewieziono mnie do wsi Sokółówka na północ od Rzeszowa i zamknięto w takiej samej ziemiance. Jak się orientuję, do tej wsi przewieziono i innych.

W nocy 22 sierpnia wezwano mnie na badanie. Początkowo był tylko ppłk Kołomicz, który pytał o różne bzdury, jak np. czy wielu oficerów AK służyło w gestapo lub niemieckim wywiadzie, czy po to chcieliśmy odtworzyć 5 dywizję piechoty, aby z nią przejść do Niemców, czy generał jest wrogiem ZSSR, czy naprawdę chcemy by Lwów był polski, czy chciałbym pracować w sowieckim kontrwywiadzie itp.; był to stek bzdur denerwujących i czyniących wrażenie, że pytający nie jest zupełnie trzeźwy.

Następnie wszedł nowy ppłk, który początkowo bacznie mi się przyglądał, a później zapytał czy umiem po rosyjsku. Oświadczyłem, że nie. Potem zapytał mnie o nazwisko. Podałem je. Wtedy mi oświadczył, że nazwisko jest nieprawdziwe i że umiem po rosyjsku. Odpowiedziałem, że wobec tego nie mamy o czym mówić i że spać mi się chce.

Był to początek badania, które z dwiema przerwami po dwie godziny trwały pięćdziesiąt siedem godzin. Gros tego czasu było poświęcone przez tego nowego ppłk. (pseudo — Piotrowski) na wykład o historii Polski na tle historii Rosji oraz na „uświadamianie” mnie, czym jest Rząd Londyński, czym AK, dlaczego zrobiono powstanie w Warszawie, czym jest PKWN, jaka była historia wojska polskiego w Rosji, jaką rolę odegrał Anders, a jaką Berling itp., itp.

Później pytano mnie, a wszystkie pytania zdążyły do tego, by mnie skłonić do przyznania, że:

- 1) AK nie miała na celu walki z Niemcami, że to była komedia, a zasadniczym celem było uchwycenie władzy,
- 2) że AK współpracowała z Niemcami,

3) że AK organizowała na terenach sowieckich wywiad przeznaczony do pozostania na przyszłość i skierowany przeciw ZSSR,

4) że AK posiadała rozkazy występowania przeciw partyzantom sowieckim, przeciw AL, przeciw komunistom i przeciw wojskom sowieckim oraz organom PKWN.

Z pytań stawianych zrozumiałem, że wiedzieli dość dużo o 'Wachlarzu' oraz że słyszeli, że AK, o ile się rozwiąże, (jak np. na terenie Lwowa) przekształci się w nową organizację.

Zmęczony wreszcie tą całą historią powiedziałem 'Wy w kółko napadacie na AK i oczerniacie wszystko, a ja w kółko bronie — porozumy się wreszcie. O co wam właściwie chodzi. Jestem zwolennikiem przyjaźni polsko-sowieckiej i traktuję was jako sprzymierzonych'.

Na to ppłk Piotrowski odparł, że chodzi im o dwie rzeczy:

1) o uzyskanie atutów przeciw Rządowi Polskiemu w Londynie,

2) o uzyskanie broni, radiostacji, sprzętu, archiwum i pieniędzy organizacji.

Odpowiedziałem, że w pierwszym punkcie nie mogę im pomóc, gdyż nie znam nic takiego, co mogłoby służyć przeciw Rządowi, natomiast co do drugiego punktu mogę im opracować plan przeprowadzenia tej sprawy. 'Trudności przy tym, dodałem, są wyłącznie natury psychologicznej, gdyż przez swoje postępowanie brutalne straciliście nasze zaufanie. Innych trudności nie ma, gdyż AK rozkazem Komendanta Obszaru została rozwiązana faktycznie'.

Wtedy ppłk Piotrowski odpowiedział, że pojedziemy do Lwowa, gdzie porozmawiam na ten temat z generałem, szefem kontrwywiadu 1 Frontu Ukraińskiego. Na tym badanie zostało skończone.

Takie było zasadnicze tło tego długiego badania. Niektóre momenty były ciekawe i przytoczę je obecnie:

a) Ppłk Piotrowski pokazywał mi szereg zdjęć z pobytu Sikorskiego w ZSSR. Na każdym zdjęciu stał on (ppłk Piotrowski) obok Sikorskiego. W ten sposób łatwo można dojść; kim właściwie jest i jaki ma stopień;

b) Ppłk Piotrowski powiedział w pewnym momencie szczerości: 'My z Anglią i Ameryką niby sojusznicy. Ale oni kapitaliści, a my komuniści i nigdy nie będzie zgody między nami. Anglicy już dziś tworzą sieć wywiadu u nas, ale my ją dobrze tępiemy. I AK też poszła na służbę angielską przeciw nam';

c) W innym momencie ppłk Piotrowski oświadczył mi: 'Jakie z was dzieci. To wy myśleliście, że my dopuścimy nie u Was ale w całej Europie, i nie Rząd ale choćby jednego człowie-

ka, który by nie był po naszej myśli? To się nigdy nie stanie’.

d) Od pierwszego przesłuchania w kontrwywiadzie 1 Ukraińskiego Frontu stale spotykałem się z twierdzeniem ppłk. Piotrowskiego, że nie jesteśmy aresztowani, a jedynie przetrzymani do sprawdzenia.

‘My, mówił, nie możemy was aresztować, bo jesteście żołnierzami alianckimi’. Na moje twierdzenie, że co innego mówiono w Kijowie i co innego oświadczył nam ppłk Kołomic, usłyszałem od ppłk. Piotrowskiego: ‘Ja za głupotę innych nie mogę odpowiadać’.

e) Gdym pytał o nasz los, ppłk Piotrowski odpowiedział: ‘My do was żadnej pretensji nie mamy i żadnej podstawy by was sądzić. Zrobi to polski sąd w Warszawie. Ale jak długo generał zachowa postawę, którą przyjął, nie możemy was zwolnić. Generał chciał odtwarzać 5 dywizję piechoty i chce, by Lwów był polski. My wam dywizji dać nie możemy’.

IV. Dnia 29 VIII zostałem przewieziony do Lwowa na rozmowę z szefem kontrwywiadu 1 Frontu Ukraińskiego. Osadzono mnie w willi na ul. Ponińskiego.

Dnia 30 VIII wezwano mnie do ppłk. Piotrowskiego, gdzie napisałem plan oddania broni i majątku organizacji. Plan ten składał się z dwóch części:

- 1) omówienie trudności psychologicznych,
- 2) sposób ich usunięcia polegający na powołaniu komisji w składzie przedstawicieli AK (Komendant Obszaru i Komendanci Okręgów), przedstawicieli Armii Czerwonej, przedstawicieli Armii Berlinga oraz przedstawicieli Rządu w Londynie.

Z gotowym planem poszliśmy do generała, szefa kontrwywiadu, któremu odczytałem swój plan. Generał zapytał mnie, jak to sobie praktycznie wyobrażam. Odpowiedziałem, że muszą Komendanta Obszaru wypuścić wraz z tymi, którzy będą mu potrzebni oraz poprosić Mikołajczyka o przysłanie kogoś. Generał zapytał, jak moim zdaniem ustosunkuje się Londyn do tej sprawy. Odrzekłem, że niewątpliwie przychylnie.

Wtedy generał oświadczył, że plan można wykonać, lecz muszą mieć dowód mojej dobrej woli. Tym dowodem będzie podanie sposobu dotarcia do ‘Julka⁵’ (szefa sztabu, który pozostał w konspiracji). Oni ze swej strony ręczą słowem honoru, że go nie ruszą. Na to odpowiedziałem, że nie można ode mnie wymagać dowodów niezgodnych z honorem żołnierza, i że powinno im wystarczyć, że chcę przeprowadzić zdanie majątku i uzbrojenia organizacji. Generał wysłuchał mnie i rzekł: ‘to pomyślimy o tym, a wy idźcie odpocząć’.

5. Płk dypl. Feliks Jansen vel Cyryl Janson.

Była to jedyna rozmowa we Lwowie. Dnia 6 IX przewieziono mnie do willi na ul. Kosynierskiej, skąd dnia 12 IX uciekłem.

V. Willa była zajęta na parterze przez wartę, na 1 piętrze przeze mnie. Za celę służył pokój umeblowany (łóżko, szafa i krzesła), o oknie zabitym deskami. Ściany wewnętrzne budowane na 1 cegłę były wstrząśnięte i porysowane od bombardowania. Futryny okienne powyrywane, szyby potłuczone.

W szafie znalazłem duży gwóźdź. Ponieważ schody mocno skrzypiały, a drzwi nie posiadały 'judasza' i trzeba je było otworzyć, by zajrzeć do wnętrza, nie obawiałem się zaskoczenia. Toteż lekko odsunąwszy szafę, zacząłem robić dziurę w ścianie, cały gruz zbierając na gazetę i sypiąc do pieca. Cegły wyjęte układałem znów na miejsce. Ponieważ tynk odstawał, pozostał nie naruszony od strony sąsiedniego pokoju.

Pracę zacząłem dnia 10 IX i w sześć godzin otwór był gotów na wysokości 1 m nad podłogą. Pozostawał tylko tynk od strony zewnętrznej.

Wtedy zacząłem się zastanawiać, czy warto uciekać i jak to się odbije na losach moich kolegów. Cały następny dzień wahałem się. Wieczorem po otrzymaniu kolacji zdecydowałem się uciec.

Wyjąłem cegły, gwóździem zrobiłem długą, wąską szparę w dole tynku zewnętrznego i przepchałem przez nią róg prześcieradła. U góry ostrożnie wykroiłem otwór, przez który przełożyłem rękę i przeciągnąłem na powrót prześcieradło. Wtedy prześcieradłem cicho wycisnąłem tynk do siebie. Otwór był gotów.

Rozebrałem się do naga i, po przerzuceniu rzeczy do drugiego pokoju, spróbowałem przejść. Była to trudna przeprawa, gdyż otwór był zbyt wysoko i zbyt wąski. Musiałem jeszcze dwie cegły usunąć. Wreszcie przelazłem. Ubrałem się, buty związałem na plecach i po długim czekaniu na dobry moment ześliznąłem się po słupie ganku do ogrodu.

Była prawie północ i padał drobny deszcz. Udałem się boso do mieszkania jednego z moich agentów w okolicy parku Stryjskiego.

Na drugi dzień posłałem meldunek 'Julkowi', lecz nie otrzymałem odpowiedzi. Po tygodniu czekania opuściłem Lwów i przeszedłem granicę 20 IX.

Nawiązałem kontakt z Dowództwem AK w Jarosławiu. Nie doszedłem jednak do porozumienia z nimi i postanowiłem czekać na zdobycie Warszawy lub Krakowa.

Zasadniczym tłem nieporozumienia w Jarosławiu był pogląd na dalszą pracę. Znałem instrukcję 'Nie' i byłem na nią zaprzy-

sięzony. Uważałem, że jest ona jedyną, jaką można wykonywać w obecnych warunkach. Dalszą pracę w ramach AK tymi samymi ludźmi i według tych samych schematów uważałem za nieopłacającą się. Ofiary musiały być zbyt wielkie w stosunku do celów, jakie mogliśmy osiągnąć.

Zresztą brak porozumienia nie zdziwił mnie. W Jarosławiu szefem był 'Bak' [ppłk Franciszek Rekucki — przyp. aut.], zastępca Komendanta Okręgu Lwów, którego znałem jako świetnego oficera, lecz mierny umysł.

VI. Dla zobrazowania całości muszę jeszcze powtórzyć zasadnicze linie rozmowy, jaką odbyłem z byłym [Okręgowym — przyp. aut.] Delegatem Rządu. Rozmowę przeprowadziłem w Lublinie, w końcu stycznia.

Delegata aresztowano w połowie sierpnia. Wyjazd do Lublina na rozmowę z Osóbką-Morawskim wymuszono na nim groźbą represji na wszystkich jego współpracownikach. Długa nocna rozmowa z Osóbką-Morawskim wpłynęła na to, że zdradził Rząd Polski i przeszedł do PKWN.

Motywy tej decyzji w skrócie były następujące:

a) Rząd Polski nie ma żadnej szansy powrotu do Kraju. Rozstrzygnięcia graniczne, jakie zapadły — są ostateczne. Rachuby na wojnę anglosasko-sowiecką są zupełnie bezpodstawne. Sprawa polska jest lewą do oddania w grze anglosasko-sowieckiej w zamian za inne do wzięcia.

b) Stalin jest zbyt realnym politykiem by zamierzał Polskę przekształcić w 17-tą republikę lub otwarcie narzucić Polsce ustrój bolszewicki. Sprawa suwerenności i polskości ustroju jest do wygrania tylko na płaszczyźnie umacniania polskości w PPS i Stronnictwie Ludowym, przeciwstawiając się PPR, które jest agiturą sowiecką.

c) W tej walce wewnętrznej jest niezbędnym, by jak najwięcej dobrych Polaków obsadzało stanowiska administracyjne i partyjne. Natura nie znosi próżni i jeśli tych Polaków braknie, stanowiska opanują męty z PPR.

d) Ta walka wewnętrzna już przyniosła szereg wyników, jak np. uchwalenie regulaminu wyborów samorządowych. Mają być tajne wbrew postulatowi PPR, który chciał je zrobić jawnie. Inna sprawa, że dzięki tej uchwale wybory zostały zawieszona na czas nie określony przez Bieruta.

Odniosłem wrażenie, że cały ten system jest zupełnie logiczny i posiada pewną dozę słuszności. Jednak rzeczywistość przeszła obawy Delegata, który wydawał się nią zgnębiony i nazwał ją 'straszonym koszmarem'.

Dlaczego Janina Fieldorf powierzyła ten dokument płk. „Zanowi”, trudno dziś ustalić. W zachowanej korespondencji nie ma o tym mowy. Być może uznała, że powinien się znaleźć wśród innych dokumentów przechowywanych przez „Zana”, którego łączyły z generałem nie tylko związki służbowe, tak przed wybuchem wojny w 1939 roku jak i w czasach konspiracji, ale także więzy serdecznej przyjaźni.

Stefan Krzywiak (1900-1983) ps. „Lech”, „Zan” był we wrześniu 1939 roku adiutantem operacyjnym 51 Pułku Piechoty Strzelców Kresowych z Brzeżan, którym dowodził płk August Emil Fieldorf. Po walkach w rejonie Iłży i rozwiązaniu pułku przybył wraz z Fieldorfem do Krakowa w dniu 25 września 1939 r. Chory na otwartą gruźlicę pozostał w kraju. Od stycznia 1940 roku działał w konspiracji w Krakowie. Podlegał mu rejon: koszary przy ulicy Rakowickiej, Osiedle Oficerskie i lotnisko. W lecie 1940 r. uciekł przed Gestapo i podjął pracę kasjera w nadleśnictwie w Starym Sączu. We wrześniu 1940 r. został wezwany do Warszawy, gdzie powierzono mu stanowisko szefa Wydziału Organizacyjnego w Oddziale I KG ZWZ-AK, na którym pozostał do końca 1943 r. Na początku 1944 r. przeszedł do „Nie” z zadaniem organizacji Obszaru Krakowsko-Śląskiego. W Powstaniu Warszawskim nie brał udziału. Po powrocie płk. A. Sanojcy z niewoli niemieckiej przekazał mu agendy Obszaru. Od września 1945 roku był w Zrzeszeniu WiN. Więziony w latach 1945 i 1950-1951.

Opracowanie: *Maria FIELDORF*
Leszek ZACHUTA

DWA LISTY PŁK. JANA RZEPECKIEGO DO STANISŁAWA MIKOŁAJCZYKA Z LIPCA 1945 R.

Jak wiadomo, płk Jan Rzepecki kierował Biurem Informacji i Propagandy AK i wchodził w skład Komendy Głównej AK. Po kapitulacji Powstania Warszawskiego wzięty do niewoli — wrócił z niej w lutym 1945 r., kiedy Armia Czerwona zajęła obszar (koło Pырzyc), gdzie znajdowali się jeńcy. Wobec aresztowania przez NKWD dowódcy AK, płk. Leopolda Okulickiego, przeprowadzającego rozkaz likwidacyjny AK (sprawa 16 przywódców podziemia), pełniący obo-

wiązki naczelnego wodza gen. Władysław Anders mianował (30 IV 1945) Rzepeckiego komendantem Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj¹, z zadaniem dokończenia akcji rozformowania AK. Wykonanie tego zadania było nader trudne. NKWD i UB tropiło akowców, szczególnie ich dowódców; aresztowało, wywoziło, torturowało i mordowało. Akowcy znaleźli się w potrzasku. Nie mogli podjąć otwartej walki wobec ogromu przewagi wroga, drogę zaś do normalnego życia cywilnego zamknięto im. W tej sytuacji chowali się, uciekali do lasu, tworzyli oddziały samoobrony, nazywane bandami przez stalinowców.

Rzepecki szukał rozwiązania tej kwadratury koła. Gdy na mocy układu jałtańskiego i wynikającego z niego porozumienia moskiewskiego powstał 28 VI 1945 tzw. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, b. premier rządu emigracyjnego, Stanisław Mikołajczyk wszedł do niego jako II wicepremier i minister rolnictwa i reform rolnych. Jan Rzepecki zwrócił się do niego, by pomógł rozwiązać problem nie tylko AK, także Wojska Polskiego i służby bezpieczeństwa. W tym celu wysłał do niego kolejno dwa listy. Pierwszy z notatką z datą 11 VII 1945 r., drugi 17 VII 1945 r. W pierwszym Rzepecki przekazał Mikołajczykowi swoją ocenę położenia politycznego Polski pod okupacją sowiecką, kładąc nacisk na problem bezpieczeństwa (UB i NKWD) oraz obecności Rosjan w Polsce i ich Armii Czerwonej. W drugim zajął się sprawą Wojska Polskiego, w tym AK i oddziałów zbrojnych na Zachodzie.

Oba dokumenty są warte opublikowania z różnych względów. Rzepecki wyłożył w nich nie tylko swoją opinię i propozycję, lecz także zdanie swych bezpośrednich współpracowników, słowem ówczesnej czołówki AK. Świadczą one, że dowódcy AK czynili wszystko co było w ich mocy, by rozładować podziemie zbrojne i wyprowadzić ludzi z lasu, z „potrzasku dziejowego” — jak to trafnie określił ks. kanonik Stanisław Kluz w swej książce o WiN. Zadają kłam propagandzie stalinowców o wojnie, wypowiedzianej „Polsce Ludowej” przez „reakcyjne” podziemie. Są chyba też dowodem pewnych złudzeń Rzepeckiego i jego podwładnych w odniesieniu do Stanisława Mikołajczyka, który absolutnie nie był w stanie rozwiązać tego problemu. Owszem, ogłoszono amnestię dla podziemia (2 VIII 1945), ale NKWD i UB świadomie wpędzało z

1. Wobec tego, że rozkaz gen. W. Andersa z 30 IV 1945 r. o zatwierdzeniu J. Rzepeckiego delegatem Sił Zbrojnych na Kraj bodaj nigdzie nie został opublikowany, podajemy jego tekst:

Nr 276/H z 30 IV otrzym(ane) z Centrali 13 V (555) Ożóg*. W ślad 222/H. Zatwierdzam Pana Pułkownika w charakterze Delegata Sił Zbrojnych na Kraj.

p.o. Nacz. Wodz.

(-) Anders Gen — 276/H 305**

Uwaga: Dep(eszy) 222/H nie otrzymaliśmy (Szyfrantki)

* — Ożóg — pseudonim J. Rzepeckiego.

** — Cyfra 5 słabo czytelna, może być 6.

powrotem akowców do „lasu” — aresztowaniami, prowokacjami, mordami kapturowymi. Bo Stalinowi potrzebna była w Polsce wojna domowa, by mógł Anglosasom powiedzieć: „Ot, jak można z tymi 'faszystami' polskimi się porozumieć” oraz by kontynuować swoją eksterminacyjną politykę wobec elity Polski Niepodległej i zapelniać łagry niewolnikami, darmową siłą roboczą.

Oba listy znajdowały się, przed laty, w aktach Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, z sygnaturą SR-947/46, czyli w dokumentach z procesu Rzepeckiego i innych. Czy jeszcze tam się znajdują?

Dokument jest rękopisem. Znajduje się w ww. aktach Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w postaci fotografii.

Panie Premierze,

Chcąc szczerze w miarę swych skromnych możliwości przyczynić się do poprawienia stanu rzeczy w kraju, pozwalam sobie przesłać Panu Premierowi moją ocenę położenia i płynące z niej wnioski, w szczególności dotyczące spraw wojskowych. Liczę, że zapoznanie się z jeszcze jednym oświeczeniem rzeczywistości krajowej ułatwi Panu Premierowi działanie celowe i zbawienne w skutkach. W opracowaniu swoim pominąłem ocenę szans powodzenia podejmowanego przez Pana Premiera kursu.

Ze względu na bezpieczeństwo ocenie swojej nadałem formę bezosobowej notatki. Proszę mi wierzyć, że jest ona wyzuta z wszelkiej namiętności w traktowaniu najbardziej nawet roznamietniających zagadnień. Użyte w niej silne wyrażenia służą tylko dla podkreślenia, że wypowiediane przez nie myśli oparte są na niewzruszonych według mnie podstawach rozumowych.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i szczerzej życzliwości

OCENA POŁOŻENIA W DNIU 11 VII 1945 R.

1. Położenie wytworzone przez „kompromis moskiewski” jest wynikiem daleko idącej anglosaskiej ustępliwości wobec Rosji i w praktyce stanowi pozostawienie jej wolnej ręki we wpływanu na urządzenie się Polski. Ta „zdrada Anglosasów”, to „porzucenie Polski na pastwę Rosji” jest realnym faktem, stwarzającym dla Polski nowe warunki walki o swój byt jako narodu i o demokratyczne prawa obywatelskie jednostki.

Chociaż rozsądek każe liczyć się przede wszystkim z gorszą hipotezą, tj. że stan będzie długotrwały, to jednak nie wolno pomijać możliwości jego stosunkowo szybkiego przerwania, a to ze względu na zasadnicze i niezmiennione dotychczas w niczym przeciwieństwa imperiów anglosaskich i sowieckiego. Historia ostatnich 40 lat uczy, że wszystkie wielkie konflikty wybuchały

stosunkowo nagle i były poprzedzane namiętym publicznym udowadnianiem, że możliwości konfliktu nie zachodzą i wyrzekaniem się zamiarów wojennych przez obie strony. Tak było przed r. 1914, przed r. 1939 i przed starciem niemiecko-sowieckim w r. 1941.

2. Drugim podstawowym zupełnie realnym faktem jest bezwzględnie negatywny stosunek olbrzymiej większości narodu polskiego do narzuconego mu przez reżim lubelski stanu rzeczy w kraju i płynąca stąd wola walki z nim.

Ten negatywizm rośnie, a nie maleje. „Kompromis moskiewski”, mający jak dotychczas wszystkie pozory zwycięstwa Moskwy i Lublina, został powitany z pewną ulgą, nie dla swej treści, a dlatego, że zdaje się stwarzać lepsze warunki walki z „Lublinem” o te zasadnicze cele i ideały, których umiłowanie jest narodowi polskiemu właściwe, a które przez „Lublin” są ignorowane, deptane i sprzedawane, tj. o niezawisłość narodu i o wolność i równość obywateli. Bez względu na swoje pochodzenie ten rząd, który szczerze i z powodzeniem będzie o te ideały walczył, będzie rządem dobrym, uznanym i popularnym — ten, który wykaże bezradność, brak energii bądź [będzie] usypiał społeczeństwo pozorami walki i jej wyników — będzie zwalczany, potępiany i z czasem znieawidzony. Dotyczy to zarówno rządu jako całości, jak i poszczególnych ministerstw. Tej elementarnej prawdy, wynikającej z natury polskiego narodu nic zmienić nie zdoła.

3. Powyższa teza rzuca właściwe światło na dzisiejszą wielką popularność premiera Mikołajczyka. Otrzymuje on od społeczeństwa olbrzymi zakładowy kapitał zaufania w nadziei, że tę walkę o wolność, równość i niepodległość podejmie i uzyska widome oznaki powodzenia. Niespełnienie tych nadziei będzie grobem popularności i wielkości „ludzi z Londynu”, którzy wzięli czynny udział w realizacji „kompromisu moskiewskiego”.

Za główne, najbardziej miarodajne odcinki walki o wolność, równość i niezawisłość należy uważać sprawy a) tzw. bezpieczeństwa, b) wojska (w tym poważne miejsce zajmuje sprawa AK) i c) przeprowadzenie uczciwych wyborów.

4. Dzisiejszy stan tzw. „bezpieczeństwa” jest bodaj najgroźniejszym i najbardziej wszechstronnym niebezpieczeństwem, zagrażającym celom i ideom narodowym Polaków, ponieważ:

a) Min. Bezpieczeństwa [jest] praktycznie nieodpowiedzialną, a samowolną władzą, wobec której bezsilne są często najwyższe czynniki państwowe, co stanowi elementarną obrazę praworządności w pojęciu polskim i zachodnioeuropejskim.

b) Polskie organy bezpieczeństwa wysługują się takimże organizacjom sąsiedniego państwa, ułatwiając im uprawianie samo-

woli policyjnej na terenie Polski, a nawet wydając w ich ręce aresztowanych przez siebie ludzi, co godzi wyraźnie w zasadę niezawisłości Polski.

c) Organy bezpieczeństwa stale stosują metody pracy skopiowane ściśle z ohydnych metod osławionych „czerezwyczejki” (GPU, NKWD, NKGB) i Gestapo, co obraża dotkliwie drogi Polakom ideał wolności i godności człowieka. Bez żadnej przesyady stwierdzić należy, że społeczeństwo polskie ocenia „urzędy bezpieczeństwa” jako stałe, groźne niebezpieczeństwo i nie ma do nich żadnego zaufania. Tym się tłumaczy przede wszystkim powszechny i żywiołowy pęd do organizowania i utrzymania uzbrojonej społecznej samoobrony przed donosicielami, szpicłami, prowokatorami i patrolami „służby bezpieczeństwa” i ekspedycjami pacyfikacyjnymi. Z naciskiem podkreślić trzeba, że zgodnie z tezą zawartą w p. 2, dopóki kierownictwo, skład i metody pracy „służby bezpieczeństwa” nie ulegną zmianie i dopóki nie ustanie w Kraju grasowanie policji obcej, nie należy liczyć na dobrowolne rozbrojenie się społeczeństwa.

Nie pomogą tu żadne apele, wezwania, podstępne chwytły propagandowe i groźby. Nie dozna poparcia i uznania rząd, który wrzodu „służby bezpieczeństwa” nie rozetnie i nie wyleczy. Rząd, który wrzód ten będzie tolerował, będzie zniechędzony.

Sprawa „bezpieczeństwa” jest zagadnieniem kluczowym dla stworzenia warunków potrzebnych dla politycznej, społecznej i gospodarczej odbudowy kraju na demokratycznych zasadach wolności, równości i sprawiedliwości. Uczciwe załatwienie jej otwiera drogę do słusznego załatwienia zasadniczych spraw, wojska i wyborów powszechnych, niezałatwienie czyni iluzorycznymi wszystkie osiągnięcia w tamtych dziedzinach.

5. Drugim probierzem wartości i rzetelności moskiewskiego kompromisu i celowości tej polityki polskich niezależnych polityków, biorących w nim udział będzie sposób załatwienia sprawy połączenia w jedną całość różnych członów sił zbrojnych: żołnierzy — jeńców z 1939 r., wojska emigracyjnego, żołnierzy rozwiązanej AK i wojska Żymierskiego.

Jeżeli nie odbędzie się to na zasadach równości w traktowaniu rzetelnych zastęg bojowych i obecnej przydatności, jeżeli — jak się na to zanosi — wokół wojsk Żymierskiego będzie budowana nachalnie przesadna legenda, zasługi innych wojsk będą ignorowane, a ich żołnierze przesiewani przez gęste sito polityczne, to zaciążyć musi to w sposób złowrogi na „morale” nowego wojska Rzeczypospolitej tak, jak przed wojną obecną ciążyło forytowanie legionistów.

Drugim nieodpartym postulatem przy scalaniu wojska jest nie-

wątpliwie szybkie oczyszczenie go z elementu obcego tzn. rosyjskiego. Widzieliśmy w oddziałach polskich instruktorów i doradców z wojsk obcych, ale nie obrażało to uczuć narodowych żołnierza, bo jego przełożonym i dowódcą był zawsze oficer polski, a obcokrajowcy nie przebierali się w polskie mundury. Bywali u nas (rzadko) „kontraktowymi” oficerami ale kończyli przedtem polskie szkoły wojskowe i nie mieli obywatelstwa obcego.

Niewątpliwie niektórzy służący obecnie w wojsku polskim Rosjanie są tylko dzielnymi żołnierzami i dobrymi dowódcami, inni jednak są agentami obcymi. Jedni zyskują sobie szacunek podwładnych, ale inni wnoszą metody pełnienia służby obce całkowicie polskiej tradycji i kulturze żołnierskiej, zatruwają wręcz ducha oddziału i wytwarzają stosunki nie do wytrzymania. Nienawisć do przełożonych jest w wojsku Żymierskiego na porządku dziennym. Na marginesie trzeba stwierdzić, że przez Rosjan obsadzone są w 80% wszystkie sztaby, kwatermistrzostwa oraz „delikatne” działy służby, jak wywiad, lotnictwo itp. Równocześnie zaś setki dobrych oficerów polskich różnych stopni nie są do wojska powoływane, jako „politycznie niepewne”, przy tym określenie to jest zupełnie dowolnie stosowane.

Ten stan sprawia, że ani żołnierz w wojsku Żymierskiego nie czuje się jak w wojsku polskim, ani społeczeństwo wojska tego nie uważa za swoje, choć wcielonemu doń żołnierzowi współczuje. Mimo „zakończenia wojny” dezercja z tego wojska jest olbrzymia i wypełnia lasy w stopniu niepokojącym. Stwierdzić przy tym z naciskiem muszę, że podziemne organy wojskowe zjawisku temu przeciwdziałają, choć niewątpliwie zyskałyby sobie wielką popularność postępując przeciwnie.

Bez szybkiego usunięcia Rosjan z wojska polskiego nie może być mowy o szybkim uzdrowieniu jego ducha. Wobec spodziewanego powrotu do kraju wojsk emigracyjnych, posiadających bardzo liczną i nowocześnie znakomicie wyszkoloną kadre, nie powinno to nasuwać większych trudności. Drugim zabiegiem ułatwiającym „spolszczenie wojska polskiego” powinna być szybka jego demobilizacja. Odbywająca się ciągle nieuzasadniona niczym mobilizacja pobudza alarmy wojenne, sieje niepokój i podejrzenia, że ma służyć celom politycznym, nie mówiąc już o gospodarczych i społecznych skutkach, jakie za sobą pociągną.

Bynajmniej nie najmniejszej wagi jest sprawa AK, a właściwie żołnierzy byłej AK. Wbrew temu, co lansuje nieuczciwa propaganda, AK jest rozwiązana i przestała być pojęciem organizacyjnym. Gdziekolwiek rzeczywiście niektóre oddziały czy części siatki terenowej rozwiązania dokonały z opóźnieniem lub

wręcz odmówiły, ale przede wszystkim wynikało to z przyczyn opisanych w punkcie 2 i 4, jest żywiołowym zjawiskiem społecznym. Dopóki nie zmieniają się warunki polityczne, w szczególności zaś warunki bezpieczeństwa, nie ma instancji, która by ten stan zmieniła bez wytępienia ludności okolicy dotkniętej zarazą AK. Bez przesady i z całą powagą trzeba stwierdzić, że AK stała się symbolem walki o niepodległość prawdziwą, symbolem pięcioletniej postawy całego narodu i chociaż AK jako organizacja nie istnieje, to „żołnierzy AK” jest coraz więcej, to już prawie cały naród. Symbolu i nastroju nie można rozwiązać żadnym rozkazem. AK, której szeregi objęły liczne zastępy organizacji wojskowej PPS i Bataliony Chłopskie, była w swej masie najbardziej demokratyczną częścią wojska polskiego i częścią najsilniej ze społeczeństwem związaną. Jej krzywdą jest krzywdą całego społeczeństwa krajowego, jej rany są jego ranami. I dlatego nie może nastąpić uspokojenie umysłów w kraju i sprawiedliwe scalenie polskich sił zbrojnych, dopóki nie powrócą z sowieckich więzień i obozów żołnierze AK.

Uwięzieni tylko dlatego, że pięć lat walczyli ofiarnie z Niemcami pod okupacją, a następnie świadomi zawartego w tym ryzyka, z całym zaparciem się siebie, wystąpili do walki jawnej u boku wojsk sowieckich na rozkaz swego rządu. Przy tym nie należy pomijać moralnego znaczenia faktu, że ten zasadniczy rozkaz, którego następstwem była akcja „Burzy” rozpoczęta na Wołyniu, kontynuowana na Wileńszczyźnie, w Małopolsce, w Lubelszczyźnie, w Warszawie i w Kielcach, był wynikiem instrukcji nadesłanej w listopadzie (grudniu?) 1943 r. przez ówczesnego premiera Mikołajczyka. Znaczna ilość żołnierzy AK wie, że ówczesny Wódz Naczelny, Sosnkowski, żądał nieujawniania się i pozostania w konspiracji, ale Dowództwo AK, które wbrew twierdzeniu nieuczciwej propagandy nigdy nie nakazywało działań wrogich w stosunku do wojsk sowieckich, oparło się temu i poparło żądanie premiera. Jest to fakt historyczny.

Toteż dzisiaj społeczeństwo i liczna rzesza rozproszonych żołnierzy AK oczekuje, że premier Mikołajczyk osłoni ich przed prześladowaniem przez obcą polską służbę bezpieczeństwa, że wydobędzie z więzień ich kolegów i korzystając z atmosfery „Jedności Narodowej” uzyska dla nich sprawiedliwy udział w pracy nad odbudową Polski, a zwłaszcza jej sił zbrojnych, w których, podkreślam, stanowić będą najbardziej demokratyczny, a narodowo i społecznie uświadomiony czynnik. Na zakończenie przeglądu scalenia wojska stwierdzić należy, że dla jego zdrowia moralnego jest absolutnie niezbędne, aby na jego czele stali szczerzy demokraci, ale zarazem ludzie o wypróbowanej sile charakteru, uczciwości i lojalności. Jest to niewątpliwie ważniejsze

od ich poglądów politycznych. W przeciwnym razie „ryba będzie gnici od głowy” i wychowanie zdrowego demokratycznie wojska będzie niemożliwe.

6. Oceniam, że wszystkie wyżej wymienione ważne i mniej ważne pociągnięcia uzdrawiające stan rzeczy w kraju i mogące stanowić dowód, że w Polsce naprawdę tworzy się nową lepszą rzeczywistość zachować mogą charakter tylko łatwych do odwrócenia aktów czysto administracyjnych, bądź chwytów taktyczno-politycznych, dopóki wartość ich nie zostanie utrwalona przez rzetelne przeprowadzenie demokratycznych wyborów. Dopóki [to] nie nastąpi — całkowicie usprawiedliwioną jest nieufność grup i jednostek, które w ciągu ostatnich kilkunastu lat widziały tyle samowoli, nadużycia władzy, ucisku i terroru.

Sądzę, że byłoby dowodem rozumu politycznego i wielkości ludzi rządzących, gdyby nie dopuścili do prześladowania tych nieufnych, gdyż uczciwe wybory z całą pewnością spowodują zniknięcie tej kategorii ludzi i zakończenie wszelkiego ukrywania się i konspiracji, tak jak wybory nieuczciwe muszą wywołać skutek odwrotny. Wynika to zresztą z natury Polaków, że dopóki niezawisłości narodu i wolności obywatela nie odzyskają, będą o nie walczyć, jawnie lub konspiracyjnie. I tego nie zmienią żadne uchwały, układy i rozporządzenia. I z tym musi się liczyć każdy realny polityk w Polsce.

17 lipca 1945 r.

Panie Premierze!

W poprzednim liście miałem zaszczyt wyłożyć swój pogląd na położenie w kraju. Obecnie chcę skoncentrować Pana uwagę na zagadnienia ściśle wojskowe, gdyż uważam, że Pan właśnie jest najbardziej powołany do tego, by spowodować scalenie polskich sił zbrojnych na zasadach zdrowych i twórczych. Ja zaś, który skończę niedługo swój żywot jako Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, mam obowiązek przekazać Panu swoje na ten temat myśli i wnioski. Ujmuję je w 4 części.

- I. Ocena stanu duchowego i osobowego różnych części wojska.
- II. Zarys projektu rozwiązania całokształtu zagadnienia w sposób najbardziej odpowiadający moim zdaniem pożytkowi kraju i jego sił zbrojnych: oceniam, że dla zrealizowania takiego projektu można by osiągnąć szczerą współpracę wszystkich żołnierzy-demokratów, a nawet wykrzesać z nich zapal.

- III. Projekt minimalny: honorowej i sprawiedliwej likwidacji konspiracji wojskowej w kraju — na wypadek gdyby Pan nie widział możliwości realizacji programu „dużego”.
- IV. Posunięcia wstępne, które umożliwiłyby spokojne przeprowadzenie jednego z powyższych projektów.

I. Stan różnych części wojska

A. Wojsko Żymierskiego

Autorytet marszałka Żymierskiego prawie żaden. Stosunek uczuciowy żołnierzy do Naczelnego Dowódcy waha się od lekceważenia do nienawiści, z wyjątkiem tych, którzy osobiście mu coś zawdzięczają i tych, którzy czują się zależni od niego, a raczej uważają się za mandatariuszy innych czynników w wojsku.

Całość wojska nastrojona jest wybitnie antysowiecko, w wielkim procencie także antylubelsko, nie dlatego, by była antydemokratyczna, lecz w wyniku stosowanej w sprawach wojskowych polityki. W szczególności działa tu obecność i pozycja oficerów sowieckich, o czym już wspomniałem w poprzednim liście. Na drugim miejscu działa instytucja oficerów polityczno-wychowawczych i ich nachalne i nieinteligentne wykonywanie obowiązków. Trzecim czynnikiem destrukcyjnym jest jaskrawo krzywdzący stosunek do czynników w wojsku decydujących do oficerów z r. 1939 i do AK.

B. Wojsko emigracyjne

Dane co do jego stanu nie są ścisłe, ale bez wielkiej pomyłki można ocenić je następująco: autorytet Naczelnego wodza, gen. Bora-Komorowskiego niewątpliwie żaden, co sprzyja ewentualnemu powodzeniu agitacji „lubelskiej”. Tęsknota za krajem, podsycana przez niewątpliwie błędną politykę utrudniania powrotu (o ile prawdziwe są doniesienia krajowej prasy) łagodzi antysowieckie nastawienie tego wojska. Znalazłszy się w kraju i zaznajomiwszy się z warunkami, ci ludzie niewątpliwie upodobnią się do żołnierzy Żymierskiego. Apele generałów „optujących” na rzecz Rządu Jedności nic tu nie pomogą o ile stosunki w wojsku nie ulegną zmianie. Tzw. „reakcyjne” nastawienie części emigracyjnego korpusu oficerskiego jest zjawiskiem, które można opanować i zmienić bez masowego stosowania drańskiej metody banicji. Przy rozsądnym i budzącym zaufanie kierownictwie jest to zupełnie łatwe do wykonania.

C. Żołnierze byłej AK

O tej grupie, którą pod względem nastrojów i światopoglądu trzeba identyfikować z całym demokratycznym społeczeń-

stwem krajowym, wypowiedziałem się szerzej w poprzednim liście. Dodam tylko, że jest to niewątpliwie grupa najwięcej uspołeczniona i najszczerzej demokratyczna, co jest wynikiem sześciolletniego życia w walczącym społeczeństwie. Grupa ta jest pełna dobrej woli, natomiast ma dotkliwe poczucie wielkiej krzywdy, która jej się dzieje.

II. Zasady pełnego, sprawiedliwego i zdrowego scalenia demokratycznych sił zbrojnych.

Konieczne jest zasadnicze rozwiązanie zagadnień:

- A. Demobilizacji.
- B. Kierownictwa Sił Zbrojnych.
- C. Skompletowanie kadry nowych Sił Zbrojnych.
- D. Drażliwej sprawy AK.

A. Demobilizacja

Obecny stan jej jest wysoce szkodliwy. Wojsku Żymierskiego brak koszar, wynikiem czego jest uciążliwy dla ludności kwaterunek — nonsens społeczny i gospodarczy z punktu widzenia stanu budynków w Polsce. Wojsku jest brak mundurów i żywności, co wielokrotnie jest powodem dezercji. Również brak mu odpowiednich dowódców, co rozkłada je duchowo. Wielkie sumy są wydawane na wojsko nieproduktywnie, bo nie walczy ono i ledwie wegetuje. Żołnierz jest konsumentem zamiast brać udział w odbudowie kraju. Czuje on to i burzy się. Radykalna demobilizacja odciąży państwo gospodarzo, rozładuje częściowe nastroje w wojsku i społeczeństwie, ułatwi administracyjne i personalne uporządkowanie wojska, wyeliminuje z niego element niepożądany oraz opanuje go duchowo. Jednak ze względów moralnych wojsko emigracyjne powinno być zdemobilizowane w kraju. Każdy Polak musi mieć prawo mieszkania w kraju. Formowanie męczenników-banitów musi jątrzyć i nie jest zgodne z duchem demokracji.

B. Kierownictwo

W składzie kierownictwa powinni się znaleźć niejako mężowie zaufania wszystkich scalonych odłamów wojska. Dawałoby to wszystkim gwarancję, że scalenie i dalsza praca odbędzie się zgodnie z przyjętym planem i w duchu sprawiedliwości. Ludzie stanowiący przeszkodę do wytworzenia podniesłego nastroju konstruktywnej pracy dla lepszej przyszłości powinni być odsunięci od kierownictwa, dla dobra służby bez osobistej dyskwalifikacji i krzywdy. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby skasowanie zbędnego po zakończeniu wojny stanowiska

Naczelnego Wodza, co usunęłyby z gry obie [osoby] drażniące stosunki osobowe, marsz. Żymierskiego i gen. Komorowskiego. Skłonienie tego ostatniego do rezygnacji uważam za wykonalne i mógłbym wskazać prowadzące do tego sposoby. Stanowisko ministra obrony narodowej powinien zająć człowiek cieszący się zaufaniem rzeczywistej opinii w kraju, mający życzliwy stosunek do wszystkich odłamów wojska (ustnie mógłbym podać nazwiska takich osób²). Minister mógłby mieć trzech zastępców:

- 1) od spraw wychowawczych — gen. Spychalskiego;
- 2) od spraw organizacyjno-personalnych i szkoleniowych (nazwiska kandydatów ustnie);
- 3) od spraw administracyjnych.

Szefem Sztabu Głównego powinien być fachowiec Polak, o dużym autorytecie w całym wojsku, nieobciążony politycznie. Zdaje się odpowiadałby tym warunkom gen. Kopański. Kierownictwo w ten sposób zestawione byłoby zapewne przez wszystkich żołnierzy z małymi wyjątkami przyjęte z zadowoleniem i ulgą.

C. Kadra

Kadra scalonego wojska musi składać się z trzech elementów:

1. Oficerów służby stałej sprzed roku 1939 (tu zaliczam i oficerów z regularnych szkół na emigracji).

2. Oficerów czasu wojny, wymianowych w wojsku Żymierskiego i w AK.

3. Wychowanków nowych szkół oficerskich. Oficerowie rezerwy, jako ludzie posiadający fach cywilny, powinni być jak najszybciej zdemobilizowani i odbudować kraj w innych dziedzinach. Spośród oficerów służby stałej i czasu wojny nie należy nikogo zmuszać do służby w wojsku, co najmniej namawiać do tego najbardziej wartościowe jednostki, jeśliby chciały wojsko opuścić.

Kilka słów o powyższych trzech kategoriach oficerów:

1. Kadra zawodowa musi być przeszkolona nowoczesnie i musi być „oczyszczona politycznie” z elementu jaskrawo „reakcyjnego”, ale nie przez zbyt gęste i fanatyczne sito. Wskutek wyniszczenia wojskowego oraz dobrowolnego wychodzenia z wojska niewiele z niej zostało. Jej reakcyjność jest stanowczo przeceniana, a masowe rugi muszą zaognić stosunki.

2. Oficerowie czasu wojny z wojska Żymierskiego i AK muszą ulec zawodowemu przeszkoleniu i sprawiedliwemu sklasyfikowaniu, bez czynienia między nimi różnic politycznych.

3. Nowe szkoły należałoby planowo wypełnić odpowiednim

demokratycznym elementem. Wychowanie uczniów nie powinno polegać na nachalnym tłoczeniu w nich doktryny wyznaczonej przez jakąś partię, lecz [na] wpajaniu im znajomości podstawowych praw, zasad praworządności i zasad demokracji. (Tę samą akcję trzeba by prowadzić wśród kadry już pracującej, ale też na poziomie naukowym, a nie wiecowym).

Na marginesie tzw. „wychowania wojska” trzeba zaznaczyć, że wojsko i jego kadra są i będą odbiciem społeczeństwa, z którego wyrastają. Dlatego nie jest celowe gwałtowne nadawanie wojsku jakiegoś oblicza społeczno-politycznego. Wojsko wychowuje się przede wszystkim przez wychowanie społeczeństwa, a nie odwrotnie. To rzuca właśnie światło na instytucję „oficerów polityczno-wychowawczych”. Zatruwają oni atmosferę w wojsku nieinteligentną, niedołązną i nachalną pracą polityczno-wychowawczą, podrywają dyscyplinę i autorytet dowódców, przypisują sobie prawo kontroli nad lojalnością dowódców i często okazują im lekceważenie. Sądzę, że powinno wystarczyć centralne kierowanie wychowaniem wojska przez wyposażonego w odpowiedni sztab jednego z zastępców ministra. Wychowywać wojsko muszą normalni, hierarchiczni dowódcy. Jest to jedyne zdrowe rozwiązanie. Oficerowie polityczno-wychowawczy powinni być skasowani, względnie sprowadzeni do roli oficerów oświatowych.

Jestem przekonany, że dwa lata mądrej i konsekwentnej polityki powinny wystarczyć, by zrobić zupełnie nieistotnym straszak „reakcyjności” nastrojów w wojsku. Omawiając zagadnienie kadry nie można pominąć sprawy „Rosjan” (i w ogóle cudzoziemców) w wojsku. Do poprzednio wyrażonych myśli dodam tylko wniosek: obcokrajowcy są nie do zniesienia jako dowódcy i przełożeni. Kto jest rzeczywiście potrzebny, powinien być zakontraktowany jako instruktor, czy doradca. Wtedy dobre ułożenie się stosunków z nimi jest zupełnie możliwe. Inne ich ustawienie jest szkodliwe dla uporządkowania wojska.

D. Sprawa AK

1. Żołnierze AK muszą być wszyscy zwolnieni z więzień i obozów. Jest to akt sprawiedliwości konieczny dla rozładowania nastrojów.

2. Następnie muszą być potraktowani jako wszyscy inni i nie szykanowani.

III. Likwidacja konspiracji wojskowej

Na honorową i sprawiedliwą likwidację tej konspiracji musiałyby się złożyć:

1. Wypuszczenie uwięzionych AK-owców i danie im możliwości życia w poczuciu bezpieczeństwa i bez szykan.

2. Uzyskanie od Naczelnego Wodza gen. Komorowskiego polecenia likwidacji konspiracji lub zgody na nią. To ostatnie można by łatwo i szybko osiągnąć, jeśliby zostało ułatwione bezpośrednie porozumienie się z nim przez emisariusza lub listownie. Szczegóły mógłbym podać ustnie.

IV. Posunięcia wstępne

Ze strony władz Tymcz. Rządu Jedności Narodowej i władz rosyjskich:

1. Zaprzestanie aresztowań, aby umożliwić porozumiewanie się.

2. Załatwienie delegatowi Sił Zbrojnych porozumienia się z gen. Komorowskim.

Ze strony „Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj”:

1. Jeszcze silniejsze oddziaływanie przeciwko nieobliczalnym wybrykom.

2. Zaprzestanie na czas porozumiewania się, działalności propagandowej i radiowej.

Wprowadzenie tego „stanu zawieszenia broni” wymaga dla naszej strony pewnego czasu.

Z obu stron:

Podanie do publicznej wiadomości faktu pertraktacji, ich celu i warunków.

Powyższe moje uwagi zestawilem powodowany tylko dobrem ogólnym. Wykorzystanie ich pozostawiam całkowicie uznaniu Pana Premiera.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Delegat Sił Zbrojnych na Kraj
OŻOG

Andrzej PACZKOWSKI

UB A POŁĄCZENIE SL I PSL W 1949 ROKU

Przedstawimy poniżej dokument stanowi, w pewnym sensie, dalszy ciąg anonimowego rozkazu — a raczej projektu rozkazu — z 2 listopada 1947 roku opublikowanego w nr. 93 *Zeszytów Historycznych* (s. 207-211). Jest on krótszy, znacznie bardziej treściwy, mniej miejsca zajmują w nim „uzasadnienia” ideologiczne, ale polityczna otoczka poleceń czysto policyjnych jest jasno wyłożona, zaś język nie odbiega od tego, którego używano w antymikołajczykowskiej propagandzie. Wydaje mi się, że nie ma potrzeby komentowania tego dokumentu, gdyż uczyniono to wystarczająco opisując ten z 2 listopada 1947: dodać tylko można, że ZSL było — przynajmniej w latach 1950-ych — niezwykle głęboko (i wysoko) spenetrowane przez UB. Dwie tylko uwagi na marginesie poleceń przekazanych przez Julię Brystygierową do wszystkich komendantów Wojewódzkich Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP). 1. Z nieznanymi mi przyczyn „Kongres Jedności” odbył się nie w maju a dopiero w listopadzie (27-29) 1949 roku a poprzedziło go wspólne posiedzenie rad naczelnych w dniu 25 września. 2. Pewną ciekawostką, ale dobitnie podkreślającą satelitarny charakter SL, jest króciutki list Władysława Kowalskiego (został prezesem NKW ZSL) do Bieruta, który przytaczam tu w całości:

„Otwock 13 VI 49

Drogi Bolesławie

Posyłam mój referat do kontroli [i] proszę bardzo o uwagi, bo nie chciałbym palnąć jakiegoś głupstwa.

Przy okazji załączam również 'Rodzinę Mianowskich' [powieść Kowalskiego, który był pisarzem] z prośbą o przyjęcie.

Łączę serdeczny uścisk dłoni

Władysław Kowalski”

List ten znajduje się w papierach Bieruta w VI Oddz. AAN.

Andrzej PACZKOWSKI

DO:

SZEFA WOJEWÓDZKIEGO URZĘDU
BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO
i NACZELNIKA V WYDZIAŁU
WSZYSTKIE WUBP

1. *gen. Romkowski*
2. *nieczytelne*
3. *nieczytelne*

W miesiącu maju 1949 r. odbędzie się Kongres Jedności Ruchu Ludowego, na którym SL i PSL połączą się w jedną partię chłopską. Zjednoczenie to ma bardzo ważne znaczenie polityczne ponieważ zakończy okres rozbitcia ruchu ludowego wywołanego w swoim okresie przez reakcyjną grupę Mikołajczyka.

Wszystkie demokratyczne elementy Ruchu Ludowego skupią się w jednej organizacji politycznej chłopów pracujących, która obok PZPR będzie realizować budowę Polski Socjalistycznej.

Reakcja mimo rozbitcia jej legalnej bazy jaką było mikołajczykowski PSL nie zrezygnowała z prób wdzierania się do legalnych organizacji. Tworząc zakonspirowane grupy kierowane przez ośrodek emigracyjny równolegle nasyła swoje „wtyczki” i stara się przy pomocy swoich ludzi opanowywać różne ogniwa demokratycznych organizacji ludowych.

Przed Organami Bezpieczeństwa Publicznego prowadzącymi nieustanną walkę z wrogą działalnością w każdej formie stanęło obecnie zadanie zabezpieczenia szeregów nowej partii chłopskiej przed napływem do niej elementów wrogich od samego początku jej organizowania.

Dla wykonania tego odpowiedzialnego zadania należy:

1) Zwrócić uwagę na wybory delegatów na Kongres ażeby poprzez agenturę i czynniki demokratyczne móc wpływać na eliminowanie kandydatów rekrutujących się z elementów wrogich.

2) Stałymi delegatami na Kongres mają prawo być członkowie Rad Naczelnych oraz Prezesi Wojewódzkich i Powiatowych Zarządów SL i PSL.

W celu wyeliminowania spośród nich elementów wrogich należy przyspieszyć zbieranie materiałów ich kompromitujących i przez dostarczenie czynnikom demokratycznym wpłynąć na usunięcie ich z zajmowanego stanowiska partyjnego jeszcze przed Kongresem, a tym samym utracą prawo być delegatami.

3) Należy liczyć się z tym, że pewna część elementów prawicowych i podejrzanych wejdzie w skład delegatów chociażby z tego względu, że nie na wszystkich można zebrać konkretne dowody ich reakcyjnej działalności. Dlatego też trzeba zabezpieczyć się przed ewentualną ich wrogą działalnością na Kongresie i wpłynąć na niedopuszczenie do nowych władz partyjnych wybieranych na Kongresie.

W tym celu należy przeprowadzić celowe werbunki wśród tego elementu.

4) W związku z uchwałami Kongresu połączeniowego SL i PSL wróg może inspirować rozwiązywanie się niektórych dołowych organizacji PSL wzgl. SL w celu niedopuszczenia do zorganizowania jednej demokratycznej partii chłopskiej na danym terenie. Do naszych zadań będzie należeć:

- a) zawczasu ujawniać te zamiary
- b) zastosować środki profilaktyczne wobec inspiratorów
- c) zaostrzyć uwagę czynników demokratycznych by sparaliżowały podobne próby w samym zarodku.

5) Nowa zjednoczona partia chłopska winna mieć wyraźne klasowe oblicze w każdym jej ogniwie organizacyjnym i dlatego do jej władz kierowniczych winni wchodzić mało i średniorolni chłopi. Nie należy sugerować się rzekomym lojalnym stosunkiem do demokracji działaczy rekrutujących się ze środowiska klasowo obcego tylko należy wpływać na hamowanie ich udziału w ogniwach kierowniczych.

Połączenie się stronnictw chłopskich winno być również wykorzystane dla oczyszczenia aktywu ruchu ludowego z elementów karierowiczowskich, niemoralnych i uprawiających nadużycia materialne, ponieważ elementy takie kompromitują w masach chłopskich demokratyczną organizację i odpychają je od aktywnego w niej udziału.

6) W raportach miesięcznych należy szczegółowo informować o przebiegu wszelkich imprez przedkongresowych podając nazwiska wybranych delegatów z załączeniem charakterystyk.

Natomiast o wszelkich sygnałach wrogiej działalności, zamierzeniach i próbach uprawiania dywersji w związku z Kongresem oraz o przedsięwzięciach operacyjnych skierowanych na ich udaremnienie należy meldować raportem specjalnym do Wydz. II Departamentu V MBP na ręce ppłk. Więckowskiego.

**DYREKTOR DEPARTAMENTU V MBP
BRYSTYGIER**

Witold DWORZYŃSKI

BIOGRAFIA WIENIAWY

W panteonie Dwudziestolecia Bolesław Wieniawa-Długoszowski jest postacią wyjątkową. Aby tego dowieść, wystarczyłoby wymienić choć tylko liczne profesje, którymi się parał. Tymczasem do pełnego obrazu należy dodać jego niezwykłą popularność w Polsce międzywojennej, urzekającą osobowość, nieskazitelne maniery oraz towarzyszącą mu jeszcze za życia legendę. Legendę, dodajmy od razu, bardzo jednostronną, zafalszowaną czy wręcz, użyjmy określenia A. Słonimskiego, „załganą”. I właśnie próbę „odełgania” legendy Wieniawy podjął w swej pracy Jacek M. Majchrowski¹.

Książka oparta została głównie na literaturze naukowej i popularnonaukowej, wspomnieniach oraz artykułach wspomnieniowych Wieniawy, przy czym nieprecyzyjne jest stwierdzenie Autora, iż dotarł do wszystkich publikacji Wieniawy (s. 165)².

Wydaje się, że nieco zbyt ubogie są podstawy źródłowe omawianej pracy. Można je było znacznie poszerzyć choćby wykorzystując w większym stopniu materiały z Archiwum Akt Nowych w

1. Jacek M. Majchrowski, *Ulubieniec Cezara Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zarys biografii*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1990.

2. W książce nie wykorzystano następujących tekstów Wieniawy: *Fason kawalerski*, (w:) *W piętnastolecie Wyższej Szkoły Kawalerii w Grudziądzu*. Jednodniówka, Grudziądz 1933; *Marszałek Piłsudski w życiu prywatnym i obozowym*, „Legion” nr 3, 1930; *Nasza miłość*, „Świat” (w:) „Okólnik” nr 10 Koła b. Żołnierzy i Pułku Ułanów Legionów Polskich Beliny im. J. Piłsudskiego, Warszawa 12 V 1926.

Warszawie. Należy za to podkreślić wykorzystanie przez Autora interesujących a nieznanych raportów Wieniawy do Naczelnika państwa, pisanych w 1919 roku z Paryża, a przechowywanych w Archiwum J. Piłsudskiego w Londynie. Równie ciekawe są informacje zaczerpnięte z przechowywanego w Archiwum na Jasnej Górze notatnika adiutanta prezydenta Mościckiego, J. Hartmana.

Biografia zbudowana została tradycyjnie: zaczyna się urodziniami bohatera, a kończy z chwilą jego śmierci. Pierwsza część opowiada o dzieciństwie młodego Długoszowskiego i wpływie otoczenia, a zwłaszcza patriotycznej atmosfery domu rodzinnego, na jego osobowość. Dowiadujemy się z niej, że to właśnie po przodkach Wieniawa odziedziczył takie cechy jak brawura, odwaga, patriotyzm, skłonność do lekceważenia obowiązujących norm.

Z dalszych wywodów dowiadujemy się o pobycie Wieniawy w Paryżu, rozwoju jego zainteresowań artystycznych oraz jego licznych przyjaźniach. W Paryżu Wieniawa zetknął się z polskim ruchem wojskowym oraz Józefem Piłsudskim. Spotkanie to ukierunkowało całe jego późniejsze życie.

W drugiej części, zatytułowanej „W walce o Polskę”, autor opisuje Wieniawę jako ułana. I tu należy zgłosić pewne zastrzeżenia. Bohater niekiedy ginie z głównego nurtu narracji, zaś jego historia zostaje zastąpiona historią oddziału, w którym służył. Dochodzi przy tym do paradoksu, gdyż czytelnik śledzi dzieje oddziału Beliny nawet wówczas, gdy Wieniawy w nim już nie ma. W ogóle opisy bitew, czy tylko starć są chyba zbyt szczegółowe, jak na potrzeby biografii Wieniawy, zwłaszcza, gdy nie jest on w nich postacią centralną. Np. na s. 79 więcej dowiadujemy się o roli „Dudzieńca” w potyczce o Bidziny i jego śmierci, niż o Wieniawie. Z kolei na s. 86 znajdujemy wzmiankę o bitwie pod Stobychwą i śmierci dwóch ułanów. Wieniawa był wówczas w Warszawie.

Niejasne są fragmenty opisujące awanse Wieniawy. Z jednej strony Autor kwestionuje kilka dat awansu Wieniawy na podporucznika (s. 70), a z drugiej bez powołania się na źródło i podania konkretnej daty twierdzi, że miało to miejsce podczas trzydniowego pobytu oddziału Piłsudskiego w Krakowie (s. 72). Z kolei na s. 76 znajdujemy informację, że 3 marca Wieniawa został mianowany porucznikiem, choć jednocześnie nie wiadomo, gdzie Autor znalazł tę informację, zwłaszcza iż sam dodaje, że nawet w aktach personalnych Wieniawy daty awansu są różne.

W sumie w książce prof. Majchrowskiego Wieniawa przedstawiony jest jako świetny żołnierz, doskonały dowódca, człowiek nie tracący zimnej krwi i opanowania w najtrudniejszych nawet momentach. A także jako jeden z najbliższych ludzi Komendanta. To właśnie Wieniawa towarzyszył Piłsudskiemu w najbardziej osobistych momentach życia: w powrocie na łono Kościoła katolickiego, przy spisywaniu testamentu, na ślubie i w chwili śmierci. Podkreślając niewielką, bo 14-letnią różnicę wieku, Autor przeciwstawia się

jednak tezie o synowsko-ojcowskich więzach łączących Wieniawę i Piłsudskiego. Argument taki, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę różnicę w zajmowanych przez obydwu stanowiskach, różnicę w temperamentach oraz szybkie starzenie się Marszałka, jest w moim odczuciu mało przekonujący. Bardziej do mnie przemawiają sady ludzi przez wiele lat obserwujących Wieniawę i Piłsudskiego i twierdzących, że Marszałek traktował Wieniawę jak syna.

Opowieść o Wieniawie-żołnierzu Wielkiej Wojny kończy opis jego misji do Rosji z ramienia POW. Wieniawa, będący wówczas członkiem Komendy Naczelnej POW, wywiązał się z tego zadania doskonale, nawiązując kontakt z Józefem Hallerem oraz misją francuską w Rosji.

W części trzeciej, noszącej tytuł „W Niepodległej”, prof. Majchrowski wyodrębnił trzy nurty działalności Wieniawy, charakteryzując go jako wysłannika Marszałka, wypełniającego przeróżne, często tajne misje, wojskowego i wreszcie człowieka sztuki. Wydaje się, że temu ostatniemu zagadnieniu Autor poświęcił zbyt mało uwagi (10 stron). Przecież szeroko rozumiana działalność artystyczna (pisanie wierszy, tłumaczenia itp.) oraz kontakty ze sferami literackimi Warszawy wypełniały Wieniawie znaczną część życia.

Jak wynika z tekstu, Wieniawa odegrał dużą rolę w polityce Piłsudskiego. Załatwiał za niego wiele spraw, których „Marszałek załatwić nie chciał lub nie mógł”. Szczególnie aktywny okazał się w okresie przedmajowym, kaptując Piłsudskiemu stronników, wpływając na atmosferę ulicy warszawskiej, kontaktując się z dyplomatami zagranicznymi.

W charakterystyce Wieniawy jako wojskowego Autor przekonująco dowiódł jego kwalifikacji na dowódcę wyższego szczebla. Szczegółowo opisany jest udział Wieniawy w odbywającym się na przełomie 1924 i 1925 roku specjalnym, rocznym kursie w Wyższej Szkole Wojennej. Kurs ów prowadzili głównie oficerowie francuscy z płk. Ludwikiem Faury na czele. Wieniawa po jego zakończeniu uzyskał bardzo pochlebne oceny. Prócz tego w 1935 roku Wieniawa uczestniczył w 6-tygodniowym „kursie informacyjnym dla generałów”. Tak więc posiadał rzetelne przygotowanie teoretyczne, które obok wspomnianych wcześniej cech czyniło zeń świetnego dowódcę. Sąd taki potwierdzają przytoczone w tekście opinie o Wieniawie, sporządzone przez jego przełożonych.

Ostatnia część książki, „Poza krajem i wojskiem”, charakteryzuje ambasadorską misję Wieniawy, epizod z prezydenturą oraz jego pobyt na emigracji. Z kart książki wyłania się Wieniawa jako świetny ambasador w Rzymie, posiadający liczne znajomości w dyplomatycznym świecie, zdobywający cenne informacje, cieszący się uznaniem tak polityków włoskich jak i innych państw. Autor rozprawia się przekonująco z dawnym zarzutem Cata-Mackiewicza, jakoby raporty ambasadorskie Wieniawy dyskredytowały go jako dyplomatę w poważnym tego słowa znaczeniu.

Przy okazji warto wskazać na istnienie jeszcze kilku interesujących źródeł. Przeprowadzając kwerendę w AAN warto było sięgnąć do raportów Wieniawy z Rzymu, przechowywanych w zespole Ambasada RP w Rzymie pod sygnaturą 24. Podobnie rzecz ma się w przypadku materiałów pochodzących z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Autor korzystał z zespołu Ambasada RP Londyn, pominął jednak znajdujące się tam 8 raportów Wieniawy. Braki te zubożają stosowny fragment książki.

Epizod prezydencki Autor przedstawił szczegółowo, choć trochę nazbyt odtwórczo. Brakuje, moim zdaniem, analizy przyczyn, które zmusiły Wieniawę do zrzeczenia się nominacji. Innymi słowy próby odpowiedzi na pytanie, czy ustąpienie Wieniawy wymuszone było intrygami antysanacyjnej opozycji, czy też samodzielnymi naciskami polityków francuskich.

Najwięcej moich zastrzeżeń wzbudza ostatni rozdział „Tułaczka”. Pierwszym powodem jest niewykorzystanie przez Autora przechowywanej w AAN w zespole Konsulat Generalny RP w Nowym Yorkuteczki osobowej Wieniawy. Zawiera ona sporo informacji do ostatniego, emigracyjnego epizodu życia Wieniawy.

Drugim powodem jest sposób podejścia J. Majchrowskiego do kluczowego zagadnienia, tj. śmierci Wieniawy czy nawet, uściślając, do znalezienia odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Autor ograniczył się tutaj w zasadzie do powielenia tezy W. Jędrzejewicza³, że samobójstwo Wieniawy spowodowane było postępującym załamaniem psychicznym. Co zaś się tyczy postawionego powyżej pytania, to J. Majchrowski stwierdził, że odpowiedź na nie „(...) Wieniawa zabrał ze sobą. Nie przeczy to, że niektórzy nieraz ze sporą dozą pewności próbują na nie odpowiedzieć” (s. 259). Choć nie mam „sporej dozy pewności”, pozwolę sobie jednak na podniesienie kilku kwestii.

Zacznę od pytania: o której godzinie zginął Wieniawa? Czy o 9⁰⁰, jak podała prasa polonijna a w ślad za nią J. Majchrowski (s. 256), czy o 10¹⁵, jak donosiły dzienniki amerykańskie⁴? Kolejne pytanie to dlaczego człowiek przygotowujący się przez długi czas do śmierci pozostawił po sobie tylko w pośpiechu pisaną, nic nie mówiącą kartkę? Dlaczego nie zabezpieczył bytu rodzinie? Autor stwierdza: „Mając bowiem na uwadze sytuację rodziny wyczekał z samobójstwem do chwili załatwienia wszystkich spraw, stwarzając wrażenie, że chciał wyraźnie umrzeć jako ambasador, zapewniłoby to bowiem rodzinie emeryturę. I tak też się stało” (s. 255)

Niestety, tak się nie stało. Żona nigdy emerytury nie otrzymała, tylko niewielki zasiłek (120 dolarów, podczas gdy Wieniawa pracując w *Dzienniku Polskim* zarabiał 400 dolarów miesięcznie), a i z tym były kłopoty. Dość wspomnieć, że o przyznaną jej zapomogę

3. W. Jędrzejewicz, *Śmierć Wieniawy*, „Wiadomości” nr 812, 22 X 1961.

4. *Polish General Falls to Death from Roof on Riverside Drive*, „New York Herald Tribune”, 2 VII 1942.

musiała upominać się w Londynie do lutego 1943 roku⁵.

Zgodnie z przyjętym założeniem J. Majchrowski dowodzi, że oferowanie Wieniawie poselstwa na Kubie było dla niego upokorzeniem. Przeczy temu jednak zacytowany dalej fragment listu B. Wieniawy-Długoszowskiej: „przyjął Kubę myśląc, że go to uzdrowi — bo będzie zajęty i zdobędzie nowych przyjaciół Polsce”. I jeszcze świadectwo J. Drohojowskiego, od którego Wieniawa miał przejąć placówkę. Spotkali się w jednej z nowojorskich kawiarni. J. Drohojowski wspominał, że Wieniawa „zapatrywał się różowo na swoje urzędowanie w Hawanie⁶”. Gdzież więc owo głębokie załamanie?

Przeczy tej tezie również relacja p. Goldberg, właścicielki domu, w którym mieszkali Długoszowscy. Kilka chwil przed jego śmiercią rozmawiała ona z Wieniawą, który w szlafroku szedł się wykapać. Zamienili kilka zdań, generał był w świetnym humorze⁷. W chwilę później zadzwonił telefon, rozmowa trwała ok. 15 minut, Wieniawa po odłożeniu słuchawki był blady i wstrząśnięty. Oświadczył rodzinie, że idzie do łazienki, tymczasem wszedł na dach i wyskoczył. Uczynił tak, mimo iż niewiele wcześniej tłumaczył i żonie i córce, że wszystkie niedogodności a także szykany i wymyslania ze strony piłsudczyków należy przetrzymać, czekając na wolną Polskę⁸.

Pozwolę sobie jeszcze wyrazić wątpliwość co do stwierdzenia Autora, że w 1923 roku nie było „tak głębokich różnic politycznych między Sikorskim a Wieniawą” (s. 231). Otóż różnice te już w 1921 roku były na tyle poważne, że w jednym ze swych raportów gen. Niessel pisał, iż gen. Sikorski „również pracował nad usunięciem ppłk. Wieniawy⁹”.

Podsumowując można stwierdzić, że otrzymaliśmy bardzo atrakcyjną a przy tym ważną książkę. Atrakcyjną ze względu na jej bohatera, przystępny sposób przedstawienia jego losów oraz język znamionujący dużą kulturę pisarską Autora. Ważną, ponieważ prof. Majchrowski w pewien sposób „odkrył” Wieniawę jako wieloletniego, bodaj najbliższego współpracownika Marszałka. Uwolnił go w ten sposób od stereotypu lekkoducha, pijaka czy wręcz nadwornego trefnisia. Tak więc zamiar „odełgania” legendy Wieniawy w pełni się Autorowi powiodł.

Witold DWORZYŃSKI

5. Korespondencja dotycząca zapomogi: AAN, Konsulat Generalny RP w Nowym Yorku, sygn. 474 a, k. 71, 110.

6. J. Drohojowski, *Wspomnienia dyplomatyczne*, Warszawa 1959, s. 175.

7. *Polish...*

8. Relacja L. Wieniawy-Długoszowskiego, bratanka generała.

9. Niessel do II Oddziału i do Focha, 19 XII 1921, Service Historique de l'Armée de Terre, Paris-Vincennes 7N 2988, dossier 4.

Tadeusz WYRWA

POLSKA W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ 1945-1947

Od kilku lat wzrasta zainteresowanie historią Polski, o czym świadczą publikacje w Polsce i na Zachodzie. Do nich należy książka Włodzimierza Borodzieja, historyka młodego pokolenia, pracownika Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego¹. Autor przygotował tę książkę w latach 1983-1987, „była pisana — jak sam podkreśla — dla wydawnictwa krajowego, z autocenzurą, a autocenzura ta stanowiła ważną część mojej ówczesnej świadomości”. Chodzi więc o pracę, która jest jednocześnie „świadectwem czasów, w których powstawała”. Pomimo tego do 1988 roku została odrzucona przez osiem wydawnictw w Polsce, aż wydał ją „Aneks” w Londynie.

Od napisania książki do jej publikacji, wydarzenia związane z objęciem władzy przez rząd Mazowieckiego zmieniły diametralnie sytuację. Praca ta powstawała w okresie, kiedy — według słów Borodzieja — „Mikołajczykowska koncepcja Polski — dobrowolnego, suwerennego sojusznika Związku Radzieckiego, ciągle wydawała się chimera”. W nowej sytuacji „odwrot stalinowskiej wykładni Jałty okazuje się w istocie rzeczy powrotem do wykładni rooseveltońskiej, do pierwotnego 'ducha Jałty', na którym zasadzały się nadzieje narodów na wschód od Łaby... Jałta i Poczdam — demokracja i granice — doczekały się po 45 latach kropek nad 'i'”. Jest to *credo* Borodzieja, z którym trudno się zgodzić, chociażby dlatego, że z „ducha Jałty”, jakkolwiek przypisywałoby mu się wykładnię, wywodziły się nie nadzieje krajów na wschód od Łaby, lecz ich ujarznienie przez ZSSR, z którego obecnie stopniowo się wyzwalają. Zbliżonym do Borodzieja „duchem jałtańskim” zawiąło również Wałęsę, jak wynika z jego autobiografii wydanej w języku francuskim (polskiego wydania nie znam).

Tematem pracy Borodzieja jest polska polityka zagraniczna w latach 1945-1947. Okres ten, zwany przejściowym, został zapoczątkowany międzynarodowym uznaniem tzw. Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, a zamykała go konferencja dziewięciu partii komunistycznych, która odbyła się jesienią 1947 w Szklarskiej Porębie. W oficjalnej historiografii krajowej, ciągle jeszcze produkującej,

1. Włodzimierz Borodziej, *Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby. Polska w stosunkach międzynarodowych 1945-1947*. Aneks, Londyn 1990, str. 376.

lata 1945-1947, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, określane są przeważnie pozytywnie i przeciwstawiane późniejszemu okresowi „błędów i wypaczeń”. Borodziej pisze, że w emigracyjnej historiografii, ukształtowanej przez pamiętniki emigrantów — głównie S. Mikołajczyka i S. Korbońskiego — brak jest podobnego rozróżnienia, gdyż podstawową tam tezą jest utrata suwerenności już w 1944/45 i okres stalinowski spotęgował jedynie to zjawisko. „Skrajnie przeciwstawne punkty widzenia kraju i emigracji — pisze następnie Borodziej — uniemożliwiają jakąkolwiek dyskusję: obie strony powołują się na zgoła różne fakty i źródła, mówią o innych aspektach procesu historycznego i przywołują odmienne kryteria oceny”. Tutaj autor wyraźnie się myli: fakty i źródła są bowiem te same, czego dowodem i jego książka, odmienne natomiast są kryteria oceny, co nie powinno być powodem do przekreślania z góry wszelkiej dyskusji, gdyż przy tego rodzaju podejściu historiografia krajowa nie wyzwoli się z obciążeń minionego okresu.

Książka Borodzieja zawiera sześć rozdziałów. W pierwszym przedstawione są główne wątki stosunku PPR, PPS i PSL do polityki zagranicznej oraz struktura i personalia warszawskiego MSZ. Autor przypomina, że podstawowa różnica dzieląca przywódców PPR od polityków innych partii polegała na tym, że „żaden inny kierunek polityczny w Polsce nie przyjął zasady podległości wobec centrum dyspozycyjnego, znajdującego się poza granicami kraju”. Socjaliści natomiast, jak to określił jeden z przywódców PPS, Henryk Wachowicz — „nie mieli wujków ani na północy, ani na południu” i dlatego też znajdowali się w odmiennej sytuacji od PPR i PSL. PPS zatroskana była ciągle o swą reputację w Moskwie. Socjaliści nie wnieśli niczego — według Borodzieja — do programowej myśli polityki zagranicznej i każda próba odejścia od linii PPR kończyła się niepowodzeniem. Przy omawianiu stosunku PSL do polityki zagranicznej Borodziej przypomina, że stronnictwo nie posiadało w tej dziedzinie tradycji, do której mogłoby nawiązać. Następnie mowa jest o ewolucji, jaką przeszli ludowcy w odniesieniu do potrzeby ułożenia stosunków z ZSSR. Chronicznie skłócone kierownictwo ludowców w kraju tym większą dawało szansę Mikołajczykowi, jedynemu kompetentnemu i znanemu na Zachodzie politykowi, który wychodził z założenia, że Moskwa nie miała zamiaru ustalenia w Polsce swojego wzorca ustrojowego i zadowolony był tym, co określano później mianem „finlandyzacji”. Paradoksem PSL było to, że oskarżane o antysowieckość i odsuwane przez komunistów od decyzji w MSZ, było jednocześnie przedmiotem kontrowersji między mocarstwami. Stawka Mikołajczyka na „finlandyzację” była fiaskiem jego polityki, podobnie jak liczenie na Zachód; epilogiem tej polityki była ucieczka przywódcy PSL z kraju.

Jeśli chodzi o MSZ, to panował tam — jak potwierdza Borodziej — „bałagan kompetencyjny i kancelaryjny”, który trudno dziś odtworzyć z uwagi na „permanentne fałszowanie dokumentów urzę-

dowych”, wywodzące się „ze sposobu uprawiania polityki w Polsce powojennej”. Większość przywódców PPR nie znała Zachodu. Do służby dyplomatycznej oddelegowano najzdolniejszych działaczy tej partii, a wśród nich Zygmunta Modzelewskiego, który przed wojną przebywał kilkanaście lat na emigracji we Francji. Ministrem spraw zagranicznych był, w latach 1945-1947, Wincenty Rzymowski, typ mało ciekawy i kluczową rolę w MSZ spełniał wiceminister Zygmunt Modzelewski, który przejął później tekę ministra. Odpowiedzialny za politykę zagraniczną był Jakub Berman, członek Biura Politycznego. Monopol PPR w polityce zagranicznej spowodował, że „dyplomacja PRL występowała na arenie międzynarodowej niemal wyłącznie po stronie ZSSR”.

Rozdział drugi książki Borodzieja jest zatytułowany „Polska w polityce mocarstw”: mowa jest o Stanach Zjednoczonych i Związku Sowieckim. Jeśli chodzi o USA, to autor oparł się głównie, co sam przyznaje, na opublikowanych już pracach, które wyszczególnia w odnośniku. Warto tutaj przypomnieć za autorem, że na czołowych stanowiskach polskiego MSZ nie było nikogo, kto mógłby być uważany za znawcę spraw amerykańskich. W zaostrzającej się sytuacji politycznej trudno było ułożyć stosunki gospodarcze i liczyć na kredyty, na których głównie zależało Warszawie. Jednocześnie, idąc śladem Moskwy, rząd warszawski odrzucił plan Marshalla z uzasadnieniem odmowy bliźniaczo podobnym do motywów sowieckich.

W stosunkach z ZSSR Borodziej usiłuje dopatrzeć się pewnej samodzielności dyplomacji warszawskiej. Autor zdaje sobie sprawę, że polityce sowieckiej na dalszą metę odpowiadały pewne posunięcia, które pozornie nie pokrywały się z jej bieżącą polityką, ale mówić można tylko o „luzach”, które były „zgodne z długofalowymi interesami Związku Sowieckiego”. Jednocześnie stawia pytanie, czy na zakreślone przez Rosjan granice pola manewru chcieli wchodzić Bierut, Berman, Modzelewski i inni. Autor książki odwołuje się tutaj do twierdzenia Feliksa Mantla, który w swoich wspomnieniach pisze, że Berman „był drobiazgowym wykonawcą otrzymanych instrukcji (bezpośrednio z Kremla), bez marży interpretacyjnej dla interesów polskich”. Borodziej ma jednak wątpliwości, czy tak było naprawdę. Trudno mu bowiem uwierzyć, „by ludziom rządzącym Polską chodziło wyłącznie o właściwe spełnianie zobowiązań wobec Moskwy, 'bez marży interpretacyjnej'... Do czasu udostępnienia akt rozmów polsko-radzieckich na najwyższym szczeblu hipoteza ta nie będzie miała pokrycia w źródłach...”. Czy rzeczywiście do potwierdzenia służalczości komunistycznego aparatu władzy w Polsce wobec rządu sowieckiego potrzebna jest jeszcze znajomość akt, jak gdyby nie wystarczały fakty i namacalne ich skutki?!

Trzeci rozdział książki Borodzieja zatytułowany jest: „Wielka Brytania a Polska: od sojuszu do wrogości”. Tytuł niezbyt chyba

odpowiedni, bo sojusz z 1939 roku i z okresu sojuszniczej wojny był z niepodległą Polską, a wrogość reżimu warszawskiego do Wielkiej Brytanii, nie odwrotnie, wyływała z wrogości komunistów do całego prawie Zachodu, a więc nie ograniczała się do bilateralnych stosunków tych dwu państw. Borodziej przypomina zresztą, że nie tylko Amerykanie, „ale i Brytyjczycy czuli się w Europie Wschodniej osaczeni zewsząd”.

Dwa były zespoły problemów, które zaciążyły, w latach 1945-1947, na stosunkach polsko-brytyjskich: jeden związany był z działalnością Mikołajczyka, drugi z demobilizacją Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie. Borodziej omawia te problemy, znane już przeważnie dzisiaj czytelnikowi polskiemu. Demobilizacja PSZ nie została jeszcze gruntownie rozpracowana i trudno oczywiście wymagać, żeby zrobił to autor tej książki, który daje ogólny zarys przebiegu demobilizacji, zaznaczając że „postawa emigracyjnej elity nie była największą przeszkodą na drodze do rozwiązania PSZ...”. Dziedzictwo wojny, według Borodzieja, zaciążyło tak dalece na stosunkach polsko-brytyjskich tego okresu, że „stał się on jedynie pomostem do okresu zimnej wojny”.

Największą wagę przywiązuje Borodziej do następnych rozdziałów, a więc najpierw rozdziału otwartego pt. „Powrót do Europy? Polska a Francja”. Jak wiadomo, byli Francuzi — do nich należał Christian Fouchet, delegat rządu francuskiego przy Komitecie lubelskim — którzy nie mieli wątpliwości, że Francja, bardziej niż Anglia i USA, winna być obecna w Polsce i że od skutecznej pomocy naszemu krajowi zależeć może w dużym stopniu to, czy granice wpływów ZSSR kończyć się będą nad Bugiem czy nad Odrą, co jednak z góry zostało przesądzone przez Moskwę. Stąd też i wniosek, że w ówczesnych warunkach Polska nie mogła powrócić do Europy i dlatego niezbyt rozumiem, jaki sens ma znak zapytania, którym zaopatrzył Borodziej ten rozdział.

Na wstępie rozdziału, o którym mowa, Borodziej wyraża zdziwienie, że stosunki między Warszawą a Paryżem z lat 1945-1947 nie wywołały większego zainteresowania historyków. Jest to, według niego, tym trudniejsze do zrozumienia, że stosunki te były uważane za „przejaw ciągłości stosunków europejskich”, co niekoniecznie musiało się łączyć z tradycyjnymi więzami polsko-francuskimi, ani też z losem przedwojennego sojuszu, lub ze sceptycyzmem dyplomatów francuskich wobec Polski w środowisku „Wolnej Francji” gen. de Gaulle’a. Borodziej przytacza ujemne opinie z tego środowiska wypowiedziane przez Maurice Dejeana pod adresem rządu polskiego w Londynie, ale nie wyjaśnia, że było to skutkiem prorosyjskiej polityki, jaka charakteryzowała dyplomację „Wolnej Francji”².

Zasługą Borodzieja jest, że w oparciu o źródła archiwalne

2. Zob. „Prorosyjskość 'Wolnej Francji' gen. de Gaulle'a” w *Zeszytach Historycznych* nr 63, str. 207-221.

opracował obszernie przebieg rokowań polsko-francuskich w latach 1945-1947. Rokowania te nie doprowadziły do konkretnego rezultatu, co też przypuszczalnie jest powodem, że okres ten nie wzbudził zainteresowania wśród historyków, ale co nie może oczywiście pomniejszać pracy autora książki. Borodziej potwierdza niechęć francuskiego MSZ do angażowania się w Polsce i do wznawiania, w nowym sformułowaniu, paktu z 1921 roku. Pierwsza faza rozmów polsko-francuskich, będąca przykładem „improwizacji, dezinformacji i poronionych pomysłów”, zakończyła się w grudniu 1945. Quai d'Orsay odrzucał również możliwość „związania się z Polską na gruncie niemieckim”. Dnia 1 sierpnia 1946 został podpisany układ handlowy, który okazał się niekorzystny dla Polski i nie miał wpływu na kontakty polityczne, które do wyborów ograniczały się do rutyny.

Komunistyczna kampania wyborcza i jej wynik w styczniu 1947 nie stanowiły dla Francuzów przeszkody do podjęcia rokowań kilkakrotnie sugerowanych przez Modzelewskiego i Olszewskiego. W wyniku tych rokowań podpisano dnia 19 lutego 1947 pierwszą po wojnie polsko-francuską konwencję kulturalną, która jednak nie wpłynęła na pertraktacje odnośnie proponowanego przez Warszawę „traktatu przymierza i pomocy wzajemnej”. Francuzi, celem „skierowania rokowań w ślepą uliczkę”, proponowali wszczęcie rokowań łącznie na tematy polityczne, finansowe i handlowe, podczas gdy Warszawa obstawała przy oddzielnych rokowaniach. W rzeczywistości tak rozmowy handlowe, jak i rokowania polityczne nie dały żadnego rezultatu. Zmianie uległ ogólny klimat polityczny. Na przełomie 1947 i 1948 w obu ambasadach, polskiej w Paryżu i francuskiej w Warszawie, „pęczniały teczki, dotyczące aresztowań, wzajemne oskarżenia zaczęły stawać się codziennym chlebem dyplomatów... Ton rozmów polsko-francuskich nie różnił się odtąd niczym od klimatu cechującego inne kontakty między Wschodem i Zachodem”.

Teczki zawierające wzajemne oskarżenia pęczniały nie tylko w ambasadach. W archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Polska z okresu 1944-1949 ma dzisiaj prawie sto teczek (od jakiegoś czasu na nowo segregowanych), większość po kilkaset stron, z przytłaczającą przewagą propagandy komunistycznej, paszkwili, denuncjacji, protestów i oskarżeń Warszawy o „okrucieństwa faszystów francuskich”. Dlatego w artykule opublikowanym kilka lat temu pt. „Pierwsze lata PRL w raportach dyplomatów francuskich” nadmieniałem, że jest to „materiał raczej dla psychiatry niż dla historyka”³. Borodziej stawia mi zarzut, że w artykule tym nie wspominałem o pertraktacjach polsko-francuskich, w czym — ze swojego punktu widzenia — ma rację i co też teraz sam opracował. Przeczył jednak chyba, że w artykule (był pierwszym w języku polskim, który sygnalizował otwarcie źródeł archiwalnych z tego

3. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 71, str. 197.

okresu) mogło mi jedynie chodzić o przedstawienie, w jak najbardziej ogólnych ale jednocześnie charakterystycznych zarysach, opinii jakie wyrazili Francuzi o sytuacji w PRL. Rozpracowaniem poszczególnych tematów zajęli się inni, m.in. autor omawianej książki.

W rozdziale poświęconym pertraktacjom polsko-francuskim brak jest rzeczowej informacji o Roger Garreau, ambasadorze Francji w Warszawie, o którym Borodziej pisze, że „na początku swojej misji (w Polsce) cieszył się znakomitą opinią oraz uchodził za przyjaciela Polski”. Otóż ta „znakomitość” opinii o nim była skutkiem jego uległości wobec propagandy komunistycznej. W lutym 1942 został wysłany przez de Gaulle’a do Moskwy, jako przedstawiciel „Wolnej Francji”. W sprawach polsko-rosyjskich Garreau nie miał zupełnie rozeznania i wysyłał do „Wolnej Francji”, przeważnie bez żadnych komentarzy, niezliczoną ilość tłumaczeń wrogich Polsce — reprezentowanej przez nasz rząd w Londynie — artykułów z prasy sowieckiej, przemówień różnych dygnitarzy komunistycznych itp. To samo robił w Warszawie, gdzie przyjechał z Moskwy 14 marca 1945 i dlatego był mile widziany przez komunistów, ale to nie ułatwiało rządowi francuskiemu zrozumienia sytuacji w Polsce, a już w żadnym wypadku nie pomogło sprawie polskiej. Był pierwszym ambasadorem Francji (mianowany 25 lipca 1945) w powojennej Warszawie, z której wyjechał 12 listopada 1947 roku. Dopiero w ostatnim swoim raporcie, z 10 listopada, zdobył się na trzeźwiejszą ocenę tego, co działo się w Polsce, czym już nie wpłynął na stosunki, a tym bardziej na tok rokowań Paryża z Warszawą; mimo to należało ten fakt odnotować w książce Borodzieja.

Najobszerniejszy, piąty rozdział swojej pracy poświęcił Borodziej kwestii niemieckiej, która w 1945 roku stała się „podstawowym problemem polityki europejskiej”, ale którą też — trzeba to dodać do słów Borodzieja — usiłowano przysłonić politykę sowiecką w Europie środkowo-wschodniej. Punktem wyjścia kwestii niemieckiej jest dla autora wszczęta wówczas dyskusja nad wytłumaczeniem mechanizmu ludobójstwa i odpowiedzialności za nie oraz nad przyszłością Niemiec, gdyż klęska III Rzeszy zastała „koalicję nieprzygotowaną do rozwiązania niemieckiego dylematu”. Nie można jednak tego powiedzieć o Stalinie, który wiedział, czego chce i z żelazną konsekwencją realizował swoją politykę. Jednym z kluczowych problemów była oczywiście granica Polski nad Odrą i Nysą Łużycką. Borodziej pisze, że koncepcja „przesunięcia Polski na zachód” sformułowana została przez Churchilla w Teheranie. W rzeczywistości to, co było istotne w Teheranie i na co dzisiaj istnieją dowody, to nakreślenie ołówkiem przez Stalina — przy popiciu wódki w czasie biesiady — konturów zachodniej granicy Polski oraz Prus Wschodnich, których aneksję wówczas zapowiedział⁴.

4. Zob. Nerlin E. Gun, *Les secrets des archives américaines. Pétain-Laval-de Gaulle*, Albin Michel, Paryż 1979, str. 420-422. Odnosne strony tej książki są tłumaczone na język polski w *Zeszytach Historycznych* nr 51, str. 213.

Dużo też miejsca w tym rozdziale poświęca Borodziej rewizjonizmowi dotyczącemu ziem „administrowanych przez Polskę”, przypominając, że w pierwszym okresie po wojnie „żadna z partii niemieckich nie zrezygnowała z rewizji granicy wschodniej”.

Ostatni rozdział książki Borodzieja jest jednocześnie jej epilogiem. Zamyka ją konferencja dziesięciu partii komunistycznych, która odbyła się w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947. Obrady tej konferencji zakończyły się uchwałą o utworzeniu „Komunistycznego Biura Informacyjnego” (Kominformu, w miejsce rozwiązanego w 1943 roku Kominternu) z siedzibą w Belgradzie. Andriej Żdanow wygłosił tam zaawizję atakujący referat, a Gomułka obiecał „mocniej zamknąć bramy przed amerykańskimi i angielskimi agentami”, konkludując że „jest wiele podobieństw w powojennej ekspansji imperializmu amerykańskiego do pierwszych aktów agresji hitlerowskiej”. Koreferat do przemówienia Gomułki — pisze następnie Borodziej — stanowiło wystąpienie Bermana, który porównał „tworzący się front antyimperialistyczny do koalicji antyhitlerowskiej”. Liczne wystąpienia biorących w tej konferencji udział — jak S. Jędrychowskiego, B. Bieńkowskiego, J. Putramenta i innych — miały przede wszystkim na celu położenie akcentu na potrzebie całkowitego odcięcia Polski od Zachodu. Doszło wówczas do wyraźnego podziału kontynentu na dwa zwalczające się bloki. Później — co potwierdza Borodziej — „między rokiem 1948 a 1955 dyplomacja polska nie wykonała bodajże żadnego gestu, mącaącego obraz jednolitej wspólnoty obozu socjalistycznego”, a w latach 1945-1947, dodajmy od siebie, były tylko gesty nic nie wnoszące do koncepcji polskiej polityki zagranicznej, która po prostu, jako taka, wtedy również nie istniała.

W chwili kiedy wreszcie wali się wszędzie system komunistyczny, z dość dużym trudem czyta się o zagrażającym imperializmie anglosaskim, agentach amerykańskich itp. i można mieć wątpliwości, czy publikacje tego rodzaju literatury są dzisiaj najpilniejsze, zwłaszcza przy dużych trudnościach wydawniczych w Polsce (na Zachodzie też niewiele jest pod tym względem lepiej, nad czym trudno się już tutaj rozwodzić).

Przygotowując swoją książkę Borodziej wykorzystał archiwa francuskie i brytyjskie oraz te z polskich, które były wówczas dostępne, jak publikacje zachodnie, tak że praca jego — miejscami zbyt rozwlekła — jest dość dobrze udokumentowana (szkoda, że nie są przetłumaczone na język polski cytaty z języków obcych). Jeśli chodzi o relacje i materiały opublikowany w Polsce, to oparł się przeważnie na autorach, którzy byli aktorami omawianych wydarzeń i tutaj brak jest w książce bardziej krytycznej oceny tego, co autorzy ci sami później opisywali. W każdym razie książka Borodzieja jest konkretnym wkładem do okresu, który należy do historii, ale okresu niezupełnie jeszcze zamkniętego i jednego z najbardziej tragicznych w dziejach Polski.

Tadeusz WYRWA

OKRUCHY HISTORII

Jerzy R. Krzyżanowski

KAKOLEWNICA — PODLASKI KATYŃ

Kąkolewnica, duża i zasobna wieś, leży w połowie drogi między Radzyminem a Międzyrzeczem Podlaskim, skąd dalsze drogi prowadzą na wschód, do Białej Podlaskiej, i na zachód, do Siedlec. Nad wsią, korzystnie rozłożoną na skrzyżowaniu regionalnie ważnych szlaków komunikacyjnych, góruje barokowy kościół, przed którego murem dwie tablice upamiętniają 1000-lecie Polski i poległych w jej służbie bohaterów. W stykających się z zachodnim krajem wsi lasach Turowsko-Kąkolewnickich walczyły w czasie okupacji dwa najbardziej znane oddziały partyzanckie Obwodu Radzyń Podlaski AK, dowodzone przez kpt. Konstantego Witkowskiego „Müllera” i kpt. Andrzeja Rejmaka „Ostoję”. Po zakończeniu akcji „Burza” oddziały te ruszyły na pomoc powstańczej Warszawie, ale rozbrojone przez NKWD przestały istnieć jako samodzielne jednostki, a żołnierze ich rozproszyli się w terenie, przy czym wielu z nich wróciło do konspiracji, inni zaś wcieleni zostali lub sami zgłosili się do stacjonującej na Podlasiu II Armii WP.

Armia ta, organizowana od 8 sierpnia 1944 r. w Lublinie, przeniosła w dniach 11-12 października swe dowództwo do Kąkolewnicy, obejmując kwatery opróżnione przez dowództwo I Frontu Białoruskiego, którym dowodził Rokossowski, do dziś wspominany przez mieszkańców wsi jako „bardzo męski pan, ćwiczył ciężarkami, dbał o kondycję fizyczną — była z nim pięk-

na kobieta, artystka, mówiono że to jego żona". (Ten cytat, jak i wiele następnych, pochodzi z reportaży i wywiadów zamieszczanych w prasie regionalnej Lubelszczyzny i Podlasia w 1990 r.). Dom Wajszczuków, gdzie kwaterował Rokossowski, przejął po nim Świerczewski („ten się z nami nie zadawał w ogóle... wyniosły i nieprzyjemny. Z nami rozmawiał tylko jego ordynans”), a po nim z kolei następny dowódca II Armii, Popławski, „bardzo przyjemny człowiek”. Bronisława Wajszczukowa wspomina zabawny szczegół, jak to Popławskiemu szyto na jej maszynie polski mundur, do którego nie można było dostać odpowiednio reprezentacyjnych guzików, wobec czego uprzejmą gospodyni ofiarowała komplet od policyjnego munduru jej nieżyjącego już męża i oto *polskiej gienierał* paradował w mundurze zdobnym w guziki z orłem w koronie, podczas gdy jego gorliwi podwładni biegali po podlaskich kwaterach z nożycami i odcinali korony przedwojennym orłom, jakie młodzi polscy oficerowie w jednostkach liniowych coraz częściej zaczęli manifestacyjnie nosić na czapkach zamiast berlingowskich „kuric”.

Warto dodać, że jednym z pierwszych rozkazów nowotworzonej armii (rozkaz Nr 14 z dnia 23 września 1944 r.) było nakazanie dowódcom dywizji zorganizowanie „po 1 plutonie karnym w składzie 4 drużyn, w tym drużyny dla oficerów”, do czasu stworzenia karnej kompanii Armii. W składzie sztabu Armii, obsadzonym w 99% przez Rosjan (jedynym wyjątkiem był zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych, Edmund Pszczółkowski, działacz Związku Patriotów Polskich), etat prokuratora Armii objął w 1945 r. kpt. Antoni Skulbaszewski, wstawiony swą późniejszą rolą szefa Głównego Zarządu Informacji Wojskowej, bezpośrednio kierującego procesami politycznymi przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przewodniczącym sądu wojskowego Armii został płk Stefan Piekarski, o którym będzie jeszcze mowa. Podając wszystkie te dane osobowe, oficjalna historia „Druha Armia Wojska Polskiego” pióra Kazimierza Kaczmarka (Warszawa, 1978, Wydawnictwo MON) pomija całkowitym milczeniem istnienie w sztabie armii Wydziału Informacji Wojskowej, kierowanego w rzeczywistości przez płk Guro i jego zastępcę, kpt. Zajcewa, których nazwisk nie zamieszczono nawet w indeksie osobowym. Nie ma tam także wielu innych nazwisk, tak dobrze zapamiętanych przez ofiary Wydziału Informacji, jak np. wyjątkowo okrutnego sędziego Frołowa, który znęcał się nad badanymi oficerami i żołnierzami do tego stopnia, że po zakończeniu „śledztwa” wielu z nich pozostało całkowitymi inwalidami. Ze struktury sztabu Armii widać wyraźnie, jak wielką rolę jej dowódcy, Świerczewski i Popławski, przywiązywali do zbudowania aparatu

przemocy i terroru, przy czym, jak pisze Kaczmarek, „wyższe dowództwa i sztaby zorganizowane były według radzieckich etatów... Etat prokuratury wojennej przewidywał generała, 11 oficerów, 4 szeregowych i 5 pracowników cywilnych, a etat sądu wojskowego generała, 15 oficerów, 4 szeregowych i 2 pracowników cywilnych” (s. 60-62). Działalność tych „organów” nie kazała na siebie długo czekać.

Mówiąc o książce Kaczmarka warto dodać pewien anegdotyczny szczegół, o ile wiem, nigdzie nie odnotowany. Podając „Obsadę personalną ważniejszych stanowisk”, wymienia on dwukrotnie nazwisko por. Jana Baranowskiego — raz jako dowódcy 6 samodzielnej kompanii pogotowia chirurgicznego od 3. XII. 1944 (s. 718), a drugi jako komendanta 29 szpitala dla lekko rannych od 10.IV.1945 do końca wojny (s. 719). Za tą mityczną postacią zasłużonego lekarza krył się (dosłownie) przedwojenny starosta a potem dzielny oficer lwowskiej AK, mjr Aleksander Klotz „Niewiarowski”, który już w początku 1940 r. podjął samodzielną wyprawę w głąb Rosji wraz z Eleonorą Ptaszkówną vel Heleną Barszak „Wandą”, poszukując deportowanego gen. Tokarzewskiego i wędrując nielegalnie od Lwowa aż po Irkuck i od Wołogdy po Bucharę. „Niewiarowski pojechał wydobywać Doktora”, meldował w listopadzie 1940 r. „Grot” Rowecki do Londynu („Armia Krajowa w dokumentach”, t. I, Londyn 1970, Studium Polski Podziemnej, s. 346). Po powrocie do Polski i wielu przedziwnych przygodach Klotz ratował się przed aresztowaniem wstępując do wojska i wkrótce trafił właśnie w okolicę Kąkolewnicy, raz jeszcze przyjąwszy fikcyjną osobowość owego właśnie doktora Baranowskiego, w którego skórce doszedł do niemałych szczytów, dopóki nie udało mu się wyszmugłować się na Zachód. Wszystkie te niezwykle przygody opisał później i wydał pod pseudonimem Leon Maks w zupełnie dziś zapomnianej, choć nadzwyczaj ciekawej książeczce „Russia by the Back Door” (Londyn, 1954, Sheed and Ward). Opowieść Klotza-Baranowskiego-Maksa jest nie tylko bodajże jedynym autentycznym zapisem stosunków między nielicznymi Polakami a przeważającymi w sztabie II Armii w Kąkolewnicy Rosjanami, ale stanowi kawał znakomitej literatury, gdyż autor tego autobiograficznego opowiadania wywodził się duchem wprost z tradycji Pana Zagłoby, a jego osobliwe przygody w wielu miejscach żywo przypominają peregrynacje imć Pana Onufrego z Heleną Kurcewiczówną. Co ciekawsze, Klotza nie wspomina prawie żaden z historyków AK na wschodnich kresach, a przecież był to pierwszy emisariusz „Grot” Roweckiego, wysłany do Lwowa jeszcze w październiku 1939 r. z zadaniem zorganizowania tam Służby Zwycięstwu Polski, potem zaś jeden z filarów dalekiego

wywiadu AK w Berdyczowie, aż do rozbicia tej placówki przez Gestapo w kwietniu 1942 r., po czym przeniósł się do Lwowa. Aresztowana w Fastowie „Wanda” uciekła i po wielu przygodach skierowana została do Wilna, tym razem nosząc nazwisko Szwarz. I mimo że Klotz w swojej książce ogranicza się do okresów okupacji sowieckiej 1939-41 i 1944-45, o pracy w wywiadzie antyniemieckim nie wspominając, postać autora i książka warte są przypomnienia, tym bardziej, że jak dotąd jedynym bodajże oficjalnym śladem działalności bohaterskiego oficera jest fikcyjne nazwisko Jan Baranowski. Widocznie cenzura lat siedemdziesiątych fakt ten przegapiła, choć czujność jej wzmogła się w tym okresie bardzo znacznie: podczas gdy pierwsza z czterech monografii pułków 8 DP II Armii, wydana w 1961, podaje jeszcze etat i nazwisko oficera Wydziału 34 pp., monografie wydane kilka lat później rzecz tę całkowicie przemilczają.

Wracając do działalności aparatu przemocy w II Armii stwierdzić trzeba, że już we wrześniu, jeszcze przed przemieszczeniem się tam z Lublina sztabu Armii, Kąkolewnica zastąpiła jako miejsce masowych aresztów, a wkrótce potem egzekucji wykonywanych przez oddziały NKWD I Frontu Białoruskiego, następnie kontynuowanych przez Informację Wojskową i UB, w sumie ocenianych dzisiaj na około 2.500-3.000 osób represjonowanych, z których wiele rozstrzelano na uroczysku Baran w sąsiadującym ze wsią lesie. Po opuszczeniu kwater przez II Armię terror kontynuowały przeniesione do Kąkolewnicy oddziały pacyfikacyjne NKWD co najmniej do listopada 1945 r. Istnieją podejrzenia, że ogółem w Kąkolewnicy i otaczających lasach zamordowano 1.500-1.800 osób, przede wszystkim żołnierzy AK, BCh i WiN-u oraz żołnierzy II Armii, fałszywie oskarżanych o działalność antypaństwową i dezercję. Ta zła sława rozniosła się po okolicy tak szeroko, że już w końcu 1946 r. ówczesny inspektor WiN Inspektoratu Północ, płk Jan Szatyński-Szatkowski „Wrzos”, zlokalizował trzy masowe mogiły, a gdy został następnie aresztowany i osadzony na Zamku w Lublinie, specjalnie przybyły z Moskwy sowiecki prokurator badał go na okoliczności tych poszukiwań, co w rezultacie przyniosło „Wrzosowi” 9-krotny wyrok śmierci, na szczęście nigdy nie wykonany.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w warunkach panującego po wojnie w Polsce terroru i zastraszenia sprawa masowych egzekucji w Kąkolewnicy pokryta została na długie lata milczeniem. Okoliczni mieszkańcy mówią dopiero dzisiaj, jak to w 1948 r. „wokół w lesie leżały czaszki, kości, resztki ludzkich szkieletów”. „W parę lat po wojnie — wspomina ktoś inny — zaczęliś-

my chodzić na grzyby. I pamiętam, że wokół leżały czaszki ludzkie, kości wyciągnięte przez lisy i wilki, wygrzebane przez dziki”. Odkrycia te upamiętniono dopiero w 1981 r., kiedy to pozostali przy życiu towarzysze broni zamordowanych odgrodzili na uroczysku Baran mały kwadrat ziemi i postawili na nim krzyż z tablicą, podającą zaledwie siedem nazwisk „poległych za ojczyznę 24.XI.1944 roku”.

Powrót do praworządności rozpoczęty w roku 1989 nie mógł pozostawić tragedii w Kąkolewnicy w dalszym zapomnieniu. Nielegalne wtedy jeszcze lubelskie czasopismo *Spotkania* opublikowało pierwszy dokument w sprawie masowych morderstw, a *Tygodnik Solidarność* w grudniu 1989 r. ogłosił reportaż Grzegorza Nawrockiego o uroczysku Baran, sprawa jednak zaczęła nabierać rozgłosu dopiero od stycznia 1990 r., kiedy to Stanisław Jadczyk ogłosił w lubelskim *Sztandarze Ludu* dwa reportaże pt. „Tajemnice lasu Baran”. Dotarł on do ludzi mających żywo w pamięci rok 1944 i zebrał szereg fascynujących relacji, których fragmenty przytoczono powyżej. W dziesięć dni później *Dziennik Lubelski* zamieścił wywiad z jednym z sądzonych w Kąkolewnicy oficerów II Armii, Gustawem Kicińskim „Rekinem”, który opowiedział ze szczegółami o nieludzkich metodach śledztwa przeciw 16 żołnierzom Oddziału Partyzanckiego AK por. Aleksandra Sarkisowa „Szarugi”, w sprawie znanej z tekstu wyroku ogłoszonego przez Tadeusza Zencykowskiego w jego książce „Polska Ludowa 1944” (Paryż, 1989, Editions Spotkania, s. 308-313). Raport Kicińskiego, jednego z trzech pozostałych przy życiu oskarżonych w procesie żołnierzy Oddziału „Szarugi”, uzupełnił drugi z ocalałych, od 1944 r. stuprocentowy inwalida Stanisław Zydek „Góra” w wywiadzie dla *Sztandaru Ludu* z lutego 1990 r., podczas gdy niemal równocześnie Tadeusz Kowalski zamieścił w *Tygodniku Solidarność* przypomnienie o procesie i przeciągających się próbach rehabilitacji niewinnie oskarżonych i represjonowanych kolegów. Sprawa nabierać zaczynała coraz szerszego, choć ciągle jeszcze ograniczonego do regionu rozgłosu, jakkolwiek podjął ją Cezary Chlebowski pisząc o zbrodniach tego okresu w *Życiu Warszawy* z lutego 1990 r. Pierwszym jednak oficjalnym krokiem było wszczęcie w tym samym miesiącu śledztwa przez Prokuraturę Rejonową w Radzynie. W rozmowie z przedstawicielem *Dziennika Lubelskiego* prokurator Adam Stańko określił sprawę jako ludobójstwo i zapowiedział zarówno sprawdzenie akt rozstrzelanych w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej jak też przygotowanie do ekshumacji zwłok. Niemniej jednak dopiero 23 marca 1990 r. na posiedzeniu specjalnego komitetu do zbadania zbrodni w Kąkolewnicy, ukonstytuowanego w Białej Podlaskiej z przed-

stawicieli Kół SZŻ AK „Solidarności” i Komisji Badania Zbrodni Stalinowskich, wzięto prokuratora Stańko w ogień pytań. Zebrani dowiedzieli się m.in., że przedstawiciel sprawiedliwości o całej sprawie dowiedział się... z gazet. Istotnie, jeszcze w styczniu 1990 r., rozmawiając z reporterem *Sztandaru Młodych*, oświadczył: „Wie pan, tyle lat tu pracuję, ale nic nie słyszałem o rozstrzeliwaniu akowców pod Kąkolewnicą. Wydam polecenie komendantowi posterunku MO w Kąkolewnicy, żeby rozpytał ludzi” (!). W dyskusji wyływać zaczęły nowe szczegóły zbrodni — okazało się m.in., że żołnierzy AK rozstrzeliwał w lesie Kania koło Trzebieszowa późniejszy wiceminister spraw zagranicznych PRL, Marian Naszkowski, a jednym z bezlitosnych sędziów był w tym samym okresie Bolesław Drobner, przedstawiając decyzje sądu Świerczewskiemu i Popławskiemu, którzy z zasady wyroki śmierci zatwierdzali, podobnie jak robili to Bierut, Osóbka-Morawski, Żymierski i Radkiewicz w sprawie rozstrzelanych w Lublinie „cichociemnych”, Szczepańskiego i Rossiańskiego, o czym przypomniał niedawno Józef Garliński w książeczce „Kiedy brata zabija brat” (Londyn 1987, Oficyna Poetów i Malarzy). W świetle tych faktów na ponury dowcip wyglądają wspomnienia Stanisława Łukasiewicza, który w książce „Byłem sekretarzem Bieruta” (Warszawa, 1987) rzewnie opisuje, jak to pan prezydent nie pozwalał sobie przeszkadzać, gdyż godzinami pracował nad wyrokiem uniewinniającym wartownika, który po pijanemu zabił kilka osób.

Ekshumację pomordowanych zapowiedziano na kwiecień 1990 r., przy czym wynikł spór kompetencyjny co do sprawdzenia biegłych lekarzy mających przeprowadzić ekspertyzę zwłok. Prokurator Stańko opóźnił zawiadomienie Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Lublinie, ale nie wyraził zgody na przesunięcie terminu uroczystego, nowego pochówku zabitych. „Z przedstawionych faktów wynika wyraźnie, że prokurator z nieznanymi nam przyczyn zamierza jedynie przelożyć wydobyte szczątki z jednego miejsca na drugie, nie jest natomiast zainteresowany dokładniejszymi ustaleniami okoliczności na podstawie badań zwłok”, powiedział reporterowi *Gazety Lubelskiej* prof. Andrzej Jakliński z tego zakładu.

Ostatecznie ekshumację przeprowadzono w dniach 25-27 kwietnia 1990 r. Wykopano szczątki trzynastu osób, „wszystkich prawdopodobnie poci męskiej”. „Mimo upływu 45 lat widoczna była gołym okiem niezwykła brutalność śmierci tych ludzi. Gros z nich miało ręce związane z tyłu drutem, część miała połamane ręce, nogi, żuchwy szczęk. Zwłoki wrzucano twarzą do dołu. W czaszkach były ślady kul, rozstrzeliwano więc ich pojedynczo, strzelając w głowę, a nie przy pomocy plutonu egzekucyjnego,

jak każe wojskowy obyczaj. Jedną z tych ofiar zastrzelono już po wrzuceniu do grobu — znaleźliśmy tkwiącą w ziemi kulę parę centymetrów poniżej czaszki, w linii jej przestrzału”, powiedzieli prokuratorzy Adam Stańko i Janusz Styczyński w rozmowie z przedstawicielem *Sztandaru Ludu* w maju 1990 r. Robione w czasie ekshumacji zdjęcia fakty te potwierdzają ponad wszelką wątpliwość.

Kto sądził, kto rozstrzeliwał? Przewodniczący sądu wojskowego II Armii, Stefan Piekarski, którego dobrze zachowane zdjęcie pokazuje w mundurze sowieckiego pułkownika z piersią pokrytą orderami Lenina, Czerwonego Sztandaru, Czerwonej Gwiazdy i innych sowieckich medali, pod którymi skromnie przebłyskują wstążeczki polskich odznaczeń, jako młody chłopiec wyjechał do Rosji w 1914 r., został działaczem bolszewickim, służył w Czerwonej Armii w 1920 r., a w roku 1943 odkomenderowany został na stanowisko szefa Wojskowego Sądu Polewego I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Po chlubnej karierze w II Armii po wojnie był szefem Wojskowego Sądu Garnizonowego we Wrocławiu (gdzie dopiero teraz na cmentarzu w Osobowicach odnajdywane są groby zamordowanych akowców, których długą listę nazwisk ujawniły ostatnio akta tamtejszego sądu wojskowego), a w 1953 r. wrócił do Rosji „na własną prośbę”. Drugi z zespołu sędziów II Armii, Marcin Dancyg, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, od 1939 r. przebywał w Rosji, a w latach 1945-50 był sędzią Najwyższego Sądu Wojskowego, potem zaś, wiosną 1957 r., wyjechał na stałe do Izraela. Sędzia Marian Bartoń, sędzia a potem wiceprezes Wojskowego Sądu Garnizonowego w Lublinie, w latach pięćdziesiątych był szefem gabinetu marszałka Rokossowskiego. W Wydziale Informacji Wojskowej przy ulicy Szylinga w Poznaniu służyli po wojnie Zajcew i Frołow, a las koło Biedruska kryje zapewne ofiary ich metod równie dobrze jak uroczysko Baran.

Właśnie jeden z b. żołnierzy 9 Samodzielnej Kompanii Wydziału Informacji Wojskowej w Poznaniu opowiedział reporterowi *Sztandaru Ludu*, jak to od starszego kolegi dowiedział się o jego osobistym udziale w kąkolewnickich zbrodniach. Jedynym usprawiedliwieniem wykonawcy egzekucji było pochodzenie zza Buga, nieznaną warunek politycznych w Polsce centralnej i zapewnienie rosyjskich przełożonych, że zabijają „bandytów z AK”. Wspomniani wyżej prokuratorzy podają także nazwiska dwóch strażników z Kąkolewnicy, Rogozińskiego i Jankowskiego, którzy „wręcz się chwalili, że niejednego 'rozwalili', jak to określali”.

Pozostaje oczywiście do załatwienia kwestia rehabilitacji nie-

winnie zamordowanych, więzionych i aresztowanych. Upominają się o to nieliczni pozostali przy życiu uczestnicy procesów w Kąkolewnicy, częściej ich rodziny, z których wiele dopiero teraz, po 45 latach, dowiaduje się gdzie przepadli i jak zginęli ich najbliżsi. Zainicjowana przez rodziny siedmiu skazanych akcja spowodowała dokument o Rewizji Nadzwyczajnej Naczelnego Prokuratora Wojskowego (pismo z dnia 24 kwietnia 1990 r.) wnoszący o zmianę wyroku Sądu Wojskowego II Armii przez „uniewinnienie wymienionych od przypisywanego im przestępstwa”. W odpowiedzi na pismo to rodziny skazanych wystąpiły z listem protestującym przeciw decyzji naczelnego Prokuratora Wojskowego i wykazały, że decyzja ta jest „zupełnie niezgodna z prawdą i nie odpowiadająca duchowi naszych czasów”, rehabilituje bowiem zaledwie kilku skazanych „z cichym pozostawieniem innych, a szczególnie sześciu skazanych na śmierć i zamordowanych (następują nazwiska) bez wniosku o rehabilitację, jako winnych przypisywanych im działań i czynów, nie jest tylko przeoczeniem, nie jest tylko nietaktem wobec ofiar i ich rodzin, ale jest wymownym dowodem, iż osoby i organy prokuratury inicjujące i przygotowujące wnioski o rehabilitację myślą i działają podobnie, jak przed 45 laty i nie zadają sobie trudu poznania (lub przynajmniej dążenia do) prawdy”. Uzasadnienie protestu było tak szczegółowe i staranne, że zapowiedziana na dzień 7 czerwca 1990 r. rozprawa rewizyjna została odwołana i przeniesiona na koniec września. Dopiero jednak w dniu 1 października Izba Wojskowa Sądu Najwyższego wydała wyrok rehabilitujący wszystkich niewinnie oskarżonych i skazanych w procesie żołnierzy oddziału „Szarugi”. Nikt jednak nie wie, ile jeszcze podobnych procesów czeka na załatwienie i na wyjaśnienie zbrodni popełnionych w imieniu prawa a także na pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich winnych ludobójstwa niczym się nie różniącego od zbrodni katyńskiej.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

DZIAŁALNOŚĆ INSTYTUTU POLSKIEGO I MUZEUM IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO W LONDYNIE

Wiele lat temu Juliusz Mieroszewski pisał, że jesteśmy „zalewani farbą drukarską”. Od tego czasu nic się pod tym względem na emigracji nie zmieniło i jest raczej coraz gorzej: zalewani jesteśmy najrozmaitszymi publikacjami, wśród których rej wodzą różne uchwały, deklaracje, odezwy, sprawozdania organizacji, nieproporcjonalne do rzeczywistej działalności przedstawianej z myślą o historii. Jakże trudne zadanie będzie miał w przyszłości historyk, żeby przebić się przez ten gąszcz drukowanego słowa i ustalić fakty. Komplikuje to ogromnie już dzisiaj rozeznanie się w tym wszystkim, zwłaszcza gdy chodzi o młodsze pokolenia i o możliwość dotarcia do źródeł, dokumentacji rozproszonej często po świecie, a tak bardzo potrzebnej szczególnie do naukowych opracowań.

Wyjątkową pozycję zajmuje Instytut Polski w Londynie, którego działalność w żadnym wypadku nie pokrywa się z tym, o czym wyżej. Założony w 1945 roku, Instytut posiada dzisiaj najbogatsze na Zachodzie archiwa polskie dotyczące drugiej wojny światowej, muzeum z setkami cennych eksponatów oraz bibliotekę, której zbiory uzupełniają niejednokrotnie te, jakie znajdują się w Bibliotece Polskiej w POSKu.

Oprócz stałego personelu wiele osób pracuje w Instytucie ochotniczo, w czasie wolnym od innych zajęć. Na czele Instytutu stoi Rada, a pracami kieruje Zarząd. Instytut posiada członków honorowych, rzeczywistych i wspierających, których łączna liczba wynosi obecnie 2.145. Każdego roku Instytut publikuje sprawozdanie ze swojej działalności. Ostatnie sprawozdanie, z którego czerpię tutaj dane, jest z 1989 roku. Rzeczowe, przejrzyste ujęte, podobnie jak i poprzednie, jest pożyteczne nie tylko dlatego, że podaje konkretnie, co zostało zrobione, ale również i z tego powodu, że informuje o nowych nabytkach archiwalnych i ich inwentaryzacji.

Bardzo istotną działalność Instytutu stanowi Archiwum. W 1989 roku nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika Archiwum. Odszedł na emeryturę dotychczasowy kierownik, rotmistrz Wacław Milewski, całkowicie oddany pracy w Instytucie. Po Edmundzie Oppmanie i Reginie Oppmanowej, rtm. Milewski był od 1980 roku trzecim z kolei kierownikiem Archiwum. Charakterystyczną cechą, rzadko spotykaną na emigracji jest to, że kierownictwo Archiwum

zachowało ciągłość fachowych sił, dzięki wcześniejszemu przygotowaniu następcy. Z rtm. Milewskim pracował, jako jego zastępca, mgr Andrzej Suchcitz, młody, energiczny, również uczynny i dobrze przygotowany, który objął kierownictwo Archiwum po Wacławie Milewskim. Co do tego ostatniego, to w dalszym ciągu pracuje w Archiwum, jako ochotnik, przy inwentaryzacji i służąc radą tym, którzy jej potrzebują, a takich jest wielu.

Każdego roku napływa do Archiwum kilkadziesiąt nowych nabytków, tak też było w 1989, wzbogacając zbiory w działach: kolekcji prywatnych, kolekcji rzeczowych, kronik i dzienników działań oraz rękopisów. Część dokumentów jest zmikrofilmowana. Archiwum przygotowało nadto, w 1989 roku, dwie wystawy: jedna była poświęcona I Dywizji Pancерnej, a druga kampanii 1939 roku. W tym samym okresie załatwiono 647 kwerend korespondencyjnych i wykonano 17.784 kserokopii dla historyków. Z Archiwum korzystało na miejscu 115 badaczy, przede wszystkim z Polski.

Biblioteka Instytutu Polskiego prowadzona jest, również z dużym oddaniem, przez jej kierowniczkę Marię Wojakowską, która od wielu lat na tym stanowisku stara się robić maksimum tego, co w tych warunkach można zrobić. Ciekawy i pożyteczny jest wykaz tematów w sprawozdaniu, dla opracowania których korzystano ze zbiorów Biblioteki, bezpośrednio na miejscu, lub dzięki kwerendom telefonicznym i korespondencyjnym.

Doniosłą rolę odgrywa następnie muzeum, jedyne tego rodzaju na Zachodzie, gdzie zgromadzone są pamiątkowe eksponaty Wojska Polskiego, zwłaszcza z okresu drugiej wojny światowej. Cały personel muzeum pracuje honorowo. Liczba zwiedzających jest stosunkowo duża i w 1989 roku wyniosła 2.232. Sale muzeum służą również do urządzania wystaw i ostatnią z tej serii imprezą, na większą skalę, była wystawa w pięćdziesiątą rocznicę wybuchu wojny we wrześniu 1939, o której była już wyżej wzmianka.

Do działalności Instytutu Polskiego jest obecnie również włączona działalność Studium Polski Podziemnej, o czym przypomina sprawozdanie mgr. Suchcitz z 1989 roku. Nie wszystko tutaj jest jednak jasne. W dniu 31 marca 1988 nastąpiło połączenie Studium z Instytutem. Inicjatywa chwalebna, której realizacja przeciągała się dłuższy okres czasu, ale najważniejsze, że doszło do połączenia. Kierownictwo Studium objął Andrzej Suchcitz, historyk nowego pokolenia, mający wszystkie dane po temu, aby zacząć odmładzać zasłużone z przeszłości kadry. Jak pisze w swoim raporcie Andrzej Suchcitz, „odnowiliśmy dwa pokoje i częściowo je przemeblowaliśmy... Wiktoriańskie meble nie nadające się do przechowywania dokumentów zostały sprzedane na licytacji, z uzyskanych pieniędzy kupiliśmy meble bardziej przystosowane do naszych potrzeb”. Nie wiem jednak, czy inne wiktoriańskie pozostałości... nie były powodem, dla którego mgr Suchcitz zrezygnował ze stanowiska kierownika Studium Polski Podziemnej, o czym dowiadujemy się z ostat-

niego paragrafu sprawozdania, gdzie Suchcitz zawiadamia o swojej rezygnacji i dziękuje zespołowi archiwalnemu za pomoc w ciągu jego 15-miesięcznego urzędowania. Nie jest też podane, kto objął kierownictwo Studium, liczące — jak podaje sprawozdanie — 23 pracowników, z których wielu zapewne pracuje honorowo. Z działalności Studium należy przynajmniej odnotować ukazanie się, w 1989 roku, po różnych perypetiach, tomu VI *Armii Krajowej w dokumentach*. Przewodniczącym komitetu redakcyjnego tego tomu był od 1984 roku Tadeusz Żencykowski.

Instytut Polski ma również na swoim koncie działalność wydawniczą. W 1985 roku wyszedł w języku angielskim I tom *Przewodnika* po archiwach, jakie znajdują się w Instytucie¹. Inicjatywa bardzo pożyteczna; tom 2 *Przewodnika* jest już podobno na ukończeniu. Drugą pozycją wydawniczą Instytutu jest seria zeszytów pt. *Materiały — dokumenty, źródła, archiwalia*. W 1989 roku wyszły dwa zeszyty o następującej treści: *Gwara lwowska w pierwszym półwieczu XX wieku* — opracował Mieczysław Młotek — zeszyt 5, oraz *Wojna 1939 z wysokości obcasa dowódcy plutonu. Pamiętnik*. — opracował Edward Eckert — zeszyt 6².

Wśród instytucji, jakie jeszcze istnieją w Londynie, Instytut Polski zajmuje poczesne miejsce i można być pewnym, że przetrwa emigrację wojenną nie w nadętych fikcją sprawozdaniach, lecz jako trwały na Zachodzie pomnik Polski Walczącej z XX wieku. Zbiory archiwalne i zabytki muzealne wzajemnie się tam uzupełniają, dlatego też wzrastać będzie — powinno wzrastać — zainteresowanie Instytutem wśród miłośników naszych dziejów, jak również wśród cudzoziemców, którzy ciągle „za mało o nas wiedzą”, o czym przypominają autorzy ostatniego sprawozdania.

Tadeusz WYRWA

1. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 77, str. 166-169.

2. Zeszyty 1-4 zostały omówione w *Zeszytach Historycznych* nr 86, str. 194-198.

LISTY DO REDAKCJI

13 listopada 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero teraz dostał się w moje ręce 91-szy *Zeszyt Historyczny*. Przeczytałem w nim wspomnienia generała wojska ludowego Józefa Kuropieski pt. „Jak kandydowałem na senatora”. W rozdziale pt. „Wizyta” na stronie 115 Kuropieska opisuje swoją wizytę u biskupa radomskiego, księdza Edwarda Materskiego. Autor, z powodów bliżej mi nieznanymi i niezrozumiałymi, wręcza Księdzu Biskupowi wspomnienia brata mojej matki, księdza Waleriana Meysztowicza. W tym momencie generał Kuropieska stwierdza, że „wydało mu się” iż Ksiądz Biskup nie zna dokładnie biografii księdza Meysztowicza, wobec czego robi na ten temat wykład Księdzu Biskupowi.

Cóż więc generał Kuropieska wie o księdzu Meysztowiczu?

Pozwolę sobie te jego wiadomości tu wyliczyć, a tam gdzie są fałszywe, sprostować:

1. „*Meysztowiczowie to jedna z najstarszych arystokratycznych rodzin Litwy*” — To trochę, troszeczkę przesada.

2. „*Do niedawna X.W.M. był radcą Ambasady Polskiej przy Watykanie*” — Po pierwsze radcą kanonicznym, a co znaczy „do niedawna”? Ksiądz Meysztowicz umarł już temu parę ładnych lat, a Ambasadora przy Watykanie zlikwidował bodaj Papież Paweł VI. Więc „do niedawna”?

3. „*Ksiądz W.M. był wychowankiem Korpusu Paziów w Petersburgu*” — Nieprawda, nigdy w Korpusie Paziów nie był.

4. „*Był rosyjskim oficerem rezerwy i walczył z Niemcami*” — Nieprawda. Na froncie rosyjskim był Komendantem Czołówki Czerwonego Krzyża — więc cywilem.

5. „*Przeżył kampanię 1920 r. w 13 Pułku Ułanów, ostatnio jako rotmistrz*” — Nieprawda. Skończył wojnę jako wachmistrz, co prawda odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*, ale o tym Kuropieska nie wie.

6. „*Był wykładowcą prawa kanonicznego na USB*” — Był profesorem nadzwyczajnym na USB, tak, ale to po radcostwie kanonicznym w Rzymie, a nie od razu tak z sekretarza Arcybiskupa Jałbrzykowskiego. *A propos*, to nie Diecezja Wileńska, ale Archidiecezja.

7. „*W momencie wybuchu wojny wyjechał z Rzymu do Wilna by zostać*

kapelanem 13 Pułku Ułanów” — Nie wyjeżdżał żeby zostać kapelanem, był kapelanem 13 Pułku Ułanów. Chciał, jako kapelan pułku, do pułku dołączyć, co mu się zresztą nie udało.

8. „Później zabrał ze sobą ojca i z Litwy wrócił do Rzymu” — Nieprawda. Do Rzymu wrócił sam po odwiezieniu Marszałkowej Piłsudskiej i jej córek do Sztokholmu. Mój Dziad, Aleksander Meysztowicz, uciekł z Wilna przez Litwę znacznie później i po różnych przygodach dotarł do Rzymu.

Wnioskuje z tego wszystkiego, że to nie Ksiądz Biskup Edward Materki, który na pewno znał osobiście mego wuja ze swoich wizyt w Rzymie, ale Generał Dyw. Polskiego Wojska Ludowego ani nie czytał dokładnie wspomnień księdza Waleriana Meysztowicza, ani zupełnie się nie orientował w jego biografii.

Nie robię komentarzy co do reszty wspomnień Kuropieski z jego kampanii wyborczej do Senatu. Co chwila znajduję tam błędy i nieścisłości i niemiłe dla naszego ucha zgrzyty. Na usprawiedliwienie autora trzeba powiedzieć, że ma on 85 lat. Ale w takim razie po co pisze i po co kandyduje (bez powodzenia) na senatora?

Będę niezmiernie wdzięczny Panu Redaktorowi za umieszczenie tego listu-sprostowania.

Z poważaniem,

Alexander BYSTRAM

Kraków, 10 XII 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższego sprostowania do mojego artykułu „Na szlaku AK (NIE, DSZ, WiN)”, który ukazał się w *Zeszytach Historycznych*, Nr 94, 1990.

Str. 25, wiersz 12 od dołu: ppłk Tadeusz Jachimek był szefem sztabu DSZ od lipca (a nie od czerwca) 1945 r. Poprzednio kierował wywiadem ofensywnym DSZ.

Str. 33, wiersz 19 od dołu oraz str. 41, wiersz 2 od góry: T. Jachimek został aresztowany nie 4 XII 1945 r., lecz najprawdopodobniej 4 XI t.r. Data grudniowa podawana jest w pracach autorów związanych z byłym komunistycznym Ministerstwem Spraw Wewnętrznych (np. S. Piechowicz, Podziemie poakowskie, w: 1944-1947. W walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce, red. W. Góra, R. Halaba, Warszawa 1967, s. 72), ale przyjmuje ją także niezależny historyk o orientacji niepodległościowej R. Terlecki (pod pseudonimem A. Mariański, Czterdziesty siódmy, *Arka* 11, 1985, s. 70-79). Data ta jest jednak błędna, co przy pomocy stenogramu procesu Rzepeckiego i towarzyszy ze stycznia 1947 r. uzasadniła ostatnio Hanna Sudlitz (Sprawa pułkownika Rzepeckiego, w: *Głos*, Nr 62-63, Warszawa 1990, s. 78-96, passim; tej interesującej pracy nie zdążyłem już wykorzystać w moim artykule). 2 XI 1945 r. w mieszkaniu Emilii Malessy „Marcysi” w „kocioł” bezpieki wpadł kurier Naczelnego Wodza, mjr Antoszewicz „Iwo”. Miał oczekiwać na kontakt z Jachimkiem, do którego obowiązków należało m.in. organizowanie spotkań Delegata Sił Zbrojnych płk. Jana Rzepeckiego. Sam Rze-

pecki został ujęty 5 XI w lokalu kontaktowym w Łodzi, przed umówionym przez Jachimka spotkaniem z kurierem „Iwonem”. Ze stenogramu procesu wiadomo też, że 8 XI w więzieniu Rzepecki widział się z Jachimkiem i wydał mu rozkaz ujawnienia podległych mu struktur. W wykonaniu tego rozkazu Jachimek doprowadził do wpadki „skarbnika” DSZ płk. E. Lubowickiego „Górnika” i przejęcia przez bezpiekę 1 miliona dolarów. Sądzić więc można, że Jachimek został aresztowany pomiędzy 2 a 8 listopada, zapewne 4 XI (nie pojawił się tego dnia na zebraniu kierownictwa WiN).

Str. 41, wiersz 8 od dołu: kpt. Franciszek Błażej był członkiem nie I lecz IV Zarządu Głównego WiN (jest to oczywiście błąd drukarski). Przy okazji można dodać, że w r. 1944 pełnił obowiązki oficera operacyjnego w Inspektoracie Rzeszowskim AK.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Janusz KURTYKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem pracę Andrzeja Friszke pt. „Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942”, w *Zeszytach Historycznych* (nr 90). Praca ciekawa i cenna. Chciałbym jednak sprostować dwie omyłki, obie na stronie 11. Marian Seyda redagował *Kurier Poznański*, a nie *Kurier Polski*, który przed wojną był pismem o zupełnie innej orientacji. Autor cytując moją książkę pt. „W Kwaterze prasowej” podaje, że mi na imię — Waclaw, a ja jestem Witold. Waclaw, stryj mój, zginął w Katyniu.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

Witold LEITGEBER

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł Tadeusza Wyrwy „Likwidacja ambasady R.P. przy Watykanie w 1958 i 1972 r.” (*Zeszyty Historyczne* 93/1990) przybliżył rzeczywistość, w jakiej nastąpiła likwidacja ambasady R.P. przy Watykanie, ale nie dał jednoznacznej odpowiedzi w kwestii, czy Prymas Stefan kardynał Wyszyński był jednym z głównych inicjatorów zniesienia tej placówki. Zabrakło szerszej wzmianki o osobistych kontaktach między Prymasem Polski a ambasadorem R.P.¹, zaś w szczegółach dotyczących końca ambasady należało silniej zaakcentować kwestię mechanizmu jej finansowania, jako pośredniego czynnika w

1. Andrzej Micewski, „Kardynał Stefan Wyszyński — Prymas i mąż stanu”, Paryż, ED, 1982, str. 171.

jej likwidacji². Autor pominął głos protestu ze strony federacji Światowej SPK w liście (otwartym?) do ambasadora Kazimierza Papée³. Zniesienie ostatecznego międzynarodowego symbolu suwerenności państwa polskiego, bo taki niewątpliwie wymiar posiadała ambasada R.P. przy Stolicy Apostolskiej, było warunkiem *sine qua non* polityki normalizacji PRL — Watykan⁴.

Był to trudny dziś do zrozumienia okres, w którym zaistniały takie dwuznaczne moralnie fakty, jak odmowa publicznych modłów za pomordowanych w Katyniu ze strony władz zwierzchnich duchowieństwa polskiego na emigracji. Oceniając z kolei postawę Prymasa Tysiąclecia w podobnych kwestiach, często pozostajemy bardziej pod wpływem jego legendy, w czym zasługę mają hagiografowie tej postaci, niż potrafimy poświęcić się refleksji nad obrazem lat 70-tych, który nawet najwyższym dostojnikom Kościoła narzucał daleko posuniętą ostrożność w modlitwie, a cóż dopiero w czynie⁵.

Tomasz LENCZEWSKI

8 grudnia 1990

Szanowny Panie Redaktorze!

W mojej recenzji książki *Polish Paradoxes*, zamieszczonej w 94 nr. *Zeszytów Historycznych*, znalazł się błąd drukarski, który pozbawia sensu cały akapit. Na stronie 229 w 8. wierszu od góry opuszczono słowo „ugoda”. Odpowiednie zdanie powinno zatem brzmieć:

„Tymczasem filozofią polityczną Prymasa Wyszyńskiego, który wprowadził do historii powszechnej model ugody Kościoła katolickiego z partią komunistyczną (co wywołało swego czasu szok w Watykanie), była sztuka kompromisu nawet w sprawach tak podstawowych, jak wpływ państwa (czyli partii) na obsadzanie stanowisk kościelnych.

Ugoda, o której mowa, to zawarte 14 kwietnia 1950 r. 'Porozumienie między przedstawicielami Rządu RP i Episkopatu Polski'; jego treść — jak się zdaje — poszła w zapomnienie. Dokument ten — zobowiązując Episkopat do pełnej lojalności politycznej wobec władz komunistycznych — zdefiniował charakter stosunków Kościół-państwo w Polsce”.

Wdzięczny będę, jeśli zechce Pan zamieścić to sprostowanie.

Proszę przyjąć pozdrowienia i wyrazy poważania

Tomasz MIANOWICZ

2. Zdzisław Morawski, „Watykan z bliska i z daleka”, Warszawa, KiW, 1979, str. 139.

3. Józef Mackiewicz, „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy”, Londyn, Kontra, 1975, str. 303-304.

4. A. Micewski, *op.cit.*, str. 323.

5. List Prymasa Wyszyńskiego do dr. Gojrzewskiego z Litwy Kowieńskiej (repatrianta).

SPROSTOWANIE

W opracowaniu dokumentów związanych z „Deklaracją pułkownika Jana Mazurkiewicza — „Radosława” z 8 września 1945 r.” (ZH 93/1990) znalazł się istotny błąd związany z osobą autora Listu do Pana Pułkownika Radosława z 12 września 1945 r. Otóż kpt. Stanisław Sojczyński — „Wojnar”, „Ryba”, „Zbigniew”, „Wazbiw”, „Warszyc” nie był komendantem Obwodu AK Radomsko, lecz pierwszym zastępcą komendanta tegoż obwodu w okresie październik 1942 — sierpień 1944, choć podczas wakatu w pierwszej połowie 1943 r. pełnił obowiązki komendanta z racji swej pierwotnej funkcji.

Tomasz LENCZEWSKI

POSZUKIWANIE MATERIAŁÓW DOTYCZĄCYCH POLSKICH GENERALÓW NA OBCZYŻNIE

Przygotowując obszerną monografię poświęconą wyższym dowódcom Wojska Polskiego w latach 1918-1939 oraz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w latach 1939-1945 natknąłem się na luki dotyczące ostatniego okresu życia niektórych generałów pozostających i zmarłych po wojnie na obczyźnie. Mam na uwadze następujących generałów:

W Wielkiej Brytanii: 1. Janusz Beaurin, 2. Stefan Dąb-Biernacki (jak się nazywała farma w Irlandii, którą prowadził przed powrotem do Anglii?), 3. Bronisław Duch, 4. Kazimierz Dworak, 5. Walerian Czuma, 6. Kazimierz Fabrycy, 7. Józef Giza, 8. Ludwik Kmicic Skrzyński, 9. Stanisław Kozicki, 10. Henryk Krok-Paszkowski, 11. Władysław Langner, 12. Mieczysław Mackiewicz, 13. Tadeusz Malinowski, 14. Teofil Maresch, 15. Karol Masny, 16. Rudolf Niemira, 17. Kazimierz Sawicki-Sawa, 18. Kazimierz Schally, 19. Stanisław Skwarczyński, 20. Nikodem Sulik, 21. Józef Wiatr, 22. Kazimierz Wiśniowski, 23. Sergiusz Zahorski, 24. Ludwik Żąbkowski.

We Francji: 1. Mateusz Iżycki (przed wyjazdem do Anglii), 2. Jan Kruszewski.

W USA: 1. Otton Krzisch, 2. Ferdynand Zarzycki.

W Argentynie: 1. Bronisław Rakowski.

W Szwajcarii: 1. Wacław Scaevola-Wieczorkiewicz.

Czym zajmowali się ci generałowie po zakończeniu wojny? Jaką podjęli pracę zawodową lub społeczną? W jakich latach? Jakie były losy gen. dyw. Józefa Czikota i gen. dyw. Eugeniusza Tinza, którzy jeszcze przed wojną osiedlili się w Wiedniu? Co się stało z gen. dyw. Aurelim Serdą-Teodorskim, zamieszkałym przed wojną w jugosłowiańskim mieście Suszak? Chcąc ustalić losy tych generałów, zwracam się na łamach *Zeszytów Historycznych* z apelem do ich rodzin oraz do osób, które mogłyby powiedzieć coś na ten temat, o nadsyłanie odpowiednich informacji pod moim adresem: 01-708 Warszawa, ul. Lampego 9 m. 113.

Zdzisław NICMAN

SPIS TREŚCI

Jakub Karpiński: <i>Lekcja anatomii (makrosocjologia i socjologia)</i>	3
Bp Szczepan Wesoly: <i>Stosunki między generałem Sikorskim i biskupem J. Gawliną</i>	20
Tadeusz Wyrwa: <i>List do Redakcji w sprawie powyższego artykułu bp. Szczepana Wesolego</i>	54
Tadeusz Wyrwa: <i>Poselstwo R.P. w Madrycie w latach 1940-1944</i>	55

WSPOMNIENIA

Franciszek Król: <i>Pierwszy strajk w Gulagu. Workuta 1953</i>	73
--	----

CI, CO ODESZLI

Michał Komar: <i>Pan Adam</i>	91
-------------------------------------	----

DOKUMENTY

Gen. Izydor Modelski: <i>Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (próba syntezy) (dokończenie)</i>	108
<i>Raport ppłk. Henryka Pohoskiego (do druku podali Maria Fieldorf i Leszek Zachuta)</i>	184
<i>Dwa listy płk. Jana Rzepeckiego do Stanisława Mikołajczyka z lipca 1945 r.</i>	194
Andrzej Paczkowski: <i>UB a połączenie SL i PSL w 1949 roku</i>	207

KSIĄŻKI

Witold Dworzynski: <i>Biografia Wieniawy</i>	210
Tadeusz Wyrwa: <i>Polska w polityce międzynarodowej 1945-1947</i>	215

OKRUCHY HISTORII

Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Kąkolewnica — podlaski Katyń</i>	222
Tadeusz Wyrwa: <i>Działalność Instytutu Polskiego i Muzeum im. generała Sikorskiego w Londynie</i>	230

LISTY DO REDAKCJI

A. Bystram: <i>Garść informacji o ks. Walerianie Meysztowiczu w związku z artykułem J. Kuropieski „Jak kandydowałem na senatora” (Zeszyty Historyczne nr 91)</i>	233
J. Kurtyka: <i>Sprostowanie do artykułu „Na szlaku AK (NIE, DSZ, WiN)” (Zeszyty Historyczne nr 94)</i> ...	234
W. Leitgeber: <i>Sprostowanie omyłek w artykule A. Friszke „Z dziejów Stronnictwa Narodowego na emigracji w latach 1939-1942” (Zeszyty Historyczne nr 90)</i> ...	235
T. Lenczewski: <i>Uwagi w związku z artykułem T. Wyrwy „Likwidacja ambasady R.P. przy Watykanie w 1958 i 1972 r.” (Zeszyty Historyczne nr 93)</i>	235
T. Mianowicz: <i>Sprostowanie do recenzji książki Polish Paradoxes (Zeszyty Historyczne nr 94)</i>	236
T. Lenczewski: <i>Sprostowanie do opracowania „Deklaracji płk. Jana Mazurkiewicza „Radostawa” z 8 września 1945 r.” (Zeszyty Historyczne nr 93)</i>	237
Zdzisław Nicman: <i>Poszukiwanie materiałów dotyczących polskich generałów na obczyźnie</i>	237

Photocomposition: **AKTIS S.A.R.L.**
42, avenue de Wagram, 75008 PARIS

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 15 FÉVRIER 1991
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1991

N° d'imprimeur 3687

